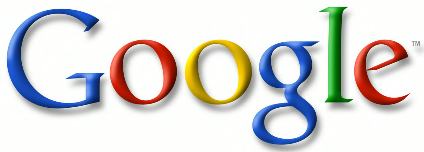
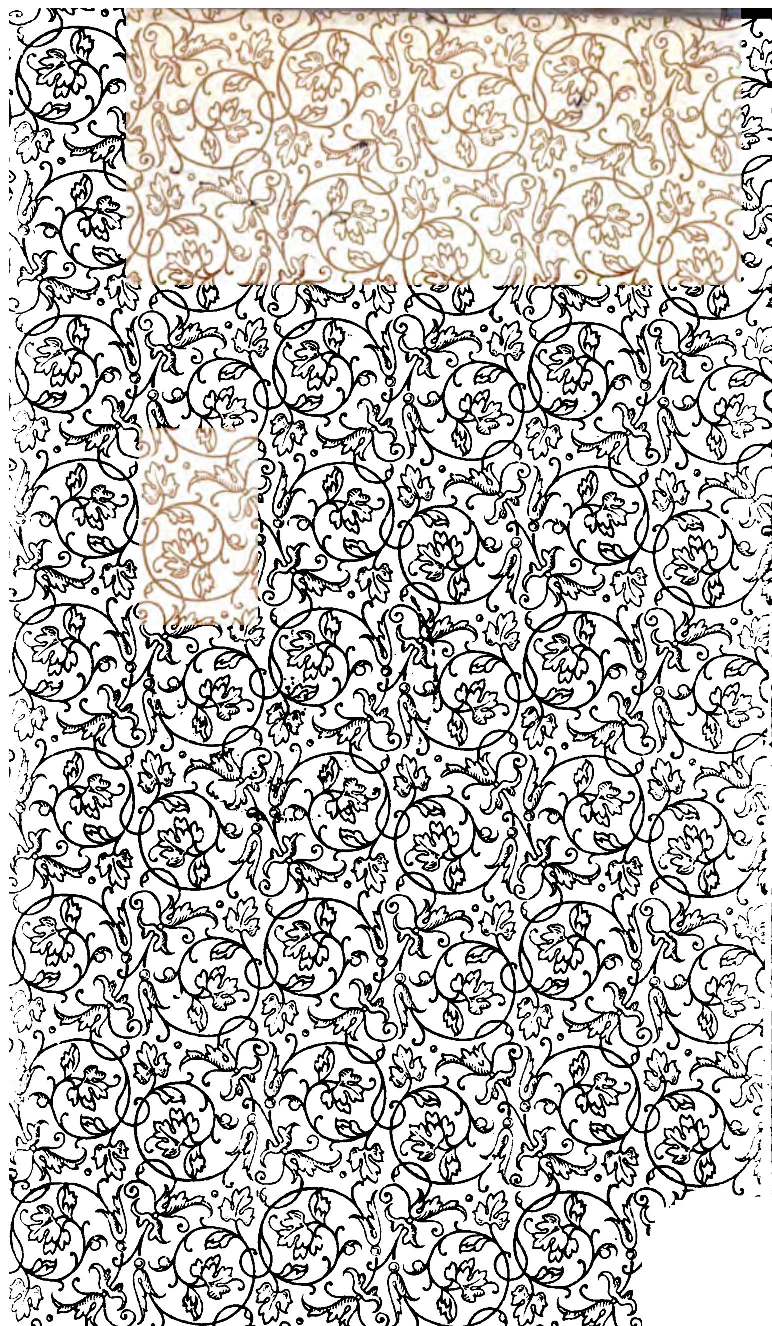

Google



BIBLIOTEKA PISARZY POLSKICH.

TOM LXX.

ROZGRZESZENI.

OBRAZEK Z ŻYCIA WYGNAŃCÓW.

NAPISAŁ

FELIKS KOZUBOWSKI.

Życie ich było, jak życie Chrysta
Niezasłużenie pełne goryczy
I smutków pełne i mąk bez miary.
Czasem odwrotnie: Zbrodni . . .

Lecz miłość Polski święta i czysta,
Przetrwała wszystko . . . więc kraj policzy
Lata spędzone samotnie,
W tęsknocie za nią . . . bo pełni wiary
W jej zmartwychwstanie . . .
Tak kochając, tak cierpiąc, są chociaż
łzy godni!



F. A. BROCKHAUS.

—

1875.

Objaśnienie.

Puszczając w świat niniejszy obrazek, uważa sobie wydawnictwo «Bibljoteki pisarzy polskich» za obowiązek wypowiedzieć swe zdanie, a to dla zapobieżenia zarzutom krytyki pewnych odcieni publiczności polskiej, któreby się tego objaśnienia spodziewały.

Obrazek ten jest napisany w niezwykłych dotychczas u nas formach, do których ci tylko czytelnicy przywykli, jakim podobne utwory literatury francuskiej z Wiktorem Hugo na czele, były przystępne. Autor wybrał tę formę dla dogodności ułatwiającej kalejdoskopiczne pisanie; wybór więc jego nie podpada już więcej krytyce.

Co do samej historji w powieści, pod względem estetycznym, umiał autor szczęśliwie zająć żywem, elektryzującem opowiadaniem i przepleść poglądami ze swego stanowiska, jakie odrywając czytelnika od wątka powieści, przerzucają go na zupełnie inne pole marzeń i z jednego do drugiego uczucia prąc siłą czarodziejskiego porywu, drażnią wyobraźnię do tego stopnia, iż jeżeliby z czytania znużenie wyrodzić się mogło, to tylko przez tę forsowną gimnastykę odpowiednich nerwów, przez ich ciągłe naprężanie i rzucanie w chwilową nieczynność, bez przewidzianego stąd naprzód użytku. Zaś wyobraźnia, pomimo rozdrażnienia, zadowoloną tu jest całkowicie i przyznać musi, iż jej dotychczas mało autorów tak wielką ilość ognistego pokarmu w tak szczupłych ramach podało. Autor zdradza znaczny talent pisania stylem gładkim i lekkim, władając rodzimym językiem tak szczęśliwie, iż rdzenny ten język, upoe-

tyzowany autorem czarodziejską siłą piękna, brzmi lubo w uczuciu rodaka, pomimo iż wyrażenia obce, naturą opisywanego przedmiotu usprawiedliwione, często uderzają oko i ucho. Wszelako widać w całym układzie powieści, iż autorowi nie brak swojskich wyrażeń, tylko chęć odmalowania obrazu w pełnej rzeczywistości, myśli i zdania w pióro dyktowały. Życie salonowe posiada właściwe sobie tylko obyczaje — kto je zna, odgadnie łatwo myśl pod podaną postacią, a świat nasz polski, czytający, znajdzie się w oddawna mu świadomej i familijnej sferze. Oprócz tego poezja rozlana w całej tej pracy nasuwa mimowolnie podejrzenie, iż autorowi z równą łatwością przychodzi dosiąść pegaza, i w mowie wiązanej wygłaszać piękności naszej polskiej mowy. Kto zna prace autora na tej cudownej a rodzimej niwie, temu podejrzenie owe przemienia się w miłe uczucie wspomnienia owych świetnych utworów poetycznych autora, zdumiewających jędrnością wyrażeń, oraz górnością polotu, jaki zapowiada potęgę wieszcza niezwykłych rozmiarów, naprzykład w jego „Powieści bez tytułu“ i tylu innych drobniejszych utworów. Pod względem więc formy i pędzla obrazu, wywiązał się autor z trudnego zadania wyśmienicie, zasłużył na uznanie.

To też objaśnienie wydawnictwa nie czepia się ani formy ani kolorytu obrazu, ale samej treści, dla dwojakiego powodu: raz, ze stanowiska, jakie wydawnictwo zajmuje, szerząc tylko zasady prawdziwie narodowej oświaty — potem, starając się omijać utwory, w których by pojedyńcze odcienia z tym wysokim celem nie były całkowicie w zgodzie. Cel tu nie uświęca środków. . . .

Powieść nasza napisana wedle poglądu wolnego marzyciela, który, posiadając we wnętrzu zarodek boskiej prawdy, z mlekiem macierzyńskiem wyssanej, oblężony materjalnym światem, naciśnięty może doświadczeniem, rozburzony w każdym razie i przejęty złem, jakie w okół siebie pulsującem zobaczył i przybierającem najświętsze postacie dla dopięcia najszpetniejszych celów — raz żółć, to znowu balsam na papier przelewa.

Przedmiotem powieści są tu przygody życia młodego Polaka, który po walce 1863 roku, zmuszony do porzucenia kraju, równie jak tysiące rodaków, ocknął się na ziemi gościnnej Francji i złączył serdecznie z jej życiem, nie przestawszy przecie być Polakiem. Wedle wyznania autora, ma to być jeden obrazek przygód, wyjęty z mnóstwa, jakie się rzeczywiście wydarzyły i może jeszcze dotychczas pod ochydniejszemi intrygami w gronie ostatnich wychodźców wydarzają.

Wydawnictwo «Bibljoteki pisarzy polskich» nie może i nie chce rozcinać gordyjskiego węzła, sformowanego pytaniem «Czy Jezuici zgubili Polskę» — takowy historja rozwiąże; ani też rozsądzać «Czy zarzuty przeciw temuż zakonowi, jakie dziś cały świat głosi, są sprawiedliwe.» — Wydawnictwo jest bezstronnem tam, gdzie jego cel zasadniczy «oświata narodowa» nie w pierwszym stoi rzędzie i przedsięwzięcia jego nie dotyka — stąd wszelki sąd, namiętnej formy nad namiętnością ludzką, jest mu obcy, i zależy mu tylko na wyświeceniu czystej prawdy, do wykrycia której chętnie podaje rękę. Potrzeba wykazywania prawdy, szczególnie tam, gdzie brak jasności w odmęt przesądu, oszczerstwa i niesprawiedliwości ogół cały zanurza — jest świętym obowiąskiem szczerze i szlachetnie myślącego człowieka. Przed tą potrzebą umilknąć powinny wszelakie osobiste widoki: czy to uczucia, lub rachuby — zapału lub marzenia — wiary lub przekonania. . . Postawiwszy sobie w czynności jakiejkolwiek za cel jedyny «oświatę narodową» — należy bezwzględnie więc kroczyć do owego celu i choćby na przebój dążyć najkrótszą doń drogą, roztrącając wszelkie martwe czy żywe przeszkody. Najdotkliwszemi zawadami okaże się tu fałsz pojęć ogółu, to jest przesąd przeciw osądzonym ideom, oszczerstwo prawdziwej zasługi i niesprawiedliwość względem dążności bliźniego. Można je tylko przezwyciężyć, odkrywając bezwzględnie prawdę i wpajając takową w ogół narodu; ażeby ona jako fundament budowy społecznej w każde pojedyńcze jestestwo dzisiejsze wsiąkła. Jeżeli nam to przeistoczenie, ten

postęp uczuć w ostatnich dniach krótkiego życia naszego nie pomoże dotykalnie, pomoże nam moralnie i ułatwi, osłodzi chwile cierpienia, żeśmy zaszczepili na naszem drzewie narodowem szlachetniejsze gałąski, jakie naszemu pokoleniu lepsze i posilniejsze owoce przyniosą. Niechaj każde dziecię od pierwszych sekund istnienia aż do dni samobytu wyssie z macierzyńskiej piersi zdrowy pokarm: rozsądku, prawdy i sprawiedliwości — miłość ojczyzny sama z siebie powstanie.

Z tego jedynie powodu puszczoną zostaje w obieg niniejsza książka, jako ciąg dalszy od lat wielu zaszczytnie i powszechnie uznanego przedsięwzięcia. Jeżeli oskarżenie jest niesłuszne i wyroiło się tylko w rozjątrzonej wyobraźni, przeminie dźwięk jego, jak zwykle fałsz przemija, bez uszkodzenia pociskiem, gdyż prawda z tym większym blaskiem na jaw wychodzi, im czarniejsza jest potwarz — i wydawnictwu zasługa za opublikowanie pojęć, które bez tego nurtować by mogły i niszczyć prace, skądinąd może szlachetne i poparcia godne. Ale gdy obrazy tem śmiałem piórem nakreślone, znajdą odbicie w pamięci i sercach współziomków, które na sobie podobnychże intryg doświadczyły, gdy opinja publiczna «vox populi» przyklaśnie odkryciu ochydy, nie dla zemsty, lecz z radości, iż w przestrogę ludowi prawda na jaw wyszła — wtedy zasługa znowu po stronie wydawnictwa, które się przysłużyło do wykrycia prawdy.

Opinja publiczna w każdym razie utwór ten osądzi, a pojedyńcze pióra znajdą przy bogatym materjale bodziec do dalszych na tem polu poszukiwań i odkryć dla dania świadectwa prawdzie.

Malując najczarniejsze i najohydniejsze prace tajnej propagandy pod religji płaszczykiem, nie mógł autor pominąć przedstawienia trudnych i śliskich sytuacji, które wedle mniemania jego, koniecznemi były dla całości zakresu. Jak wszędzie, tak i tu rozpalona fantazja autora nie stawia granic swoim porywom; więc, dla zachowania cechy pióra, wypadło przyjąć i wyskoki owe, chociażby ich złagodzenie było możliwe.

Walcząc z zastępem złego, nie zawsze tak gwałtownie pragnie autor nacierać na ideę religji, na jaką nastawać postanowił. Miewa on chwile rozwagi, oraz namysłu, w których łagodzi ostrza pocisków, zacierając rażące błyski namiętności, zwrotami na drogę moralizacji, iż ten zwrot przeistacza prawie pojedyńcze postacie ochydne w ludzi zwyczajnych lecz słabych, lub też w ludzi pełnych rozstrzelonych pochopów, sprzeczających się jedne z drugiemi, niszczących dawniejsze czyny, przeciwstawiając im nowe, innej zasady, i do nowego wiodące końca. Stąd też napotyka się w postaci głównego bohatera, oraz jego przyjaciela w duchownej szacie, podwójny typ w jednem ciele, w jednej osobistości. W chęci złagodzenia swych zarzutów, maluje bohatera swej powieści w podwójnym świetle, wręcz przeciwnych charakterów. Nie dziw, iż i poglądy autora przez usta tychże bohaterów wygłoszone, sprzeciwiają się jedne drugim — a tem samem łagodzą ostrość zarzutów, usuwają doniosłość rozumowań, tłumią porywczość sądu, zostawiając czytelnikom wybór pomiędzy cząstkami tego, ślicznego co do kształtów i cieni, obrazu.

W lepszej części tej dwoistości zdradza autor głębokie, filozoficzno-religijne, duchownością uszlachetniające poglądy, które, po wyrzuceniu tu i owdzie, z samą powieścią korespondujących, a do głębokości nastrojonych uczuć, w owej chwili nie stosujących się rzutów, mimowolnie napominają czytelnika, że pióro, co je nakreśliło, mogło by stać się i na polu moralnej filozofji, tej nowoczesnej religji postępowców, ważną siłą duchową, potęgą idei; jeżeliby na temże polu bezoględnie badając, postępowało z ruchem najnowszej chwili naszego stulecia, biorąc stronę walczących przeciw grasującemu w Europie materjalizmowi. Bo ten, pomimo iż dzisiaj traci na swej sile i coraz więcej plącze się w nicości swych rozumowań, to przecie silnym jest dosyć, by się opierać moralnej filozofji ducha ludzkiego, jeżeli tenże wszelkiemi siłami pojedyńczych badaczy zwalczać go przestanie.

Przeczucia serca, mgliste marzenia i sny, nieopisany

pociąg duchowy, choć pomięszane często z dziwnemi zasadami materjalizmu, tak uroczo błyszczą w kolorycie obrazu, iż wiodą nas mimowolnie na drogę pokoju. . .

I zaiste, życzyćby należało, aby wypadki tak żywo opisane, były tylko wyskokiem fantazji autora, a nigdy w życiu prywatnem lub publicznem nie miały miejsca! — Życzyćby tego należało szczególnie krajowi naszemu, w czasach dzisiejszych, gdzie nasza jedyna siła cięży w bezwyjątkowej, niezmiennej jedności, przy swobodzie pojęć każdego zosobna, przy zaszczepionych głęboko zasadach moralności — gdzie religja, pomimo natarczywych a przeciwnych prądów, tak wielką gra rolę, że jest zdolną poruszyć naród cały, z przewodnikami onego na jej polu, do bohaterskich czynów. Jedność ogółu, to błogosławieństwo Stwórcy dla swych wywyższonych duchem stworzeń tego świata. Biada ludom, którym na takowej zbywa! Pożałowania godni ci, co dla względów jakichkolwiek omijają się z prawdą, opóźniają uznanie onej ogółem . . . ci są świadomie lub nieświadomie, brzemieniem dla swej ojczyzny, jeżeli nie katami jej, nie zdrajcami, przez których kraj nasz tyle razy był szarpany . . . albowiem ich dążności spowodowały jego nieszczęścia!

Starajmyż się więc, o ile nam sił moralnych stanie, prostować drogi nasze w zgodzie i jedności, a przynajmniej, gdy nam tej świętej cnoty jeszcze brak niestety, dążyć do tego świętego celu, odszukując wszelkie ścieżki do niego prowadzące. . . Oby zaginęła różnica pojęć w sprawach ogółu dla prywaty, a jedność ogółu, bez wyjątku stanu i sukni, nigdy nas nie opuści, lecz zrodzi pożyteczniejsze owoce, niż owe, niedojrzałe jeszcze rozmysłem, które pragnęła wyrodzić w 1863 roku.

Tem życzeniem kończy się te słów parę, potrzebnych do objaśnienia pobudek, jakie do umieszczenia tej powieści w rzędzie tomów «Bibljoteki pisarzy polskich» spowodowały.

Wydawca.

DEDYKACJA.

Wielmożnej Katarzynie Rolla.

Pani!

W dniach, nie mówię już zwątpienia, ale zupełnej prawie rozpaczy; w dniach, gdy jedna część biednej naszej ziemi wyparła się własnego swego dziecięcia z powodu, że nie chcąc czcić carów, nie miał również chęci apoteozowania niemieckiego ucisku; w dniach nareszcie, gdy mi krwawo zapracowany chleb wydarto i donosem zbawiono wolności, spotkałem śród lodów Galicji, tej Syberji polskich tułaczy, kobietę, polkę w całem tego słowa znaczeniu.

Gdy od złamanego potrójną proskrypcją wszystko się odwróciło, gdy imię moje z trwogą i ze zgrozą z ust do ust sobie podawano, przedstawiając mnie hardym dzieciom, jako smutny przykład tych co walczą przeciw najłaskawszym, ojcowskim rządom dorobkiewiczów i ich ublaszkowanych satelitów, spotkałem jeszcze tę samą szlachetną polkę, pełną współczucia i gotową do ofiary.

Dziś, gdy gościnna obca ziemia znów przyjęła wygnańca, a zapominając tysiącletniej nienawiści rodowej, podała mi pracę, z nią cichy, spokojny sposób do życia; dziś, gdy myślą już tylko i wspomnieniem błądzę tam, gdzie padły ostatnie moje złudzenia i resztki w poczciwości drugich wiary, zebrałem te rozrzucone kartki wczorajszej niedoli, życia złamanego zawiścią, rozwianych nadziei i nigdy nie mającego powrócić zaufania.

Kartki te, żywe świadki, że od lat wielu, wspólna nam ojczyzna, co dzień traci jedno z swych wiernych dzieci: bądź to samobójstwem, bądź śmiercią z głodu lub spodleniem z rozpaczy i zwątpienia, przypisuję tobie, pani!

Przyjm je, proszę, na pamiątkę tych kilku chwil, które spędziłem słuchając gry twojej, uroczych Chopin'a pieśni. Wtedy, chciałem wpływem boskiej melodji zagłuszyć chmurne podszepty niedoli, bo mi pierś nienawiścią wrzała. Dziś, rozwaga zastąpiła namiętne wybuchy goryczy i żalu. Radbym więc zapomnieć, że kraj ów nieszczęsny istnieje, aby, gdy wybije godzina wolności i połączenia, a ziemię naszą na troje przez wrogów rozciętą, rozum i serce nowego pokolenia zjednoczą, nie być zmuszony do wystąpienia w gronie tysięcy oskarżycieli; aby nie być zmuszony do zawołania wraz z Warszawą w żałobie i Litwą żywcem rozpiętą na krzyżu: ziemio bez serca! coś zrobiła z dziećmi naszemi? wolę powtórzyć z poetą:

Ale o panie! oni niewinni,
Choć przyszłość naszą cofają wstecz! . . .

* * *

Pisząc tę powieść — nie łudzę się wcale.
Nie śnię uznania — nie marzę nagrody.

Łamiąc od wieków przyjęte powieściowe formy rozwijania dramatu jak z kłębka i postępowania w ślad za wydarzeniami z powolnością dziecka na paskach w piastunki ręku, wywołam burzę niezadowolenia i ostre pociski literackiego rozbioru mej pracy.

Za złe mi także poczytają w ojczyznie, iż ośmieliłem się podzielić mą powieść na ustępy, w których obok czysto powieściowej treści, czytelnik napotka okolicznościowe i w kierunku politycznym uwagi autora.

Wyznam jednak otwarcie, iż zawsze z uśmiechem politowania spoglądałem na ludzi, co pragną koniecznie pewne strony życia nagiąć w żelazne jarzmo form i zastosować do ich rozmiaru nawet serc bicie, poloty ducha i błyski żywej wyobraźni.

Na jedno by wyszło zakreślić obszar burzy.

Powiedzieć piorunom: dalej wam uderzyć nie wolno; rospasanym żywiołom: zatrzymajcie dzieło zniszczenia.

Życie wygnańców, to przedmiot u nas jeszcze wcale, lub nader słabo poruszony.

Życie burzliwe, niepojętych przewrotów.

W niem łzy i śmiech, miłość i nienawiść, pogoda lica i ponure błyski rospieranego okropnemi myślami czoła, wszystko co wielkie cnotą i upadłe bezgraniczną niedolą, łączą się dla wydania olbrzymiej ruiny, na której spopielonym szczycie zawisły owe straszne, nie boże wyrazy: tu koniec wszelkiej nadziei!

Postępowałem w ślad za niezmierną boleścią, nie mając serca ni odwagi ujęcia jej w opaskę przyjętych zwyczajów i wymagań tej lub owej zasady pisania.

Skreśliłem pierwszy perjod uraganu, nie troszcząc się, czy drzewa powalone zostały w majestatycznej pozie zdruzgotanej wielkości, czy pozrywane wichrem zielone listki zasypały równo niezmierną przestrzeń.

Jeśli to zbrodnia . . . czekam spokojnie wyroku.

Złamałem dzisiaj formę tak, jakbym rad jutro połamać pęta naszej niewoli.

Lipsk, 3 października, 1874.

Feliks Kozubowski.

I.

Drezno jest jeszcze może jedynem z miast niemieckich w którem znośnie żyć można. Posiadający jakie takie zasoby, znajdą tu za tanie pieniądze wygody domowe, o jakich tylko we Francji marzyć podobna; mający zdolności i chęć do pracy — odpowiednie utrzymanie, nie pozostawiające nic do życzenia; nawet i żebracy salonowi, a jest ich tu niesłychanie wielu, mogą swój przemysł prowadzić swobodnie — przemysł, który mówiąc nawiasem, kwitnie i rozwija się na wielką skalę.

Językiem francuskim, przy natłoku cudzoziemców przybywających tu z całemi rodzinami dla kształcenia dzieci, można się rozmówić wszędzie prawie; a nawet i polska mowa nie rzadko słyszeć się daje. Żadna jednak z nagromadzonych w Dreznie narodowości, nie zwraca tak uwagi na swój język ojczysty, jak nasza: Francuz, Anglik, Włoch lub Hiszpan, przejdą sto razy koło rozmawiającego rodaka, nie zwróciwszy nań uwagi, dostatecznie zaś jest pół-głośno wymówić słów parę w pięknej Krasińskich i Słowackich mowie, aby zwrócić na siebie oczy wszystkich — Polaków równie jak i innokrajowców tu przemieszkujących. Od lat tylu już bowiem dzieci biednej Polski tułają się po świecie, że świat ten, nie rozumiejąc nawet ich języka, przywykł jednakże uchem rozróżniać go od innych — przywykł, patrząc tylko na typ nasz odrębny zupełnie, wyszczególniać nas w tłumie.

To nie zawsze jest przyjemnie, głównie dla tych, co by radzi stanąć na uboczu i cichą, umysłową zadowalniać się pracą.

Z tem wszystkiem jednak Drezno, szczególniej dla duchowo żyjących, jest prawdziwem Eldórado. Prócz bogatych księgozbiorów, tak rządowych jako też miejskich i prywatnych — jednej z cenniejszych galerji obrazów, szkiców, modeli gipsowych i oryginalnego dłuta marmurów jakie świat posiada, znaleźć tu można trafnie uwydatnione charaktery i żywe typy wszystkich ludów ziemi. Tu każda narodowość podług swoich rodzinnych żyje obyczajów; całe lata zamieszkując opasłych i uparasolowanych Sasów ojczyznę, przywozi ze sobą nie tylko drogie sprzęty ojczyste, ale i wszystkie złe i dobre nawyczki swego kraju.

Stąd, łatwo pojąć, jak obszerne i wielostronne badania pole otwiera się bystrym spostrzegaczom i, gdyby tylko nie policja . . . . .

Ct. . . . . oglądam się na wszystkie strony, aby jaki czarny aniołek ze srebrnemi galonami, nie zasłyszał co mówię półgłosem — nie dojrzał co na papier przelewam!

Oj, ta policja!

Mogłaby tu Moskwa przesłać do szkoły swych wysforowanych na Polskę gwardzistów; Moskwa i inne kraje. Austrja tylko, a w szczególności ubóstwiająca ją wierna córa Galicja, łowniejszą i więcej bezczelną poszczycić się może.

Z tem wszystkiem jednak, różnica nie wielka i nie w kierunku, lecz prosto w dochodach.

Sascy policjanci służą ojczyźnie za pół talara na dzień, a w wolnych chwilach szpiegują ją i skrępowaną wydają w ręce pruskich bohaterów za drugie pół talara. Austrjaccy zaś tak zwami c. k. «szpicle» w mundurach i bez mundurów, z dekoracjami i bez dekoracji, we frakach lub czamarach i niezwyciężonych, kozłowych, dobrze marszczonych butach, pracują — za darmo i tylko dla przypodobania się jakiemuś tam Gaskończykowi wykonywują piruety w tak zwanej «la chasse à l'homme».

Ofiarą legawczej usłużności tych panów, padają zacni i poczciwi ludzie, którzy nie mieli szczęścia przyjść na świat po c. k. stronie kordonu, a smutnym zbiegiem okoliczności, nie urodzili się na rozmokłej w wódce szlacheckiej tarczy, zaś anioł Pański nie miał ich czasu namaścić już w kołysce na posłów, prezesów, delegatów i innych mniej lub więcej lojalno-autonomicznych urzędników.

Gdyby więc nie policja, Drezno, dla tych naturalnie co mają fundusze, byłoby prawdziwym rajem.

Jednego z pięknych, ciepłych prawie poranków grudniowych zeszłego roku, po mozolnej, całonocnej pisaninie, zebrałem się około godziny pierwszej z południa, użyć przechadzki w Królewskim ogrodzie.

Drzewa z liści ogołocone, ścieżki i dróżki zarzucone lekko przymarzniętym śniegiem i połamanemi nie dawną burzą gałąskami, przykre na mnie sprawiały wrażenie. Zamyślony — kreśląc trzciną po drodze dziwaczne znaki — szedłem ku głównemu wodotryskowi — zwykłemu celowi mych codziennych wycieczek — gdy raptem, po drugiej stronie samorodnego i dość gęstego kląbu młodych myrtów bocznej dróżyny, uderzył mnie dźwięk naszej mowy, przeplatanej dobrą i co dziwne dobrze akcentowaną francuszczyzną.

Zwolniłem kroku mimo woli.

Rozmawiającymi byli: mężczyzna i kobieta, sądząc z brzmienia głosów — oboje młodzi; mowa jednak mężczyzny wydawała mi się powolną i jakby nacechowaną, pewnym rodzajem wysiłku i cierpienia.

— Eh bien, mademoiselle, comment dit-on cela en polonais? — pytał mężczyzna.

— Ja cię kocham, ponieważ jesteś piękny i dobry!

— Non, non, ma Blanche adorée! pas comme cela .... kocham cię, boś nieszczęśliwy i sam na świecie.

— Ce n'est pas vrai, monsieur! Tu n'est plus malheureux: ne suis-je pas ici — près de toi? — zawołała kobieta tym pieszczotliwym, tak właściwym francuskom tonem, mięszając jak dziecię «Ty i Pan» na przemiany.

Potem-długa chwila milczenia ......

Na niskiej ławeczce, gruchająca tak czule dwójka gołąbków, siedziała, cała sobą zajęta, nie przypuszczając nawet, że ją ktoś obcy niegrzecznie podglądał i podsłuchiwał.

On mógł mieć około lat trzydziestu; średniego wzrostu, o wyrazistej, rzeczywiście pięknej twarzy z ciemnem, głębokiem spojrzeniem. Niezmiernie jednak zapadłe policzki, na których płowej, chorobliwej cerze, zastraszające, różowe znać było plany; usta kształtne, ale nerwowo ściągnięte i wzrok jakby mgłą przyćmiony, aż nadto o wątłym stanie jego zdrowia świadczyły. Ubrany skromnie, lecz starannie, opiera-

jąc głowę na ramieniu towarzyszki, siedział tak, upornie szarpiąc ładny a ciemny wąs, co mu dziwnie zgrabnie okalał suche, spieczone gorączką usta.

Ona, Blanka (bo już wiemy, że to ładne nosiła imię), zaledwie jak sądzę, dwudziestej dobiegała wiosny.

O ile w twarzy młodego człowieka przebijały się gorycz, znużenie i niezawodne cechy tej strasznej choroby, którą pospolicie suchotami lub osłabieniem płuc z przeziębienia nazywamy, a którą najczęściej sprowadzają zawody życia i nędza, o tyle lice dziewczęcia żywemi, naturalnemi okraszone było barwami. Wdzięk nieopisany i świeżość w miarę, te oznaki dobrego zdrowia walczyły w niem wzajemnie, nadając wyraz nad wszelkie pojęcie miły i ujmujący.

Mimo jednak tej świeżości cery i jasnej ócz pogody, twarz i postać cała Blanki nie były bez pewnego rodzaju przeczuć.

Kobieta (niech mi i inne piękne moje czytelniczki wybaczą to porównanie), otoczoną jest zawsze rodzajem woni, która na mężczyznę (mówię tu o tej części mego rodzaju, jaka więcej się chyli ku poczuciu piękna w naturze niż w sztuce), zwykle stanowczy wpływ wywiera.

Jak kwiaty o różnym są zapachu — tak samo i kobiety.

Zmysłowo odgadując nawet kobietę — wrażenie to natychmiast udziela się duszy.

Po co obcej szukać flory? . . . .

Weźmy naprzykład: Fiołek i gałąskę jaśminu, różę i gwoździk.

Woń nieokreślona, pół roskoszna, w pełni i w purpurze — ostatnie porównanie pozwólcie, że powiem jak ś. p. Witwicki po grecku: un parfum qui emore, un amour qui boise, une sentation apre-douloureuse et pourtant douce à faire rever le ciel entrouvert. . . . .

Blankę do ostatniego działu porównać się ośmielę.

A jednak dziewczyna żyła dopiero myślą i duszą.

Wysoka, zgrabna, o arystokratycznych kształtach ciała, z dziecięco drobną nóżką i rączką, przypominała mi owe żywe, wybitne — a jednak pewnem znamieniem rasy nacechowane obrazy Guid'a i Pawła Veronese. Czarne, połyskliwe jak skrzydło kruka włosy, podług ostatniej mody podcięte krótko na czole, w dwóch gęstych, długich splotach, spa-

dały jej na ramiona. Ciemna odzież uwydatniała zachwycającą giętkość kibici i pełne acz roskoszą nierozwinięte jeszcze łono.

Jeden urok więcej. . . . . .

W chwili gdym na nią patrzył, w jasno-błękitnych oczach dziewczyny świeciły dwie łzy.

Potężna broń kobiet.

Łzy — prośba by je pocałunkiem starto.

Towarzysz jednak Blanki był wcale niedomyślny, a wyręczyć go nie było podobna!

— Edwardzie, mój biedny Edwardzie! mówiła dalej po francusku dziewica, porzuć Drezno; tu jeszcze za blisko jesteś tej ziemi, co się omało twym grobem nie stała. Edwardzie! przyrzecz mi że pojedziemy do Szwajcarji!

— Dobrze moje dziecię — rzekł towarzysz dziewczyny zwolna i łagodnie — ale . . . . . jak będę się czuł lepiej . . . . . jak rozpoczętą pracę wykończę. —

I odwracając się twarzą ku mojej stronie, wziął w swe ręce drobne dłonie proszącej i dodał ciszej, z pewnym smutkiem w głosie:

— Ange tentateur! tu veux donc absolument me faire oublier la Pologne? . . . . et c'est pourtant ma patrie. —

Wymówione przed chwilą imię Edward i dojrzana teraz twarz nieznajomego były mi wskazówką.

Jednym skokiem przez poręcz ogrodzenia stanąłem przed zdziwioną parą.

— Edwardzie — rzekłem, wyciągając rękę — czy nie poznajesz dawnego towarzysza broni? —

Pomijam niestosowoność mego postąpienia.

Cierpiący drgnął nerwowo na całem ciele, odwrócił się i dopiero po chwili wpatrywania się w twarz moją:

— Ty, tutaj Feliksie? — zawołał z uśmiechem, serdecznie ściskając dłoń moją. — Jakimże cudem . . . . . a co się stało z wiarą po rozbiciu pod Mans? — Ale jakiż ja nieoględny jestem! daruj mi Blanko — rzekł zwracając się do zmięszanej mem niespodziewanem zjawieniem dziewczyny. — Feliks Kozubowski, jeden z mych dobrych przyjaciół i towarzyszy broni. Winien mu jestem dwa razy życie.

A to — rzekł zwracając się do mnie — także moja wybawicielka: p. Blanka de Langis. —

Potem cofnął się trochę, i obrzucając nas swem przejmująco smutnem spojrzeniem:

— Między dwoma wybawicielami! — rzekł tonem, w którym nie trudno było dopatrzeć lekkiego cienia ironji. — Widać że los zawsze mnie stawia w położeniu szukania podpór na tym świecie.

— Podobnej każdy ci pozazdrości — odparłem z ukłonem, patrząc za śmiało może na zachwycające lice jego mieniącej się towarzyszki.

— Dobrze to wszystko — zawołał z uśmiechem Edward — ale . . . . przecież stojąc tak na zimnie rozmawiać nie możemy. A ja miałbym tyle do pomówienia z tobą — —.

I spojrzał na Blankę, jakby zasięgając jej zdania.

— Wiesz co? poświęć mi wieczór i część dzisiejszej nocy. Czekamy z obiadem o siódniej; no, zgoda? —

Skinąłem głową na znak potwierdzenia i przyjęcia zaprosin.

— Oto, mój adres. —

I podał mi kartkę Bristolu.

Potem — serdeczne uściśnienie ręki.

Ja poszedłem dalej w ogród; on zaś, wsparty na ramieniu swej towarzyszki, skierował się ku wychodowej bramie.

Spojrzałem na kartę i uderzyła mnie jej oryginalność. W lewym rogu kartki był herb Edwarda, lecz z połamaną tarczą, skrzywionym kaskiem, o zerwanej przyłbicy i z poszarpanym pióropurzem — całość dopełniona czystem polem, w którem był drobnemi literami ten dziwny napis: gardzę tobą!

Na środku karty: Edward Parski, Schriftsteller, Pragerstrasse, 16, I, links.

Podczas krótkiego widzenia swego z przyjacielem, trudno mi było orzec stanowczo na jakiej był drodze: szczęścia czy niedoli?

Zmysłowo jednak biorąc rzeczy — nie źle mu się powodzić musiało. Świadczył o tem strój dość staranny; towarzyszka młoda, pełna wdzięków i arystokratyczna ulica, przy której zamieszkiwał. Na Pragerstrasse bowiem, najszczuplejszy

kącik umeblowany kosztował do 25 talarów miesięcznie. Ale twarz Edwarda blada i wynędzniała, głos i chód cichy, powolne, zamglone oczy i dłoń nerwowo drżąca — nic dobrego nie wróżyły. Prócz tego, wpatrując się chwil kilka w wysokie, myślące czoło młodego człowieka, które widziałem zawsze do góry podniesione — dziś zaś schylone i noszące ślady moralnych zawodów, nie trudno mi było odgadnąć przyczynę pobytu w Dreznie, a może i główny powód choroby.

Niczego się jednak domyślać nie chciałem.

Zobaczę Edwarda za godzin kilka — gdy zechce, to mi sam wszystko opowie.

W stosunkach z przyjaciołmi nigdy nie byłem zbyt nalegający o podobne wyznania.

II.

Wieczorem, o wskazanej godzinie, zatrzymałem się przed pięknej powierzchowności kamienicą i mimo woli podniosłem głowę do góry.

Cztery oświecone okna pierwszego piętra tworzyły prawdziwą oranżerję; po za źwierciadlanemi ich szybami dostrzedz można było kląby zieloności tu i owdzie przeplecione kielichami rozwiniętych już kwiatów.

Na zapytanie odźwiernego: do kogo idę, i rzucone w odpowiedzi nazwisko Edwarda — wskazano mi pierwsze piętro.

Za chwilę potem, przebiegłszy eleganckie, marmurowe i dywanami wyłożone schody, zatrzymałem się przed wysłanemi na zewnątrz drzwiami, na których błyszczała bronzowa tabliczka z nazwą mojego przyjaciela.

Znać oczekiwano już gościa, gdyż zgrabna pokojóweczka, francuska, sądząc z wymowy — wprowadziła mnie do skromnie lecz z wielkiem smakiem umeblowanego saloniku, w którym boczne podwoje, grubemi, adamaszkowemi przysłonięte były zasłonami. Dwie duże lampy z chińskiemi szkłami, o naśladujących wykopaliska Pompei bronzowych à l'antique podstawach, stojąc na wierzchniej płycie kominka, rzucały swe blado-różowe — niepewne światło, na otaczające przedmioty. Wielki, maurytański, w ciemne wzory kobierzec,

zaścielał całą podłogę; meble orzechowe, ciemno-błękitnym aksamitem pokryte i szeroką srebrną taśmą lamowane, składały się z samych leżawek, karłów i pufów.

Jednym rzutem oka objąłem wszystko, chcąc z mebli tych, sztychów rozwieszonych na ścianach i innych drobiazgów ubierających pomieszkanie, wywnioskować coś przecie o tych co je zamieszkiwali.

Poznałem Edwarda o paręset mil od Europy, przy ognisku afrykańskiego obozowiska — daleko w stepie po za granicami francuskiego Telu. Tam ludzie jednego pochodzenia i mowy, osamotnieli śród pustyni, łatwo silnymi nawet spajają się węzłami. Poznałem go w chwili, gdy przy szturmie jednego z aułów zbuntowanego plemienia Ben-N'ami, wytrącał pałaszem Spahisowi janczarkę niosącą śmierć ośmioletmienu dziecku. Ach! nigdy nie zapomnę słów jego wyrzeczonych do podwładnego mu kawalerzysty: tu es donc bien lâche, puisque tu n'hesite pas de tirer sur un enfant de cet âge: i . . . . . «podły» dorzucił po polsku.

Tak więc, znajomość nasza, zawiązana w ogniu prawie, zaczęła się serdecznym uściskiem dłoni.

Potem — śród życia obozowego, gdy wypadek łączył nas na parę tygodni — widziałem go smutnym zawsze. Pisał wiersze — czasem listy, na które żadnej zwykle nie odbierał odpowiedzi; gdy zaś chciałem się wdać z nim w rozmowę, to tylko Polska była jej przedmiotem.

Na ten nam wszystkim ulubiony temat, godziny i dnie całe można było go słuchać mówiącego.

Na głębsze badanie charakteru przyjaciela, czasu mi nie starczyło.

Teraz więc, gdy zbieg okolicznosci znów nas zjednoczył, chciałem koniecznie pewniejsze, stalsze powziąść o nim mniemanie.

Któryś z francuskich pisarzy, sądzę śp. Mérimé, twierdził niedawno, że poznaje ludzi po sposobie brania i rozwijania serwety przy stole; inny znów utrzymywał, że dla człowieka wykształconego, dość jest przebyć kwandrans w czyimś salonie, aby właściciela poznać należycie.

Ja, dwadzieścia minut czekałem na zjawienie się Edwarda lub jego pięknej wybawicielki. Z niemego więc oto-

czenia w jakiem się znajdowałem, następujące wyprowadziłem wnioski:

Że Edward musi być człowiekiem wszechstronnie wykształconym, lub wszechstronnie wykształconego udaje; rozrzucone bowiem gazety i przeglądy, najświeższe książki i broszury w czterech językach, z porozcinanemi kartkami, sprawozdania z postępu nauk przyrodniczych, studja na polu przemysłu, handlu, sztuk, rzemiosł i t. p. świadczyły wymownie, iż właściciel domu je czytuje, lub że mu chodzi aby go o czytanie ich posądzano.

Że miał ciągle nieszczęsną słabość pisania i to jeczcze dobrych, a często nawet prześlicznych, pełnych uczucia, ognia i głębokiej myśli wierszy. Mimo woli bowiem rzuciwszy okiem na leżącą na kozetce przed ogniem otwartą tekę, nie sądziłem że popełnię wielką zbrodnię, odczytując jeden kawałek, którego tytuł mnie uderzył.

Tu dodać muszę, że choć w miarę tylko uczuciowy, zdaniem nawet wielu pięknych dam naszych i nie naszych, zbyt obojętny na zewnętrzne i prawdopodobne wewnętrzne zalety płci wątłej, zostałem jednak do głębi poruszony oryginalnym rytmen, treścią i prześliczną formą przeczytanej ukradkiem poezji.

Że nareszcie, towarzyszka Edwarda musiała być kobietą serca równie dobrą jak piękną, a co głównie, wcale nie emancypowaną, t. j. nie utresowaną jeszcze podług angielsko-amerykańskiej szkoły, i że szalenie kochała mego przyjaciela. No, a jeśli nie szalenie, to przynajmniej tyle, aby mu ta miłość do szczęścia wystarczyła.

Ten ostatni szereg spostrzeżeń opierałem na znalezieniu na miękkim kobiercu koszyczka z robotą kobiecą i wpięte w brzeg tegoż kobierca szpilki — wszystko obok niskiego taboretu, który był ustawiony widocznie w ten sposób, że gdy Edward pracował w ulubionej leżącej pozycji, ona siedziała z robótką u nóg jego.

Przypuszczenie to oburzać pań nie powinno — bowiem jeśli każdy z nas sobie wyobraża jak słodko było Herkulesowi prząść u nóg Omfalji — przyznacie same, że odwrotny stosunek także nader miłym być może.

Z resztą, mnóstwo i rzadkich do tego kwiatów w oknach i na etażerkach (przyjaciel mój lubił je szalenie), już do-

wodnie mnie przekonywały, że Edward znalazł kobietę, która go kochała rzeczywiście lub . . . . . . zręcznie tę miłość udawała.

Ale . . . . . wierzmy lepiej, że komedji nie było.

Wszak w zwykłem pożyciu, jak i w małżeństwach wiara, ślepa tylko wiara spokój zapewnić może.

Raptem, lekki szelest za zasłoną drzwi na lewo, przerwał mój przegląd i w rozsuniętych draperjach adamaszku ukazała się Blanka w czarnym stroju, z błękitnym kwiatkiem w hebanowych pierścieniach włosów.

Śliczną była — śliczną do zachwycenia.

No pomyślałem, że ta kobieta świętego by nawróciła jednem spojrzeniem.

Nie była samą.

Za uroczą postacią dziewczęcia wszedł jakiś jegomość, siwy na skroniach, łysy nad czołem, w złotych okularach, w dość zaniedbanym miejskim stroju i z bardzo poważną miną.

Powstałem w milczeniu.

— O! chciej Pan wybaczyć! — rzekła do mnie Blanka z ślicznym paryskim akcentem — że tak długo pozostawiliśmy go w samotności, lecz wizyta Doktora przeciągnęła się nadspodziewanie.

Potem, z żywością francuskom właściwą, zwróciła się do adepta Eskulapa:

— Doktorze, kochany Doktorze! dziś obiecałeś mi powiedzieć prawdę, jaką by ona była . . . . . więc słucham; tylko prędko, żeby się Edward czego nie domyślił —.

I chwytając w swe drobne rączęta szorstką, szeroką dłoń Doktora — zawisła mu wzrokiem na ustach.

Opasły niemiec spojrzał z niewzruszoną flegmą na zegarek, potem na sufit, potem jeszcze na mnie, wytarł nos przyzwoicie i odchrząknąwszy dwa razy, przecedził nareszcie przez zęby:

— Ręczę słowem uczciwego człowieka, że żyć będzie i że do dzisiaj (położył dziwny nacisk na ten wyraz), żadne mu jeszcze nie grozi niebespieczeństwo, ale . . . .

— Ale? — podchwyciła blednąc Blanka.

— Potrzeba mu, za miesiąc najdalej, przechadzać się

w cieniu pomarańczowych gajów zatoki Neapolitańskiej, lub w jakiem ustroniu zachodniej Sycylji. Lewe płuco jest mocno nadwerężone. W okolicach Neapolu możecie Państwo zamieszkać np. Castellamare, Capri, Ischia lub Sorrento; stoki jednak Campo Santo byłyby najlepsze. —

Dziewczę uśmiechnęło się łzawo i smutnie.

— Tak — tak, w pobliżu Campo Santo*) . . . . .

— Doktorze! . . . . jam silna . . . mam wiele odwagi i rezygnacji wiele — dodała tłumiąc łkanie. — Powiedz, miałożby dziwne włochów przysłowie: Vedi napoli puri mori — dla Edwarda być niecofniouym wyrokiem? —

Stary lekarz był widocznie wzruszony.

— Nie pani! przysięgam ci, że jako człowiek fachowy w tej sprawie, nie traciłem wcale odwagi.

— A więc za miesiąc do Włoch pojedziemy — rzekła cicho Blanka.

— Dobrze . . . ale . . . — tu znów poczciwina powtórzył swój obrzydliwy manewr z zegarkiem, sufitem, moją osobą, nosem i krząkaniem — masz Pani pod ręką fundusze na podróż i czteromiesięczny pobyt we Włoszech? . . . Będzie to kosztowało ze trzy tysiące franków. —

Nim zapytane tak niespodzianie dziewczę zdołało odpowiedzieć, Doktor spojrzał mu w twarz badawczo i już był za drzwiami, mrucząc coś pod nosem w swej drezdeńskiej niemczyźnie.

Po jego wyjściu Blanka przystąpiła do mnie i podając mi rękę, rzekła z nieopisanym uśmiechem:

— Edward mówił mi że pan jesteś jego przyjacielem, i że ma powody mniemać iż mu dobrze życzysz. Czy chcesz pan abym i ja to samo o panu powiedzieć mogła? —

Pocałowałem drobną rączkę w odpowiedzi.

— Ach panie! gdybyś wiedział — ciągnęło dalej dziewczę, — jaki mi straszny ciężar spadł z piersi orzeczeniem doktora! . . . Edward żyć będzie — to znaczy: że i ja żyć, będę, bo . . . . mówię to zimno i z namysłem, ja bym go przeżyć nie była w stanie.

---

*) Smętarz, na którym pod cieniem myrtów i cyprysów, róż wonnem posłaniu, wielu — wielu naszych zdala ojczyzny w zapomnieniu spoczywa.

— A teraz — dodała rozpogadzając oblicze — przejdźmy tam, bo się będzie niecierpliwił. —

Szczęście moje, że właśnie wtedy byłem aż w dwóch czarnobrewych zakochany i że, podług ścisłego i sumiennego obliczenia, stan ten mógł trwać ze dwa miesiące (Blanka za miesiąc wyjeżdżała) — inaczej bowiem był bym się był, miasto doglądania przyjaciela, najgrubiej zaślepił wdziękami jego towarzyszki.

Je me vois d'ici . . . . zakochanym i jeszcze . . . . bez nadziei! —

III.

W pokoju przeznaczonym na pracownię Edwarda, nakryto do stołu.

Wchodząc — zastaliśmy chorego z książką w ręku.

Przy powitaniu, spojrzałem na leżące mu otwarte na kolanach dzieło: była to jedna z prac Dr. Darwina p. t. Die Stellung des Menschen in der Natur.

— Czy wnosić mam z tej książki — rzekłem z uśmiechem, — że jesteś zwolennikiem nowej teorji, Edwardzie?

— Nie ze wszystkiem! — odparł zapytany — wolę jednak pochodzić od małpy i być człowiekiem, niż stawiać się jako najwyższe dzieło stwórcy, na jego obraz i podobieństwo, a upaść niżej najpośledniejszego bydlęcia. Co mnie obchodzi, kto był przed czterma tysiąciami lat protoplastą rodu ludzkiego, gdy godnie spełniam przekazane mi naturą, dobrem własnem i dobrem drugich obowiąski? Niech sobie zera tego świata głowy urywają i szafują językiem, mnie na tem lub owem pochodzeniu wcale nie zależy.

Nie mówię tego jednak — dorzucił z pośpiechem — aby zawiązać polemikę na tem dziś jeszcze śliskiem polu; obecnie bowiem unikam wszelkich rozpraw, któreby mnie żywiej poruszyć mogły. Doktór i Blanka wyraźnie mi to zakazują. —

— W tym razie słuszność ci przyznaję, tem bardziej . . . .

— Tem bardziej? — podchwycił chory.

— Iż teraz jeszcze nic stanowczego orzec co do twierdzeń Dr. Darwina nie można. —

Ostatnie zdanie wypowiedziałem umyślnie, by z lekka wybadać trochę Edwarda.

— Prawda, nic stanowczego! — powtórzył Edward spokojnie. — Przypomnij sobie jednak że i Cuvier miał przeciwników i że świat cały występował niegdyś przeciw niemu, a jednak . . . . czas złagodził potem fanatyzm i uprzedzenie. Salomon de Caus umarł w domu obłąkanych; dzieła Kopernika na spalenie zostały skazane. — Huss spalony — Luter nie spalony bo się spalić nie dał, ale chociaż wyklęty; w dzisiejszem już nareszcie stuleciu Fulton i Mersen byli publicznie przez korsykańskiego tygrysa i jego dwór pokojówek i lokai wyśmiewani (rzucam tylko do żywego przykładów kilku, pomijając tysiące) — a kto by w zeszłym wieku ośmielił się był targnąć na władzę papieża, żywcem na stosie by go spalono. Dziś — odkrycie de Causa stało się dźwignią społeczeństwa; w przybliżeniu prawdziwy system Kopernika pchnął uczonych na właściwą drogę; Fultona spożytkowali Amerykanie, a despotyzm kryjący się pod płaszczykiem religji i oligarchiczna reprezentacja katolickiego wyznania, runęły w przepaść, z której ich nic już dźwignąć nie zdoła. Darwin dziś wyśmiany — jutro zostanie przyjęty, ale z trochą jeszcze niedowierzania — po jutrze zyska miljony zwolenników, a kto wie, dożyjemy może oba, że nowa teorja tworzenia i rozwoju w przyrodzie wywróci świat stary i jego zgniłe pojęcia.

Głupia duma ludzkości w pieluchach oburza się teraz na śmiałą hypotezę i twierdzenie, że niczem jak tylko zwierzętami inteligentniejszemi od innych jesteśmy; bo ludzkość ta, nie czując się jeszcze zdolną ostać o własniej sile, musi szukać podpory, choćby nawet w mistycznych rojeniach półgłówków lub zręcznych głupoty mas wyzyskiwaczy. To mi przypomina owego galicyjskiego utracjusza który, zeszedłszy głupio złem życiem na żebrę, zasłaniał się jeszcze herbem przodków i w domu przytułku kazał sobie adresować listy: J. W. pan Hrabia i t. d.

A propos Galicji!

Wyobraź sobie kochany Feliksie — nie ma pocieszniejszego pod słońcem kraju nad tę błogosławioną od Boga, Goljana, Mamy Talbot i różnych mniej lub więcej pobożnych księżniczek ziemię. Tam to, jak żaby z deszczem, spadają praw i filozofji doktorzy na niwę, a choroba zwana doktoromanji tak się zagniezdziła, iż byle dzieciuch który parę prze-

czytał szpargałów i zrobił pod skrzydełkiem mamy klasyczną podróż ze Lwowa do Mościsk i z powrotem, już ubiega się o ten tytulik i pisze rozprawy akademickie — choćby o środkach przeciw zarazie kartofli, naukowe dzieła — choćby w rodzaju «Naszych uczonych» lub broszury à la «wychowanie i oświata.»

Otóż, nigdy się podobnie nie ubawiłem jak we Lwowie, polemizując z tamtejszemi znakomitościami o dziełach Darwina. Każdy z tych panów — doktor, co najmniej dubeltowy, już z powodu swego tytułu uważa się za kolegę uczonego anglika i, avec un aplomb épatant, jak powiadają francuzi, nicuje nowe jego teorje. Są nawet tacy którzy się uważają za tak bardzo uczonych, iż nie raczą nawet i krytykować słynnego przyrodnika, lecz z wysokości swego tronu pogardliwie ruszają ramionami.

— Złośliwy jesteś Edwardzie! — rzekłem uśmiechając się do przyjaciela.

— Bynajmniej! ale wierz mi Feliksie, w ziemi tej spostrzegałem po hotelach kelnerów nawet, którym «Herr Doktor» mówić trzeba było; inaczej biwsztyk był zimny, kwaśne wino, a ser pewno robaczywy.

Wracając zaś do Darwina to sądzę, że prócz pewnych niedokładności i za śmiałych hypotez może (rzeczy nieuniknione w każdej nowej nauce i jeszcze tak olbrzymiej doniosłości); teorja jego nie jest tak bardzo lichą jak się to wielom wydaje.

— Ty jednak Edwardzie jesteś przecie poetą, a poezja i pozytywizm to dwaj śmiertelni wrogowie.

— Przepraszam, ale zupełnie błądzisz tym razem. Przyzwyczajono się w świecie nazywać poetami marzycieli rzeczy niepodobnych, błędnych rycerzy cnót nie istniejących, Palladynów nieprawdopodobieństwa, szermujących zaciekle niezrozumiałemi słowy. Podobna poezja sprzeciwia się pozytywnej zasadzie — ja zaś, staram się pogodzić obie przeciwniczki: Je fais part à la fantaisie aussi bien, qu'à l'esprit positif.

— Panowie — przerwała Blanka — uroczyście zakazuję wam prawadzić uczone rozprawy . . . . . jemu to szkodzi!

— Przeciwnie! — odparłem z uśmiechem — sądzę iż to stanu Edwarda pogorszyć nie może; ma bowiem we mnie słu-

chacza tylko, a nie przeciwnika. Niech nam więc pani jeszcze parę chwil swobody udzieli.

Słucham cię Edwardzie.

— Jak więc mówiłem — ciągnął dalej — człowiek zawsze pozostanie istotą złożoną z dwóch wybitnie odrębnych kierunków. Jeden zwracający się ku zmysłowości, drugi ku fantazji wyradzającej się z gry naczyń mózgowych w których siedlisko ducha. Prócz tego, i sama zmysłowość tylko może wyrodzić marzycielstwo, ale . . . w tej chwili o tem nie ma mowy. Spółeczeństwu dziś chodzić tylko winno o pogodzenie tych dwóch kierunków t. j.: aby żaden z nich nie rozwijał się z krzywdą drugiego. Ja sam doszedłem już do zapanowania o tyle nad sobą, iż w każdej porze, i pod wpływem jakiego bądź usposobienia umysłu marzyć, przelewać na papier marzenia moje, lub przerywając rojeń szeregi, zwrócić się bez wysiłku na zwykłą drogę potocznego życia potrafię. Przyrodzony dar szybkiego wynajdywania wyrazów o jednako-brzmiących końcówkach, głęboka znajomość ojczystego języka w połączeniu z wiedzą, jakie to wyrażenia działają najsilniej na system nerwowy czytelników — oto i cała tajemnica poezji. U wielu jest ona wprawdzie stanem nadzwyczajnym — chorobliwym; wtedy ludzie ci popełniają mnóstwo szamotań ducha i przy pięknym układzie wiersza i doborowym stylu, bredzą koniecznie. U mnie poezja jest prostem zestawieniem pewnych, ludzkość obchodzących wydarzeń lub zasad i zręcznem zastosowaniem, a to w najuraźliwszej formie, do bieżących potrzeb i wyobrażeń.

Nie będąc genjuszem, ani nawet wybitniejszą od drugich osobistością, nie pojmuję, dla czegoby inni podobnie jak ja myśleć nie mieli? Różnica zresztą polega na tem tylko, że ja mam wadę wyjawiania mych poglądów i przekonań każdemu kto o nie zapyta, inni zaś — starannie je w swej wnętrzy ukrywają.

Koniec końcem — dodał z lekceważeniem — na co rozbierać przyczyny i źródła środków gdy cel osiągnięty? Naturalnie, cel poczciwy! Wolno przecież krawcowi i pajęczyną szyć suknie byle tylko się nie pruły! Czy owa potęga jaką niektórzy posiadają w piórze, bądź to w poezji, bądź w prozie, pochodzi z tak zwanego wyższego natchnienia czy nie, na tem nikomu nie zależy. Świat, dziś nawet, wierzy

w pewne przepowiednie i ma swych proroków ulubionych, ale chce by objawy **jasnowidzenia** na racjonalnych podstawach spoczywały t. j. tworzyły logiczne wnioski na faktach stałych oparte i z tychże faktów wyprowadzone. Ten świat, śmieje się dziś z wieszczów natchnionych bezpośrednio z Boga.

Niedola życia i moralne cierpienia, mogą być nauką na przyszłość i w żelaznych charakterach wyrodzić przepowiednie o jutrze; natchnienia i objawy ducha bezpośrednio wyższe t. j. absolutnie z woli Boga powstałe — objawy, w których ciało jest tylko prostem narzędziem w ręku Stwórcy — narażają się na śmieszności lub wzgardę, bo je wyradzają zwykle: gruba ciemnota, fanatyzm, lub nikczemma chęć wyzyskiwania łatwowierności tłumów.

Nie tylko nie zaprzeczam, że związek duchów istnieje i dotykalnie przedstawić nam się może ale, mówiąc szczerze, znajduję to naturalnem zupełnie. Również nie przeczę, że jak ciała ludzi są rozmaitej wielkości siły i natury i duchy ożywiające je, rozgatunkowywać w podobny sposób należy. Nadprzyrodzonej jednak wiedzy przypuścić im nie podobna, co najwyżej dar przewidywania wynikły z lotnej, subtelnej ich natury.

Mam głębobie przekonanie że duchy we wszystkich tworach przebywające są samoistne i nieśmiertelne. Teorja moja jest logiczną, pochlebiam sobie, i na czysto racjonalnych, pozytywnych oparta zasadach. Nie zaprzeczam bowiem ducha, tylko odrzucam go w znoszeniu i doniosłości jakie mu kościół nadaje. Wyrobiłem ją dla siebie t. j. na moją własną potrzebę. Gdy nadszedł dzień w którym musiałem wyrzucić z piersi dziecinną wiarę, uczułem próżnię i tęsknotę. Pierwszą powoli wypełniła wiedza — drugą czas ukoił zupełnie. Kiedyś, gdy będę zdrów zupełnie, opowiem ci tę walkę życia w życiu — czasem straszna, smutna zawsze, lecz nader ciekawa. —

W głębokiem milczeniu przebyliśmy chwil parę.

Patrzyłem na Edwarda, podziwiając spokój z jakim mówił. Z chłodno-metalicznego dźwięku głosu, wyrazu twarzy i promieniowania oczów, widać było iż co mówił, mówił z przekonania.

A jakże rzadko napotykamy dziś u nas podobnych ludzi?

— Jednak, mówię to bez pochlebstwa Edwardzie, czy-

tałem nieraz twoje prace i znalazłem w nich ustępy mistrzowskie prawdziwie, znamionujące w autorze człowieka nader uczuciowego!

— Najpierw musiałbym ci zadać pytanie: co rozumiesz pod wyrazem uczucie? Że jednak to by, nas, jak na dziś, za daleko zaprowadziło, a obiad już zapewne gotowy, powiem tylko, iż szczęśliwy jestem że mi przyznajesz taką moc pióra. Piszę, jak tam nazywacie, uczuciowe poezje, resztkami wspomnień dziecinnych i wyrzuconej z łona mistycznej uciemiężonych wiary . . . . ale w życiu patrzę oczami człowieka, który dotknąć się potrzebuje wszystkiego aby wierzyć. —

Waza na stół wniesiona przerwała rozmowę.

Jedna lampa o mocnem choć matowem świetle, zawieszona u sufitu, oświecała jadalnię.

Siedząc naprzeciw Blanki, a po prawej stronie Edwarda, miałem przy obiedzie sposobność porównania tych dwóch odrębnych typów.

Z kilkunasto-minutowej z przyjacielem rozmowy, przekonałem się że należał po części do nowej szkoły. Przechodząc przez pokoik Blanki, zauważyłem trzy rzeczy wprost przeciwne pojęciom i sposobowi życia Edwarda:

Modlnik i na nim z pół tuzina książek do nabożeństwa. W głębi cudnej niewieściej alkowy, na błękitnem tle wewnętrznych draperji, obraz Marji paryskiej, a na przeciwległej ścianie, pięknego dłuta krzyż z Chrystusem i przed nim (był to dzień piątkowy) płonącą lampę.

Nadto — Blance pokojowa podawała osobno postne potrawy.

Ostatni ten fakt zakrawał co najmniej na kolosalną śmieszność, którą francuzi tak trafnie nazywają: ridicule.

Jakimże więc zbiegiem okoliczności te dwie osoby, o zupełnie odmiennych pojęciach i zasadach, a naturalnie i różnym kierunku, mogły się zejść razem, co dziwniejsza, prowadzić wspólne, niezachmurzone sprzeczką życie?

Dla czego Blanka nie była żoną Edwarda i przy swej ujmującej powierzchowności i wykształceniu cechującem iż z zamożnej pochodziła rodziny, zgodziła się być kochanką cudzoziemca — co więcej, wychodźcy, człowieka bez jutra.

Bo Edward był literatem i na nieszczęście, polskim literatem, a do tego człowiekiem talentu.

Łącząc te dwie okropne wady z piętnem tułacza, które mu los wypisał na pięknem, myślącem czole, przeznaczony był zginąć głodową śmiercią, samobójstwem z rozpaczy lub zakończyć dni — w szpitalu.

Że Blanka kochała polskiego wygnańca, o tem wątpić nie było można.

Uczucie to jaśniało w całem postępowaniu biednej dziewczyny, malowało się w błękitnych oczach, gdy na twarzy Edwarda spoczywały; oraz w każdem niemal słowie wyrzeczonem do cierpiącego kochanka.

Tak, o ile mogłem mniemać, Blanka kochała mego przyjaciela namiętnie, bez granic, może pierwszą i ostatnią miłością.

Właściwiej mówiąc — pół-miłością dopiero.

Miłością nadziei.

To śmieszne — prawda?.. byłbym jednak życiem ręczył że tak było.

Patrząc na Edwarda, czasami dziwny błysk ulatywał z jej przymkniętych powiek, a twarz szyję i łono okrywała lekka purpura.

W błysku tym było zapytanie — w purpurze wybuch pragnienia.

Oboje mógł Edward zadowolnić tylko.

Ale czy kochał? . . .

Podczas obiadu podchwyciłem mimo woli spojrzenie młodego człowieka, gdy się zatrzymało dłużej na Blance.

Wyczytałem zeń trochę wdzięczności i wiele przyzwyczajenia ale . . . . oto i wszystko.

Rad zbadać tajemnicę życia tych dość żywo obchodzących mnie istot — czekałem jednak aż Edward sam, dobrowolnie odchyli zasłonę.

Po obiedzie odbytym przyjemnie śród miłej, potocznej rozmowy — podano czarną kawę i Blanka powstała żegnając nas.

Na białej rączce dziewczęcia złożyliśmy urzędowy pocałunek.

— A pamiętaj pan — rzekła zwracając się do mnie — że Edwardwowi tylko do 2ej rano czuwać wolno. Zosia wam przypomnie godzinę. —

I zniknęła za portjerą.

IV.

Po wyjściu Blanki Edward zapalił cygaro i przysunąwszy fotel do ognia usadowił się wygodnie, opierając nogi na dosuniętym mu przez pokojówkę taburecie.

— Urządź się w podobny sposób Feliksie — rzekł podając mi pudełko doskonałych Manilla.

Dla nas, przyzwyczajonych do wschodniego życia, czarna kawa na stole była pewnym rodzajem uroczystości, której rozmową, choćby najpoważniejszą, zakłócać się nie godziło.

Kilkanaście więc minut trwało milczenie.

Edward przerwał pierwszy roskoszną ciszę.

— Powiedz mi otwarcie — zawołał biorąc raptownie moją rękę — czy uważacz mnie za szczęśliwego? . . .

— Dziwne pytanie!

— Niech i odpowiedź będzie dziwna, jeśli ci o to chodzi, ale . . . . odpowiedz mi otwarcie.

— Jeżeli mam wręcz wyjawić co sądzę o tobie, to posłuchaj :

Odtrąciwszy wszystko co w twem położeniu zdaje się być fałszywem — mówiąc o Blance — myślę, że żalić się na los nie masz przyczyny . . . . .

Nie znając twych stosunków osobistych, nie wiedząc nic z twej przeszłości prócz że masz odwagę, wiele serca (mimo twych pozytywnych przekonań) i że kochasz naszą biedną Polskę, nie mogę powiedzieć nic więcej w tym względzie. —

Lekko ironiczny uśmiech Edwarda był mi odpowiedzią.

— Tak, tak! — rzekł nareszcie po chwili namysłu — mam mieszkanie dostatnie, wykwintne nawet; dobre zawsze śniadanie, obiad codzień wyśmienity, wyborne cygara, kilka talarów w kieszeni i przyzwoite ubranie — zgoła, wszelkie wygody życia. Prócz tego — prześliczne, młode i z dobrej rodziny dziewczę za nieodstępną towarzyszkę. Świat mi ją przysądził jako kochankę i . . . . . zazdrości mi czarnookiej wybawicielki: każdy więc woła na całe gardło: ach, jak ten Edward szczęśliwy . . .!

Szczęśliwy!! — i zaśmiał się dziwnym jakimś piersiowym śmiechem; potem, sięgnąwszy ręką na stoliczek nocny, dobył z szufladki płaskie, małe pudełko obite skórą.

Otworzył je na kolanach, wyjął zeń prześliczny amerykański rewolwer o dziesięciu strzałach, prawdziwe pieścidelko pod względem drobności kalibru i starannego wykończenia i rzekł, patrząc mi w oczy z przerażającym spokojem.

— Na chorobę trawiącą ciało moje mam doktora, któremu zdaje się koniecznie, że je uleczy. Na cierpienia duszy tę broń! —

Zamknął metalową śmierć napowrót w pudełku i rzucając je zdala od siebie:

— Wierz mi — zakończył — są chwile w życiu człowieka, w których śmierć dobrodziejstwem się staje, a samobójstwo aktem prawdziwej odwagi. —

Na twarzy mówiącego znów występować zaczęły ciemne, gorączkowe plamy.

Wziąłem go za rękę, prosząc by się uspokoił.

— Ja jestem zupełnie spokojny Feliksie tylko .... miesiące, które tu spędzam w Dreznie, czuję, iż może stanowczy wpływ wywrą na resztki mego życia!

W poprzedniej, w obec Blanki, rozmowie naszej przedstawiłem ci się jako człowiek przeczący po części wszystkiemu co ludzie pięknem i wzniosłem zowią — i kto wie, może słysząc mnie w ten sposób mówiącego, pomyślałeś sobie: Edward dziwnie wypaczone ma pojęcia — i w życiu kieruje się wprost sprzecznemi zasadami; zgubiony .... ale walczy i cierpi. . .

Otóż nie myślę wcale przedstawiać się ni gorszym ni lepszym niśli jestem istotnie; cierpię i walczę .... to prawda! Walka to i cierpienie do takiego dziś nawet dochodzą stopnia, iż rozwiązanie złe lub pomyślne, w błędnym lub prawdziwym kierunku, nastąpić musi koniecznie... Lecz zgubionym nie jestem jeszcze Feliksie.

Przypominasz sobie, że mówiłem poprzednio o duszy, rzucając myśl, iż kto wie czy w istocie nie istnieje świat drugi, wyższy o całą przestrzeń jaka nas od niego oddziela.

Jeżeli wolisz — o całą przepaść, jaką źle pojęta religja coraz głębiej między nami a nim wykopuje.

Myśl ta od pewnego czasu prześladuje mnie upornie i nader dziwnym zbiegiem okoliczności niedawno jeszcze nabyłem przekonania prawie, że błąkam się blisko, bardzo blisko rzeczywistego rozwiązania wielkiej zagadki życia.

Tak, mówiłem, walczę i cierpię — bo absolutny dech za nadto jeszcze silnie tkwi w mej piersi, abym tak w dniu jednym mógł wywrócić budowę lat wielu — jednakże czuję, że stan ten nadzwyczajny w którym się zwolna siły wyczerpują, hart woli łamie i umysł obłędza, długo potrwać nie może.

Walczę i cierpię — bo mnie religja taka, jaką nam głoszą czarni Rzymu słudzy, nie zadawalnia wcale, a z drugiej strony są chwile, w których czuję potrzebę odwrócić się od ziemi.

W takich chwilach nie radbym błąkać się w nicestwie — w próżni.

Jest temu dwa miesiące, siedząc wieczorem sam w tym pokoiku zastanawiałem się właśnie nad tem wielkiem zadaniem rozjaśnienia przyszłego naszego bytu.

Człowiek jest istotą badającą, już z samej swej natury. Tysiące lat, tysiące ludzi szuka upornie rozwiązania wielkiej przyrodniczej tworzenia i nierównie większej i donioślejszej jeszcze dla nas — przyszłości po śmierci ciała.

Systematów filozoficznych, począwszy od Sokratesa aż do naszych: Libeta i Trentowskiego pomięszały ludziom okropnie w głowie i w sercu — rozum i sumienie. Wypaczono pojęcie, podkopano zasady, starając się potem skierować je na tak zwaną właściwą drogę — spaczono je i podkopano bardziej jeszcze.

W tym haosie może i były błyski jasnego genjuszu prawdy, ale . . . . podciągnięte bezmyślnie po za granice umysłowi ludzi wyznaczone, zgasły w fałszywym blasku czczej, choć o pięknych wyrażeniach polemiki. Wyczerpano się piórem i mową — walczono bowiem o palmę uzmysłowienia absolutnie tego, co zaledwie poczuć można.

Żądano koniecznie aby duchy człowiecze zawołały miljardom ciał które ożywiają człowieczym głosem:

Jesteśmy, żyjemy i żyć będziemy w nieskończono

Gdy zaś duchy te owiały umysł nasz ciepłem th

wiary, napełniły serce i umysł bezgraniczną ufności

kojem, szepcząc obojgu zachęty do czynu prawego życia

wyższy cel mieć musi koniecznie, bo jest tylko wynikiem r

nia wyższych celów: jesteśmy u was i do koła was lu

. . . . . nie zrozumiano tej serdecznej p

Dziś świat zakończyć chce metafizycznie boje, dzieląc się na dwa olbrzymie obozy:

Absolutnego pozytywizmu i absolutnej wiary!

Walka na smierć! a któryż z nich palmę krwawego zwycięstwa odniesie?

Pojmujesz kochany Feliksie iż nie mogłem i nie mogę być obcym starciu nieba i ziemi.

Rękawicę rzucono z tego źdźbła granitu i piasku mówiąc: jesteśmy!. . . a podczas gdy obustronnie ostrzą się szpony, przygotywują pioruny słowa i czynu, ja stanąłem na uboczu, mówiąc półgłosem:

A gdybyście byli na fałszywej drodze?

Ci za ziemią — i ci za niebem nawet? . . . .

. . . .

. . . .

Edward poprawił się na fotelu, przechylił lekko w tył swą głowę i mówił dalej w ten sposób.

— Zaledwie szepnąłem powyższe przypuszczenie zaraz ono w dziwną pewność wyradzać się zaczęło.

Tułacze — ci bez ojczyzny wieczni Eneasze boleści i poświęcenia, nawet w dniach moralnej walki zachowują w piersiach iskrę świętego ognia, który ich ku rodzinnej zwraca ziemi. Upadli zupełnie — tarzając się w pyle namiętności i zbrodni, są jednak jak owa potrzaskana harfa pieśniarza, z której ostatniej całej struny, wiatr cudne jeszcze wydobywa dźwięki.

A takiej ostatniej struny zerwać prawie niepodobna!

To w upadłych!

Ja zaś stałem moralnie wyżej od wielu. Cierpienie złamało mnie okropnie, ale było to złamanie ciała tylko.

Gdym tu przybył Feliksie, węzeł zmysłowo łączący mnie z ojczyzną rozcięty został nagle, piorunująco prawie.

Chmurna historja listu.

Złamałem pieczęć żałobną — w środku, pod kopertą na adresie skreślonym nieznaną ręką — plakata! . . . . .

Lecz ani jednego słowa pociechy.

W dni kilka część mego narodu spoliczkowano publicznie w osobach stu pięćdziesięciu jego przedstawicieli.

Krzyku boleści nie słyszałem — tylko szelest sprawiony pokornem nadstawianiem drugiej strony twarzy.

Zbyteczna służalczość — bo wróg plunął im na czoło.

Okropność!! . . . .

Wtedy, z łona ateizmu i resztek dziecinnej wiary, z tego haosu który panował w mej duszy i sercu, wyrwał się głos boleści i tęschnoty . . . .
. . . .
. . . . Smutny, zadumany nad strasznym losem ojczyzmy — oszalały prawie widokiem przepaści, która się u stóp jej skrwawionych otwiera, tułacz — patrzyłem w ciemny błękit nieba, pytając go czemu nie przerywa swoich upustów, aby lunąć sodomskim deszczem na katującego nas najezdnika.

. . . . Łzawą źrenicą starałem się przedrzeć zasłony lazurowego namiotu i dojrzeć gromowładnego Jechowę, i zapytać go boleścią miljonów zjednoczoną w mej piersi, czy długo jeszcze pozwoli mordować tych których stworzył — czy długo jeszcze święta ziemia moja zwać się będzie smętarzem wolności — czy długo jeszcze na tem morzu krwi bohaterskiej pływać będą rozbitki bez żagli i wiosła, miotani różnorodnych stronnictw wiatrem, kołysani brzmieniem okropnej muzyki — tysiąca skrzypiących szubienic!

J wołałem głosem który tłumiła rozpacz:

Panie! ocal nam ojczyznę — lub wydrzyj serce z łona abyśmy nie czuli jej straty! Spuść ślepotę Tobjaszową, aby pierś nam nie pękła z boleści i nie zatrworzyła się rycerska dusza, na widok tylu zbrodni i takiej ochydy! . . . . . Niebo było błękitne i bez chmury . . . . .

Do koła cisza grobowa — —

Tu Edward chwycił się za pierś . . . . . . i umilkł.

Choć podobna egzaltacja szkodziła wygnańcowi, mogła nawet zadać cios śmiertelny nadwątlonemu niedolą zdrowiu, wsłuchany cały we wdźwięk jego czarujący i dobór wyrazów, które znać iż serce i myśl prawa dyktowały, nie śmiałem przerwać oracji ni słowem ni gestem.

Po chwili zaczął mowić dalej, może i nie zważając na obecność moją:

— Ze łzą w oku zwróciłem twarz ku ojczystej stronie.

Na kończynach obcego miasta, wśród zielonych pól uprawnych ręką wolnego ziemianina, któremu wódka znana ledwie z nazwiska, dostrzegłem skromny biały kościołek wioskowy

i na nim w drżącym zachodzącego słońca promieniu krwawiący się złocony krzyż.

Zapatrzyłem się w ten znak miłości i przebaczenia, a usta szepnęły modlitwę:

«Panie! my w chwilach szczęścia i wesela bez granic, w chwilach gdy dusza nasza spała pod brzemieniem cielesnych roskoszy, zaparliśmy się ciebie i twej świętej wiary, własnego sumienia nawet, choć nam mówiło żeś ty o Chryste był pierwszym Bogiem wolności — i za nią, dla nas, twą przenajświętszą krew przelał!

Zaparliśmy się uczucia wyssanego z mlekiem matek naszych, zaparliśmy się nawet ojczyzny nieszczęsliwej...... gdyż uśmiech błądził po ustach naszych i serce radośnie kołatało w łonie, podczas gdy z lodowych pustyń przeklętej ziemi boleści leciał z wiatrem — cichy, lecz przerażający jęk naszej starszej, mordowanej braci.

O panie nasz! wielkie, bardzo wielkie były te przewinienia, więc usta twe dotknęły nas przekleństwem, z ręki twej grom po gromie druzgocze pierś naszą wyschniętą, a oświetlając żałobne mi blaski blade czoła sierót, krwawi się na nich w straszne ogromem męki słowo: «Tułacze!»

Lecz nie dość tej niedoli.

Część własnej naszej ojczyzny piętnuje nas mianem rewolucjonistów, zbrodniarzy!

Na okrwawione skronie wtłacza koronę rodzinnego ciernia, pluje w śmiertelnym potem oblane lice i tak skrępowanych, po utarzaniu w błocie oszczerstwa i sromotnych powieści, wydaje wrogowi na pastwę proskrybcji i łańcucha.

Wrogowi co już zmęczony służbą na placach kaźni, radby wypocząć trochę.....

Wrogowi co nie rad pastwić się na bezbronnych, nie słysząc dział grzmotu i miarowego trzaskania rusznic powstańczych.

Część własnej ziemi naszej, która dla większego wrażenia przywdziewa ojczyste stroje do tej biesiady.

Potem cieniami, widmem proskrybowanych straszy młode pokolenia mówiąc:

To emigranci!

Gdyby nam chociaż cześć zostawiono ale.... i to zawadza!

Lecz nie karz ich Panie!

Przebacz zbłąkanym . . . . . to przecie nasza krew! . . .

A chciej cofnąć gniotącą prawicę . . . . wróć nam ojczyznę wiekuisty Boże!

Czemżeśmy zgrzeszyli? . . . .

Miłością? . . . .

Dobrze! więc pojmujemy, że przestępcy cierpieć winni — pojmujemy, że koniec kary nie nadszedł jeszcze; toż z pokorą i w milczeniu cierpieć będziemy dalej i dalej, aż póki nie powiesz: dosyć! Panie sprawiedliwy. . . . .

Ale błagamy cię! nie rozdzielaj dłużej synów od umierającej rodzicielki — nie zostawiaj dłużej pod obcem niebem roślin, co schną palone tęsknotą za rodzinnemi strefy.

Pozwól nam wrócić nad Wisłę modrą w złote pola i pod strzechy chat naszych.

Tam dzieci nikt nie straszy widmem tułacza! Bo tam nasi tylko . . . . . ci co śpią w borów głuszy i co żyją łzami i goryczą!

Pomnij Panie na boleści własnej twej matki!

Pomnij co cierpiała, gdyś szedł na śmierć jako męczennik wolności — pomyśl jak jej się rozdzierało serce patrząc na pobladłe męką lice twoje.

A jednak, ty, Bóg-człowiek, konałeś na twej własnej ziemi! A my — my nieszczęśliwi, do koła tylko wrogie napotykamy lica, i dźwięk mowy morderców naszej matki, raniąc nam serce, przypomina żeśmy winni być pochodnią nie zgasłej zemsty.

Wszak nie obrażasz się o te słowa Boże?

Bo czyż synowie, chcący pomścić . . . . śmierć tej, co im życie dała, mogą być za swą miłość karani gromem i przekleństwem?

Boże ulituj się nad nami! . . .

Boże! o ile jesteś potężniejszym władcą, o tyle okaż się nam jako miłosierny ojciec!

A jeżeli sprawiedliwość twa zabrania nam jeszcze przebaczyć przynajmniej moralne cierpienia, nędza i wszelkie dolegliwości niech nas na ojczystej dotykają ziemi. Pochyleni pod brzmieniem twej surowości, nędzni tułacze, niech czujemy przynajmniej pod stopą grunt rodzinny! Wtedy spalone rozpaczą wargi, ochłodzą się w wodzie naszych rzek

srebrnych, a wzrok żebrzący Twej łaski Panie, przedrze się po nią przez błękit ojczystego nieba!

Tam — lżej będzie sercu i duszy!

Nieszczęśliwi w snach tylko czujemy chwilową ulgę boleści . . . . .

Rozkołysani namiętną, jedyną myślą i jedynym celem, celem życia, w snach tylko widzimy uśmiechnięte złote łany kolebki pierwszych lat zarania . . . . słyszymy cudowne pieśni na tęskną niewoli nutę, co nam dźwięczały niegdyś o cichych wieczorach w ojczyznie, i wszystko co nas krwią i sercem tam wiązało — wszystko, co radzibyśmy przykuć na wieki wraz z całą męką i roskoszą do tułaczej osierociałej piersi . . . .

Marzenie tylko . . . . . i marzenie zawsze! . . . .

Rozbudzonym, łzy zasłaniają oczy, i westchnienie . . . . bluźnierstwo nie raz wybiega z łona . . . . bo zaraz uderza wzrok nasz rodzinne życie wrogów tutaj . . . . i głos ich matek co szczęsne, tulą synów do siebie.

A my nie mamy matek! Boże, synu najświętszej nieba królowy. . . . . .

A my nie mamy ojczyzny! króla z niebieskiej twej ojczyzny. . . . .

A wiesz Boże nasz wielki, że jedno westchnienie tułacza do wschodu, to dziesiątek lat życia z sobą unosi? . . . . Wiesz, iż westchnienia te smętne błądzą tam, po nad grobami i na wczorajszych szubienic, krzyżów naszych placach i skarżą się tobie.

Synu, ty coś matkę twą powołał w błękity . . . . wróć nam naszą — błagamy cię smętni i wybladli!

Boże, coś wstąpił do ojczyzny twej — nieba . . . wróć nam naszą ojczyznę Polskę!

Jeśli zaś przewinienia nasze tak wielkie są, iż oglądać jej nie mamy w tem życiu . . . . w jednym ze snów o niej, w jednym ze snów co słodzą tułaczego życia gorycze, zabierz nas do siebie, abyśmy przed sądem twym sztraszliwym stając (choć na potępienie wieczne skazani) mogli z dumą i roskoszą powiedzieć sobie:

«Ostatnie wspomnienie, które z ziemi tutaj wynieśliśmy — była ojczyzna. . . . Ona i zawsze ona . . . . przenajświętsza i niczem nie wydarta z polskiej piersi naszej.»

. . . . . Niebo wciąż było błękitne i bez chmury. . . . .
Z ostatniem słowem boleści, głowa moja schyliła się na ramię i czuć i myśleć przestałem.

Tu — ten dobroczynny balsam na rany tułactwa i nędzy, przemiósł mnie w fantastyczną marzeń krainę — —

Podniosłem oczy na towarzysza broni, wsparty o poręcz fotelu: patrzał prosto przed siebie, spokojnie, bez żadnego natężenia; miał lekki rumieniec na twarzy ale przytem dziwną pogodę.

— Szczególny sen! — szepnął pół głośno pocierając ręką czoło.

Z początku ciemność nieprzenikniona otaczała mnie swem skrzydłem, i wzrok duszy mojej, choć potężniejszy od wzroku ciała, nie mógł się przyzwyczaić do tej ciemności.

Aż naraz, z oddali, punkt jaśniejszy, podobny do tego światełka co zbłąkanemu w niezmiernym stepie przyświeca . . . powoli, powoli, zaczął się do mnie przybliżać.

I roztoczył się w olbrzymi krąg jasności, co tem silniejsza błyszczała na tle czarnej do koła nocy.

W świetle tem, postać jakaś wysoka uderzyła oczy moje.

Pamiętam . . . iż w latach moich dziecinnych, spędzonych w ojczyźnie, widziałem podobną na starym przodków obrazie. . .

Do tej twarzy, do tej postaci, modliła się często matka moja. . . . .

Na zapytanie dziecka, kogo ten obraz przedstawia? powiedziała: Boga!

Boga! . . . . i rozradowała się dusza moja w tym śnie cudownym — gdyż postać była podobną, i jakby żywcem zdjętą z starego przodków obrazu. . . ,

Twarz pociągła i szlachetności pełna nacechowaną była głębokim smutkiem; długie sploty złotych pierścieni włosów, przyschnięte do krwawiących się skroni, wieńczyła cierniowa korona; a nad nią białych gwiazd mirjady, tworzyły aureolę z tych dwóch wyrazów złożoną:

Za was!

Błękitne oczy jak naszego nieba lazury, były świętą łzą przymglone — a patrzyły tak bratersko i tak wielką miłością tchnęły, żem drżący zatrzymał oddech w mej piersi, i użył żelaznej siły woli, by się nie rzucić do stóp tego Boga

co tak cicho i łagodnie płynął w serce moje i porywał je do siebie.

Zostałem jednak nieruchony i opodal. . . . .

Powoli, jasność otaczająca Chrystusa spłynęła na dół — daleko — aż do ziemi, co trwożnie i blado spała pod jego stopami. . . . .

I ziemia ta wyłoniła się z ciemności, z całym wdziękiem swej natury — z całą szkaradą tych, co po niej stąpali.

I dojrzałem jedną jej cząstkę zasianą ludem w czarnym stroju żałoby — o błękitnych oczach i bladej cerze. W tysiącach kościołów wołał łaski Chrystusa i słał mu pieśni błagalne.

Jedna z nich zachwyciła mnie melodją tak cudną jak szmer ukochanej Wisły i potęgą dwóch swych wierszy, pełnych rozpaczy a zarazem prośby i nadziei bez granic:

Przed Twe ołtarze zanosim błaganie —
Ojczyznę, wolność racz nam wrócić Panie! . . . .

Potem naraz, zajaśniały bagnety naprzeciw tego tłumu — i jak kłosy kąpiące się w złotym słońca promieniu — iskrzyły się krociami zaostrzonych końców stali. . . . .

A tłum klęczał i wygłaszał bez trwogi hymn błagalny. . .

W tem głuchy łoskot bębnów trzykrotnie odbrzmiał w przestrzeni — a po nim — las bagnetów pochylił się ku piersiom tłumu.

Złowrogo zajękła trąbka sygnału . . . . . długie — podobne do błyskawic krzyżujących niebo, wężyki ognia zapełniały przestrzeń i . . . . stalowe rusznice wroga zionęły gradem kul na zełzawioną tłuszczę . . . . .

Katom pot płynął z czoła i zalewał oczy, gdyż nie mogli nadążyć mordować ofiar . . . . .

A tu coraz to więcej starców, niewiast, młodzieży płci obu i dzieci, rzucało się dobrowolnie na jasne bagnety i pod kopyta tratujących koni, krzycząc z szaleństwem bez granic:

«W imię Wiary i ojczyzny, mordujcie nas! . . . . bo my Polacy i bez trwogi! . . .»

Straszny ten obraz, z małemi odmianami czasu i pokolenia, przedłużał się w nieskończoność . . . .
. . . .

A na wysokościach, w milczących, białych gwiazd aureoli, stał Chrystus łzawy, smętny i zamyślony szepcząc:

«Biedni! ach, biedni szaleńcy! biedne ofiary ciemnoty i fanatyzmu, o wielkiej duszy i nietrwożnem sercu, ale .... kierowani wiatrem fałszu i chciwości!»

«Oni mnie nie zrozumieli!»

«Ja mówiłem, że ludom moim niebo szczęścia bez granic otworzę — ja mówiłem o niebie wolności i wesela w pracy ziemi ..... a oni .... oni wyidealizowali je sobie w chmurach, i po śmierci!»

«Ja im powiedziałem: wy nieśmiertelni duchem, co mą ideę rozstrzeli gromami wiedzy i woli po tym padole .... a oni wyidealizowoli sobie nieśmiertelność ciała i duszy w niebie, po męczeństwie i sromotnie zwalczonej niedoli na ziemi!»

«Oni mnie nie zrozumieli!» ....

«Ja im powiedziałem: módlcie się czynem! ... a oni mi posyłają modły ust i zrozpaczonego w niemęskiem wachaniu serca!» ...

«Ludu mój! zapomniałżeś, iż krzywe szable przodków twych panów, co już nie zdolni dobyć ich z pochew, czekają młodej żylastej dłoni całego pokolenia?»

«Ludu mój! zapomniałżeś, iż wielki dzień twej wolności starczy mi za tysiąc lat bezczynnej modlitwy?» ...

«Ludu mój! jam ci wlał w piersi ogromnego ducha —— a ty go marnujesz w pieśni bezowocnej!»

«Bo czyż potrzeba synom, którym matkę mordują, harmonijnych dźwięków pieśni, by się pierś rozgrzała i ręka chwyciła za miecz zemsty.»

«Nie zrozumiałeś mnie biedny, obłąkany narodzie!» ...

«Ani ty, ani twoi kapłani! ....

. . . .

.... Czynu! czynu! czynu! ....

. . . .

I smętne oblicze Zbawiciela bladło coraz bardziej w gasnącej aureoli gwiazd i światła ..... aż zupełna ciemność zastawiła mi przedchwilowe widzenie.

To był sen Feliksie!

Zbudzony, przecierałem dłonią oczy i jeszcze pod wpły-

wem znaczenia tej uroczej twarzy Zbawiciela, tchnącej taką bezgraniczną miłością i poświęceniem.

Widzenie z snu nie powróciło; natomiast myśl moja pobiegła na mazowieckie pola błąkać się do koła ojczystej strzechy.

Tam było pusto i smutno!

Zaparte wrota ogrodzenia przed dworkiem; okiennice domostwa szczelnie z zewnątrz zabite — trawa na miejscu dziedzińca, gdzie się dzieckiem bawiłem z papierowym konikiem, skąd, patrząc w okna sypialni rodzica, wyciągałem nieraz sobie rączki po długą w rzeźbionem łożu rusznicę — dar Pułaskiego jeszcze.

Opodal, na spodku ku Wiśle, w półboku ciemnego boru między omszonemi mogiłami smętarza, jedna świeża jeszcze — bez cienia, bez kwiatów, i . . . . . bez krzyża nawet.

Gdy myśl spoczęła nad tym nagim wysypem, w który żadna litośna dłoń nie wstawiła bożego znaku — ścisnęło mi się serce na myśl, że może się i wszystko u mogiły kończy. . . . .

To byłoby okropne! szepnąłem.

Na co więc żyć i cierpieć, kochać i wierzyć, jeżeli ze skonu godziną zasnąć mają nasze przyszłości marzenia?

Szept ten jeszcze nie zgasł na ustach moich, gdy poczułem dotknięcie u ramiena, jakby dłoń czyjaś lekko się na nim rospierała.

Sądząc że to Blanka, przechyliłem w tył głowę, chcąc spojrzeć w modre oczy dziewczyny.

Lecz spotkałem ciemne źrenice i łzą zamglony wzrok. . . . matki mojej.

Choć zupełnie przytomny, bo tylko myślą błądziłem na wschodzie, powinienbym się był i wzdrygnąć może, przecie trwoga daleką była odemnie.

Widzenie na jawie.

Gdyby to twarz ojca — choć i on kochał mnie nad życie . . . . . . nie mówię! . . . ale dziecięcia nigdy oblicze matki nie zatrwoży.

«Ty mamo tutaj? . . . rzeknąłem cicho, odwracając się i wyciągając dłoń do uścisku. Zdawało mi się w tej chwili naturalnem, że matka mnie odwiedziła. Dziwny fenomen, prawda?»

Dłoń moja utonęła w próżni.

Tylko ona zrobiła mi znak głową, abym został spokojny, i odparła:

«Tak — to ja! Edwardzie.»

«Wszakżeś umarła?»

«Dla ludzi — ale nie dla Boga i nie dla ciebie!»

«Więc to prawda że . . . . . . ?»

«To zawsze prawdą było: duch nigdy nie umiera! A nie dziw się Edziu mój, mówiła głosem słodkim, jak szmer listków w nowych borach, nie dziw się, że na mogile mej krzyża brakuje . . . . . Mnie tam nie ma i nikogo już z tych co nas oboje kochali . . . . Jam zawsze tu . . . . bo mogłażbym istnieć duchem nawet z dala mego jednego dziecięcia?»

I pochyliła bladą twarz siwemi okoloną włosami, patrząc mi w oczy tak roskosznie. . . . . .

Wrażenie tego spojrzenia nigdy nie zatrze się w mej pamięci. A ona jak smętny anioł cierpienia, schylona nademną, pieściła gorącem tchnieniem włosy na mojem czole, mówiąc dalej:

«Dawno, o! dawno już chciałam cię odwiedzić synu, pomówić z tobą, wskazać bezdroże, duchem matki podeprzeć cię — twą słabnącą odwagę i słaniającego się w wirze rozszalałych pojęć ducha! Dawno obiecałam rzucić i rozplenić w tobie ziarno prawdziwej bożej wiedzy — szepnąć ciepłym pocałunkiem duchowej miłości: prawdą przyszłości — zadatek tamtego życia tu — u stóp twoich i pod ręką twoją.» . . . .

«Lecz odepchnąłeś mnie od siebie.»

Ja? . . . szepnąłem zdumiony.

«Tak — ty synu! bo ile razy zabłąkałam się w te strony — ile razy pragnęłam, nawet żyjąc jeszcze, duchem pomówić z tobą, obudzić cię z snu błędów i ślepoty — tyś zwrócony był twarzą myśli ku ziemi . . . . Ja patrzę w niebo . . . . więc nie dziw, że spojrzenia nasze spotkać się nie mogły!»

«Ale . . . . dość na dzisiaj . . . . tyś cierpiący mój Edwardzie . . . . oddalam się, wszelako czuwać nie przestanę.

Kochaj Polskę!

Tak — kochaj i wierz . . . Bądź zdrów!

I postać niknęła powoli:

«Ach! jeszcze jedno słowo!» zawołała z oddalenia. «Za chwilę, powiedziesz ręką po czole i śmiechem parskniesz może, mówiąc: to halucynacja — sen na jawie z rozdrażnienia nerwów powstały. Żywe przejęcie się pragnieniem ujrzenia matki spowodowało ten rodzaj odbicia jej postaci w zwierciadle myśli, a głos jej — to jeszcze tej samej myśli złudzenie . . . . Pomyślisz tak pewno, synu mój kochany. Lecz właśnie ta gra nerwów, to odbicie obrazu z myśli do wzroku i do słuchu — to odpowiedź ducha matki na pragnienie ducha dziecięcia.

Nim objaśnię ci wszystko i ostatecznie — patrz! . . .»

I cień wskazał ręką ku stronie mego biórka.

«Tam, w drugiej szufladce od góry, pod listami odemnie, na samym spodzie jest modlitwa, którą co dzień za życia odmawiałam za dziecię moje, błąkające się w ojczyźnie. Przepisałam ją przed ciała śmiercią i posłałam ci synu z prośbą, abyś ją nosił przy sobie i odczytywał czasami. Dwa lata upłynęły od tej chwili, a modlitwa matki nie przejrzana i nie ruszona nawet. . . . .

To źle. . . . .

Na trzeciej stronie znajdziesz ustęp:

Panie! spójrz w serce moje i pomóż mi do wyplenienia złego, które się w niem, jak kąkól na polu zagnieździło. Zbadaj duszę moją i skieruj ją na drogę światła.

Zaznaczon ci ten ustęp Edwardzie!» —

Przyjaciel mój umikł w tem miejscu.

Ja, cały jeszcze pod wpływem dziwnego opowiadania, zastanawiałem się nad tem co słyszałem, nie mogąc pojąć ni pogodzić tych dwóch wprost przeciwnych sobie kierunków, uwybitniających się tak żywo w naturze Edwarda . . . . ale że człowiek jest zaiste dwojną istotą i posiada w swem wnętrzu dążność materji oraz ducha, co się bezustannie ścierają w walce o przewagę nad całością, zrozumiałem jak często się trafia ekscentrycznym charakterom raz temu, to znów owemu czynnikowi podlegać.

Chwilkę trwało milczenie, bo Edward marzył, a ja starałem się odgadnąć zagadkę jego charakteru . . . Naraz ocknął się i biorąc mnie za rękę, popatrzył badawczo zamglonem okiem—poczem miły uśmiech zajaśniał na licu jego...

— A teraz chciałbym ci jeszcze jedno powiedzieć słowo — szepnął ciszej. — Chcesz bym ci całą mą przeszłość opowiedział? . . . Nie — poprawił się — nie całą; spowiedź taka była by za długą i nudną, ale . . . te lat kilka od zawarcia pokoju po ostatniej francusko-pruskiej wojnie?

— Szczęśliwym się czuję, że tyle masz do mnie zaufania i . . . . możesz być pewnym, że to co usłyszę, zapomnę potem, gdy rozkażesz.

— Nie, nie! przeciwnie, opowiadaj drugim i opisz nawet, jeśli ci to przyjemność sprawi. Tym sposobem, wielu może się cofnie z nad przepaści . . . nie zmarnuje sił i lat młodych napróżno.

Jutro cię czekam na śniadanie o w pół do pierwszej z południa, a potem pogadamy trochę, bo dziś, choć wolno mi nie spać co dzień do drugiej z rana — czuję jakąś dziwną potrzebę spoczynku. —

Wychodząc, we drzwiach już pokoju, zatrzymał mnie jeszcze Edward.

— Słuchaj! — rzekł powoli i z pewnym rodzajem powagi w głosie — czy wierzysz, że jestem człowiekiem honoru i że kocham naszą wspólną matkę?

— Gdybym myślał inaczej, nie byłbym tutaj Karolu.

— A więc, przysięgam ci na honor i ojczyznę, że Blanka de Langis nie jest moją kochanką, a żoną moją nigdy być nie może.

Zastępuje mi miejsce siostry.

V.

Nazajutrz, wchodząc o wyznaczonej godzinie, do znanego mi już błękitnego saloniku, zastałem Edwarda i Blankę zajętych przerzucaniem świeżo nadeszłych gazet.

On wydawał mi się w czarnym swym stroju bledniejszym niż wczoraj; piękna jednak towarzyszka wygnańca, odziana od stóp do głów w bieli (co jeszcze bardziej uwydatniało krucze sploty jej włosów i matowo ciemną cerę lica), mogła najwybredniejszemu nawet artyście służyć za model owych andaluzyjskich posłanek miłości, które Murillo z takiem szkicował upodobaniem.

Szczególna dziewczyna i szczególny jej stosunek do Edwarda.

Gdym jednak patrzał w te jasno-błękitne oczy długiemi ocienione rzęsami, w tę twarz, na której natura niewinność i dziewiczą wypisała krasę, zaczynałem na serjo wierzyć ostatnim słowom towarzysza, wyrzeczonym poprzedniego dnia w pożegnania chwili: że Blanka nie była jego kochanką.

Pełno, cudownie i bogato zakreślone kształty jej uroczego łona, szczupłość i kreolkom tylko właściwa giętkość kibici i miękka ruchów swoboda, chód niepewny i nareszcie czyste, choć pełne miłością spojrzenia oczy, które na Edwarda zwracała, przekonywały mnie prawie, że dziewczę niepokalanem było. Gdy bowiem kobieta raz zaczerpnie z roskoszy kielicha, wtedy wzrok jej natychmiast traci ten blask przejmująco-ciekawy — pełen tajemniczych, gorących marzeń o dobrze jeszcze nieokreślonej słodyczy, a natomiast, z całej postaci uderza rodzaj jakiejś dziwnej powagi i dziecinnej pychy razem, które zdają się mówić: już się niczego nie nauczę!

Otóż cechy tej nie było w promieniącem, choć lekką mgłą powleczonem Blanki spojrzeniu.

Miewała tylko urocze sny. . . . .

Gdy wszedłem, powstając z kozety, podała mi swą drobną rączkę:

— Właśnie o panu mówiliśmy w tej chwili! — zawołała.

— I zapewne nie w bardzo pochlebny sposób?

— A to czemu? . . . przeciwne. Edward twierdził że uważałby się za nader szczęśliwego, gdybyś pan mógł nam do Włoch towarzyszyć. Jedziemy za miesiąc, to już ułożone. A pana bierzemy z nami — dodała z żywością francuskom właściwą.

— Wierz mi pani, gdybym mógł rozporządzać sobą dowolnie, byłoby to wielką dla mnie przyjemnością, towarzyszyć państwu w kraje Tassa i Danta, ale. . .

— Nie chcę wiedzieć o żadnem ale! Wczoraj dopiero co przyjaźń nasza powstała i już dzisiaj chcesz ją zrywać, i już mi się sprzeciwiasz? —

I z czarującym uśmiechem zaczęła mi grozić swym drobnym, różownym paluszkiem.

— Jak to zaraz widać, że Blanka jest dzieckiem południa! —

rzekł Edward odkładając na bok gazety. — Nie znosi żadnej przeciwności, chce aby wszyscy jej wolę wykonywali.

Mnie samemu byłoby bardzo przyjemnie, gdybyś chciał nam towarzyszyć i nie tracę nadziei, że się na to zdecydujesz, nie śmiem jednak nalegać! —

W każdymu razie kilkanaście dni pozostawicie mi do namysłu — rzekłem z ukłonem — i jeżeli tylko sprawy moje pomyślny obrot wezmą, nie zaniedbam korzystać z łaskawego zaproszenia. —

Mówiąc te słowa, zwróciłem się ku Blance i . . . . mimo woli, nie zmogłem wstrzymać okrzyku podziwienia.

Będąc poprzednio u Edwarda i oczekując dość długo w tym samym błękitnim salonie, zauważałem dobrze jeden obraz w pysznych złoconych ramach, na wprost okien zawieszony.

Obraz ten przysłonięty był czarną krepą.

Teraz — podnosząc wzrok na Blankę — skierowałem go w stronę owego malowidła.

Gazy już nie było.

Na ciemnem tle, w żwawem Rembrantowskiem oświetleniu, rysowała się postać młodej dziewczyny, w czarnym, pod szyję zachodzącym stroju.

Malowana w trzech-czwartych, z rękami złożonemi jakby do modlitwy, wsparta na krawędzi modlnika, z głową w tył rzuconą, z rozplecionemi jasno-bląd włosami i wzrokiem wzniesionym do góry — idealnie piękną była.

Z lekko rozwartych, purpurowych, o klasycznych kształtach ust, zdawały się wybiegać żywej prośby słowa.

W czarnych oczach nieopisana tęsknota.

Jakby zasłona z łez.

Patrząc na obraz, mimowoli nasuwało się pytanie: czy malarz, prawdziwy zresztą artysta tła i formy, przelał na płótno rysy i kształty dziewicy z natury, czy też tylko rozgorączkowana wyobraźnia poety posłużyła mu za model do arcydzieła.

Widocznie iż wątpliwość ta wybitnie odbijała się na mojej twarzy, gdyż Edward pośpieszył z objaśnieniem.

— Prawda, jak ona piękną była? — szepnął smutno, z tłumionem westchnieniem i nachmurzoną twarzą.

— Ale, kto, ona? — rzekłem patrząc na przyjaciela.

— Ach, prawda! daruj, lecz ja zawsze zapominam, żeś jeszcze niewtajemniczony w smętne dzieje mego życia. Ten portret przedstawia cioteczną siostrę Blanki: pannę Marję de Marevelles, która była moją narzeczoną.»

— I cóż się z nią stało? —

Przeraźliwy krzyk trwogi, wydany przez Blankę, odwrócił me oczy od obrazu.

Edward, do którego mówiłem bezmyślnie, zatopiony cały w uroczem malowidle, chylił się teraz, jak trup blady, na kozetę przy oknie, przykładając do ust chustkę, którą trzymał w ręku.

Na chustce widne były dwie duże plamy z krwi.

Zanim zdołałem pojąć co się stało, Blanka klęczała już u nóg chorego i obejmując go jedną ręką, drugą podawała mu jakiś napój.

— Edwardzie, Edwardzie! — mówiła z wyrzutem, patrząc mu w twarz roskosznie i smutno — czy ci już lepiej? . . . . Boże! wszak modlę co dzień: każ zdjąć ze ściany ten portret nieszczęsny, lub nie zdejmuj z niego zasłony! Bo widzi pan, rzekła, zwracając się do mnie — ile tylko razy mówi o niej lub wpatrzy się w te rysy, zawsze napady powracają, i to jak pan zauważał, gwałtowie, w jednej chwili prawie. Doktor mówił, że gdyby nie ta fatalna manja, dawno by może i zdrowie odzyskał . . . lecz cóż ja pocznę nieszczęśliwa . . . nie mam władzy — —

Potem znów:

— Edwardzie! przyrzeknij mi, że to już raz ostatni. —

Chory uśmiechnął się smutnie.

— Tu sais bien — szepnął, pochylając się nad czołem klęczącej u nóg jego dziewicy — qu'il n'y a pas de ma faute. Je ne l'aime plus, mais je ne puis l'oublier de sitôt. Tobie zaś Feliksie, daruj, że innego objaśnienia dać dzisiaj nie mogę nad to, że Marja de Marevelles umarła otruta. . . . .

— Samobójstwo? —

W oczach Edwarda błysnął ponury ogień i podnosząc się z kozety, wsparty na Blance:

— Nie — zawołał — morderstwo! —

. . . .

VI.

W kilka dni potem, gdym odwiedził dawnego towarzysza broni, zastałem go w łóżku, a Blankę w najżywszej pogrążoną rozpaczy.

Po kwandransie potocznej rozmowy, zasnął z swym wiecznym, gorzko smętnym na ustach uśmiechem.

Blanka wtedy powstała i kierując się ku drzwiom, dała mi znak, bym jej towarzyszył.

W progu sypialni zwróciła się raz jeszcze w stronę Edwarda i rzekła ze łzami drżącym głosem:

— Patrz pan co oni z niego zrobili! . . . . .

Człowiek w sile wieku, pełen talentu, nadziei w życiu . . . . . dziś a jutro, skończy może.

O! trudno uwierzyć, by istniała na świecie dość wyrodna ziemia, aby się dzieci swych wypierać mogła i z wyrafinowanem okrucieństwem skazywać je na nędzę i niedolę!

— Ależ Edward, jak sądzę, musiał za granicą najprzykrzejszych doznać zawodów — odparłem po chwili namysłu.

— Czyjaż w tem wina? . . . czy jego? Zresztą . . . . i za granicą swoi tylko mu ciernie rzucali pod nogi, a dobiły te kilka miesięcy na własnej ziemi.

Czy pan wiesz? — ciągnęła dalej, gorączkowo porywając mnie za rękę — gdziem znalazła tułacza? We Lwowie! . . . W nędnej oberży, śród zimy, w wilgotnej i nieopalanej norze. Porządku tam od miesiąca nię robiono; na ścianach i na podłodze był śnieg — a on, nieszczęśliwy, złamany gorączką, leżał na kilku twardych deskach i garści barłogu, żebrząc nadaremno kropli wody.

Przy łazarzu szczególna siostra miłosierdzia: jego wierna Fatma. Poczciwe zwierzę. Dziś . . . . jak dogi marsylskiego galernika, wietrzy o wiorstę galicjanina i niedawniej jak zeszłego miesiąca, w jednej z tutejszych restauracji, gdyby ją Edward nie był przytrzymał za obróżę, byłaby w sztuki rozerwała jednego z mieszkańców swej ziemi, zresztą może i poczciwego człowieka.

To smutne i śmieszne razem . . . prawda? —

Nic nie odpowiedziałem na ten wybuch żalu dziewczęcia;

bowiem podobna nawet przesada jest do przebaczenia, gdy kto tak kocha i cierpi okropnie.

W salonie Blanka powierzyła mi zajęcie się złożeniem i upakowaniem rzeczy i papierów Edwarda.

— Bądź pan tak dobry i racz załatwić wszystko jutro rano, gdyż na noc pojedziemy szybkim pociągiem przez Wiedeń do Triestu, potem statkiem do Ankony i stamtąd prosto do Neapolu. Mimo iż bezwładny prawie ... tu go nie zostawię. Jeśli ma umrzeć — niech go włoska, dziś wolna ziemnia przytuli. —

Wielom z czytelników cała powieść moja wyda się może niepodobną do wiary. Ustępy dopiero co skreślone, jak i część druga obejmująca notatki Edwarda rozśmieszą ale i oburzą może.

Trudno.

Piszę podług sumienia, opierając się na rzeczywistości.

Zresztą komu znane dobrze tamtejsze stosunki, tego nic dziwić nie będzie.

Zaiste, co sądzić o kraju, którego reprezentacja pozwala sobie w oczy rzucić obelgę, iż polski język jest tylko zepsutą niemczyzną i w stosunku takim do Teutońskiego jak patois gaskońskie do francuskiej mowy.

Co sądzić o kraju, który daje obiady, bale i iluminacje, który puszcza corocznie z dymem miljony złotych reńskich, podczas gdy na bruku jego stolicy nieszczęśliwi, co aż do ojczyzny wrócić musieli by stracić wiarę w poczciwość braci, umierają z głodu lub samobójczo kończą tułacze mąk swoich życie.

Co nareszcie powiedzieć o ziemi, o której sami niemcy z pogardą się wyrażają.

Tak, z pogardą!

O dziesiątej w nocy dnia następnego, z pomocą Blanki i zacnego doktora, umieściliśmy biednego wygnańca w osobnym przedziale pierwszej klasy, sporządzonego umyślnie dla chorych.

Po ponownem zbadaniu tętna cierpiącego, doktor cofnął się pod kolumny galerji dworca i przywołując skinieniem Blankę, rzekł do niej w mojej obecności:

— Oto flaszeczka z przyrządzonym przezemnie samego narkotykiem. Dasz mu pani piętnaście kropel w winie, przy wsiadaniu na parowiec w Trieście; lekarstwo to wzmacnia i zarazem ubezwładnia czasowo; w każdym razie przedłuży mu resztki sił na czas pewien. Będzie potem spał 48 godzin; po godzinnem zaś czuwaniu zdwoisz pani dozę łaskawie, i 54 godzin snu nastąpi. To wystarczy, ale . . . . . trzeba, żeby się zbudził dopiero w hamaku i w cieniu pomarańczowych gajów zatoki Neapolu.

Nie taję pani jednak, że w tobie jednej leży ocalenie Edwarda.

Wyczerpałem wszystkie środki nadaremno, i jeżeli pani nie pomoże, za miesiąc będzie spoczywał pod cyprysami Campo-Santo.

Gdybym lekceważył naukę i był człowiekiem zdolnym do wyjawiania pierwszych odebranych widokiem chorego wrażeń, zapytałbym pani, czy Edward nie ma czasem gdzie na ziemi śmiertelnego nieprzyjaciela . . . . . któremu by na jego śmierci zależało. . . . .

Prawdopodobnie jednak mylę się, bowiem dotąd prócz ogólnego nadwerężenia organizmu a płuc w szczególe, nie odkryłem żadnych objawów innej choroby. . . .

Może go pani ocali . . . . Bóg wielki . . . . prawda? —

Dreszcz zimny przejął mnie na te słowa, wyrzeczone z okropną precyzją i pewnością tego, co się mówi.

Blanka stała przed doktorem niema, bez ruchu . . . lekkiem tylko, nerwowem ust drganiem dając znak życia.

A on pochylił się ku twarzy bladej dziewicy i biorąc ją za rękę, zaczął coś mówić półgłosem.

Dosłyszałem tylko ostatnie słowa:

— Jeśli nie umrze zaraz w twych . . . . to . . . zbawiony! —

W dziewczę jakby nowe wstąpiło życie.

Z zarumienionem licem i płonącym wzrokiem zwrokiem zwróciła się do mnie:

— Edward żyć będzie! — rzekła z nieopisanem przekonaniem w głosie — bo żyć musi, bo go kocham i . . . ocalę. —

Za chwilę, posyłając nam od ust całunek pożegnania, była już w wagonie.

— Les tiaples ces Bolonais — mruczał doktór, opuszczając

dworzec — ils ze wond zaimer pien, sche ryzk Muâ même quoique Zallemand ma vortune bour zaufer ze praf carsonne . . . donnerwetter noch a' mal! —

Trzy miesiące upłynęło od powyżej opisanych wypadków, lecz ani od Edwarda, ani od Blanki żadnej nie otrzymywałem wiadomości.

Dwa listy moje, wysłane podług adresu jednego z naszych wspólnych znajomych, który mi dziewczę na wyjezdnem wręczyło, również pozostały bez odpowiedzi.

Milczenie to niepojętem dla mnie było tem bardziej, iż prócz szczerej życzliwości, którą mi oboje okazywali, Edward obiecał najuroczyściej przysłać mi zapiski ze swego, nazbyt może burzliwego życia, i jak uważałem, zupełnie liczył, że je uporządkuję i drukiem ogłoszę.

Aż niedawno, pamiętam dobrze, w sierpniu b. r. około godziny jedenastej z rana, służący mój przyniósł mi kartę wizytową, mówiąc że oddawca oczekuje w przedpokoju.

Na karcie, wyczytałem z niemem podziwaniem:

Blanche de Parska
née de Langis.

niżej zaś, ołówkiem, dopisane po francusku:

«Je ne m'arrête à Dresde qu'une demie heure à la gare. Notre bonne qui est de ce pays, y attendra mon retour, et c'est elle qui vous remettra cette carte et un paquet que mon pouvre Edouard m'a chargé de vous faire parvenîr.»

W kwandrans potem rozpieczętowywałem dość grubą paczkę zapisków wygnańca . . . czytałem list, krótki, lecz jak zwykle, pełen goryczy i znudzenia życiem, który mi biedny towarzysz napisał.

Drugi, mniejszy zwitek papierów, znalazłem jeszcze na spodzie przesyłki.

Czerwonym ołówkiem był na nim napisany wyraz: zakończenie.

Prawie wszystkie kartki nosiły na sobie stemple francuskie, a wiele z nich ten zgrozą przejmujący, złowieszczy nagłówek:

«Wyciąg z akt kryminalnych sądu przysięgłych w X. . . Sprawa Błażyński — de Marevelles.»

Tak więc, stosownie do życzenia dawnego towarzysza broni, rzucam w świat nasz polski smętne dzieje tułacza.

Serja to szczegółów, do ogólnych «Rachunków Bolesławity.»

Życie pojedyńczych rodzin, to życie narodu.

Na każdej niwie znaleść można kąkol zamięszany z dobrym ziarnem.

Galicja ... to źle uprawna ziemia.

Coraz gorsza siejba, coraz lichsze zbiory!

A wierzie mi, dałbym życie, aby zawołać światu:

«Przenna gleba nasza wydaje bujne, czyste plony. Kąkól nam tylko obce wiatry przynoszą.

Lipsk, sierpień 1874.

F. Kozubowski.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

MARJA DE MAREVELLES.

I.

Miasto X. . ., w którem hrabina Klemencja de Marevelles obszerny hotel posiadała, położone w jednym z piękniejszych departamentów Francji, nietylko obfitem było w wykształcone i zamożne mieszczaństwo, ale jeszcze, cała arystokracja rodu tworząca stronnictwo, w niem zimą przemieszkiwała.

Salony zatem hrabiny, szczególniej podczas czwartkowych wieczorów, licznie były uczęszczane.

Uczeni, artyści i cudzoziemcy, zwiedzający tłumnie starożytności miasta i okolicy, z łatwością do nich wstęp otrzymywali. Zresztą, sama pani de Marevelles, redaktorka jednego z pism perjodycznych dla kobiet, wysokie posiadała wykształcenie, i ochotnie otaczała się ludźmi celującymi rodem, talentem i nauką.

Z początkiem maja, gdy pogoda ustalić się obiecywała, zwykle wszyscy, co jakim takim zarobkiem pieniężnym mogli rozporządzać, opuszczali miasto, udając się do wód lub w okolicę.

Tym jednak razem, mimo iż pierwsze dnie czerwca rzuciły kwiat na drzewa i czarującą woń w powietrze — nikt ani marzył o wyjeździe.

Przeciwnie, skupiono się bardziej w przyjacielskich kołach, widywano się częściej i uściski dłoni obojętnych nawet osób, serdeczniejsze były niż lat poprzednich.

Nad miastem, nad prowincją całą zawisła jakby chmura smutków i niedoli.

Choć niebo było przejrzyste i dnie pogodne biegły jedne za drugiemi, choć noce pełne tajemniczych harmonji, osre-

brzał drżący promień zamyślonego księżyca, dniem i nocą w powietrzu, w mieście i okolicy, czuć było zmięszane z balsamiczną wonią wiosny, cierpkie zapachy krwi.

Za krwią zawsze niedola.

A gdzie wzrok rzucić było, ruiny i popioły.

Gdyby człowiek, który był poprzednie lata zamknięty i pozbawiony wiadomości z zewnątrz, znalazł się raptownie na francuskiej ziemi w 1871 r., zawołałby niezawodnie:

— To ślady najazdu, przechodu czerni, ale . . . jakiej?

— Turcy czy tatarzy? . . . —

A lud w nędzy, bosy i odarty, matki bez dzieci, żon mężowie i blade sieroty o wściekłością zaciętych ustach i oczach osłupiałych boleścią, wołali by mu:

— To Teutoni!

— W prostej linji potomkowie Malborgskich Marji rycerzy, mordujących w imię krzyża pogańską Litwę, mordujących w imię krzyża chrześcjańską Polskę.

— Niedoduszone resztki psiego pola.

— Źle zdeptane gadziny Grunwalda i Tauenbergu. Młodsza siostra dwugłowej hydry, którą kościół Piotrowy ocalił w 1683. —

Ci Teutoni, wracając z francuskiej wyprawy, śpiewali w przechodzie Renu:

— Witaj nam ziemio bohaterów! —

Ja bym powiedział:

— Witaj nam opryszków ziemio! —

Miasto X . . . miało jedno całe przedmieście w gruzach.

Za miastem pięćdziesiąt wiosek obrócono w perzynę.

Ciekawa historja.

Świt dnia bitwy był chmurny. Tem samem napad niepodobny o czarnej jak skrzydło kruka nocy.

Więc na cześć przyszłego Imperatora Germanji od Baltyku po Adrjatyk lazurowy, również i dla przyspieszenia boju, podpalono do koła wszystko co łatwo zapalne było.

Ale nie granatami, bo jeden granat kosztował 6 talarów, a zapałek sto za fenniga.

Więc zapałką . . . . .

U prapradziadów na Litwie główną bronią były: hupka i krzesiwo.

U dziesiątego pokolenia zapałka!

Duch postępu.

I to wszędzie i w każdym czynie.

Austrjacy np. wieszali niegdyś na lipowym łuku; dziś mają cienkie, misternie wyrobione c. k. postronki, wcale ładnie dwoma ojczystemi barwami malowane c. k. szubienice.

Do wieszania dawniej był człowiek z poniżającem nazwiskiem «hycel» a dotknięcie tego człowieka pozbawiało prawie honoru.

Dziś urzędnik to o stałej pensji z emeryturą w perspektywie. Nazywają go zaś c. k. kat.

Ma tekę . . . . do chowania odpisów wyroków śmierci.

Gdyby nie to nazwalibyśmy go . . . . . bez teki.

Jak więc mówiłem, miasto X. . . było żywe i umarłe razem.

Żywe wspomieniem: przeszłości i przyszłości.

Inaczej: niedoli i zemsty.

A oba nie mogły być zatarte; bo na przesiąkłym krwią piasku okolicy, na obryzganym tysiącem mózgów bruku miasta widać było rój czarnych mundurów. Na ratuszu czarna chorągiew i czarny herb.

Wszystko czarno.

Co miało serce i co serca nie miało, wszystko żyło roskosznym o odwecie snem.

Tak do dziś jeszcze.

Prąd galwano-elektryczny krąży bezustannie.

Jeden biegun stosu nazywa się Berlin — drugi — Gambetta.

Bo Gambetta pierwszy powiedział niegdyś: trzeba by ich nie puścić za Ren, lecz tu wydusić i pochować.

A ten człowiek miał dobre chęci i wszystkie środki po temu . . . tylko. . . .

Tylko że po lewej stronie w piersi miał serce.

A u dyktatora najechanego narodu serce, to zbrodnia.

Gdybym śmiał, powiedział bym: nikczemność.

To nie potrzebne, bo i bez tego wszystko błoto, jakie się w Polsce da zebrać na razie, rzucone mi będzie w twarz za tę powieść.

Otóż Gambetta powinien był mieć serce młodego uspo-

koiciela Wandei w 1793 r., lub serce Thiersa, począwszy od 20. maja 1871 r.

Jaśniej mówiąc: nie mieć go wcale.

Dwie zajmujące daty:

Rok i dni kilkanaście.

Sądzę jednak, że Thiers rachował lepiej od Carriera, opuszczając bowiem Elysée-Bourbon przygotował sobie grób, wysławszy go trzydziestom, pięcioma tysiącami skartaczowanych; zamówił sobie chór pogrzebowy, daleko prawda, bo aż w Nowej Kaledonji, ale donioslý, bo o czterdziestu tysiącach czerwonych głosów. Gdyby zabawa rok cały trwać miała — powiedzielibyśmy: 1 Thiers = 100 Carrière.

Co mówię — dwa chóry.

Zupełnie jak w czarujących dźwiękach trąbek po nocy i po wsi.

Jedna jęczy: cierpię. . . .

Druga odpowiada: pamiętam. . .

Tylko że dźwięk drugiej straszliwy, bo w tonach instrumentu słychać szalone wycia.

Przypominają mi one gromady wilków z mej ojczystej ziemi.

Czterdzieści tysięcy rodzin pytą dźwiękami: ojcze! mężu! bracie . . . synu . . . jak wam się powodzi? Ostatni wyraz nie ma nic nie tylko ludzkiego, ale nawet zwierzęcego w sobie.

Matka, której dziecię wydarto, stoi boleścią wyżej matki Chrystusa (iż tamten był prawie Bogiem, skąd żal przelotny o nieskończonej pysze), a nienawiścią i zemstą wyżej szatana. . . . . .

Teraz, wróćmy do zwykłego stylu i do zwykłej powieści!

W dniu 5. czerwca 1871 r., mimo iż jedenasta z wieczora dawno już przebrzmiała, zaledwie kilkanaście osób zgromadzonych było w wielkiej sali hotelu de Marevelles.

Trzech dziennikarzy, opartych o galerję komina, wiodło zaciętą polemikę jeszcze o sprawie rozstrzelania generałów Clement-Thomas i Lecomte. Kilka dam, rozkładając po krzesłach swe stroje, szeptały cicho o świeżym skandalu wydarzonym w domu księcia B. . . . ., któremu kucharz wykradł młodą i ładną żonę, ex-uczennicę z Paryskiego Sacre-

coeur; reszta zaś towarzystwa słuchała gospodyni domu, opowiadającej sceny z pierwszego oblężenia Paryża.

Na leżance, w rogu pod oknem, siedziała Marja de Marevelles, córka hrabiny, przeglądając «La vie parisienne.» — Dwóch zaś młodych ludzi, z których jeden z lewą ręką na taśmie siedział przy otwartem pianinie, rzucając prawą lekkie akordy, cichą lecz żywą prowadziło z sobą rozmowę.

— Panie de Gontarin — ciągnął ranny, wskazując wzrokiem ku stronie hrabiny — mimo iż pół godziny na nią patrzę, nie mogę jeszcze uwierzyć, aby ta śliczna młoda kobieta mogła mieć już dorosłą córkę!

— Inaczej — mówiąc odparł z uśmiechem zagadniony — aby ta śliczna młoda córka mogła mieć jeszcze tak dobrze i świeżo wyglądającą matkę, prawda? Zresztą ja sam, choć od dwóch lat mam zaszczyt znać te panie i żadnego z ich wieczorków nie opuściłem, gubię się jednakże w domysłach i badam napróżno, jak może kobieta w trzydziestym drugim roku życia tak świetnie się jeszcze przedstawiać.

— W trzydziestym drugim?

— Tak, a panna de Marevelles właśnie skończyła lat siedemnaście.

— Niepodobieństwo!

— Zaręczam ci . . . . —

Tu przerwał im głos lokaja, zapowiadającego w podwojach salonu nowego gościa.

Pani de Marevelles mimowolnie drgnęła i zniżyła głos w opowiadaniu; Marja zaś zwróciła zwolna swe duże czarne oczy na matkę i spojrzała jej w twarz badawczo.

— Co to za nazwa? nie dobrze ją słyszałem — szepnął ranny do swego towarzysza.

— Edward de Parski polak — była sucha odpowiedź. — A może życzysz sobie być mu przedstawionym?

— Dla czego nie on mnie?

— Pan de Parski używa tu przywilejów gospodarza domu.

— Czy to czasem nie ten, co miał ów tragiczny romansik, skandal prawie, z jedynaczką bankiera O. . .?

— Ten sam, i sądzę, że podobna historja i tutaj się powtórzy.

— Więc prawda, co mówiła wczoraj Eliza, że obie się w nim kochają?

— Prawda; ale co dziwniejsza . . . . to, że i on się w obudwóch kocha i jeszcze zupełnie na serjo.

— Ach! . . . . —

Ale właśnie gość zapowiedziany wchodził do pokoju.

Był to młody, najwyżej lat dwadzieścia siedm liczący mężczyzna, średniego, małego prawie wzrostu, szczupły i malowniczo blady. Twarz jego pociągła miała regularne i energiczne rysy; ciemnie włosy, dość krótko obcięte i w tył zaczesane, odkrywały wysokie, myślące czoło, na którem jednak wiecznie lekka błąkała się chmura. Szczupłe, lecz wypukłe i klasycznie skreślone usta o mocno wklęsłych kończynach (cecha zmysłowości i popędu do gwałtownych uniesień), ocieniał śliczny wąs, miękki jak jedwab i tak się starannie z natury układający, iż właściciel mógł być wziętym za rzeczywiście pięknego mężczyznę. Ciemne, o przejmującem wejrzeniu oczy, miały nieruchomość i metaliczny połysk ocz krótkowidzów; gdy jednak pan de Parski myślał albo mówił pod wpływem jakiego uczucia lub wrażenia, magnetyczna siła i koliste promieniowanie jego wzroku były nie do zniesienia.

W twarzy i w całej z resztą postaci młodego człowieka wyczytać można było znudzenie; na ustach sarkatyczny uśmiech błąkał się nieustannie; w głosie dość niskim, lecz z tem wszystkiem silnym i dźwięcznym, odbijała się gorycz i lekceważenie.

Czarne, balowe ubranie było bardzo starannie wykończone; chód i ruchy znamionujące ogromną pewność siebie, ale i pewną arystokratyczną swobodę, oznakę iż p. de Parski w wykształconych przebywał sferach.

Wchodząc do pokoju, skłonił się lekko towarzystwu, podał białą, miękką, kobiecą prawie rękę pani de Marevelles i przystępując do leżanki, na której Marja siedziała, złożył tej ostatniej ukłon głęboki.

Ukłon ten, w oczach wprawnych dostrzegaczy, za zupełną mógł być wzięty impertynencję.

— Jakże dziś zdrowie pani? — rzekł spokojnie, obrzucając swą błyszczącą źrenicą postać dziewczęcia.

— Jak pan widzi, czuję się lepiej. . . .ale, dla czego tak późno? — szepnęła po chwili.

— Odpowiadałem na listy z kraju. —

— Pewno od matki? —

— Nie pani. —

Usiadł przy niej i zniżając głos:

— Jestem na rozkazy. . . .

— Gotów na wszystko?

— Zupełnie!

— O! szczególny z pana człowiek! — ciągnęło dziewczę schylając głowę, aby uniknąć przejmujących spojrzeń mówiącego — wiesz jednak, że cię nie kocham, i że żoną twoją nie będę nigdy. . .

— Już mi to pani przed miesiącem na tem samem miejscu wręcz wypowiedziała — przerwał Edward zmieniając postawę i lornetując obojętnie binoklem w stronę salonu. — Powtórzenie więc tej grzeczności jest zbytkiem dobroci ze strony pani . . . . zresztą. . . . —

Zatrzymał się w połowie zdania.

— Skończ pan, proszę! — rzekła Marja. — Masz dziwny sposób mowy; zawsze jakaś tajemnica słowa i czynu. —

Wstał i błyskawicą, aby nie zwracać uwagi obecnych osób, rzucił na kolana panny de Marevelles mały zwitek papieru.

Zwitek ten zniknął również błyskawicą w rączkach pięknej hrabianki.

— List? szepnęła. —

— Tak, ale pani.

— Mój? do kogo?

— Do Naniny. Znalazłem go przypadkiem na gerydonie w jej pokoju, a zaczyna się od słów. . . . —

Marja, która dotychczas w pół odwrócona siedziała, zwróciła się zupełnie twarzą do Edwarda.

Na lica jej wystąpił ciemny rumieniec.

W czarnych oczach łzy.

— Pan mnie zabijasz! . . . — szepnęła zaledwo dosłyszanym głosem.

Wzruszenie trwało chwilę tylko.

Wejście jakiejś damy sprawiło ruch w salonie, i podczas gdy gospodyni domu powstawała by ją powitać, panna de Marevelles już odzyskała pewność w głowie i zwykłą bladość twarzy.

— Dziś jeszcze — rzekła chłodnym tonem — przychodzi mi na myśl owa rozmowa; a powiem prawdę, że nie zbadałam dla jakich przyczyn pan mi się wtedy oświadczyłeś. —

Nieznaczny uśmiech okazał się na licach młodego człowieka i biorąc rękę Marji, wypowiedział z rodzajem pewnego uczucia w głosie:

— Sądziłem iż będę mógł przyzwyczaić się do pani powoli, a nawet . . . . pokochać szczerze, prawdziwie. . . . Zresztą, pani de Marevelles pierwsza mi tę myśl podała. —

Na to imię, które jako córce drogiem by jej być powinno, poruszyła się niecierpliwie dziewica, rzucając przelotne spojrzenie ku stronie hrabiny.

W tem spojrzeniu były, nie śmiem powiedzieć nienawiść i wzgarda, ale żal i jakby cień wyrzutu.

Rozmowa ta cała między dwojgiem młodych ludzi była tak szczególną, iż ją podaję zupełnie dosłownie.

— Czy raz jeszcze mam powtórzyć, com już wtedy panu wypowiedziała? . . .

— To daremno, bo nie uwierzę!

— Lecz ja przysięgam panu, że to prawda! Pojmujesz, młoda dziewczyna nie mogła by podobnego wymówić kłamstwa: Ja go kocham! —

I podniosła znów blądwłosą główkę, topiąc mu w twarzy badawcze spojrzenie.

Pan de Parski ani drgnął, ani głosu nie zmienił, tylko uśmiechając się odpowiedział:

— Winszuję pani serdecznie.

— Kocham szalenie, nad życie, całą duszą, całą potęgą, uczucia jakie jest we mnie. —

I znów rumieniec wypłynął na blade lica mówiącej, a wzrok nieopisaną zaiskrzył namiętnością.

— Więc pani jesteś szczęśliwą?

— Pan wiesz że nie . . . . kocham go aż do poświęcenia, któreby przed zbrodnią się nie cofnęło i to właśnie moje nieszczęście. . . . —

— Nie pojmuję!

— O! pojmiesz mnie pan dość wcześnie jeszcze, aby . . . żałować, żeś mi wtedy na balu rzucił w twarz niegodną człowieka honoru obrazę. Pamiętam dosłownie: «zimno badając charakter pani, nabyłem przekonania, że to co ludzie sercem nazywają, w piersiach pani się nie znajduje . . . .» Prawda? . . miałeś pan odwagę mi to powiedzieć. —

Rozmowa toczyła się pół głosem.

Marja i Edward na pozór byli obojętni.

Lecz trzeba znać usposobienie francuzek.

Pod maską spokoju, chwilami tylko uwydatniały się przelotne błyski uniesienia; we wnętrzy jednak była burza w całej swej powadze i w całej grozie.

Polski język nie posiada ani stosownych wyrażeń, ani odpowiednich zwrotów niezbędnych w tym rodzaju na przemiany kąsającej i roskosznej pocałunkami uczucia pogawędki, którą francuzi «causerie de salon» nazywają.

Pogawędka podobna pociesza i do rozpaczy przywodzi, ożywia jak rosa kwiaty i pali znów jak płynne lawą promienie stepowego słońca.

Obojętny, słuchając rozmowy tych dwóch istot, mógłby powiedzieć:

«Dwoje szalonych: bredzą!»

Tak jednak nie było.

Rozmawiali, i w tej potocznej salonowej pogawędce czuć było walkę. Walka zaś była potrójna: miłości, obowiąsku i przeszkody.

Na słowa Marji: «i pan miałeś odwagę, mi to powiedzieć» Edward odpowiedział obojętnie:

— Prawda zawsze nam się przykrą wydaje. Napój to zdrowy, ale . . . nieprzyjemny. —

Zdanie powyższe wyrzekł z takiem szyderstwem i tak chłodno obrażającym tonem, iż Marja, blednąc gwałtownie, zaledwo wymówić zdołała z jakąś dziwną i dla nikogo niezrozumiałą boleścią w głosie:

— Ach gdybym miała matkę! . . . —

Po chwili rozmowa odmienny trochę przybrała kierunek.

— Czy pan spełnił moją prośbę i zajął się losem pani Zapolskiej?

— Mówiłem w tej sprawie z prefektem a nawet, jeśli pani rozkaże, napiszę list do kapitana Bon-Dieu i spółki.

— Więc i pan go tak nazywa? . . . — rzekła Marja uśmiechając się mimowolnie. — Ale dla czego: i spółki?

— Czyż wielebny ojciec Józef i pani de Bretitzel nie należą do towarzystwa?

— Prawda! wczoraj nawet wszystko troje byli u mamy, i szanowny kapitan, jak zwykle zresztą, nie oszczędzał pana wcale.

— To już długo trwać nie będzie, bowiem mam nadzieję, że wkrótce znajdę środki na zgniecenie tego człowieka. Ale, wracając do rzeczy, zwracam uwagę pani na wczorajszą naszą rozmowę i mam honor oświadczyć, iż jestem na usługi.

— Więc pan, mimo że wiesz dokładnie, iż ci żadnej nadziei zrobić nie mogę, uczynisz jednak zadość prośbie mojej? —

Edward skłonił głową, na znak potwierdzenia.

— Z powodu?

— Bo się nudzę! — była lakoniczna i sucha odpowiedź.

— A czy narażenie życia by pana rozerwało?

— W tej chwili, niezmiernie.

— A . . . . . śmierć? — szepnęła, tłumiąc rozruszenie dziewica.

— Uwolniła by mnie od widoku ludzi bez honoru i kobiet bez serca! —

Marja podniosła głowę, i patrząc w oczy młodemu człowiekowi:

— Czemu się pan otaczasz podobnemi istotami? — wymówiła łagodnie.

— Nie nauczono mnie za młodu pogardzać drugiemi, a że dzisiaj to jest w modzie, i może jednym z warunków bytu w naszych towarzystwach, więc dopełniam braki pierwotnego mego wychowania. —

Po biednej główce Marji dziwne, najrozmaitsze przebiegały myśli.

— Pan wiele cierpieć musiałeś, że z taką przemawiasz goryczą — odparła po kilku chwilach milczenia. — A może tylko dla niepojętych dziś dla mnie celów, chcesz się przedstawić gorszym niśli jesteś nim w istocie.

— W zupełnym pani błędzie; zwykle mówię to co myślę; jeżeli zaś grzeszę, to zbytnią otwartością i zaręczam pani, gdyby nie wiara w przyszłość. . . .

— Czy w pańską?

— O, nie! w przyszłość Polski! —

Tu rozjaśniło się chmurne spojrzenie Edwarda i twarz dziwną błysnęła pogodą.

Podobny wyraz nadaje tylko wiara silna, głęboka, niewzruszona.

Rozbitki na morzu mają podobną w . . . krzyżu.

Tylko że wiara w ojczyznę wznioślejsza.

Dla czego?

Bo rodzinna ziemia istnieje dawniej niż krzyż.

— Więc dla niej? — szepnęło dziewczę.

— Tak pani.

— O, szczególni wy ludzie, Polacy. Kraj rodzinny waszem życiem, jemu tylko serca i myśli poświęcacie.

— To nasz obowiązek.

— A jednak . . . . ofiara, którą od pana wymagam, śmiercią się zakończyć może . . . . cóż wtedy? —

Młody człowiek powstał i rzekł z podobnym pierwszemu głębokim ukłonem:

— Wszak pani zna przysłowie: kto nic nie waży, nic nie ma. . . . Jestem więc, jeszcze raz to powiadam, na rozkazy. Z resztą. . . .

— Z resztą?

— Mam silną wiarę, że podobnie licha śmierć nie jest mi przeznaczoną.

— Pan więc wiesz o co chodzi?

— Wiem. O spotkanie z p. de Gontarin. Obraził panią śmiertelnie i wdzięczny ci jestem, Marjo — dorzucił cicho — że mi powierzasz tę sprawę.

— Pan bijesz się na szpady doskonale, prawda?

— Tak, jednakże gdyby pani wiele na pozbyciu się mnie zależało, mógłbym się bić mniej dobrze niż zwykle.

— O, panie Edwardzie! . . . —

Panna de Marevelles, na której lice śmiertelna bladość wystąpiła, wyrzekła słowa powyższe z takim wyrzutem i mimowolnie tak głośnym tonem, iż się wszyscy w budoarze ku niej zwrócili.

Hrabina rzucając piorunujący wzrok na córkę, rzekła z pewnym przekąsem:

— Pan de Parski ma szczególną przyjemność sprzeciwiania się na każdym kroku mojej Marji. Potem, miarkując głos i spojrzenie — cóż jej pan znów takiego powiedziałeś? — zapytała.

— Dziecińswo, pani hrabino, lekka uwaga co do stroju panny Naniny O . . . . na wczorajszym balu, tak dalece obruszyła córkę pani. —

Marja siedziała teraz pochylona, z zarumienioną twarzą, bo czuła, że ją uważają.

Łzy błyszczały w jej pięknych oczach.

Czyżby Edward, dla pewnych, sobie tylko znanych celów chciał narazić dziewicę.

Wątpiemy; w każdym jednak razie, jeżeli to było jego zamysłem, dokazał swego, bowiem kilka pobożniejszych dam towarzystwa uszczypliwe nad wykrzykiem hrabianki robiło uwagi.

Szczęściem że kilku odchodzących do domu gości rozerwało zajęcie zebranych.

Marja de Marevelles skorzystała z tego. Podnosząc się z leżanki, na której cały czas siedziała i gwałt sobie zadając, aby nie wybuchnąć płaczem w obec pozostałych gości szepnęła:

— Panie Edwardzie, ostatnie słowo! Wybrałam pana za obrońcę, bo nie mam nikogo, ktoby stanął przeciw tym co mnie nienawidzą. Brat mój daleko: dziś jednak do niego napiszę, żeby wziął urlop i wrócił z Algerji; pana zaś zaklinam zapomnij tę sprawę. —

W odpowiedzi p. de Parski skłonił się Marji głęboko i przystąpił do rannego towarzysza p. de Gontarin.

W położeniu, w jakiem była podówczas Francja, najazd Teutonów był we wszystkich towarzystwach prawie przedmiotem rozmowy.

P. de Gontarin i jego przyjaciel przypominali sobie chwile spędzone w obozie.

Po wymianie zwykłych u francuzów grzeczności i Edward wziął udział w pogawędce.

Następnie, powoli, zwracając rozmowę na ostatnie dnie walk drugiej armji Loary, zakończył pogardliwem wyrażeniem się o bataljonach ruchomych delfinatu.

— Była to, mówiąc między nami, zbieranina tchórzy! — zawołał zwracając się się do p. de Gontarin.

— Nie wszyscy panie! — odparł cierpko tak widocznie zaczepiony.

— Prawie wszyscy, a głównie czwarty bataljon ruchomy, który zaraz, w chwili pęknięcia granatu, poszedł całkowicie w rozsypkę. —

P. de Gontarin, blady jak ściana, przystąpił tuż do mówiącego i rzekł półgłosem, lecz z zaledwo tłumionem uniesieniem:

— P. de Parski, przez wzgląd, że służyłem w tym bataljonie i że to byli ludzie pierwszy raz w tak okropnym ogniu, zechcesz odwołać rzuczoną nam obelgę. —

Edward podniósł dumnie głowę i nadając rysom swej twarzy nieruchomość maski prawie, odpowiedział:

— Niech pan vice-hrabia de Gontarin nie zapomina, że ja nigdy nie odwołuję tego, co wyrzekłem z przekonania. —

I odwrócił się do Marji, która właśnie powracała do budoaru.

Dziewczę, już trochę uspokojone, choć nie było obecne rozmowie młodych ludzi, poznało jednak z piorunujących spojrzeń, które p. de Gontarin rzucał na przeciwnika, że Edward spełnił swą obietnicę.

Nienawiść jaką panna de Marevelles czuła do przeciwnika Edwarda znikła w jednej chwili; zapomniała także i Parskiemu sprawionego jej dopiero smutku. Na myśli miała tylko spotkanie . . . krew . . . śmierć może.

Ruch w buduarze pomógł jej do rzucenia kilku słów Edwardowi bez ściągnięcia uwagi ciekawych gości.

— Panie de Parski — szepnęła błagalnym głosem, odrzucając pełnym wdzięku ruchem ręki ślicznie spuszczone warkocze, które jej się na pierś zabłąkały — mimo iż krzywdę, straszną krzywdę wyrządził mi p. de Gontarin . . . . ja przebaczam . . . .

— To bardzo ładnie z pani strony — odparł młody człowiek z uśmiechem.

— Więc zaklinam pana — mówiła dalej dziewica — i ty przebacz . . . . zapomnij . . . . odwołaj! . . . .

— Ja, ja mam odwołać? . . . . — wymówił Edward.

Marja raz tylko rzuciła okiem na twarz jego i widocznie, choć ze strony uporu znać go musiała dokładnie, bo nic na ów wykrzyk nie odpowiedziała.

. . . .
. . . .
. . . .

O pierwszej z północy, towarzystwo rozchodzić się zaczęło.

Parski, ostatni z gości, odprowadzony został aż do drzwi przedpokoju przez hrabinę.

Tam, wzięła go za rękę i ściskając ję w swojej:

— A jutro czekam jak zawsze . . . prawda, o drugiej? —

Zapytany zrobił lekki, niedojrzany prawie ruch niecierpliwości i znudzenia, i rzucając okiem badawczo po salonie, skłonił twierdząco głową.

Kierunek wzroku Parskiego nie uszedł baczności pani de Marevelles.

— Mimo wszystkiego co niegdyś mówiłeś, Edwardzie, głos jakiś wewnętrzny, może przeczucie bliskiej katastrofy, ostrzega mnie, że . . . . skłamałeś. Edwardzie! ty kochasz moją Marję?

— Dziecko z ciebie Leonjo. Gdyby panna de Marevelles umiała wzbudzić we mnie głębsze jak prostej przyjaźni uczucie, dziś już była by moją żoną.

— Edwardzie! . . .

— Wszak tyś mi pierwsza myśl tego związku podała. —

To powiedziawszy, nie czekając odpowiedzi, skłonił się hrabinie i wyszedł.

Z pod uniesionej z lekka jedwabnej zasłony salonu, wychyliła się jasno-włosa główka hrabianki.

I dziewica wróciła zaraz potem wolnym krokiem do swego pokoju, powtarzając półgłosem i prawie ze łzami:

— Moja matka go kocha . . . ale on? — . . . .

Nazajutrz, o czwartej po południu, w zbrojowni jednego z słynniejszych adwokatów miasta X. dwóch młodych ludzi zrzucało surduty i zawijało starannie rękawy koszul, gdy tymczasem czterech innych, w których liczbie sam adwokat, mierzyło długie trójgraniaste szpady, o pełnych metalowych zasłonkach na rękę.

Potem, jeden z nich rzucił pod sufit napoleona wołając:

— Orzeł broń wybiera i atakuje. Dla pana Parskiego! —

Pieniądz padł orłem do góry.

Gdy wyzywający się stanęli na pozycji, przeciwnik naszego rodaka opuścił koniec swej broni ku ziemi i zawołał:

— Jeżeli p. de Parski odwoła oszczerstwo na mój batalјon rzucone. . . .

— Nigdy, tego co raz powiem, nie odwołuję! — odparł pełnym wdzięku głosem i z grzecznym ukłonem Edward.

— Alors Messieurs, en garde! — wygłosił poważnie adwokat, potem:

— Un, deux, trois . . . . allez Messieurs! —

I broń skrzyżowała się z metalicznym, lecz trochę głuchym, właściwym stali dźwiękiem.

To trzeciem przejściu, de Parski cofnął się krok jeden w tył i zniżając broń, szepnął do sekundantów:

— Czy panowie wiecie, że to, na śmierć? —

Wyraz niemal podziwu wymalował się na twarzach obecnych.

— Ułożyliśmy, że tylko do pierwszej krwi bić się panowie będziecie — odpowiedzieli po chwili namysłu.

— Tak, ale pierwsza może być i ostatnią — szepnął Parski, podnosząc na nowo koniec szpady.

Teraz p. de Gontarin atakował.

Sześć razy broń jego szarpnęła korzutę przeciwnika, ale ciało zostało nienaruszone.

— Vive Dieu, finissons ce jeu, monsieur! — zawołał bezprzytomny prawie, widząc udaremnione swe zamiary, i rzucił podwójną tercję z wyskokiem.

Delikatna dłoń Parskiego schyliła koniec broni i szpada przeciwnika świsnęła w próżni.

Pchnięcie jednak było tak na pewno obrachowane, że pan de Gontarin tracąc równowagę pochylił się na przód cały.

Edward z strasznym spokojem nadstawił szpadę.

Wice-hrabia zachwiał się — wypuścił broń i upadł na kolana.

Gdy obecni pojedynkowi sekundanci i doktór przyskoczyli, nieszczęśliwy miał już usta pełne krwi; w piersiach, pod prawą brodawką, trójkątną, zaledwo dojrzaną rankę.

Doktór, po wymyciu jej i opatrzeniu podniósł się i zawyrokował półgłosem:

— Jeżeli p. de Gontarin tej nocy nie umrze, to ma siedm miesięcy łóżka i zdrowie stargane na zawsze. — De Parski stał obojętnie z wzrokiem zwróconym ku oknu, z założonemi na krzyż rękami.

— Zabiłeś go prawie Edwardzie — szepnął adwokat z pewnym rodzajem smutku w głosie — a jednak. . . —

Coś jakby łza błysnęło w ponurej źrenicy młodego człowieka.

Mówiący dostrzegł ją i umilkł, nie kończąc zaczętego zdania. —

II.

W godzinę potem panna służąca hrabianki de Marevelles oddawała swej młodej pani zapieczętowany bilet, przez umyślnego przed chwilą przyniesiony.

— Dobrze Zofjo, zostaw mnie samą! — rzekła Marja łamiąc pieczątkę.

— To od pana (c'est de monsieur)! — dodała poufale i z pewnym naciskiem garderobianka.

— Zostaw mnie samą! — była ponowna, cierpka odpowiedź dziewicy.

— To od pana! — z gorzkim uśmiechem, po wyjściu służącej powtórzyła panna de Marevelles. Tak jakby już tu rządził rzeczywiście. — Ale co mi pisać może? —

I drżącą ręką rozwijając list, przeczytała co następuje:

— Pani!

W tej chwili wracam od Adwokata S. . . ., w którego mieszkaniu załatwiliśmy wczorajszą sprzeczkę.

Pan de Gontarin przebił się samochcąc prawie ostrzem swej szpady, ale . . . . żyć będzie z pewnością. Co zaś do mnie — uspokój się pani — wyszedłem cały i bez najmniejszego zadraśnięcia.

Życzliwy

Edward. —

P. S. Są osoby, które zapewne wiadomość, że żyję bardzo zasmuci. To trudno! Robiłem co ludzko możebnem było, aby się dać ciężko zranić przynajmniej, lecz mój przeciwnik był tak niezręczny. . . . —

Blanka parę razy cierpki ten list odczytała; każde zdanie, każdy niemal wyraz zostały rozważone i wryły się głęboko w pamięć dziewczęcia.

Nad wiek dojrzała i wykształcona, żyjąc od dzieciństwa w towarzystwach, w których fałsz jest cnotą a udawanie

jedną z pierwszych zalet tak mężczyzn jak i kobiet, panna de Marevelles sądziła, iż pilnie śledząc charakter pisma, zaokrąglenia niektórych liter, z resztą cały skład jego techniczny, wykryją z łatwością czy p. de Parski pisał list swój bez namysłu i że powiemy prosto z myśli i z serca, czy też układał starannie wyrażenia, mierząc ich prawdopodobną donośność i tylko w chęci sprawienia jej, Marji przykrości.

Pismo to jednak było niezbadane.

Pociągłe, lekkie, skreślone z całą starannością dobrego tonu, miało kierunek pochyły i kształty liter pewną ręką zakreślone.

Był to sfinks, zagadka, której dziewczę rozwikłać nie zdołało.

Ze łzami gniewu i smutku zarazem zmięła list Parskiego i rzuciła do kominka.

— Ach, ten człowiek! — szepnęła schylając głowę na piersi — on mnie wkrótce serca i rozumu a może i sumienia pozbawi! Gdyby jednak to pismo bezimienne, fatalny zarzut nędznika, było prostym wymysłem kapitana lub ojca Józefa tylko? . . .

— Lecz nie — dodała uśmiechając się z goryczą . . . . — wszak sama dość słyszałam . . . . a jednak . . . . o Boże! gdybym się mogła omylić! —

I głos zniżając — ja go tak kocham, tak kocham! — szepnęła.

W głębi dziewiczego przybytku był modlnik, nad nim krzyż z Chrystusem, arcydzieło dłuta Benwenutego Celini.

Marja rzuciła się na kolana.

Lubię modlące się kobiety.

Lecz nie w kościele, na wielkiej mszy, czytające z złoconych brewiarzy nasze jawnie pobożne damy; i nie tę wiarę, której przedstawiciele grożąc nam wiecznem potępieniem, wołają ochrzypłym z trwogi i nienawiści głosem:

«W niej tylko zbawienie! Drżyjcie!»

Lubię jeszcze myśleć, i chciałbym, żeby i drudzy myśleli.

Gdy widzę niewiastę samą w przestrzeni, u stóp Chrystusa, z załamanemi dłońmi, z okiem wzniesionem do nieba, na kolanach i z szeptającemi gorącą modłę usty, uchylam głowę z sympatją i pokorą.

To powaga modlitwy.

Bo życie ma kierunek stały: ku szczęściu.

Marzenie i prośba skracają drogę, a modlitwa jest niczem innem jak nadzieją wysłuchania.

W dniach wesela o stałość pogody.

W dobach smutku o rozwianie mgły niedoli.

Zupełnie jak w snach.

Dziecię np. mówi: błąkam się po woniejących kwiatach, ach . . . nie budźcie mnie!

Człowiek modlący się, marzy nieraz naiwniej niż dziecię, a tym, którzy kwiaty na jawie znają tylko z nazwiska lub niezmiernego oddalenia je widzą, Bóg dał modlitwę snu i czarującą woń złudzenia.

Modlitwa niewiasty szczytniejszą jest od każdej innej.

Może dla tego że niewiasty życie, to życie drugich.

Stąd i prośba kobiecego serca jest zawsze dla drugich.

Nawet gdy dla siebie. . .

Kościół, napełniony wyelegantowaną i bijącą się w piersi czernią, budzi we mnie gniew, wprowadza na usta uśmiech szyderstwa . . . tuż za nim gorzki sarkazm niewiary.

W samotnym pokoju modła u stóp krzyża wzrusza mnie.

Czasem aż do łez.

Dwa wspomnienia:

Matka moja modląca się w ojczyznie.

Szubienice, stosy, topór, proskrybcje, trucizna, sztylety i . . . pomsta tłumów ciemnoty.

Ona — za syna.

Oni — dla złota.

Nad modlącą się matką i hulaszczą zgrają — Bóg!

Dwie ofiary z dni postworzenia.

Dwa błąkające się dymy.

Ku niebu i ku ziemi.

Mówiłem zbiorowo . . . . bowiem w wyrazie matka wszystko się zawiera.

Równie jak i w szubienicy.

Dwie przeciwniczki . . . dwie miłości . . . dwa odmienne bieguny.

Tylko w odwrotnych kierunku jak ziemi, bo po prawej i lewej stronie z twarzą ku słońcu.

Walka wschodu z zachodem.

Marzenie wolności i ucisku. Lepiej może: miłości i zatracenia.

Mówicie: kościół jest Boży.

To fałsz.

Miłość jest bożą, a jej kościół w sercach miljonów.

Pierwszy runie.

Drugi . . . . . . zostanie.

Marja więc, jak mówiliśmy, rzuciła się do stóp krzyża, a wiemy że kochała.

Dusza rozmawiająca z Bogiem.

«Panie! szeptała, znasz przeszłość moją. Otoczona rodziną, a bez rodziny, na rękach matki, lecz pozbawiona pocałunków i lubej pieszczoty macieczyńskiego uśmiechu, czułam się nieszczęśliwszą niż ci, co są sami na świecie, bo byłam i jestem jeszcze . . . samą wśród swoich. W życie moje, zaledwo powstające z dzieciństwa, wprowadziłeś człowieka. I stanął między mną i matką moją tak, że dziś kochając go muszę zmienić obojętność dla obojętnej matki mojej w nienawiść. Bo czuję że z chwilą, gdy me serce zabiło, zostałam kobietą; doszłam do kresu przy którym kończą się bezpowrotnie związki krwi, a zaczyna pośredni związek uczucia. Potężniejszy na wszystko Panie mój! ja kocham tego człowieka i życie bym dała aby zbadać głąb jego serca. Mam charakter szalony, w piersiach płomienie i w żyłach ławę wulkanu; dziś walczę i mówię ze łzami: to matka moja wydziera mi szczęście całego życia. Jutro ulegnę może.

Panie! oświeć mnie! powiedz co czynić.

Miłość jest Tobą, więc ani przestać go kochać ani zapomnieć nie mogę.

Panie! ja mam szaloną myśl w głowie . . . . O! spraw, niech on mnie kocha! —

Tu dziewica schyliła głowę na krawędź modlnika.

I była długa chwila milczenia... ta modlitwa zastanowień która nas kieruje w życiu.

Wielom z czytelników moich powyższe ustępy wydadzą się przesadzone a sytuacja nieprawdopodobną może. I wielu z was zawoła:

«Dla tak błachej przyczyny nie potrzeba tyle zachodu i takiego stylu.»

To niesłusznie.

Wszak całe życie składa cię tylko z tych błachych przyczyn i działań, a wierzcie mi, często rzecz jakaś pozornie żądnej nie mająca doniosłości — czyn bezbarwny — stanowią o losie osobistości, a zbiorowo o losie całych ludów.

Dziewica podniosła się z modlnika domawiając cichym głosem: jutro się moja przyszłość roztrzygnie.

Potem, powstała i siadając w fotelu, dobyła z małej obok na stoliku bejżącej szkatułki, portret Parskiego w kosztowne ramki oprawiony.

Po długiem wpatrywaniu się w twarz ukochanego, rzuciła badawczym wzrokiem na zasłonę podwoi prowadzących apartamentów, i koralowe usta z roskosznym szmerem przylgnęły do fotografji.

Zasłona uniosła się lekko i natychmiast zapadła na nowo; lecz hrabianka nic nie widziała.

Cała drżąca z ciemnym rumieńcem na twarzy i okiem zamglonem przeczuciem upojenia, trzymała portret w ręku i upornie mu się przypatrywała. . .

Gdybym się nie lękał zostać posądzony o tendencyjne szerzenie niemoralności powiedziałbym. . . .

Ale u nas z innego stanowiska rzeczy podobne się opisuje:

Dekorum w słowie.

Ja wolałbym je w czynie.

Stąd uwaga że wychowanie Amerykanek i Angielek o wiele lepsze.

Skutki zaś czuć cię dają w wolności tych krajów.

Wiedza — to rzecz ludzi.

Czystość — dar boży.

Połączenie nazywamy cnotą.

Czystość bez wiedzy, to djament ciekącej wody rzucający ponętne błyski, przyciągające świateł strumienie.

Lecz spytajmy djamentu czy wie na co służy, czemu lśni i zachwyca.

Kamień niemy.

Tak jest: czystość graniczy bezpośrednio z djamentem a wiedza tylko od śmieszności ocala.

W ojczyznie mojej nie Ponson de Terail, Goboriau, Feuillet i inni demoralizują, ale. . . . . . .

Nie miałem na myśli konfesjonału: za to ręczę prawie. Tylko chciałbym widzieć Spartanki w mej ojczyznie.

Na portret Edwarda spadł drugi, gorętszy pocałunek.

Nie wiem, ale sądzę, jeżeli piękną jest jaka dziewica, wdzięki jej stokrotnie się pomnażają, gdy je miłość opromienia.

Zgadzając się zupełnie z nowemi teorjami określającemi znaczenie uczucia, zapatrując się na miłość, ten prosty pociąg jednej płci da drugiej, jako na zwyczajne prawo przyrody i pierwszy, konieczny warunek naszego bytu, który się pod różnemi postaciami objawia, stosownie do usposobienia osób działających, nie mogę jednak zaprzeczyć, iż w kobiecie przybiera on wybitniejszą niż w męzczyznie postać wdzięku i harmonijnych barw słodyczy.

Przyrodzony pociąg przyodziewa się tam w prawdziwie cudowne szaty delikatności.

To leży w wychowaniu i odzieży, w zaszczepionych za młodu pojęciach o skromności i wstydzie.

Dziewczyna wie że skończy oddaniem się zupełnem, i właśnie to urok tej pół-walki, nadziejami przepełnionej, nadaje twarzy i całej postaci coś rzeczywiście idealnego.

Pragnienie szczęścia i wiara w to szczęście powstałe z przyrodzonego, w całym organiznie krążącego choć niedokładnego jeszcze pojęcia o ziemskiem niebie.

Melodja roskoszna, dopełniająca roskoszne słowo.

Marja de Marevelles, w białym wieczornym negliżu, z rozpuszczonym włosem i zarumienioną lubemi myślami twarzą, typ prawdziwie doskonałej przedstawiała piękności.

Czarne jej oczy, o matowym połysku aksamitu, słodkie i zwykle łagodne, mówiły teraz: kocham i chcę kochać koniecznie.

Miękko rzucona w obszerny fotel marzyła, cisnąc drobną rączką różowe, sfalowane uniesieniem łono. I z pewnością nikt nie poznałby w tej wdzięcznej postaci błąkającego się upornie w snach o szczęściu dziewczęcia, owej wątłej i bladej panny de Marevelles, o której mówiono ogólnie iż do lat dwudziestu dożyć nie będzie w stanie.

Miłość odradza i rozgrzewa zarazem.

Dwa przymioty Boże.

Upojenie chwilkę jeszcze trwało.

Potem — schówała za gors fotografję Edwarda i zadzwoniła.

— Zofjo! zapytała wchodzącej służącej, czy p. de Parsk jest u mamy w salonie?

— Nie pani! pan Edward nie był tu nawet o drugiej, choć to zwykła jego godzina, ale za to, punkt o 4tej przyniesiono dla pani hrabiny bilecik i widziałam jak pani, która wtedy była w swej sypialni, po przeczytaniu go zbladła okropnie i kazała aby René natychmiast założył do powozu. . . .

— A więc mamy nie ma teraz w domu? — przerwała niecierpliwie Marja.

— Pani hrabina jeszcze do hotelu nie wróciła.

— To dobrze Zofjo. Przygotuj mi kostium różowy i poślij kogo po pannę Zapolską, bo po obiedzie do teatru pojedziemy.

— Gdybym śmiała, powiedziałabym coś panience — szepnęła raptownie Zofja.

Hrabianka podniosła głowę.

— Pani pojechała na ulicę Ś. Heleny — słyszałam adres rzucony René' mu . . . .

. . . .

. . . .

W parę chwil później, spostrzegamy Marję wchodzącą do sypialni pani de Marevelles.

Zachwycające to i pełne gustu było schronienie.

Jasno błękitne, z ciężkiego aksamitu draperje, podniesione i przypięte złotemi rozetami nad portretami rodziców hrabiny, cały pokój okrywały. Na podłodze, olbrzymi perski kobierzec; do koła leżanki i niskie fotele, w głębi tualeta — po przeciwnej zaś stronie, w umyślnej, obszernej framudze, eleganckie mahoniowe łoże z ciężkiemi jedwabnemi kotarami. Obok ruchoma etażerka pełna książek i dzienników. W oknach, przeciw zwyczajowi ubierania sypialń w ogóle, całe piramidy prześlicznych i w pełni rozwoju zwrotnikowych kwiatów.

Na dywanie, przed czarnym marmurowym kominem, na którym wierzch zegaru ozdobiony był przecudną rzeźbą z różowego marmuru, przedstawiającą Ledę z jej ulubionym

łabędziem (grupa zbyt gorsząca może, lecz nieoceniona pod względem artystycznego wykonania) drzemała, leżąc, olbrzymia czarna charcica hiszpańska.

Na wejście hrabianki śliczne zwierzę zwróciło inteligentną głowę o czarnem i skrzącem spojrzeniu, i z nieporównanym wdziękiem podniosło łapę, podając ją jakby do uściśnienia.

— Ach! Fatma tutaj! — wymówiła głaszcząc ją Marja — a gdzie pan twój? —

Charcica strzygnęła uszami, liżąc dłoń dziewczęciu.

W tej chwili wzrok hrabianki padł na leżący przy galeryjce komina otwarty list, który, jak się zdaje, rzucony do ognia w pośpiechu, zsunął się z bronzowych podstawek i tym sposobem ocalał.

Cała drżąca i zarumieniona ze wstydu, iż się na podobny krok odważa, schyliła się jednak i podjęła go z szybkością.

Pisany przez Parskiego do hrabiny, zawierał te słowa:

«Pani!

Nie mogąc przybyć jak zwykle, na kilka chwil miłej rozmowy, piszę tych słów parę, zaklinając panię abyś się daremnie nie trwożyła. Zresztą, wszelki opór z jej strony byłby daremny. Biję się z p. de Gontarin i... mogę być pokonany. Chciej więc pani przyjąć raz jeszcze zapewnienie, że wiem dobrze iż pani jedna, nietylko żadnej nie sprawiłaś mi przykrości, ale zawsze okazywałaś mi przyjaźń i współczucie. Szlachetności tej nigdy nie zapomnę, i jeżeli w tej chwili odpędzam od siebie widmo śmierci, to dla tego tylko, że umrzeć dzisiaj byłoby to rozdzielić się z panią, a ja czuję że ofiara podobna jest nad moje siły.

E. P.»

List ten jeszcze nie był do końca doczytany, gdy lekki szelest za jedną z zasłon przedpokoju zwrócił uwagę Marji w tę stronę.

Fatma zerwała się raptownie.

Zanim jednak dziewczę zdążyło schować podchwyconą korespondencję, zasłona się uniosła i Parski wszedł do sypialni.

W pół-świetle panującem w pokoju i bardzo zbliżonem do mroku, przybyły nie mógł natychmiast rozeznać przed-

miotów, biorąc więc pannę de Marevelles za hrabinę, szepnął półgłosem:

— Czy jesteś samą Klemencjo? —

Dziewczę jednym rzutem znalazło się przy środkowem balkonowem oknie i rozsunęło błękitne zazdrostki. Parski spostrzegł od razu swą pomyłkę. Wzrok jego spocząwszy chwilę dość obojętnie na Marji, zatrzymał się na liście, który znów upuszczony leżał na kobiercu.

Młody człowiek postąpił parę kroków naprzód, podjął go i podał z ukłonem.

— Przepraszam że przerwałem czytanie ale.... sądziłem iż mamę pani tu zastanę, inaczej, nigdybym był nie śmiał spłoszyć pani w sposób tak niemiły. —

Panna de Marevelles utopiła chwilę wzrok swój przenikliwy w oczach mówiącego.

Daremne usiłowanie. Piękna twarz Edwarda była nieruchomą i wzrok zupełnie spokojny.

Wtedy — jakaś dziwna energja błysnęła w oczach hrabianki.

— Ja muszę z panem mówić na osobności — szepnęła, biorąc go za rękę.

Przelotny, zaledwo dojrzany uśmiech przebiegł mu po twarzy, i odparł z ponownym ukłonem:

— Jak zawsze, tak i teraz — zupełnie na pani rozkazy.

— Pan ją kochasz? . .

— Kogo?

— Ależ matkę moją! — krzyknęła gwałtownie Marja. — Pan ją kochasz? No, miejże choć odwagę powiedzieć prawdę raz w życiu!

— Odpowiem pani na to pytanie, gdy będziem mogli pomówić swobodnie odparł Edward uśmiechając się smutno. — Chcesz pani prawdy, wierzaj, i ja sobie jej życzę.

— A więc jutro o szóstej z wieczora, w ogrodzie botanicznym, trzecia alea na prawo. —

Parski przystąpił bliżej i pochylając się nad alabastrowem czołem hrabianki szepnął jej kilka słów do ucha.

Purpura oblała szyję, gors i obnażone ramiona dziewicy.

— Nigdy! przenigdy! — szepnęła z rozpaczą prawie.

— Gdybym prosił?

— Nigdy! —

Głośny brzęk dzwonka u wjazdowej bramy hotelu przerwał rozmowę.

Edward wziął kapelusz i patrząc na drżącą Marję:

— Więc żegnamy się na zawsze? —

Ona pochyliła piękną swą główkę w milczeniu; tylko drobna rączka zadrżała trochę w dłoni Edwarda.

Rzucił jej ostatnie spojrzenie jeszcze.

— Więc na zawsze? — powtórzył.

— Dobrze! — szepnęła zaledwo dosłyszanym głosem — o jedenastej. —

III.

Mało komu nieznane są smętne dzieje naszego powstania z lat 1863 i 1864.

Dwie walki wewnątrz, trzecia do koła — z wrogiem.

Dawniej także było to samo:

Targowica i Bar.

Branecki modlił się Moskwie — Pułaski Bogu.

Lecz modłom tym brakło życia — miłości. Były więc czcze i słabe.

Pierwsza nie mogła zdusić naszej ojczyzny, druga ocalić jej nie zdołała.

Z resztą była to walka przywilejów. Walczono tylko dla siebie.

W dniu, w którym idea swobody i zupełnego braterstwa, jak wschodzące słońce oświecą krwawy piedestał despotyzmu, podniesiemy ojczyznę z gruzów bez boju.

Do dzisiaj bowiem zawsze robiliśmy to, co i drudzy ale trochę później.

Stąd gorzkie zawody.

W 1863 roku, jak dawniej, jak jeszcze jutro może. Djogenes szukał z latarką człowieka ... my, przy błyskach rusznic szukamy sumienia.

Złota hramota ogłoszona w 1830, lub nareszcie w 1861, dawała nam w ręce kilka miljonów tygrysów. Można ich było puścić na wroga . . . ale . . . nie chcieliśmy!

Usamowolnienia wieśniaka w 1863 r. było poprostu ruchem tonącego, chwytającego za brzytwę.

Przed tem jeszcze dyktatura.

Zajmujące zdarzenie i pewno jedyne w swym rodzaju.

Ruch Styczniowy już w lutym groźne zaczął przybierać rozmiary.

Europa, może i na prawdę marzyła odbudowanie Polski.

Moskwa głowę tracić zaczynała; o co najważniejsze: wyraz «uciekinier» nie był jeszcze wynaleziony.

Wtedy trzech ludzi wyrosło z ziemi.

Jeden miał pióro — drugi złoto — trzeci . . . . blagę.

Blaga podparta piórem i złotem wyrodziła dyktaturę.

Zabawka z krwią.

Widzem była Europa cała, aktorami powstańcy, reżyserem — on.

Ale widowisko nie trwało długo.

Gladjatorowie 18-go marca zostali śród cyrku z założonemi rękami, brakło im bowiem nie dzikich zwierząt lecz wodza.

A widzowie krzyknęli: to zabawka — blaga — któż by sobie kłopotał o nich głowę.

Tak więc — Polska w 1863 r. miała tę wyższość nad Chrystusem, iż gdy tamtego w towarzystwie dwóch łotrów krzyżowano, ona miała aż trzech przy sobie.

Potem — okropny chaos.

Czternaście miesięcy podłości i cnoty, zdrady i poświęcenia, ofiary i przekupstwa, krwi i błota, spartańskiej czystości i wyuzdanej rozpusty, donosu i proskrypcji, sztyletów które nie zawsze patrjotyzm zagłębiał w łona, i szubienic co zawsze Polaków dostawały.

Dnie szaleństwa.

Następujące po nich były dnie zemsty:

Wywieszona Litwa — wystrzelana Kongresówka.

Rzeź komuny trwała trzy dni tylko — rewolucja francuska lat kilka; Polskę mordują sto lat z górą.

I nie dziw! wszak ona Niobą narodów.

Aż nastała głucha cisza rozpaczy, przerywana tylko szelestem miarowych kroków moskiewskich placówek, lub dalekim jękiem, który wiatr nosił z za sinych gór Uralu.

Wtedy, w dawnym Krakusa grodzie zjawił się wielki pan. Miał brata i matkę. Pierwszego mu go Moskwa za-

strzeliła, druga była w łzach i żałobie, o siwym włosie i smutnem spojrzeniu skierowanem w stronę Miechowa.

On powstał, plunął z pogardą na świeżą brata mogiłę, odwrócił się od matki wdowy i krzyknął naśladując do złudzenia płatnego błazna malowanego króla: Łajdaki!

Wyraz ten spoliczkował dziesięć tysięcy tułaczy z za kordonu, sto tysięcy trupów pod mogiłami bez krzyży i czterdzieści tysięcy żywych szkieletów przykutych do taczek w kopalniach chmurnej ziemi Sybiru.

Wyraz ten odbił się w łpnach wszystkich wdów i sierot: nie wymieniam liczby, bo któż je policzy?

Taki był epilog powstania i zarazem prolog do zimnej, wyrachowanej reakcji.

I znów jak dawniej:

Moskwa i Polska — kat i ofiara.

Z jednej strony srogość i ciemnota, z drugiej — ciemnota i niedola.

Nad tem toczyskiem car, mówiący z cynizmem dobrze ułożonego tygrysa: panuję! Na moje skinienie sześćdziesiąt pięć miljonów bydląt ugina karki do ziemi. Mógłbym jednem słowem zrobić z nich ludzi, ale . . . . nie chcę, bo mi tak dobrze. Jem, piję i władam . . .

Uciemiężeni znów marzą swobodę, bo ludzie zawsze chcą posiąść to, czego nie mają.

Świadkiem Saksonja i inne kraiki niemieckie:

Mieli wolność . . . nie znali knuta.

Więc na stu polach bitwy poszli przelewać krew w 1870 i 1871 latach, aby sobie wywalczyć Bismarka i wymodlić pruskie kajdany.

Kiedy im z tem dobrze! . . .

Polacy radziby dziś zgnieść Moskwę . . . . gdyby można; powinni by zgnieść carat, ale . . . . nie chcą.

Wyraz «moskal» oznacza u nas potwór. To niesłusznie. Ja bym powiedział: nieszczęśliwy.

Bo ucisk, jak i wolność łączą narody; między zaś każdym narodem a rządem, nie z łona i nie z woli narodu, istnieje przepaść.

Złotem ładowna flota na morzu krwi; a przepaści takich nic zapełnić nie może.

Dla czego? . .

Bo tłum, choćby i miał, serce wszystko zburzyć u góry, to wszystko będzie jeszcze kroplą wody w porównaniu miny przez jego katów dokonanej.

Ale . . . serce i sumienie zbliżają i jednoczą nieszczęśliwych. Przytem trochę dobrej woli i wspólnej nauki, a przedział, nawet z wyrżniętej Pragi, może być zniesiony błyskawicą.

Wiemy że istnieje wróg co nas ciemięży — mówimy: to miljony bydła.

Tak będziemy mówili drugie sto lat jeszcze — a ani jedno ogniwo łańcucha nie pęknie, ani jeden stryczek się nie zerwie, ani jeden loch nie rozwali.

Łańcuch, stryczek i loch są jak próżnie — przepaści: przyciągają. Bowiem nie ofiary dla katów ale . . . kaci dla ofiar zostali wynalezieni.

Cóż więc pomoże jęk i skarga, co nienawiść dająca się usprawiedliwić niedolą, ale — niesłuszna!

Chyba że znów, nie mając co lepszego do roboty, urządzimy nowe powstanie.

Nowe szaleństwa, a ostatniego łotra (można powiedzieć wodza, jak kto chce), nazwiemy zdrajcą. O innych powiemy dobrodusznie: poczciwcy!... taka była ich wina polityczna. Bo w szeregu opryszków koszta krwawej zabawy zwykle płaci ostatni wzięty z bronią w ręku: więc . . . poddaje się spodlony.

Tak było zawsze.

Potem pod złotem skrzydłem jakiej wielkiej damy, pojawi się: Historja powstania narodu polskiego (sic). Naturalnie nie skończona, bo na świecie ni łotrów ni nieszczęśliwych, a tem mniej, kpów i blagierów nie brakuje. Do teki błazna będzie to komentarz nie lada. Wyobrażamy sobie przyszłe tomy i ustępy np. w rodzaju tego:

«p. L. . . . wziąwszy pieniądze na uzbrojenie oddziału stupięćdziesięciu konnych, przeszedł tylko z trzydziestoma granicę.

«pp. Y. X. . . itp. poprzejadali w hotelu saskim w Krakowie narodowe pieniądze.

p. W. uciekł . . . ze skłakami za granicę.

p. U. et consortes kazali zasztyletować tylu a tylu niewinnych pod pozorem zdrady.

pp. (braknie mi wkrótce liter) pragnąc w śmieszność obrócić ruch styczniowy namówili jakiegoś tam pruskiego podoficera aby sobie przybrał tytuł Marjuszów-Cezarów; potem, celami strategicznem zniewolony, drapnął do Galicji. . .

p. T. . . . wystawił oddział, wprawdzie niezupełnie za swoje pieniądze, ale go za to nakrył kniaziów mycką i owrzeszczał w pismach tak dobrze że wszystkie kucharki Europy wiedziały godzinę i kierunek wymarszu. . .

Ludzie którzy hańbę do krwi przymięszali, żyją jeszcze, a jest ich tak wielu iż niepodobna piętnować ich teraz kreśląc smutną, bolesną prawdę upadku i niedoli.

Mojem zdaniem, jedyny środęk zbawienia: zbliżenie się do Rossji.

Gdzie wróg katem: point de quartier! jak mówiła pierwsza francuska rzeczpospolita. W obec jednak Moskwy (narodu) wywalczającej sobie stanowisko serca i sumienia, my braćmi być powinniśmy.

Dewiza: wolni z wolnymi . . . równi z równymi! bezsęs i głupota.

Jabym powiedział raczej: wolni z wolnymi, poczciwi z poczciwymi — niechby byli i moskale.

Francuzi rzucili się do niemczyzny i pochłaniają dziś literaturę wrogów, opisy ich zwyczajów, obyczajów, pojęć, zasad, kierunków, dążeń — snów nawet!

W tym razie naśladować francuzów powinniśmy.

Dzika zarozumiałość zwalczać nieznanego wroga. Bo wyraz «potwór» nie dość jasny. Potwór? . . . dobrze, ale jaki?

Gerard zabijał lwy pojedyńczą krucicą, bo znał ich naturę i obezwładniał, osłupiał wzrokiem króla pustyni.

My osłupiamy czasem szaleństwem Moskwę... lepiej jednak by nas pojęła.

Wszak tak się zaczyna miłość.

Królestwo jest jakby zamurowane; zaklęty zamek z ludowych baśni z cerberem na straży.. Siła nie na dziś, w przyszłości może.

Poznańskie: dwie walki. Brak czasu.

Ty tylko Galicjo . . . pięć miljonów mieszkańców.

Mogli by być ludźmi, gdyby mniej uczonych i mniej tych co się najmują do pisania o nich.

Ruś jest ogniwem, które nas z Rossją bratersko złączyć

może; Ruś także piorunem który polskość zgnieść zdolny na zawsze.

Za słabi do walki z olbrzymem, nienawiścią zrażamy go co raz bardziej, a krwią śladów krwi się nigdy nie zaciera.

W słowianizmie przejdziemy przez carat — to prawda... ale nam gorzej jak dziś nie będzie z pewnością.

A stokroć lepiej mieć jednego nieprzyjaciela jak trzech.

Zresztą, jeżeli Syberja knut i szubienica istnieje dla półczwarta miljona Polaków — w państwie słowiańskiem tylko konstytucja całość utrzymać będzie zdolna.

Niemcy także przechodzą teraz przez carat Berlina ale ... zobaczycie co będzie jutro.

Mówiąc prawdę, wolę ucisk Moskwy nad swobodę najwolniejszej części mej ojczyzny — Galicji — serce i sumienie sławianina co nas uciska, nad serce i sumienie tych co noszą rogatywkę i safjanowe buty.

Nad trupem przyjaciela-samobójcy z głodu i rozpaczy na bruku Lwowa, krzyknąłem w żalu:

— O! przeklęte te kraje
W których bujny siew braci
Same chwasty wydaje!
Gdzie się nędzą trud płaci....
Wzgardą słowo ze stali...
Śmiechem — prawa chęć z wiarą...

To drewniany młotek do rozbicia miedzianego czoła. Gdybym był bogiem i miał w dłoniach pioruny.... przekowałbym z pewnością. Lecz mam tylko pół władzy: potęgę słowa.

Was nawet słowo razi.

Wiem dla czego.

Słowo czasem — to postrzyżyny skazanego na śmierć.

Słyszy nożyce — poczuwa stryczek lub topór.

Że tak jest — świadkiem świeży trup Aleksandra Chodeckiego.

Namiestnictwo go wypędziło?..

Kłam!

Kornel powiedział: ręka nie miecz!

Nieszczęśliwy, miał matkę i siostrę w nienawistnej wam Warszawie.

Dziś — dwie niewiasty w żałobie, rzucają przez kordon łzy i wzgardę.

Łzy — za nim.

Pamiętam — mówił mi niegdyś — niech mi dadzą jakie polskie miasto i dziesięć minut mowy do tłumu! Wygłoszę «Romę» Zygmuntową, a z ostatnim wierszem runie cytadela; sto dział będzie zagwożdżonych.

A Galicja? . . . szepnąłem pytająco.

— Usnęliby, lub mnie wygwizdali.

Miasto X. . . . choć położone w środku prawie Francji, licznie było nawiedzane przez wychodźców polskich, którzy doń wciąż przybywali szukać pracy i chleba.

Jednego wyrzuciła policja z Paryża, drugiego długi stamtąd wypędziły, trzeci przyjeżdżał świeżo z kraju, setki zaś wracały tam po rozczarowaniu w Galicji.

Najnieszczęśliwsi, bo napojeni goryczą własnej ziemi, otruci dłonią własnej braci.

Mowiąc o Edwardzie, należącym do naszej wielkiej rodziny tułaczy, nie mogę i jej pominąć milczeniem.

Dziś więcej jak kiedyś, jak zawsze, budzi ona litość w małej liczbie szczęśliwych, wstręt u wielu, trwogę u wszystkich prawie.

Nawet cząstki jej odwracają się — wyłamują z pod ogólnego prawa niedoli i kupiwszy sobie giętkiem piórem i giętkiem sumieniem trochę chleba i szmat parę na zasycenie i pokrycie nagości ciała; trochę uczuciowych wyrażeń i kościelnej pobożności na pokrycie braku serca i czarności duszy — rzucają kamieniem na wczorajszych towarzyszów.

Czemuście tam jeszcze? — powiadają nam słodko kąsającem słowem.

My rozsądni teraz i dobrze się nam powodzi. Zróbcie jak my.

Dziwne żądanie.

Jakby to można tak od razu przeszłość zapomnieć i boleść nawet.

Ogólnie mówiąc: mało mamy wyrodków, mało uczonych lub ich krytyków, ale i to mało nas boli.

Może dla tego że czujemy za wiele, a Polska za mało pamięta jak smętnem jest życie ludzi bez ojczyzny!

Bo tak, jakby jej nie mieli.

O tem życiu z dnia na dzień — na żart — bez jutra — bez przyszłości i bez nadziei — tomy i tomy napisać by można było.

Dramat to o krwawym początku, a bez końca.

Przeszłość w chmurach niewoli uśpiona; teraźniejszość — w krwawej pamięci wczorajszego dnia.

Smutna ... pełna o nielepszem jutrze pochmurnych jak zmrok grudniowy marzeń.

Przyszłość ustrojona niby więzienie u galerników, w haotyczne widma żywych zbrodni.

Zupełny przewrót potem.

Tymczasem, na cuchnących minach starego, spruchniałego świata, nowej ludzkości, nowa się wyłania gwiazda życia.

Ale czy pewno?

Któz-bo odgadnie co marzą ci którzy nie mają chaty? Których siostry w objęciach wroga ze wstydu skonały; matki zaniewidziały, oślepione pożarów łuną; ojcowie i bracia wyręczają się wzajem w ciężkim katorżników zawodzie.

Któż pojmie, zrozumie sny idących do spoczynku o głodzie; myśli budzących się bez kawałka chleba; ludzi walczących z ludźmi o byt — mniej — o piędź ziemi na której by kość spokojnie ogryzać można — ułożyć do snu zbolałe ciało.

W podzwrotnikowych puszczach Afryki widziałem nieraz w dziewiczych lasach alpińskiej sosny walkę dwóch wściekłych hyen o trupa zastrzelonej małpy lub długo-kolczatego jeżozwierza.

Były u siebie, i używały równej broni pazurów i najeżonego kłami pyska.

Gromadka tułaczy złożona z ludzi.

A ludzie mają lepsze od pazurów i kłów narzędzia.

Pociski słowa.

Słowa, co czerni lepiej niż niestarty atrament lub farba drukarskiej prasy.

Słowa co błyska ponuro.

Czasem piorunuje, a zawsze otrętwia, bo wydziera cześć.

Pchniętych tąż bronią na bezdroże — czeka pogarda lub .... więzienie.

Bo wierzcie mi .... jeśli władza fizyczna straszne wyradza myśli, nienawiść do wszystkiego co tchnie dobrobytem .... za zabitymi moralnie, w ślad postępuje zbrodnia.

Laurowym wieńcem tej walki jednego przeciw tysiącom — powalonego charakteru przeciw stu brudnym odbiciom sercowego błota — obelga wręcz i .... pręgież opinji publicznej.

A nikt nie wchodzi w powody, które nieszczęsnych na drogę spadzistą, ku przepaści wiodącą pchnięty.

Nikt się nie zastanowi nad prawem naturalnem; iż trudniej iść pod górę, niż pochyłą, ze spadkiem drogą.

Wychodźtwo nasze, z małymi wyjątkami — to stare i młode dzieci — bo z nieurobionem sercem i ciężko jeszcze spiącą duszą.

Jak kwiaty na wpół rozwinięte, gwałtownym wichrem od matczynego krzewu oderwane!

Cóż więc dziwnego że schną na obcą rzucone niwę, że blakną z braku swego powietrza, słońca i błękitu?

Jakiż ratunek na to?

Praca.

Prawda! ale ..... aby się praca we właściwem swem znaczeniu wybitniła i pożądane przez ludzkość przyniosła owoce, potrzeba celu.

U nas celem: ojczyzna i jej swoboda.

Ale ..... zawsze to nieszczęsne polskie ale!

Między rzuconymi po 1863 r. na ziemię wygnania, byli tacy, co dość już wewnętrznie mieli zasobów własnej siły i wiedzy do oparcia się zalewowi obcych, częścią za wzniosłych na dziś i dla nas, częścią za poziomych i niegodnych nas idei.

Mieli oni złoto, powagę pióra i słowa; co więcej — powagę ogromnego cierpienia.

Pod tych ludzi wspólnem kierownictwem — maluczkie grono mogło było iść wspólnie ku celowi.

Przypuszczalnym jednak prawym przewodnikom ogółu tułaczy — duma, samolubstwo, czy też zaślepienie (badać tego nie chcę) inne podszepnęły myśli.

Niezgoda — matka zbrodni — siostra podłości i zdrady, zakradła się podstępem do ich obozu.

I każdy z nich wyrobił sobie pewien rodzaj osobistego poglądu na środki, jakiemi by Polskę do samoistności doprowadzić można.

I nuż potem mówić i pisać, i głosować i intrygować, waśnić, podżegać, wyzyskiwać — tych głupotę, owych nędzę — innych jeszcze samolubstwo lub ambicję.

Zawiązano dziwaczne stowarzyszenia; bawiono się w sążniste odezwy, dzikie okólniki, dziksze jeszcze wydawnictwa.

Ponadawano tytuła i stopnie — założono puste zawsze kasy, kółka wzajemnej pomocy, które nikomu pomocy nie udzielały, sądy w których często na ławie wyrokujących o czci brata zasiadali liche komedjanty za pięć franków bijący się w piersi godzinami — za obietnicę posady robiący pokutę.

W zakończeniu:

Wielcy nie doszli do niczego — a małym przewrócono w głowie.

Potem im wzięto serce i . . . zgubieni!

Któż więc za zbrodnię im poczytać może iż upadli, i że wielu z nich nie mogło się już więcej podźwignąć z upadku?

Wiara, jedna tylko wiara mogła by ich była w wytrwaniu ustalić!

Ale im odebrano wiarę.

A wydziercy chęci nie mieli, a i siły może, dać w zamian naukę.

Aż nadszedł czas próby przez proroków narodu zapowiedziany.

Słowo stało się ciałem.

Ojczyzna otworzyła swe ramiona zbłąkanym i szepnęła:

Pójdźcie do mnie oszaleni niedolą, zwątpiali i smutni! znajdziecie tu pracę, spokój i cnotę!

Chata balsamem na apatję z samotnych lat niedoli wyrodzoną.

Praca usunie zwątpienie, a dźwięk rodzinnej mowy i przyjazny uśmiech braci, smutek wam z lica rozwieje, jak wiatr mgły poranne.

I słowo stało się, jak powiadam, ciałem — a wracający

wygnańcy, z dniem wstąpienia na ziemię ojczystą, mąk wczorajszych zapomnieli.

Ale to były dnie próby i grubej omyłki.

Nie ojczyzna, tylko władający jedną jej częścią mocarz zawołał: moglibyście wrócić.

Lud tej ziemi nie śmiał sprzeciwić się mocarzowi.

Lecz za to — jak ów tygrys w klatce, z głuchym mrukiem niezadowolnienia uginający kark pod żelazną laseczką pogromcy, lud tej ziemi pochmurnem spojrzemiem przyjął tułaczy, pytając:

Po co tu przyszli?

Kapłani jego krzyknęli:

Robić rewolucję — wziąść wasze złoto — może pomści się za przeszłość niedaleką . . .

A jednak . . .

Jakże łatwem było nawrócić obłąkanych.

Tam jednak jeszcze stary zwyczaj angielskiego Beedlomu panuje.

Klęczącym w zachwyceniu na rodzinnej ziemi, całującym jej prochy w radości i weselu bez granic, otrząsającym pył obczyzny z szat pielgrzymich — wylano na blade męką czoła wiadro zimnej wody, wołając:

Obudźcież się i . . . precz!

Wtedy, mocarz ów, widząc iż postąpił niepolitycznie, rad nie rad, ze smutkiem może, lecz spuścił na wygnańców całe sfory szpiegów i dogońców . . . .

. . . .

. . . .

W trzy dni po upadku komuny t. j. 28. Maja 1871 r. Edward de Parski, b. podporucznik 2go pułku afrykańskich strzelców konnych, zawitał także do swego grodu.

Udając się do Genewy, miał zamiar zabawić w nim dni kilka dla obejrzenia muzeum i nader bogatego miejskiego księgozbioru.

Nosił zaś jeszcze błękitny mundur swego pułku, czerwone czako i takież pantalony.

Prusacy patrzyli na niego z pod oka — przypomnienie Gravelotte i St. Privat. Bawarowie szkaradnym zyzem — myśląc o szturmie Bacon i Orleanu, tych nowożytnych Ter-

mopylów XIXgo stólecia (obrona Orleanu d. 9. Października 1870).

Francuzi, na przegony ściskali mu ręce, gorąco, serdecznie — bo Edward miał na swej kepi Ner 2, a na piersiach kawałek czerwonej wstążeczki.

Każdy zaś wiedział że ten łachmanek na piersiach dwudziestośmioletniego młodziana, nie za dostawę zboża był zyskany.

Edward stanął w hotelu pod gwiazdą, lecz nie był sam.

U ramienia młodego człowieka, przyczepioną była (to wyraz właściwy), młoda dziewczyna tak delikatnej, wątłej budowy ciała, tak blada i słaniająca się za każdym krokiem, iż mimowoli nasuwało się pytanie czy żyła rzeczywiście, czy też tylko rodzaj dużej lalki oficer ciągnął ze sobą.

Czarna zasłona okrywała twarz dziewczyny, co jednak nie przeszkadzało, iż mijający ją na wschodach goście, oglądali się z pewnym rodzajem uwielbienia.

Zdumiewająco szczupła kibić, las jasnych włosów dobywający się z pod kapelusza i dziecięca, ślicznie obuta nóżka, była tego przyczyną.

Edward mówił z nią po angielsku; gdy odpowiadała, z akcentu i składu wyrazów znać było że ojczystym władała językiem.

Wieczorem, przy kolacji, kelner przyniósł im książkę podróżnych.

Zniesiona potem na dół, pochwyconą została przez gości w wielkiej, jadalnej soli.

Wszystko rzuciło się czytać nazwisko cudzoziemców.

Tu — rozczarowanie! Bowiem pod liczbą świeżo zajętego pokoju było napisane: de Parski z żoną.

— To Polacy — mruknął ktoś z czytających.

— A czemu nie mówili po polsku tylko po angielsku? — zapytał drugi.

— Parbleu! — była odpowiedź — każdy wie że u nich zwyczaj mówić wszystkiemi językami.

— Nawet językiem komuny*) — rzekł śmiejąc się sam ze swego dowcipu pierwszy z mówiących.

---

*) Nieszczęsny żart ten był z powodu Jarosława Dombrowskiego i spółki. Przyp. autora.

Okropny policzek był mu odpowiedzią.

Podczas gdy wszyscy nad książką byli pochyleni — Edward, szukając zapomnionych rękawiczek wszedł do sali i słyszał obelgę.

Zanim tak sumarycznie poczęstowany francuz zdobył się na ruch jaki lub odpowiedź, młody człowiek pochwycił go za piersi i odprowadzając gwałtem w tył od stołu, śród głuchej ciszy, wymówił z przedziwną zimną krwią te słowa: — Panie, będę cię policzkował tak długo, aż głośno odwołasz coś powiedział przed chwilą; za jednego bowiem nędznika narodu całego lżyć się nie godzi! —

Biedak, czując się w drobnej lecz stalowej dłoni Edwarda, widząc drugą do uderzenia gotową, spojrzał badawczo w twarz Polaka i znać nic w niej dla siebie nie znalazł bardzo uspokajającego, gdyż cichym, drżącym z wściekłości głosem szepnął: — je me retracte, monsieur! —

Uwolniony rzucił swą kartę Edwardowi.

— To na próżno — zawołał donośnie lecz z zupełnym spokojem wyzwany — gdyż nie krzyżuję szpady z ludźmi których policzkuję. Z jednym z pańskich przyjaciół, który przyjmie pańską obronę, z całą ochotą, ale z panem nigdy. —

Ukłonił się grzecznie zgromadzeniu i powrócił do siebie.

Mary Broms nie była żoną Edwarda.

Ojciec jej Dawid Broms kupiec dobre robiący interesa na sprzedaży wyrobów bawełnianych, które zakupując w znacznych ilościach w Anglji zbywał w mieście X . . . na łokcie, widząc iż przemysł jego coraz większe zyski przynosi, sprzedał małą posiadłość w Anglji i sprowadził na pół roku przed wojną żonę i córkę do siebie.

Mary, piętnostoletnie dziewczę wtedy, wątłe nad wyraz i nad wyraz także rozpieszczone; oddaną została dla dokończenia nauk do jednego z pierwszych zakonnych pensjonatów miasta.

Z okien sali robót widać było plac mustry.

Na tydzień przed szturmem przypuszczonym do miasta, jednego z pięknych poranków jesiennych, dwudziestu nowo zaciężnych strzelców konnych wykonywało na tym placu różne obroty pod kierownictwem podoficera.

W oknach klasztoru dwie młode dziewczyny chciwie pochłaniały wzrokiem o błyszczącej broni żołnierzy.

— Patrz Mary — rzekła jedna z nich — to na prusaków . . . . a dzięki Bogu będziem mieć takich sto tysięcy!

— To oni się teraz bić będą — rzekła naiwnie zagadnięta — odrzucając w tył złote swych włosów sploty i' lornetując we wskazanym kierunku.

— Nie — nie teraz! ale jutro, lub za dni kilka może! Nieprzyjaciel niedaleko przecie.

— Czy to ładnie wygląda . . . bitwa? . .

— Prześlicznie! Jedną mi opowiedział kuzynek mój przed dwoma tygodniami, gdy tu przybył; tylko . . .

— Tylko?

— Wielu bardzo tam zabijają! —

Raptem Mary cofnęła się od okna i szepnęła odciągając w tył towarzyszkę:

— Spójrz z za zasłony na tego na karym koniu, co dowodzić się zdaje, jaki on piękny, prawda?

— Bardzo piękny! — odparła zapytana — chciałabym go za męża.

— I ja także — rzekła cicho Mary.

— To go weźmy obie za . . . . za kochanka chyba! — dorzuciła parskając śmiechem pusta dziewczyna.

. . . .

Wieczorem pani Broms przyszła zabrać Mary do domu.

W końcu tygodnia przedmieście, na którem był sklep i mieszkanie kupca, spalonem było do połowy.

Ośmdziesiąt dział ciężkiego kalibru rzucało stofuntowe granaty z olbrzymiej odległości.

Przy pierwszych domach, w winnicach, ciągły grzmot ręcznej broni, hrapanie kartaczownic i częste, piorunujące hura idących na bagnety niemców.

W ulicach piętrowe barykady, wierzchem obłożone trupami, dla zasłonięcia broniących się za nimi.

Mimo iż o świcie jeszcze wezwano mieszkańców do opuszczenia przedmieścia, Dawid Broms nie miał odwagi opuścić sklepu.

Francuzów garstka zaledwie — mówił do żony i córki — stu Niemców na jednego z nich przypada, więc bój wkrótce się ukończy, jak wejdą i nikogo nie zastaną to mi sklep zrabują cały. —

Gdy jednak sąsiedni dom stanął także w płomieniach, zdecydował się opuścić swe towary.

Ale ... było to już zapóźno!

Barykada zamykała ulicę w płomieniach i pękające co chwila granaty ogłuszały prawie.

W pokoju na pierwszem piętrze od tyłu, pani Broms i Mary modliły się gorąco.

Pierwsza za córkę i męża; druga za Francję i . . . za ładnego chłopca na karym koniu.

W głowie szesnastoletniej dziewczyny jest więcej zamięszania niż śród boju.

Znałem takie, co idąc przez ulicę pochłaniały wzrokiem każdego przystojnego mężczyznę myśląc sobie: może to ten? ..

— Żebym przynajmniej wiedziała jak mu na imię .. marzyła Mary.

W tej chwili wszedł stary Broms i zawołał:

— Mam złe przeczucie! —

Chciał jeszcze coś dodać lecz przerwał mu wpadający oknem granat.

Opisać straszliwą scenę, trudno!

Jak umię, sprobuję.

Ważył 85 funtów t. j. 10 funtów pokrycia 5 funtów mięszaniny eksplodującej i 70 funtów kul ołowianych.

Pokój do którego wpadł, służył rodzinie Bromsów za sypialnię; w kącie przeciwnym oknom przyszrubowaną była duża, ogniotrwała kasa.

Uderzając o nią połamał w drzazgi wieko, trzy boczne ściany i pękł w środku.

Wstrząśnienie było tak gwałtowne, iż się sufit i podłoga w trzech miejscach załamały, a wszystkie meble zostały wywrócone.

Mary zemdlała.

Gdy przyszła do siebie pierwszemi jej słowy było: Matko! ojcze! . . . .

Lecz słowa te pozostały bez odpowiedzi.

Wtedy otworzyła piękne swe oczy i przecierając je, jakby po długim śnie, spojrzała do koła.

Biedne dziecko poznać sypialni nie mogło.

Ani tam drzwi, ani okien, ani części ściany od podwórza.

Na wypaczonej i w jednym rogu ziejącej próżnią podłodze

struga krwi i coś ciemnego, bez wybitnie określonego kształtu.

Wpatrzyła cię w tę masę uważniej.

Okropność!

Była to przerażająca mięszanina cząstek ciała i poszarpanej odzieży.

U stóp jej — głowa matki, o siwym włosie.

Twarz była poczernioną od prochu ale spokojną — bo pękająca gadzina pruska czasu na wyraz trwogi nie zostawiła.

Poznała głowę .....

Ach! ileż razy usta Mary spoczęły na tych siwych pierścieniach ..... ile razy blade wargi tej głowy szeptały słodkie słowa macierzyńskiej miłości. Teraz jeszcze — w pół rozwarte — zdawały się modlić.

Z bezkształtnej masy ciała, łachmanów i krwi — wychylała się ręka z pierścieniem na średnim palcu.

Była zamknięta i w zaciśniętej pięści — klucz.

W izbie pół-światło panowało.

Mary, obłąkana prawie z trwogi — patrzyła przed siebie szklannym wzrokiem. W szeroko rozwartych źrenicach niebyło łez, tylko bezgraniczne podziwienie.

Dziwiło ją to że żyła.

Cud? . .

Nie! Tylko upadający granat zostawił jedną ścianę kasy w całości, jakby zasłonę dla dziewicy.

Z przepaści w rogu posadzki buchnęły raptem płomienie. Magazyn Bromsów gorzeć zaczynał powoli.

Dziewczę rzuciło się gwałtownie w podwoje salonu. Tam dziwny widok uderzył jej wzrok osłupiały.

Przy jednem z bocznych okien — pięciu ludzi w lakierowanych kaskach z mosiężnemi dzidkami.

Trzech strzelało z za parapetu, na którym środek połamanej sofy postawiony był w podłuż do góry, czwarty nabijał iglicową broń.

Piąty, uzbrojony artyleryjskim nożem, odbijał zamki u wszystkich mebli.

To byli prusacy.

Nagle, przestali strzelać i rzucili się w głąb salonu, zakładając bagnety na broń zakopconą i zawalaną śladam krwi.

Zastawa okna pchnięta z tyłu runęła na podłogę pociągając w upadku swym konsolę z porcelaną.

Z za parapetu widać było końce drabiny w kłębach czarnego dymu.

Na drabinie trzech strzelców drugiego afrykańskiego pułku. Z pałaszem w jednej, z rewolwerem w drugiej ręce, rzucili się do środka wołając: rendez-vous bandits!

Pięć strzałów były odpowiedzą i jednocześnie prawie trzy błyski ze strony atakujących.

Gorąco było nie do zniesienia — dym zaś nie rozpraszał się, lecz zostawał w miejscu.

Kilku minut potrzeba na opisanie poniższej sceny; ale trwała dwie sekundy zaledwie.

Mary wróciła do przytomności i spojrzała przed siebie: cztery trupy leżały na posadzce — dwóch francuzów i dwóch prusaków.

W oknie, z zakrwawionym pałaszem w dłoni, słaniał się francuski podoficer.

Musiał być ranny.

Trzech niemców, oddalonych o całą szerokość sali mierzyli doń spokojnie z karabinów, wołając teraz ze swej strony: ergebe dich!

Ale Mary poznała w rannym swój ideał na karym koniu.

Angielkom śmiałości ni odwagi nie brakuje.

W chwili gdy młody podoficer, podnosząc szablę do góry, odpowiedział z szydzącym spokojem: strzelajcie lub sprobujcie wziąść mnie żywego, błyskawicą chwyciła za leżący na ziemi rewolwer.

Padł strzał i jeden z nieprzyjaciół potoczył się na połamane resztki sofy.

Jednocześnie francuz pchnął drugiego pałaszem w gardło.

Trzeci chcąc po daremnym strzale, bagnetem dosięgnąć blądwłosą dziewczynę, poślizgnął się w krwi i upadł z bronią w ręku — twarzą do ziemi.

Podoficer strzelców pochwycił za rewolwer jednego z zabitych towarzyszów; i stając nogą na plecach wywróconego pochylił się, przyłożył mu lufę do ucha.

Uroczysta chwila śmierci!

Do koła wdzierające się do sali płomienie; na ulicy czerwone błyski strzałów, na barykadzie głucha wrzawa zaciętej

walki i piorunujący grzmot dział w oddaleniu. Wewnątrz w strumieniach krwi: sześciu trupów.

Nad wywróconym żywym, żołnierz pochylony, podoficer z rewolwerem przy głowie więźnia; o dwa kroki dalej jasnowłosa Angielka ze złożonemi dłoniami.

— Daruj mu pan życie! — szepnęła chwytając francuza za rękę.

Podniósł głowę i spojrzał na nią uważnie.

Mary, obryzgana krwią cała, w białym negliżu poszarpanym najokropniej, z odkrytą piersią, po której różowem tle błąkały się złote jej włosów sploty, była piękną prawdziwie.

Podoficer już cofał zbrojną rękę od głowy prusaka, gdy mimowoli wzrok jego padł na ramię jeńca.

Na ramieniu tem, w patce purpurowej, był żółty numer 7.

— Nie mogę, pani!, — krzyknął do dziewicy — to jeden z bandytów co wczoraj wieczorem zrabowali sąsiednią wioskę — i nacisnął cyngiel rewolweru.

W tej że samej jednak chwili chwycił się lewą ręką za piersi, zachwiał się i upadł.

Mary z krzykiem rzuciła się naprzód.

Na jasnobłękitnej tunice francuza był ślad strzału.

W mgnieniu oka rozpięła mundur rannego i rozerwała koszulę.

Pod prawą piersią widać było delikatną bliznę i kilka kropel krwi.

A pożar wzmagał cię coraz bardziej.

Czerwone języki ognia lizały złocone lamperje sali; przyczepiały cię jak pijawki do kotar i mebli. Przeciąg tylko powstały z drzwi wyłamanych pękającym w sypialni drugim granatem, dozwalał jeszcze oddychać, utrzymując jaki taki prąd powietrza.

Dziewica trzymała ciągle w objęciach rannego Francuza, patrząc mu w męskie, śmiertelną bladością okryte oblicze z nieopisaną miłością i współczuciem.

Łoskot łamiącego się sufitu oprzytomnił zadumaną.

— Mój Boże, mój Boże! — szepnęła, chyląc się zupełnie nad twarzą zemdlonego — jak zrobić by ocalał? . . .

Okoliła mu szyję rączkami i zarumieniona, rzucając wzro-

kiem do koła, jakby lękając się lśniącego wzroku syczących płomieni, złożyła mu na ustach pocałunek . . .

Jeden — drugi — sto, miljon może . . .

To zależy od uczucia.

Często tysiąc pocałunków nie warte jednego.

Często jeden stanie za miljony.

U rannych, po zemdleniu, wszelki ból ustaje. Gdy się cierpiący obudzi z odurzenia, jakiś rodziaj błogości ogarnia go całego.

Nic nie pamięta. A roskosz powrotu do zmysłów jest nagrodą za cierpienie.

Gorące tchnienie i wilgotne usta Mary przytulone namiętnie do ust rannego, wróciły mu przytomność zupełnie.

Pamiętam, dziecko w kołysce, wtedy, gdy na mych ustach matka składała pocałunek, w pół spiący, w pół przebudzony, oddawałem go bezwiednie.

Tak czyni każde dziecię.

Ranny to nie człowiek. W chwili odzyskania zmysłów jak niemowlę słania się myślą i duchem.

Podoficer przycisnął dziewicę do skrwawionej piersi i oddał pieszczotę szepcząc między dwoma pocałunkami:

— Qui est-tu? —

Za dotknięciem piersi francuza, w obnażonem łonie Mary potoczyły się strumienie lawy.

— Il faut d'abord que je te sauve! — odparła patrząc mu w lice łzami opłyniętą źrenicą. — Et je te sauverai, moi, car . . . je t'aime! —

Na ulicy raptownie wszystko się uciszyło.

Wtedy Mary, której rozpacz zdwoiła siły i odwagę, chwyciła w objęcia rannego i z nadludzką mocą uniosła go do okna.

Prąd powietrza odurzył go na nowo.

W ulicy przygotowywano się znów do odporu.

W głębi czarne masy wrogów z najeżonymi bagnetami.

Na rozwalonej barykadzie dwie kartaczownice, zdziesiątkowana kompanja piechoty i kilkudziesięciu strzelców afrykańskich, których konie w tył odprowadzono.

Bohaterska Angielka, na tle z dymu i płomieni stanęła w oknie podtrzymując podoficera, którego przyczepione podpaską kepi słaniało się po szyi.

Piękna twarz rannego była znów na jasnem tle rozpuszczonych włosów dziewicy.

— A moi, les chasseurs d'Afrique! — krzyknęła donośnym, dźwięcznym głosem — venez sauver votre chef! —

Szalone hurra, odpowiedziało dziewicy.

Trzy drabiny pochyliły cię ku płonącemu domowi i dwudziestu strzelców wpadło do sali.

Drugi podoficer był na czele.

Rzucił okiem w płomienie, potem — na posadzkę.

— Cinq de moins! — mruknął, patrząc na niemieckie trupy.

. . . .

. . . .

W dwa tygodnie po wyżej opisanych wypadkach, Edward de Parski, blady jeszcze, lecz z zabliźniającą się lekko w piersiach raną, mianowanym był przed frontem dywizji podporucznikiem w pułku.

Podczas wojny, skromny to urząd.

Dają wprost srebrne galony na ramiona i na kepi.

Potem nadjechał Gambetta ze sztabem. Gdy drugi pułk prezentował szable, dyktator pochylił się ku dowódzcy strzelców i szepnął:

— Który to? —

Pułkownik wskazał Parskiego.

— Żołnierze! — krzyknął wtedy donośnym głosem ten, co w dwadzieścia dni później nie miał odwagi kazać rozstrzelać generała d'Aurelles de Paladine — podporucznik Edward de Parski dobrze zasłużył się ojczyznie. —

Następnie swój własny krzyż Legji przypiął na piersiach młodego oficera.

Wieczorem, Edward drzemał w krześle, na kwaterze, gdy raptem weszła do pokoju Mary w czarnym, żałobnym stroju, śmiertelnie blada, lecz opromieniona całą miłością i cierpieniem.

Przebudzony znalazł ją u nóg swoich.

— Edwardzie mój! — szeptało jasnowłose dziewczę, otaczając go drobnemi rączętami — jestem sama na świecie! Rodziców mi zabili . . . majątek zrujnowali . . . . cóż więc pocznę, gdzie się obrócę? . . Edwardzie! ja cię kocham nad życie . . . . nie odpychaj mnie od siebie. —

I w czarujący, kobietom tylko właściwy sposób, opowie-

działa mu dziecinną scenę w oknie klasztoru i potem roskoszne z każdym spoczynkiem wracające sny . . . . .
. . . .
. . . .

Takie było poznanie Mary z Edwardem.

IV.

Trzeciego dnia po przyjeździe Parskiego i Mary do X. posługacz hotelowy przyniósł do pokoju młodych ludzi wizytową kartę, oświadczając że oddawca czeka na dole.

Mimo obecności garsona, patrząc na tę kartę, Edward nie mógł wstrzymać się od głośnego śmiechu.

— Patrz Mary! — rzekł podając ją młodej kobiecie. — To musi być warjat lub impertynent. —

Uwaga to dość słuczną była.

Na karcie bowiem obwiedzionej szeroką czarną obwódką, widać było najpierw ogromny krzyż, a w trójkoncie do koła niego litery J. M. J. O. A. D. G. (Jesus, Marja, Józef — omnia ad majorem Dei gloriam) poniżej herb Topór i napis: Comte Joseph, Antoine, Réné, Jean, Marie de Błażyn — Topór Błażyński, par la grâce de Dieu Capitaine polonais, Chevalier de l'ordre du mérite militaire, né à Błażyn le 15. Octobre 1797.

X. . . . . . Hôspice de la Ste. Vierge,
chambre Nro. 4.

Potem, zwracając się do garsona zawołał:

— Proś tego pana! —

I dodał po angielsku uśmiechając się do Mary:

— Jeżeli nie jest obłąkanym, to bez wątpienia łotrem najszkodliwszego rodzaju. —

Edward mógł był śmiało powiedzieć: i jednym i drugim.

Hrabia Józef, Antoni, Rene, Jan-Marja na Błażynie, Topór Błażyński, w kołysce jeszcze został sierotą. Majątek w ręku stryja opiekuna zniknął w lat kilka, i gdy w 1825 r. młody hrabia wszedł w służbę wojskową, z olbrzymiej fortuny przodków pozostało mu zaledwie tysiąc czerwonych złotych dochodu.

Stryjaszek jednak, obdzierając bezczelnie sierotę, nie skąpił mu przynajmniej środków na wykształcenie. Potem dwuletnia podróż po Europie i zresztą wrodzone zdolności, dały krajowi człowieka który, gdyby nie smutne ówczesne okoliczności, mógłby mu być nader pożyteczny.

Lecz raz w opiętym konstantynowskim mundurze, hrabia, jak pies nachajką tresowany, umiał przytłumić w sobie wszystkie szlachetne porywy i zrzec się woli prawie na rzecz lubiącego marjonetki tygrysa.

Stąd potem, gdy wybuchło powstanie, Polska miała czterdzieści tysięcy zuchów lecących w ogień jak w taniec wesoły, ale . . . ani jednego człowieka.

Przyzwyczajeni nie mieć własnej woli, wzrośli w ślepem wielbieniu rutyny i formy, zostawieni sami sobie w obec wroga w 1830 i 1831 r. czepiali się drobiazgowych potyczek, marzyli marsze i kontrmarsze.

Wychowanie wojskowe, surowe pojęcia i dzika fantazja cesarzewicza, wydały nam Chłopickich, Skrzyneckich, Radziwiłłów, Giełgutów, Rybińskich, Wysockich i t. p., sprowadziły Romarynę i jego szefa sztabu.

Adam Czartoryski, Lubecki i Lelewel zaczęli krwawy dramat, otwierając klatkę uwięzionej w Wierzbnie hyenie — Krukowiecki zakończył go poddaniem Warszawy.

Grochów i Ostrołęka, Stoczek i Wola z swą heroiczną redutą, objaśniają wszystko.

Pierwsze dwie bitwy, to skutek konstantynowskiej praktyki.

Zabitych obalono jeszcze w szeregu.

Stoczek i Wola z Redutą Ordona, to wyłamanie się ducha z krępujących go więzów subordynacji i knuta.

Tam, żołnierze . . : . .

Tu, Dwernicki, Ordon, i Sowiński . . . . .

Trzy bronie i na ich czele tych trzech ludzi, a Moskwa była by zabitą.

Z tem wszystkiem jednak straszna musiała być śmierć starca z Lambertu, choć życie jego było (jak to sam utrzymywał) szeregiem ofiar i poświęceń dla ojczyzny.

Hrabia Błażyński bił się jak lew w Olszynce; pod Ostrołęką strzelił 78 razy i złamał dziewięć bagnetów w piersiach

nieprzyjaciela; w Warszawie stał na okopach i płakał jak dziecko na niewystrzelonem dziale.

Obudziła się w nim dusza ... ale... zapóźno.

Zresztą kapitan był już wtedy nader skłonny do melancholji.

Inaczej mówiąc: miał swoje widmo.

Tem widmem była Targowica.

Będąc jeszcze w szkołach, został nazwany «zdrajca» przez jednego z kolegów.

— Nie jestem zdrajcą! — odpowiedział dumnie znieważony.

— Twój ojciem był nim, a to wszystko jedno. —

Niedaleko jabłko od jabłoni pada.

Podczas oblężenia Warszawy polecono mu zawieść jakiś rozkaz Ordonowi.

W drodze przywitał go grad kul moskiewskich; widząc zaś że nie przebędzie cało tej powietrznej zapory, wrócił do miasta.

W sztabie naczelnego wodza, wracającego z niczem przywitał szept cichy.

Ktoś z obecnych zawołał:

To syn Targowiczanina.

Hrabia Błażyński był głęboko religijny. Gdy cierpienia swoje powierzył spowiednikowi, tenże odpowiedział:

— Mój synu, trzeba odpokutować grzechy rodzica.

— Ale jak ojcze? — pytał nieszczęśliwy.

— Poświęć się Bogu! —

A choć sumienie szeptało hrabiemu: poświęć się ojczyznie! usłuchał głosu szatana.

Nie chcę się w tej materji rozpisywać. Brudny temat.

Raz w szponach Jezuitów, kapitan czwartego pułku przestał być Polakiem.

Przybywszy wraz z tłumem innych wygnańców do X.... wręczył list polecający, wywieziony z kraju, przełożonemu tamtejszych Lojolistów.

Ojciec Józef spędził z wychodźcą trzy godziny na poufnej rozmowie.

Z hrabiego wiele sobie obiecywał korzyści, jezuita bowiem i Błażyński jednoczył w swej osobie trzy rzadko razem widziane dary przyrody:

Atletyczną budowę ciała, twarz obrazowo piękną, nadto,

zdolności do udawania, rozwinięte do podziwu salonowem wykształceniem.

W niespełne trzy miesiące przewrócono mu w głowie zupełnie.

Z początku nie obeszło się to bez walki. Gdy kapitan nie chciał cię poddać na razie żądaniom szanownych ojców, wtajemniczono go we wszyskie intrygi zakonu; z niewysłowionym cynizmem wypowiedziano zasady, przedłożono środki i wskazano cel.

Cel znany dziś całemu światu:

Panować i używać.

Środki doń prowadzące:

Ogłupianie narodów za pomocą demoralizacji kobiet.

Czyż bowiem nieżądnice mogą wydawać zdrowych na ciele i umyśle obywateli?

Kobieta jednak dojrzała, puszczająca wodze namiętnościom ciała, może być przytem zacną i poczciwą; a niejedna z uganiających za roskoszami zmysłów, gdyby jej powiedzieli: pracuj dla nas, zawołała by: Nie!

Aby niewiastę doprowadzić do zupełnego upadku, nie dość jest wydać ją na pastwę uniesień. Trzeba jeszcze przy wydarciu jej poczucia wstydu, odebrać wiedzę że źle postępuje; dowieść, iż nurzając się w kale, święte obsługuje cele.

Trzeba upodlić ciało i obłąkać ducha.

W niewieście wtedy zdwaja się siła złego.

Francuskie przysłowie «cherchez la femme» jest okropnie prawdziwe.

Cnota czy zbrodnia, czystość czy brud, szlachetny poryw lub rozpasany upadek, jakie niebądź wydarzenie budzące w nas uwielbienie lub zgrozę ma zawsze za dźwignię niewiastę.

Bo niewiasta jest daną człowiekowi aby go uszlachetniać i upadlać zarazem.

Bez niej nie byłoby walki w życiu, nie byłoby zasługi wytrwania i boleści upadku.

Czasem odwrotnie.

Jak więc powiedzieliśmy:

Upodlić ciało i obłędzić ducha.

Ziarno złego najłatwiej się w dzieciach zaszczepia i najpewniej także przyjmuje.

Religja katolicka jest podobną do obosiecznego noża,

który trzeba uważnie trzymać w ręce, aby nie skaleczyć się ciężko.

Pojęta dobrze — uszlachetnia.

Pojęta źle — stawia niżej zwierzęcia.

Bo religja ta choć wyższe głosi cele, uzmysławia je w sposób przerażający.

Dla oka czternastoletniego dziewczęcia między posągiem Apolina a Św. Michałem lub Chrystusem — różnica nie istnieje.

Młodzieniaszek zarówno uwielkia Wenus medycejską jak i pierś Madonny syxtyńskiej.

Precz z plastycznemi bohomazy które obudzają żądne myśli!

Słów powyższych nie chciejcie tłumaczyć sobie fałszywie.

Fanatyzować tłumy, to rzemiosło arcy nieszlachetne, a każda wiara obłędem ducha i trwogą zażegnięta w człowieczej piersi, utrwalić się nie może.

Nie uderzam na naszą religję, ale na jej przedstawicieli, bo chciałbym w nich widzieć więcej surowej cnoty, więcej serca, a co głównie — sumienia!

Protestantyzmu trzydzieści lat mordów i pożogi zachwiać nie mogło.

Dla czego?

Bo Marcin Luter zawołał uciśniętym: weźmiecie Boga w serce, kapłani jego będą ojcami rodzin — tymi samymi obywatelami jak wy — więc waszymi braćmi a w świątyniach Pana postawimy tylko krzyż, to godło miłości i cierpienia.

Poważna religja!

Dziś jednak niestety i w jej piękne zasady zakradł się jezuityzm.

Tak jest: niech nasi kapłani staną się obywatelani nietylko z ducha lecz i z krwi, a przestaniemy wołać:

«Czemu nas zmuszacie do pozbycia się dziecinnej, z mlekiem matek naszych Polek wyssanej wiary?»

My jej się pozbywać nie chcemy!

Aby upodlić ciało i obłędzić ducha, t. j. doprowadzić kobietę do takiego stanu, iż fałszywy wstyd nosi na wybielonem czole, a ciemną, skromną szatą pokrywa rozpustne

pociągi, jezuici i ich zwolennicy rzucili się na czystą duszę i nieskalane ciało naszych dzieci.

A jednak Chrystus powiedział: stokroć przeklęty ten co gorszy dzieciątka.

I zapuścili padalcze żądła w rodzinę i wynaleźli straszną broń, piorunującą domowe zacisze:

Między niewiastą a mężczyzną, między młodzieńcem i dziewicą stanął ksiądz i mówi jednej: będziesz obojętną dla męża póki nie przyjdzie zrobić pokuty w świątyni. Drugiej: poświęć się Bogu!

Ja znam tylko jeden sposób uczczenia najwyższej istoty.

Dla mężczyzn: miłość ojczyzny i braci; gotowość do wszelkich ofiar dla ich dobra, a nad to wszystko życie pracy i w chwili skonu z pogodnem okiem modła prawej duszy:

Panie! przejrzyj życie moje!

Dla niewiast: rodzina.

Gdy widzę którą z nich w gronie jasno-włosych aniołków, krzątającą się i staranną o wnętrze chaty i dzieciątek brylantowe wnętrze; gdy potem o cichym wieczorze słyszę malców szepczących pod okiem matki modłę do stworzyciela i słyszę szelest pocałunków co jak ożywcza rosa na rozwijających cię kwiatów kielichy, płyną na purpurowe usteczka młodego pokolenia; gdy nareszcie widzę, przy jasnem rodzinnem ognisku, męskie oblicze gospodarza, z którego przeciwności chmury i ślady gorzkich życia zawodów spędza czarująca niemowląt pieszczota i słodki uścisk matki jego dzieci — powiadam z przekonania:

Tam jest Bóg!

U was go nie ma, bo prawą miłością pomiatacie, bo zarody jej, które On sam wrzucił w serca dzieci, tępicie uporczywie nadużyciem konfesjonału, kazań i kierunkiem wychowania, gdzie ono jeszcze w waszych kaimowych dłoniach spoczywa.

Mówiliśmy pobieżnie o niewiastach obsługujących czynem jezuickie cele.

Takich jest wiele.

Ale nierównie więcej tych, których dusza tylko płaszczy 'ę po myśli głosicieli doktryn Lojoli.

Niewiasta wtedy jest straszliwą wpływem — bo się nie oddaje.

Natomiast my, pociągnięci zmysłowością, składamy często u stóp jej najdroższe skarby ciała i ducha: zdrowie i majątek, honor i sumienie.

Ona wtedy drobną rączką podnosi ofiary zaślepienia i wydaje w ręce czarnych.

O Panie! chciej uwolnić ojczyznę moją od niewiast, których przybytkiem kościół, miasto domowej strzechy; szczytem wesela — uśmiech spowiednika; ideałem marzenia — zadowolenie pragnień moralnej rozpusty!

O Panie! wydobądź ojczyznę moją z pod wpływu pobożnej niewiasty, która dla wszystkich ma dobre słowo i czar słodkiej tylko pieszczoty, ale nie dla męża i nie dla własnych dzieci.

Pozwól, abyśmy przyjmując w progi nasze twoje sługi, widzieli w nich głosicieli miłości i szlachetnej walki z przeciwnościami życia, nie zaś rywali — wydzierców, tego coś nam po zabiciu Polski pozostawił jeszcze, jako nadzieję przyszłości, domowego spokoju i zaufania do nas naszych dzieci!

Ale wróśmy do hrabiego.

Raz uwikłanemu w jezuickie sieci, wtajemniczonemu w ciemne jak noc środki zbrodni i cele zakonu, cofnąć się było prawie niepodobna. Powiedziano mu bowiem: będziesz z nami lub umrzesz.

Hrabia Błażyński lubił życie do szaleństwa! W tej naturze skrępowanej przez lat sześć z górą sznurówką carewicza, pojawiały cię teraz pochmurne błyski, jak o dusznym wieczorze przed burzą.

Zresztą wymowni ojcowie nie zadrżeli powiedzieć mu: nasz cel w gruncie rzeczy, to chwała Boża, a wszystkie środki doń prowadzące są dobre.

Od dziecka przyuczony widzieć w kapłanie przedstawiciela stwórcy na ziemi, uchylił kark pod jarzmo i ślepo dał się poprowadzić w życiu.

A uroczo piękny był młody kapitan czwartego pułku.

Jak fantastyczny szatan złego, jak upoetyzowana zbrodnią fantastyczna postać Rocambola.

Gdyby Hrabia Błażyński był niedowiarkiem i działał na własną rękę, życie jego było by po prostu życiem Don Juana tylko:

Kilka niewieścich łez, trochę brudu i wiele fanfaronady.

Ale nieszczęśliwy miał głęboko w piersiach zakorzenioną wiarę i przewodników, w których ręku stał się straszliwem narzędziem świętego zgorszenia.

Eliza Poivin, szesnastoletnie dziewczę, sierota, będąc raz na duchownej naradzie u ojca Józefa, spotkała tam Hrabiego. Biedna istota, rozpłomieniona dziwnemi pytaniami mnicha, pytaniami które jej ciemny rumieniec na lice, upojenie w piersi i żar w siatkę żył naprowadziły, wychodząc z pokojowego konfesjonału, spotkała czarne błyszczące oczy Błażyńskiego.

A wzrok kapitana był smutny i miał to wilgotne promieniowanie pragnienia i tęsknoty, które tak wzrusza czyste — naiwne natury dziewicze.

Jan Poivin, stryj sieroty, od lat trzydziestu zerwał był z rodziną i poszedł szukać szczęścia w szmaragdowych gajach Paraguaju.

Szczęście się uśmiechnęło francuskiemu wychodźcy:

Po dwunastu latach pracy, posiadał już trzynaście miljonów franków majątku.

Wtedy przypomniał sobie iż w ojczyznie swej Francji, bawił się często z sześcioletnim dziewczątkiem, córką wdowy po jakimś zabitym przy szturmie Konstantyny kapitanie.

Niebieskie oczy dziewczęcia widział jeszcze w snach — czuł jej drobne rączęta na szyi.

Napisał list.

Dla wdowy był to pierwszy promień słońca po burzy; rząd bowiem Napoleona III. odjął jej emeryturę pod pozorem że brat jej był republikaninem — wydalił córkę z instytutu St. Denis, ponieważ się poddać spowiednikowi nie chciała. Wdowa goniła ostatkami, była prawie w nędzy..

W trzy miesiące potem urocza willa kolonisty była pełną woni szczęścia.

W parę lat, Jan Poivin, składając do snu siwą głowę szepnął cicho:

Miljony moje nie zmarnieją — mam syna.

Gdy wybuchła wojna z 1870 i 1871 r., Jan Poivin przypomniał sobie rzecz drugą — że miał ojczyznę.

Nazajutrz po przeczytaniu odezwy Gambetty z Tours, mruknął spokojnie: «Potrzeba miljonów Francji! Mam piętnaście. Jeden dla żony i syna wystarczy — resztę sam powiozę do Europy!»

W tydzień, za pośrednictwem narodowego Banku w Rio-Janeiro miał stos renty i weksli na okaziciela.

Uściskał żonę, pobłogosławił syna, szepcząc: szkoda że taki młody! . . . i udał się w podróż nocą.

O świcie, w odległości dwóch mil od miasta Alpazile miejscowi znaleźli go zamordowanego.

Miał straszliwy bow-knife po rękojeść zatopiony w gardle.

W dni kilka schwytano mordercę — przy nim pełen jeszcze pulares.

Kiedy zaś w miesiąc później znaleziono żonę i dziecię kolonisty uduszone w sypialnym pokoju villi, miljony przeszły w depozyt legacji francuskiej w Paraguaju, à Elizę Poivin wezwano gazetami do zgłoszenia się po tę kolosalną schedę.

Biedne dziecię gazet nie czytywało nigdy, tylko: Paroissien romain i Dieu et moi (meditations pour une retraite spirituelle par le R. P. Dalier S. J.)

Ale za to ojciec Józef czytywał wszystko co drukowane.

Eliza, bez walki prawie, rzucona w objęcia Hrabiego Błażyńskiego, została wkrótce jego żoną.

Miasto X. krzyknęło wtedy:

«Jaki ten Polak szlachetny.»

Piękny młody, arystokratyczne nosząc imię, poślubił jednak biedną sierotę!

Zaiste! nader biedną, bo dziedziczkę tylko szesnastu miljonów franków w złocie.

Eliza Poivin w kilka dni po ślubie zapadła silnie na zdrowiu. Był to rodzaj choroby wyniszczającej powolnie wszystkie siły żywotne. Doktorzy jej przyczyn ni siedziby oznaczyć nie umieli.

Konsumpcja wewnętrzna trwała sześć miesięcy prawie

podczas których bywało iż chora miewała okropne nerwowe napady. Wtedy nie dopuszczano do niej nikogo prócz ojca Józefa.

Nieszczęśliwa, w malignie, z oczami rozwartemi szeroko, z konwulsyjnie sfalowanem łonem i pianą na sinych ustach, oskarżała męża podobno.

Koniec końcem, po śmierci męczennicy, znaleziono testament w zupełnie prawnej formie, mocą którego Hrabia Błażyński odziedziczał miljon franków — resztę zakon Lojoli w osobie jednego swych naczelników ojca Józefa:

Zawistni szczęściu i rozwojowi kościoła bożego, ateusze bez czci i sumienia, krwiożerczy republikanie i t. p. wołali dość głośno nawet:

Eliza Poivin była otrutą, a testament misternie sfałszowany.

Byli nawet tacy co oskarżali poczciwych ojców o potrójny mord w Paraguaju.

Wszak złych na świecie nie brakuje! Szczególniej między niedowiarkami!

Że kościół chyli cię do upadku — temu nikt nie zaprzeczy.

Z czyjej że winy?

Napróżno żarliwi zwolennicy wszechwładnego dziś zakonu wołają gapiącym się na ten upadek tłumom: tem lepiej! Gwiazda nasza blednieje lecz dla tego tylko, aby wkrótce jaśniejsze rzucać promienie. Bóg chce zobaczyć jak daleko dojść mogą ludzkie zbrodnie i niewiara, jak dalece świat postępowy będzie miał odwagę walczyć przeciw swojemu Stwórcy.

Tak mówią!

A skołowaciałe zaślepieniem rzesze maluczkich wykształceniem, potakują im głową odpowiadając: czekamy!

Błędne pojęcia, zasady i . . . . błędne zrozumienie rzeczy.

Nikt dziś Bogu ni jego kościołowi walki nie wypowiada.

Rzuciliśmy rękawicę ludziom, co nas w imię miłości nienawidzą, w imię miłosierdzia katują i okradają głosząc braterstwa zasady.

Walczymy przeciw tym, w których mury klasztorne i cel nie ojczysty — samotne życie wydane na pastwę wyuzdanych namiętności — nienasycona chciwość i władzy żądza, zatarły

w większej części piętna szlachetnego człowieczeństwa: przywiązanie do własnej ziemi, do rodziny i braci.

Bowiem, przypuściwszy nawet że dwie trzecie katolickiego duchowieństwa składają się z ludzi tak prawych, iżby im podwoje nieba natychmiast otworzyć można, to jeszcze pozostała jedna czwarta część nędzników, zdolna będzie zburzyć wszelką moralność, wszelkie poszanowanie praw własności, poczucie obowiązku.

Nie chcą poczynić żadnych ustępstw na korzyść ludzkości? Dobrze!

Odpowiadany na to: my — albo wy!

Jedni runą koniecznie.

Tak — kościół chyli się do upadku.

Szkoda! mówię to z głębi duszy.

Bo wolałbym go własnem przyprzeć ramieniem i własne na ofiarę oddać życie!

Gdy jednak przeglądam ojczyste dzieje, gdy ostatnie lat sto oślepi mnie ciemną barwą nie zaschłej jeszcze krwi, gdy spojrzę na lud nasz, co mówię! na cały prawie naró nasz słaniający cię po bezdroży, poniewierany i zbolały a co gorsza, wyszydzany przez swych ciemiężców — gdy nareszcie wspomnę sobie ten straszny upadek moralny w jaki nas pogrążono, wrzód ochydny jątrzący się na sercu polskiego narodu — o! wtedy nie dziwcie się, iż w mej piersi miejsce tylko dla nienawiści i pogardy znajduję.

Na właściwem miejscu obszerniej o naszej niedoli i hańbie pomówimy.

Pobieżnego przedstawienia wam charakteru Hrabiego Błażyńskiego nie skończyłem jeszcze.

W rok po śmierci nieszczęśliwej Elizy Poivin miał odwagę ożenić się raz jeszcze.

Tym razem jednak, małżonką czcigodnego kapitana została pani de Bretitzel, czterdziestoletnia wdowa po pułkowniku francuskiej armji i dziedziczka tylko miljona franków.

Żyli z sobą całe trzy lata — pożyciem piekła.

W małżeństwach, gdzie stara żona kupuje sobie młodego i przystojnego męża, miesiąc miodowy zaczyna się zwykle od bójki a kończy rozdziałem lub . . . . . zbrodnią.

Miesiąc miodowy naszych nawożeńców trwał jak widzicie

dość długo; a gdy nareszcie, hrabina, znudzona grubijańskiem postępowaniem męża a zapewne i radami ojca Józefa, który jej zalecał cierpliwość i wytrwanie, obiecując za to jedno z lepszych miejsc po prawicy Przedwiecznego — samobójstwem za pomocą trucizny skończyła życie. — Cesarski prokurator był tak niedelikatny iż wmięszał się nieproszony w tę sprawę. — Na mocy jakichś poszlak czy tam twierdzeń lekarza i służby, kazał nawet chwilowo uwięzić kapitana.

Wtedy to Bóg, jak utrzymywali Jezuici, oddał cudem prawie świadectwo prawdzie, i sumiennie przeprowadzone śledztwo okazało jasno jak na dłoni, że jeżeli Hrabina nie targnęła się sama na swe życie zażywając kwasu pruskiego, to otruł ją nie mąż ale jeden z lokai.

Zaczęto nawet nader żarliwie poszukiwać przypuszczalnego winowajcę, opierając się na podstawie jakiegoś listu, w którym znaleziono insynuacje co do popełnionego morderstwa — ale . . . . było już zapóźno — bowiem zręczny opryszek umknął do Ameryki.

Hrabia Błażyński, czysty jak łza, wypuszczony został z więzienia. Że jednak niebespiecznem było próbować jeszcze raz szczęścia na tej drodze, wielebni ojcowie uradzili iż nadal adept ich wdowcem pozostanie i występować będzie na scenie świata jako wzór cnoty, pokory i miłości chrześcijańskiej, jako żywa negacja wszelkich nietylko przyjemnostek ale i potrzeb codziennego życia, od maiorem Dei gloriam.

Jednem słowem, ułożono w poufnem gronie, aby były kapitan czwartego pułku mógł zostać za życia jeszcze błogosławionym, a naturalnie świętym po śmierci.

Pierwsza część wielkiego zadania nie przedstawiła żadnych trudności.

Dobra wola, pieniądze i pomoc ze strony szukającego za pokornemi duszami kościoła, w połączeniu z odpowiednią dozą bezczelności i udawania . . . wystarczą.

Druga trochę przeszkodami zarzucona: świat wyższy, niezbadany dotąd i . . . . może Bóg. A powiadają że się oszustwem brzydzi, nawet gdy ludzie propagują je dla jego większej czci i chwały.

Że jednak zostać błogosławionym na ziemi udało się zacnemu Hrabi, o tem zaraz się dowodnie przekonamy.

Mary, oparta jeszcze na ramieniu Edwarda przyglądała się szczególnej karcie wizytowej, gdy zapowiedziany gość wszedł do saloniku oddając głęboki ukłon obojgu młodym.

Był to starzec siedmdziesięcio-kilko-letni, smukły i mimo wieku czerstwo zachowany.

Do koła wysokiego, jak kość słoniowa błyszczącego czoła, kępy białych zupełnie włosów tworzyły rodzaj aureoli.

Przecudna głowa starca.

Typ rzymski.

Tylko oko było jasno błękitne, niewysłowianej słodyczy, nieporównanego spokoju.

Duże i wypukłe, patrzało prosto, czarującym uśmiechem pogody, jaką Bóg starcom po latach poczciwego życia rozlewa w obliczu, dla zachęcenia wyrastającego z pod stóp onegdajszych mężów pokolenia, lub szatan — dla zaślepienia upadłego tłumu.

Pełna, krótko podcięta broda, jakby dłutem artysty w czystem srebrze wyżłobiona; takiż wąs średniej wielkości i szeroko rozczesany, nadawały twarzy Hr. Błażyńskiego wyraz tak pociągający, iż wielu, może wytrawnych nawet psychologów, zwieść by się tej ponęcie dało.

Głos starca, mimo tylu burz jakie nad pysznie piękną jego głową przebiegły, był jeszcze pełen spiżowego dźwięku, który tak niegdyś elektryzował żołnierzy 4go pułku w ojczyźnie.

Na szerokiej, wypukłej jego piersi, po lewej stronie między sznurami kościuszkowskiej czamarki, którą zawsze nosił na sobie, błyszczał krzyż:

Virtuti militari.

Ciekawa historja tego krzyża.

W bitwie pod Ostrołęką w karczmie przy drodze prowadzącej do . . . . . . odcięli moskale Błażyńskiego, który raptem, z garstką towarzyszy, wszystkich rannych już prawie, znalazł się w oblężeniu całej roty dybiczowskiej kohorty.

Widząc że zginąć wypadnie, kapitan zwrócił się do swych ludzi i zakomenderował ostatni raz:

— Nabij! — cel — pal! —

Potem:

— Ratujcie się ucieczką — ja ich tu zatrzymam i dobrze przetrzepię nim padnę zabity.

I wleciał jak piorun w zgłupiałą tem szaleństwem rotę.

Po pięciu dopiero minutach prawdziwej rzezi wywrócono go («czarta» jak mówili Moskale), i przykłuto bagnetami do ziemi.

Nazajutrz w ambulansie, Skrzynecki, choć nienawidził kapitana, musiał mu jednak dać krzyż.

Tę odznakę widzieć można było zawsze na piersi Błażyńskiego.

Podczas gdy Edward mierzył przybyłego ciekawem, badawczem spojrzeniem, Mary nachyliła się do niego, szepcząc po angielsku:

— Od tego człowieka przeczuwam nieszczęście. —

Bo kochającej prawdziwie koiecie daną jest od natury bezgraniczna moc przeczucia.

Rodzaj widzenia na jawie.

Matka czy kochanka.

Żona już mniej, lecz to nasza wina.

Po uwadze uczynionej Edwardawi wyszła z pokoju.

Chwilę po jej odejściu podporucznik pierwszy przerwał badawcze milczenie odzywając się po polsku:

— Czemuż winienem przypisać zaszczyt pańskich odwiedzin? —

Kapitan jednak nic nie odpowiedział tylko upornie mierzył wzrokiem mówiącego.

Raptem przysunął się do niego i biorąc miękką, kobiecą dłoń Edwarda, szepnął wzruszony:

— Na miłość boską, panie, chciej mi powiedzieć nazwisko matki twojej? —

— Łuszczewska, Marja . . . ale, nie pojmuję — —

Resztę przerwał kapitan, biorąc go w swe szerokie ramiona.

— Edwardzie! jak ty podobny jesteś do niej! Edwardzie, daruj że cię tak nazywam, lecz to silniejsze odemnie! zresztą . . . ja starzec — mówił przybyły, ściskając dłonie młodego oficera. — Ja twoją matkę na rękach prawie nosiłem Edwardzie! Ach co za szczególny zbieg okoliczności!

Napisz... napisz zaraz do niej! . . więc żyje? . . . Masz — dorzucił, wyciągając z zanadrza swą fotografję — poślij i zapytaj o mnie . . . . . mój Boże! oszaleję z radości — —

Choć wybuch serdeczności kapitana wydał się trochę dzi-

wnym Edwardowi, nie sprawdziwszy jednak jeszcze o ile mówiącemu wierzyć można było, postanowił nie zrażać człowieka, który jeśli miał słabostki w życiu, zdawał się przytem sądząc z twarzy, głosu i całej postaci, być poczciwym człowiekiem.

Zresztą, Błażyński mówił mu o matce, o matce którą wygnaniec ubóstwiał prawie, w wyrazach tak gorących, serdecznych! . . . . .

— Jakiś ty piękny Edwardzie — ciągnął kapitan, podnosząc mu dłonią głowę i wpatrując się w twarz łagodnie — zupełnie podobny do niej . . . . patrz! tyle lat upłynęło . . . . a ja nie mogłem zapomnieć jeszcze . . .

O! musisz i ty być dobry i szlachetny jak ona!

Gdym okryty ranami pod Ostrołęką dostał się do ambulansu . . . wiesz? — ambulans ten był w waszym dworze. —

I długo jeszcze obustronnie przypominano sobie ubiegłe chwile.

Nieprzepartą siłą sympatji pociągnięty, Edward opowiedział starcowi powody swego do X. przybycia.

— Teraz — zakończył powoli — znasz moje położenie kapitanie, tak dobrze jak ja sam. Dwa tysiące franków za całe mienie, to nie wiele, prawda? Udaję się więc z Mary do Genewy, gdzie mam znajomych; ci mi z pewnością pomogą do wyszukania korzystnego miejsca.

— Wszak młoda osoba, którą tu wchodząc widziałem, jest twoją żoną? — zapytał kapitan spokojnie.

— Na cóż mam kłamać? Nie! ale wkrótce się pobierzemy. Okoliczności nie pozwoliły mi pierwej pomyśleć o tem. —

I opowiedział kapitanowi swe poznanie z dziewicą.

Ten słuchał w milczeniu; gdy zaś Edward kończył mówić, zawołał:

— Szkoda że się w ten sposób już związałeś! To prawdziwe nieszczęście. Gdyby nie ona, świetną bym ci tu przyszłość zgotował i to w nader krótkim czasie. —

Lekkie podziwienie odbiło cię w twarzy młodego oficera; odpowiedział z powagą:

— Mary nie posiada żadnego majątku, lecz ja kocham ją i nigdy nie opuszczę! —

Kapitan tymczasem powstał i z pochyloną głową i założoneni w tył rękami, przechodził się zamyślony po saloniku.

Po dobrej chwili dopiero zatrzymał się przed Edwardem i rzucił mu pytanie:

— A gdybyś tu, i to natychmiast, dziś, jutro. . . stosownie do twej chęci, znalazł miejsce tak korzystne, żeby nawet wszelkie twoje nadzieje przewyższało!

— Zostałbym we Francji, gdyż przyznam Wam się kapitanie, że tylko z musu tam się udaję.

— Znasz że dobrze rachunkowość kupiecką i sposób prowadzenia korespondencji?

— Nie źle; brałem bowiem lekcje przez sześć miesięcy w szkole handlowej w Warszawie.

— A więc nasza wygrana! — zawołał Kapitan uradowany. — Bóg czuwa znać nad tobą, dziecię moje, i pragnie cię odwrócić od pokus, na jakie Genewa, ta nowa Sodoma, ten stek brudów całego świata, mógłby cię narazić i może w przepaść swą pogrążyć.

Ale posłuchaj:

Przed trzema dniami jeden z mych dobrych znajomych p. Valot, bankier tutejszy, człowiek pięć razy miljonowy, pytał mnie właśnie czybym nie znał kogo co by mu się podjął niemieckiej i angielskiej korespondencji, za jakbądź wysokie wynagrodzenie. Jeśli więc posada ta jeszcze nie jest obsadzona, zaraz ją jutro będziesz mógł objąć młody mój przyjacielu. Lecę, aby nie stracić i chwili czasu. —

I kapitan ściskając dłoń Edwarda, nie dozwalając mu nawet odpowiedzieć, wybiegł z pokoju.

Nazajutrz, bohater nasz, wróciwszy od p. Valot z którym ostatecznie zrobił kontrakt na rok cały, za umówione wynagrodzenie czterech tysięcy ośmset franków, klęknął u nóg blądwłosej Mary i pieszcząc nadobną swą towarzyszkę, opowiedział jej, jak to kapitan, majątkiem swoim i osobą ręczył za niego i przedstawił jak swego własnego syna.

Oświadczenie tylko iż mnie zna dobrze i od lat wielu, obruszyło mnie trochę, bowiem kłamstwo to było zupełnie zbyteczne, jak również zapewnianie bankiera, iż jestem człowieknie głęboko religijnym . . . Jak już uważałem z mowy kapitana, jest on cokolwiek bigotem. Jeżeli jednak z silnej wiary, w jego latach to do wybaczenia.

Widzisz więc aniołku — zakończył — iż niesłusznie wstręt

czujesz do tego człowieka: Znał matkę moją poczciwą, był jej przyjacielem, i poznawszy mnie na obcej ziemi, podał bratersko rękę pomocy! —

Mary kiwnęła główką niechętnie.

— Skąd że jednak dowiedział się o tobie — zawołała — Wszak zaledwie od kilku godzin przebywaliśmy w hotelu, gdy nas zaszczycił swemi odwiedzinami.

— I ja rzuciłem mu dziś to pytanie, lecz odpowiedział mi, że przechodząc ulicą zobaczył nas w dorożce i podobieństwo moje do matki tak go uderzyło, iż przybył natychmiast sprawdzić rzecz osobiście.

— To mi się wydaje trochę naciągane! — szepnęło dziewczę, a chyląc piękne swe lice ku twarzy kochanego, dodała z dziwnym smutkiem w głosie. — Obyś tylko nie żałował tej znajomości, mój jedyny! —

Może to było przeczucie, a może tylko wrażenie otrzymanego spojrzenia?

Kapitan bowiem, wchodząc dnia poprzedniego do saloniku młodych ludzi, rzucił na Mary wzrok więcej starego lubownika płci słabej, niż człowieka który aplikował na świętego po śmierci.

V.

Marja de Marevelles do Blanki de Langis.

X. dnia 20. . . Maja 1871 r.

Droga, kochana moja kuzynko!

List twój, choć pełen życzliwości, zasmucił mnie niezmiernie. Zapytasz pewno, przypominając sobie i przebiegając w myśli treść jego: «czyż podobna! gdyż prócz opisu mego tu pobytu i cichego szczęścia, które w rodzinnem doznaję otoczeniu, nic więcej nie zawiera.»

Prawda Blanko moja! Jeśli jednak mam ci wyznać co myślę, to właśnie szczęście twoje tak mnie zasmuciło. Może się źle wyrażam! Nie twoje, ale szczęście w ogóle!

Czytając list, mimowoli łzy cisnęły mi się do oczów. Radość twej rodziny, powitania, uściski, błogosławieństwo

matki niewidomej, nawet łaszenie się ulubionego Toma — sprawiły na mnie dziwne wrażenie. Takiego muszą doznawać zgłodniali nędzarze, w obec suto, lecz nie dla nich zastawionego stołu; więcej nawet — rozbitki na morzu, widząc swych towarzyszy odpływających wesoło w łódce ocalenia.

Zawołasz może: Marja się egzaltuje? Nie kuzynko! tylko teraz, już prawie spokojnie, choć jeszcze łez kilka drży na rzęsach, zapytuję Boga: czemu i ja także szczęśliwą być nie mogę?

Tak! czemu nie wolno mi być szczęśliwą?

Otoczona wszystkiem co kochasz i co kocha ciebie; na łonie rodziny, która ci własną zostawia wolę, nie posiadająca zresztą tego fatalnego piętna niewolnictwa pewnych zwyczajów, które znikomy tytuł kładzie nam na czoło, żyjesz szczęśliwą szczęściem swojem i drugich, swobodną w tej sferze serc prostych i otwartych, które biją w uroczysty takt pokoju, śród cichego, domowego ogniska. Przypominasz sobie, jakeśmy się żegnały raz ostatni, opuszczając pensję pani Z. . . ty, aby wrócić pod strzechę rodzicielskiego dworku, ja, aby błyszczeć w arystokratyczno nudnych salonach naszego miasta, śmiać się gdy ból pierś ściska i ważyć na szali etykiety każde słowo i nakazywać ustom by nigdy nie szły z sercem w parze, a to pod karą śmieszności i parafjanizmu.

Czy sobie to przypominasz Blanko?

Wtedy, czytałam w twem oku objaw pewnej zazdrości mojego losu, dziś jednak, przekonaną jestem żeby się moja droga i na minutę nie chciała ze mną mieniać na stanowiska!

Dawniej, byłyśmy dwie siostry, uśmiechnięte teraźniejszością, niebaczne na jutro (które podług nas, zawsze wesołe być miało), w cichem klasztornem zaciszu; i było nam szczęsno i błogo. Cudne dni wesołości i swobody. Nikt nas tam nie krępował okropnem «noblesse oblige» które w tak dziwny sposób tłumaczą sobie moi . . . . . nikt nie zabijał duszy cynizmen wielkiego świata, nie mroził serca zimnem dotknięciem kawałka żółtego metalu — tej dźwigni chorobliwej kasty, do której mam nieszczęście należeć.

Wtedy, mówię, byłyśmy dwie siostry; dziś zaś . . . Boże! co za przepaść nas przedziela!

Ty! . . . . . . Ach, Blanko moja droga! nie będę już i wyobrażać sobie twego położenia, gdyż to mi łzy za przeszłością wyciska, to mi każe nietylko ci zazdrościć teraz — ale nawet złorzeczyć przeznaczeniu (nie śmiem powiedzieć Bogu), że mnie otoczyło takimi ludźmi i takiemi rzeczami.

Cóżem zawiniła, że mnie od kołyski już los naznaczył piętnem stanowiącem zaporę między mną a drugimi ludźmi, że od kołyski już zagrodził mi możność zostania szczęśliwą?

A jednak mam złoto i brylanty, karety i galonową służbę; stu bezdusznych automatów, we frakach i paljowych rękawiczkach, śledzi każde moje skiniemie. Mam matkę która mi niczego nie odmawia, matkę co na byle cień słabości na mej twarzy, telegrafem, do niedawna jeszcze, żądała rady najzawołańszych lekarzy Europy.

I czegóż mi więcej brakuje do szczęścia? . .

Tłum uliczny, widząc mnie w złoconej karecie i służbę z odkrytemi głowami otwierającą drzwiczki, szepcze z zazdrością w głosie: to Marja Hrabianka de Marevelles! siostrzenica marszałka Francji, córka zasłużonej w piśmiennictwie kobiety, dziedziczka stu-tysięcy franków renty . . . Piękna młoda i . . . . . szczęśliwa! Za prawdę! jestem tak szczęśliwą, iż nie wiem sama co robić z nadmiarem pomyślności w życiu.

Mam wszystko, tylko . . . . z odwagą rzucam to smutne słowo . . . . nikt mnie nie kocha . . . nawet matka moja!

Tak — nawet matka!

Choć czuła, tkliwa, staranna o mnie; baczna na moje wygody, szalone nieraz zadowalnia zachcianki, czuję że mnie nie kocha wcale . . . . dziś nawet mniemam że jej stoję na zawadzie! To okropna prawda!

A przecież ona tak piękną, piękniejsza stokroć odemnie w kwiecie wieku, w całej pełni wdzięków i szczęścia, a ja . . . . ja mam zaledwie pół siedmnasta roku.

Mój Boże! . . .

Przyjedź tu, przyjedź Blanko jedyna . . . zobaczysz sama i wtedy . . . poradzisz może! Wszak ciebie nazywaliśmy na pensji naszym Solonem . . . pamiętasz? . . .

Cierpię! cierpię okropnie, bo do koła mnie próżnia bezbrzeżna, a za całe szczęście obcy jakiś pies, który mi od czasu

do czasu nie skąpi igrzącej pieszczoty. Rada bym go wziąść na próbę bo sądzę iż i on trochę hypokryta . . . . . daję mu ciastka . . . może mnie dla nich kocha?

Przebacz mi, że tak rozerwane myśli list ten zapełniają, ale ja słabą jestem . . . . umierającą nieledwie . . . . bo ta atmosfera i ci ludzie zabijają mnie i . . . zabiją z pewnością.

Przyjedź do nas Blanko . . . choć na pięć lub sześć dni . . . widok przyjaznej twarzy ulży mi może! Zresztą, czuję że burza niedaleka . . . . . dziwne to przeczucie, prawda? . . . Ach! potrzeba mi tu ciebie koniecznie.

Mama, której mówiłam wczoraj, że napiszę do ciebie, zasyła ukłony tobie i twej rodzinie. Pan de Gontarin wzdycha, gdy mówię o mej czarnawłosej kuzynce i przyjaciółce.

Oto i wszystko!

Ach! prawda! o kapitanie Bon Dieu zapomniałam jeszcze. Nudzi nas z zegarkową dokładnością dwa razy na tydzień, i w jednym tygodniu, po powrocie swym teraz z Rzymu, przyniósł mi aż ośm książek do nabożeństwa. Trochę dziwak ze swoją przesadzoną nabożnością, umartwieniami i nędzą, na jaką przy tak znacznym majątku dobrowolnie się skazuje; z tem wszystkiem jednak w gruncie człowiek to nie zły. Kocha mnie i mamę . . . dał tego dawniej dowody i niedawno jeszcze wyrządził nam wielką przysługę . . . .

Przerywam, bo właśnie w dziedzińcu pałacowym widzę swoją piękną nieznajomę; olbrzymia charcica hiszpańska czystej krwi przyszła po ciastka . . . . hypokrytka!

Bądź zdrowa etc. . . —

X. . . 25go Maja.

Jakkolwiek zaledwie cztery dni od wysłania ci mego ostatniego listu upłynęły, nie czekając nań odpowiedzi piszę znowu — prestrzegając z góry moją dobrą Blankę że znudzę opowiedzeniem dziwnej przygody, która mi się onegdaj wydarzyła.

Fatma (tak się moja nowa przyjaciołka nazywa), która zwykle o trzeciej z południa nawiedza mnie, i od kilku dni zna nawet drogę do mego pokoju, przybyła złożyć mi swe uszanowanie dopiero o piątej wieczorem. Piszę swobodniej, gdyż szczególne zdarzenie które ci opowiedzieć zamy-

ślam, chwilowo pozwoliło mi zapomnieć domowych smutków moich. Piękne zwierzę było jakby zajęte ważną jakąś missją, trochę smutne, trochę niespokojne; w żaden sposób nie dało się wziąść za obróżę. A obróża nader piękna, srebrna, podwójna, szeroka i bardzo gruba.

Chcąc sprawdzić dla czego ten niezwykły opór, którego nawet podwójną porcją ciastek zwalczyć nie byłam w stanie — wzięłam Fatmę przemocą za kosztowny naszyjnik. Zwierzę szarpnęło w tył ciałem, skutkiem czego dłoń moja nacisnęła ukrytą z pod spodu sprężynę i część naszyjnika rozwarła się szeroko.

Ze środka skrytki wypadł list, właściwiej mówiąc kartka papieru, złożona w kilkoro.

Wyobraź sobie jak byłam zaintrygowaną tem zdarzeniem. Choć z natury nie ciekawa wcale, z tem wszystkiem z chęcią rada bym była odczytać tajemnicze pismo, lecz przeszkodziła mi w tem Fatma, lotem błyskawicy chwytając zwitek wypadły z obróży.

Po długich dopiero pieszczotach z mej strony, położyła mi papier na kolanach skomląc i widocznie dopraszając się jego zwrotu.

Drżącą ręką rozwinęłam go i wyczytałam co następuje:

«Droga Mary!

Zmuszony oddalić się z X. . na dni parę a to tak nagle, że nawet mi czasu na uściśnięcie mego skarbu nie pozostaje — piszę tych słów kilka prosząc, abyś mi posłała trochę bielizny i rzeczy do M. . . dokąd w tej chwili odjeżdżam pośpiecznym pociągiem. Fatma ci wręczy tę kartkę i szczególny list, który zabrałem u kapitana widząc, iż o mnie w nim chodzi. Zachowaj go starannie.

Niech cię mój odjazd nie troszczy gdyż żadnego nie ma niebespieczeństwa, chcę tylko sprawdzić osobiście jak rzeczy stoją. Wiesz że cię kocham nad życie, więc nie powtarzam zapewnień, bowiem znasz mnie Mary i nie wątpisz iż cię nigdy nie opuszczę

Twój E. . .»

Pismo to było pociągłe, bardzo wprawne i litery z niezwykłym kreślone pośpiechem.

Spojrzałam w obróżę . . . był tam list drugi, w kopercie

już ropieczętowaniej, niosącej stemple Orleanu, i na adres kapitana Błażyńskiego.

I tego listu treść ci podaję. To źle z mej strony tak przejmować cudze tajemnice ale . . . jakaś nieznana siła popycha mnie do tego!

«J. M. J. A. M. D. G.

Kapitanie:

Jutro przybędzie do X. . . p. Edward de Parski rodak twój, młody, piękny, bardzo wykształcony, a co głównie umiejący sobie jednem spojrzeniem jednać męzczyzn i podbijać serca kobiet. Podróżuje w towarzystwie młodziutkiej angielki, Mary Broms, którą ocalił podczas szturmu z d. 11. Października z. r. . . . czy też ona jego ocaliła. . .

Nie śmiem powiedzieć że jasnowłosy genjusz piękności (dziewczę ma lat siednmaście i jest odurzającej urody), jest jego kochanką, bo Mary Broms kocha Edwarda do szaleństwa prawie, a ten półgłówek ma mocne postanowienie poślubienia jej w Genewie. Żależy nam wszystkim jednak wiele, aby się ta czule gruchająca para rozeszła jak najprędzej. Nadto Edward powinien zostać w X. . . . rachujemy więc na kapitana że wszystko zrobisz, by go zatrzymać tam czas dłuższy. Blizsze szczegóły, później.

Ojciec Józef już zawiadomiony — naradź się co czynić; jeśli bowiem zyskamy Parskiego dla naszych celów, zakon ogromne poczyni postępy, szczególniej w Galicji, gdzie wiara stygnąć zaczyna trochę i młodzież ogromnie przeciw kościołowi Bożemu występuje. Parski jest człowiekiem nieustraszonej odwagi i rzeczywistego talentu. Bądź co bądź spróbować go nie zawadzi.

Twój brat w Chrystusie:
Baptysta.

P. S.

Mary Broms nie ma nikogo na świecie, kłopotów więc mieć nie będziecie żadnych potem.» —

Okrzyk zgrozy wydarł się z ust moich po przeczytaniu listu i okropnego dopisku w którym . . . . może się mylę . . . . . lecz czuć było cień . . . zamysł jakiej zbrodni.

«Mary Broms nie ma nikogo na świecie — kłopotów więc mieć nie będziecie żadnych potem.»

Biedne dziecko — ani wie co ją czeka może! Więc, Blanko moja droga! to wszystko prawda, cośmy czytały ukradkiem w klasztorze? Więc są ludzie, którzy pod maską świętości i szatą sługi bożego, zdolni są do podobnych podłości i zbrodni!

Ale on, ten Edward, czemu tak obojętnie się tem zajmuje i taki list, w lekkomyślny sposób daje do odniesienia?

Prawda, wierny sługa i milczący przytem, lepiej się sprawi jak poczta; bo listy przejąć można... czytałam o tem .... a ten Edward nie myślał pewno, że Fatma niosąc jego tajemnice, skręci do pałacu de Marevelles po ciastka i łakocie.

Podobnie myślałam po przeczytaniu listu.

Wierne zwierzę wyrwało mnie z marzeń lizaniem rąk moich, jakby dopominając się zwrotu powierzonych mu papierów.

Zwinęłam je starannie napowrót i włożywszy do środka naszyjnika, wypuściłam Fatmę na dwór. Charcica lotem strzały zniknęła z pałacu.

... dnia 27. Maja.

Dziś wieczorem spotkałam na bulwarze Mary Broms. Powiadają że kobiety rzadko sobie oddają sprawiedliwość! To być może ... przyznam ci się jednak, daleka jestem od wyznawania tej zasady. W życiu mojem nie widziałam tak pięknej jak ona! Tylko nadzwyczaj blada. Szła oparta na ramieniu służącej! Z pod kapelusika i podniesionej zasłony, widać było jej bogate, jasne włosy, spływające w nieładzie po ramionach. Stanęła na wprost pomnika Berangera i długo tak pozostawała zamyślona, wsparta o balustradę od strony rzeki, nie zwracając uwagi na przechodzących. A nie było dziecka nawet, które by mijając ją nie odwróciło się by raz jeszcze podziwiać ten typ prawdziwej urody. Pochylona nad wodą wydawała mi się jakby żywcem zdjętą z obrazu Guida. Tylko że na jasnem czole tej Mary, więcej było dzie-

wiczego uroku, w błękitnem oku więcej smutku, niż na czole i w oczach pięknej Parysa oblubienicy.

Porównanie: miłość duszy i miłość zmysłów.

Prawda, dziwne ci rzeczy piszę Blanko, ale ja nie wiem co się ze mną dzieje. Opisać ci sympatję jaką mam do tej ślicznej Angielki . . . niepodobna. A wiesz, chciałabym koniecznie poznać także i owego Edwarda. Musi być dobry jak anioł i piękny jak Apollo . . .

A propos: Fatma leżała u nóg p. Broms, gdym nadeszła z lokajem.

Spostrzegłszy mnie, jednym skokiem znalazła się po drugiej stronie pomnika przy drzwiach cukierni z której właśnie wychodziłam. Jakieś ciastko przeznaczone dla Emilki dostało się naturalnie harcicy. Gdym wyszła powtórnie ze sklepu, ani mojej Angielki ani Fatmy już nie było.

. . . dnia 29. Maja.

Horyzont zaciemniać się zaczyna! posłuchaj!

Wczoraj znów mieliśmy odwiedziny Hrabiego B. . . . . Nigdy nie miałam wiele życzliwości dla tego człowieka, i choć on stary przyjaciel naszego domu, choć go uważałam za dość dobrego w gruncie, okazywana mu przyjaźń była z mej strony więcej rodzajem świętego obowiązku, niż szczerego i głębszego uczucia. Dziś brzydzę się nim prawie. Mój Boże, w tym wieku i taką haniebną snuć intrygę! Szczęściem że ani mama ani ja, nie jesteśmy zbyt religijne!

Przyszedł, jak to już od kilku tygodni czyni, nudzić nas o pozwolenie przedstawienia jakiegoś młodego człowieka, Polaka, który (podług zapewnień hrabiego) ma być wzorem cnót, uosobioną skromnością i pokorą, coś w guście owych błędnych rycerzy z czasów średnich; waleczny jak Bayard, jak Abeillard czuły . . . nadto, głęboko religijny.

Jak wiesz, prócz naszego kółka i kilku literatów i literatek, bez których by mama żyć nie mogła, i którzy jej dopomagają do wydawnictwa damskiego dziennika — nie przyjmujemy nikogo. Od kilku więc tygodni mama i ja zbywałyśmy natrętność kapitana oświadczeniem, iż pod żadnym pozorem nowych nie będziemy zawierać znajomości.

Wczoraj było znów to samo.

Wtedy kapitan podniósł się, otworzył swój pulares, i dobył z niego jakąś fotografję.

— Wierzcie mi panie! — rzekł z powagą — jeśli nadużywając sam praw gościnności, śmiem jeszcze powoływać się na nią w sprawie mego młodego przyjaciela, to tylko wierząc, że tak dawna zażyłość pozwoliła nam ocenić się obustronnie i drobne wzajemne wyświadczać przysługi.

Młody człowiek za którym się wstawiam, nie tylko ze względu na swe urodzenie, wykształcenie i usługi wyświadczone Francji, godny jest zaszczytu bywania w waszym domu. Wiem dobrze, iż gdybyście go raz tylko widziały, zyskałby już wasze sympatje jednem słowem i jednem spojrzeniem. Jest sam, nie udziela się nigdzie, prowadzi życie pracy i uczciwości . . . czemuż więc zamykać mu wasze podwoje tak bez przyczyny? . .

Oto jego portret! — dodał pokazując mamie fotografję swego protegowanego.

— Jakże się nazywa? — rzekła z uśmiechem matka moja, biorąc kawałek kartonu z ręki kapitana.

— Edward de Parski. —

Mimowolny krzyk wydarł się z moich piersi.

Dziecinna! przecież mogłam się była domyśleć, że to o kochanka owej angielki chodziło. Tylko że p. Błażyński występował w liście jako intrygant i prześladowca, tu zaś jako najczulszy przyjaciel swej ofiary. Otóż co mnie zbiło chwilowo z drogi. . .

— Czy zna go Pani? . . Czy znasz go Marjo? — zapytali mnie jednocześnie kapitan i mama.

Czułam iż rumieniec na twarz mi występywać zaczynał, a odpowiedzieć trzeba było.

— Nie! tylko ten śliczny pies Fatma co tu, jak mama wie, często do pałacu po ciastka zagląda, nosi na srebrnej obróży wyryte litery Edward de P., i okazuje mi wielkie przywiązanie.

— Tak charcicy mego protegowanego Fatma na imię — odparł kapitan. — A szczególne zwierzę, mnie np. dotknąć się nie pozwoli. Nieraz chciałem złamać ten dziwny upór, bo radbym, będąc szczerze życzliwym Edwardowi, pozostać w zgodzie ze wszystkiem co go otacza, ale moje starania

były nadaremne. Za zbliżeniem się mojem, z głuchym warkiem i najeżoną siercią cofa się zawsze za swego pana.

— Mówią że zwierzęta są obdarzone w wysokim stopniu instynktem przeczucia, szczególniej co do osoby tych, co je wychowują — rzekłam spokojnie.

Kapitan skrzywił się lekko na te słowa.

— Jeszcze raz powtarzam pani, że mnie odwiedziny tutaj Fatmy dziwią niezmiernie, bo sam Edward mówił mi nieraz, żé charcica jego do nikogo nie przystępuje, i nikomu pogłaskać się nawet nie da, prócz Mary — —

Tu przerwał raptownie, jakby uczuł że powiedział za wiele.

Ja nie pytałam dalej.

Matka moja długo, upornie wpatrywała się w podaną sobie fotografję.

— Jakkolwiek pojąć nie mogę — rzekła nareszcie — jakim sposobem człowiek młody, wykształcony, z taką postawą i twarzą, może się w ten sposób ofiarować, i bez jakiegoś ukrytego celu narażać dobrowolnie na śmiech ogułu! co gorsza, na posądzenie się o hypokryzję. Ze względu na dawną naszą zażyłość kapitanie, zgadzam się chętnie, byś go nam przedstawił kiedy.

— Dziękuję serdecznie w imieniu mego młodego przyjaciela, lecz nie rozumiem co pani mówisz o kompromitacji i hypokryzji.

— Sam go nam przedstawiłeś jako świętego prawie, jako człowieka, który przy wszystkich cnotach ludzkich, żadnych prawie wad nie posiada, i prowadzi z przekonania spartkańskie życie; patrząc zaś na tę twarz inteligentną, na wysokie myślące czoło i błyszczące oko p. Parskiego, wcale przeciwnego bym musiała być zdania. —

Kapitan spoglądał na mamę z widocznem podziwieniem.

— Znasz mnie Hrabio i wiesz, że pod względem przekonań religijnych różnimy się ogromnie, a ani ty ani nikt na świecie, jak mówicie, nawrócić mnie nie zdoła. Mojem więc zdaniem, jeżeli p. de Parski jest rzeczywiście takim jak po raczyłeś nam opisywać kilkakrotnie, to człowiek bez żadnych zasad, z prostego interesu przechylający się na waszą stronę. Dziś zadowoloną jestem, żem choć jego portret widziała. Przypuszczam, że z przyjaźni i tak tylko, jak

ojciec Józef, pojmując zacność charakteru i poczciwość w życiu, użyłeś przesady dla otworzenia swemu protegowanemu naszego domu. Przyjmę go chętnie, bo nie wierzę by tak źle z nim było. —

Wchodząca pani de Bretitzel przerwała tę rozmowę.

Hrabia, oddalając się, zbliżył się do mnie i rzekł z szczególnie znaczącem spojrzeniem.

— Przed chwilą, à propos Edwarda mówiłaś pani coś o przeczuciu zwierząt, rozróżniających instynktem życzliwe lub wrogie osoby. Choć z duszy kocham mego protegowanego, Fatma mnie znosić nie może . . . to prawda . . . . czy jednak przywiązanie, które pani okazuje miało by znaczyć że Edward znajdzie w pałacu de Marevelles życzliwość dla ciebie . . . ? —

Odpowiedzi, naturanie, nie było żadnej.

Zapomniany portret Parskiego wzięłam z sofy i przyjrzałam mu się potem dobrze w moim pokoiku.

Blanko moja droja! teraz się wcale nie dziwię że ona go tak kocha!

Posyłam ci tę fotografję, ale zwróć mi ją odwrotną pocztą, i napisz co myślisz o nim. Napisz koniecznie. Zapewne Mama, a potem może i Kapitan, szukać będą zapomnianego portretu; niech szukają. Proszę jednak, nie wnioskuj nic z mojego, może i niezbyt taktownego postępowania. Wiesz, że na pensji zawszeście się ze mnie śmiały, mówiąc że gorąco czuję i myślę. To prawda! i gdyby nie śliczna Mary, gdyby nie to, że tak anielską postać Edward kochać musi, on by zyskał pierwszeństwo, czuję to dobrze. Z tem wszystkiem jednak cienia zazdrości nie ma w mem sercu.

Radabym odwrócić od nich obojga grożącą ich szczęściu burzę; radabym patrzeć nawet czasami na urocze wesele ich pożycia ale . . . . . oto wszystko! Czekam odpowiedzi i doniesienia, kiedy moja hiszpanka tu zawita i olśni swą andaluzyjską cerą i błękitnym wzrokiem, złoconą młodzież naszego salonu.

Nazwiesz mnie pochlebczynią? . . . tem gorzej!

VI.

Zaraz po objęciu posady w biórach Bankiera Vallot, Edward wynajął na dole jednego z pięknych domów, przedmieścia Paryskiego, małe, z kilku pokoiów składające się mieszkanie.

Okna saloniku i sypialni otwierały się na pełen kwiatów ogródek, w którego głębi na wewnętrznej stronie kraty, zacienionej od ulicy olbrzymiemi pierścieniami sycylijskiego bluszczu, była wspaniała, naturalna altana, z trzech wiązów nagiętych do siebie i splecionych gałęziami.

Umeblowanie mieszkania skromne lecz pełne gustu. Dywany na posadzce niskie, miękkie siedzenia — na ścianach prześliczne sztychy przedstawiające sceny z życia angielskiego; na jednej z nich, dwanaście fotografji z okropnych bolesną prawdą szkiców Grotgera. W tym saloniku, kosztowny Erard — dar kapitana.

Hrabia Błażyński zmusil Edwarda do przyjęcia cennego instrumentu, mówiąc iż to pomiątka po jego pierwszej żonie, że sprzedać by jej za nic nie chciał; woli więc widzieć w rękach syna swego.

— Bo czyż ty nie jesteś mym synem prawie, Edwardzie?.. a patrz . . . dziś mam siwe włosy . . . I . . . młode pokolenie, plejada męczenników dzisiejszej niedoli, to nasze dzieci przecie — —

Wspaniały więc Erard przydał się Mary.

Przyroda była prawdziwą artystką w uroczem ciele dziewczyny.

Ona, była artystką w przyrodzie. . .

Nie chcielibyśmy jednak aby nas źle zrozumiano!

Dziś czcimy Lisztów i Bühlowów; nawet Mikulich i Marków jak np. w Galicji.

Mistrze to może — prawda . . . .

Ale formy.

Słuchamy ich siedząc w krześle po 2 złr. 50 ct., lub więcej.

Klaskamy za nasze pieniądze, a dźwięczne tony, rzuconą kaskadą spływają na nas szczęśliwców. Nieśmiertelny Cho-

pin w modzie dzisiaj, na porządku dziennym i w programie każdego koncertanta.

Więc jeden i drugi fortepjanista zamyka się miesiącami w świątyni wdzięcznej muzy; bębni godziny, dnie całe nieraz po klawiszach!...i badając pojedyńcze dźwięki zgasłego mistrza, stara się odczuć je palcami.

Potem, wygra z nut arcydzieło, ani raz się nie omyli weźmie piano i forte gdzie potrzeba, zadrży ręką, przewróci oczami, zmiarkuje szybkość, nacisk i nada lekkość lub powagę uderzeniu.

Nagrodą oklaski i parę set papierków do kieszeni.

Czasem serenada przy pochodniach (mówiąc między nami, kocia muzyka, w której więcej dobrej chęci i redaktorskiej naiwności, niż uczciwego wykonania).

Czasem także dobry fortepjan i to z Wiednia może kapnąć w podarunku.

Mistrze to formy.

Piękny zawód, szczęść Boże!

Mary była dziwną artystką — bez nut i kto wie — może właśnie dla tego — prawdziwą.

Edward, posiadając doskonale piękną Shakespeara, Byrona mowę, czytywał dziewczęciu wieczorami ustępy z prac trzech gwiazd poezji naszej ojczystej, tłumacząc je odrazu.

Opowiedziawszy jej poprzednio o ogólnych zarysach smutne, krwawe dzieje męki narodu polskiego, przeczytał raz Anhellego Juljusza.

Jasnowłosa Angielka wstała, przystąpiła do fortepjanu i . . . .

Edward usłyszał znów Anhellego . . . tylko w pieśni.

Była to poezja dla duszy.

Są wzniosłe natury, dla których ton każdy wyrazem, akord zdaniem pełnem myśli i życia.

W niemem podziwieniu słuchał wtedy wygnaniec tajemniczej harmonji.

Przeczytał ustępy z Przedświtu . . . . . i znów klawisze fortepjanu powtórzyły:

Czy pamiętasz nad Alp śniegiem . . . .

Gdy jej wyznał co czuł pod wpływem tej mowy zaklę-

tego w drżących tonach ducha poety, Mary uśmiechała się do kochanka i odpowiadała naiwnie: —

— Bo wiedz Edwardzie, jabym i nie znając ciebie, kochała twą biedną ojczyznę. To już w mem życiu, że kocham tych co nieszczęśliwi.

Wtedy oficer klękał u stóp wiotkiego dziewczęcia, brał w swe męskie dłonie drobne rączki ukochanej i patrzał tak długo w to blade lice i w te ciemno błękitne oczy, trwożne i łzawe jak gazelli z afrykańskiego stepu. . .

Patrzał, szeptał cicho.

«Czemu ona nie polka, mój Boże.»

Czasem powiedział to mimowolnie nieco głośniej i po angielsku.

A Mary, pochylona nad czołem polskiego wygnańca, odpowiadała pieszcząc mu je ustami:

— Naucz mnie twych poetów mowy!

Czemu Edward nawet w objęciach kochanki marzył polkę i chciał polskiej na usta pieszczoty . . . . czemu? . . .

Bo był jednym z tych szaleńców, goniących za niepodobieństwem z uporem rozpieszczonego kanąbrnego dziecka.

Bo dziesięć lat tułactwa, czasem nędzy, zawsze żalu i tęsknoty, nie mogły w nim zerwać tej struny, co za każdem poruszeniem dźwięczała w ojczystą nutę.

Nieraz bywało że usiadł samotnie i godzinami całemi dumał o ziemi na wschodzie.

«Co oni tam robią!» szeptał jak w modlitwie.

«Czy pamiętają? . . czy z dniem powrotu wesołe, uśmiechnięte, przyjazne napotkam oblicza?»

Wtedy serce toczyło z rozsądkiem walkę straszliwą.

Jedno mówiło:

Pamiętają! tam życie . . . . oszalejesz ze szczęścia w powitania namiętnym uścisku!

Drugi:

To fałsz! . . . Twarz wygnańca już tam zapomniana. Będziesz obcym.

I znowu serce:

«Tam wszystko! . . . . .»

«Ha! ha!» przedrwiwał rozum. «Nawet szklanki wody!»

Bezustanny ten bój dwóch marzeń szkodliwie wpływał na uraźliwy charakter tułacza.

Stawał się on powoli nie do zniesienia.

Sarkazm spotęgowany boleścią i tęsknotą.

Okropny sen w którym olbrzymie widmo, gniotło swym ciężarem najszlachetniejsze zasady.

Czasem jednak myśl ta stała i ciągła powrotu do swoich, odurzała go zupełnie.

Wtedy patrzący nań nie poznawali go wcale . . .

Miał promienne czoło, blask w oczach, rumieniec na twarzy.

Był myślą w ojczyznie i przyjmowano go tam serdecznie.

Jak już powiedzieliśmy wyżej:

Widzenie na jawie.

Widzenie takie zsyła czasem Bóg tym, co na wieczną mękę zostali skazani przez swych własnych braci.

Znikoma pociecha . . . ale zawsze pociecha!

Potem znów zapadał w rodzaj apatji moralnej, gorszej od samej śmierci.

Pisał śliczne poezje, lecz pełne ironji, zapewne żółcią, a podwójną, bo powstała z utraty wiary i z dziecinnego za nią żalu.

W jednej z takich chwil napisał:

Czas imię moje skryje w swej pleśni
Bo czas najświętsze węzły rozcina
A ona, bracia — i ma rodzina
Jutro zapomną już mnie — i pieśni!

Gdy boleść stłumi lirnika pienie,
Wieść o mej śmierci dojdzie ich z dali,
Śliną pogardy mi na wspomnienie
Rzucą — wołając: my go nie znali!

I nie dziw! taka już nasza dola . . .
To ludzie! czegóż więc chcieć od ludzi? . .
Nie mógł ich zbudzić ryk dział z walk pola,
To i pieśń moja pewno nie zbudzi? . . .

Mary, która miała przywilej rozpraszania uroczą pieśnią bez słów żywych, czarnych chmur na czole wygnańca, siadała wtedy do swego Erarda, snując na nim hymny zielonej nadziei.

I raz, gdy milczał upornie i.... nie śmiejcie się czytelnicy, miał w męskiem oku drobną lecz gorzką łzę..... powiedziała:

— Dręczysz się dobrowolnie Edwardzie.... wróć tam, a przekonasz się, że wszystko co polskie uśmiechem cię obdarzy i dłoń poda. —

On zmienił miejsce, siadł w ulubionej swej pozycji na ziemi przy nogach angielki i opierając jej głowę na kolanach szepnął:

— Posłuchaj! niedawno miałem dziwny sen!

Śniło mi się, iż doprowadzomy do szaleństwa namiętną myślą powrotu, poszedłem ku rodzinnej stronie.

W królestwie polskiem czekała mnie szubienica.

W księstwie poznańskiem także szubienia za pomocą wydania w ręce Moskwy.

Pozostała mi więc jedna tylko Galicja.

Dziwny strój i dziwny lud.

Wszystkim nam na czole i od razu czytają wyrazy: z za kordonu.

A opisać ci nienawiść, jaką czują do tych, co się pod zaborem austrjackim nie urodzili, nie podobna.

W cichy szept najpierw, potem w głośne słowa rzucono mi obelgę:

«Po co tu przybył? .. chce pracy....

«Przez dziesięć lat za granicą nie mógł sobie wyrobić stanowiska, nie zrobił majątku....

«To musi być łotr koniecznie...» ....

....

Nie kończę!... bo jeśli cierpiącemu na tę śmieszną słabość, którą nawet niemcy znają i nazwali «Heimweh» podobno, wolno jest śnić że malejemy duchem... mnie jako pisarzowi nie godzi się powtarzać szkaradnego snu.

Choć przez ciąg czytania kilkudziesięciu kartek jeszcze, wierzmy że tak źle nie było.

W ośm czy dziesięć dni po przybyciu młodych ludzi do X.... zastajemy Edwarda w małym saloniku, na leżance, czytającego razem z Mary francuską powieść «Colombę» p. de Mérimée.

Było już po jedenastej z wieczora.

Jasnowłosa angielka, w połowie na sofie w połowie na kolanach kochanka, z głową opartą o jego ramię, słuchała teraz zamyślona, i grając rączką bezwiednio z długą jedwabistą siercią na głowie Fatmy, która, jako hiszpanka z pochodzenia, lubiła miękkie posłanie i trzy zsunięte razem taburety obrała sobie za spoczynku łoże.

Prześliczna grupa.

Nie potrzeba być jednak wcale obdarzonym darem przewidywania, aby zgadnąć jak niemiłe wrażenie ustępy te zrobią na moich rodaków w ojczyznie.

Już i tak zarzucano mi nieraz że jestem zbyt otwarty i piszę co myślę.

Jakby to było grzechem.

Teraz pobożny tłum spuszczając skromnie świętobliwe oczy ku ziemi, zawoła:

Przedstawia nam emigranta z kochanką i od godziny o nich pisze.

Omyłka — nawet dość gruba.

Przedstawiam dwoje ludzi, których los zjednoczył.

Więcej: dwie szlachetne natury.

Dwie piękne dusze. . .

Wierzcie mi kochani! Można być polakiem w całem tego słowa znaczeniu, nie posiadając ni majątku, ni tytułu — nawet praw doktora, gdy się inny nie nawinie.

Można być również uczciwą, uczciwszą od wielu innych kobietą, choć związek nie u stopni ołtarza był zawarty i choć oddanie nastąpiło bez urzędowej białej sukni, urzędowego pomarańczów kwiatu we włosach i urzędowych łez.

Piękna lecz często potworna komedja.

Wołacie: to dla wzmocnienia wiary w ludzie.

Fałsz!

To dla wzmocnienia w nim pociągu do wódki i dalszego opychania krwawym groszem przyjaciół waszych czarnych.

Jezuitów czy nie — wszystko jedno.

Stąd gwałt i śmieszna komedja oporu w radzie państwa w Wiedniu.

Choć ja sądzę że rząd przeprowadzając ustawy kościelne i prawa o cywilnych związkach, działał zupełnie po waszej myśli.

Bo czemże u was małżeństwa?

Czem u was kobieta?

Wiem doskonale! Dwa lata oddychania waszem powietrzem, oglądania was jako curiosum stworzenia, choć was Darwin nawet od małpy nie wywodzi, były — dostateczne.

Prosty kontrakt . . . .

Towar!

Wszak powieść niniejszą piszę po polsku, czemużbym więc nie miał powiedzieć prawdy?

Blagujmy za granicą, lecz nie blagujmy samych siebie.

Ja może odmienne od waszych mam zapatrywania, lecz sądzę że miłość kobiety otrzymana dla formy, nie jest miłością.

Umarłbym z nudów przy takiej kobiecie . . . gorzej . . . nie wierzyłbym jej, bo w dniu w którym by wypadkiem przeprowadzono inne prawa i formy, żona moja wyrecytowała by podobną lekcję drugiemu.

Potem obszerniej o was i o niewiastach waszych.

Mary kochała, nie wiedząc że kocha.

Nie wiedząc prawie co czyni.

U was — zwykłe kobiety rachują. . .

Mary oddała się uczuciu bez rachuby.

Stąd ogromna wyższość uczucia.

Prawda, że i wielka odpowiedzialność na sumieniu męszczyzny.

Oddać się tak, znaczy wyrzec: «Jesteś szachetnym, ufam ci. . .»

A Mary nawet słowa «ufam» nie pomyślała.

Za to ręczę.

Bo «ufam» znaczy prosto: mogłabym nie ufać wcale.

Obietnica . . . chęć nagrody.

Stąd interesowność jakaś, pierwszy stopień sobkostwa, gdy wolicie.

Młoda angielka zamknęła oczy, wierząc. . .

Zamknięcie ócz to wiara.

Wiara miłości . . . . a więc zbawienia.

My w gruncie nie jesteśmy nieszlachetni, tylko nas kobiety na kręte spychają ścieżki.

Wołam więc.

Uprawnić kobietę, ale nie do telegrafu lub mundurowej czapki z klasyczną różą.

Nie tomami prelekcji pani Dobieszewskiej i nie gimnastyką hygeniczną, spółeczno ekonomiczną, polityczną, religijno pokojową w rodzaju «Dada» Dra. Józefa Zulińskiego.

Uprawnić kobietę, aby wolno jej było wrócić na stanowisko, które jej wyznaczył Sokrates w rodzinie.

Żony i matki.

Żony dla męża.

Matki — pokoleń.

Jeszcze nie skończyłem, więc dalej:

Że równouprawnienie kobiet, jak je pojmuje owa dama i ów pan, jest antypostępowe i czysto z gruzów walącej się hierarchji kościoła powstałe (nie walącego się kościoła; kościół bowiem zostanie, tylko judaszów, faryzeuszów i przekupniów zeń usuniemy), dowodem świeża ustawa obowiązująca w kantonie Schwyz w Szwajcarji.

Wolność osobista w tym szczęśliwym kraiku jest tak dalece rozwiniętą, iż nie zdejmującego czapki przed mnichem, wolno jest w samo południe obrzucić błotem na ulicy i obedrzeć z odzieży.

Otóż kanton ten uprawnił zupełnie kobietę tak, że jej wolno nawet w izbach zasiadać i piastować wszelkie urzęda publiczne.

Dzieci zrozumieją dla czego.

Jeśli kobiecie wolno będzie pobierać specjalne wykształcenie, i stanąć tym sposobem zupełnie na równi z mężczyzną, każda rzuci się na tę drogę. Popełniła by bowiem głupstwo niezmierne, wiążąc się przysięgą małżeńskiego związku, ulegając woli jednego, zgadzając się na stanowisko gospodyni domu i matki dzieci.

Na urzędzie lub w sejmie więcej zarobi, a sto innych zajęć zastąpi jej męża. Tym sposobem zyska niezależność i zbędzie kłopot z wychowaniem drobnych dzieci.

Równouprawnienie kobiety to zamach na rodzinę.

Kler katolicki widząc, iż mordowaniem rodzin nie dość

jeszcze robi złego ludzkości, chce teraz wywrócić porządek społeczny, wydzierając światu ludzi, co nawet w świecie zwierzęcym istnieje nienaruszone:

Uległość samicy i karmienie potomstwa.

W ręku Edwarda było życie Mary.

Rozporządzać życiem drugich — to bezgraniczna roskosz.

W szlachetnych naturach bodziec to do uszlachetniania się w nieskończoność.

Takim był Lewitu z imionami spiskowych, gasnących na spieczonych pożarem wargach Konarski w przededniu szubienicy i wielu innych . . . . W 1863 r. Hr. Starzeński z . . . . Członek drugiej gałęzi tej rodziny nie zdołał spodlić na nowo oczyszczonego wojskowym strzałem imienia — nawet formacją ułanów w 1866.

Są ludzie którym się nic nie udaje.

Nawet goskonada.

Nawet rezolucja.

Nawet burmistrzowska chętka złapania krzyża lub tytułu.

Posłem można się urodzić . . . to bardzo łatwo. Historja oklepana kozaczka i jaśnie oświeconej panny.

Człowiekiem — trudno.

Edward rozporządzał życiem Mary.

Podsunął jej książkę i gdy znów ona czytała urocze ustępy Colomby — spoglądał na prześliczną twarz siedmnastoletniej dziewicy i myślał:

«Ona mnie kocha!

A jednak . . . . . gdyby mi przyszło zabić ją koniecznie!» . . .

Może Mary przeczuła niebespieczeństwo, może długo wpierw nad swem rozmyślała położenien — nie wiem! Dość że podniosła główkę i szepnęła:

«My dear Edward!»

W słowie tem była i pieszczota i prośba:

«Kocham! . . . nie opuszczaj mnie!»

Edward wyciągnął ręce, ujął w ramiona niczem nieskrępowaną kibić dziewczyny i przyciągnął ją ku sobie.

Może ruch był za gwałtowny, może drobna nieobuta nóżba angielki, zsuwając się z sofy, natrafiła na coś ostrego

na kobiercu, lecz Mary zbladła nagle i wydając krzyk boleści, chwyciła się dłońmi za pośpiecznie bijące łono.

— Co tobie aniołku — szepnął Edward, zsuwając z białych ramion kochanki jasne, błąkające się po nich sploty złotych włosów.

Ona nie była już bladą.

Twarz . . . szyja dziewczyny przedstawiały się w kolorach róży.

Ze łzą szczęścia cała drżąca w objęciach młodego wygnańca, jak bluszcz przytuliła się doń i kryjąc twarz na jego ramieniu:

— To już przeszło — rzekła tak cicho, że Edward więcej przeczuł niż usłyszał te wyrazy.

«O, ja jej zabić nie mogę!» pomyślał «bo zabiłbym siebie . . . .!»

. . . .

Drzwi otwarły się z łoskotem i hr. Błażyński wszedł do saloniku.

Dziewczę, pełne wstydu, poprawiając nieład swego odzienia, zniknęło za zasłoną sypialni.

Fatma z głuchem mruczeniem skoczyła z taburetów i w groźnej postawie z błyszczącem tłumioną wściekłością spojrzeniem, najeżoną siercią i ciałem skurczonem jakby do rzutu, przysiadła u stóp Parskiego.

Kapitan był jak zwykle w swym polskim stroju z klasycznym cylindrem w jednej, z laską zakończoną w kształcie krzyża w drugiej ręce.

Z łysego czoła pot spływał mu kroplami:

— Daruj mi kochany Edwardzie — rzekł szybko — że o tak późnej porze i bez zameldowania się wchodzę do ciebie, lecz sprawa nader ważna, sprawa sumienia, dodał z naciskiem — sprowadza mnie tutaj. —

Parski powstał z siedzenia i przysuwając fotel gościowi, odparł spokojnie lecz lodowatym tonem.

— Cieszę się z odwiedzin pańskich, tem więcej że i ja również mam mu kilka słów do powiedzenia.

Pozwól kapitanie że ci wyznam co mi cięży na sercu; potem zaś w sprawie sumienia będę zupełnie na twe usługi.

Wierz, iż tydzień zaledwo tu mieszkam, z nikim ani ja

ani Mary się nie znosimy, otóż zdziwiło mnie bardzo że całe sąsiedztwo się mną zajmuje; że nawet niektóre poczciwe kumoszki pozwalają sobie kontrolować godziny, o których zwykle wracam wieczorem do domu. Dziś rano służąca moja oświadczyła mi iż pan Hrabia pozwalasz sobie pokazywać mnie obcym nawet osobom, zapytując czy mnie nie znają przypalkiem i czy moje prowadzenie nie jest naganne. —

Kapitan zrobił gest rękami, jakby chciał odpowiedzieć na te zarzuty.

— Proszę, nie przerywaj mi pan! — ciągnął Parski z zimną krwią dalej. — Nie skończyłem jeszcze. Służąca moja zapytywana jeszcze, wyznała mi, że całe już nawet sąsiedztwo zawiadomione zostało, iż Mary nie jest moją żoną. Zawiadomione przez ciebie.

Pytam więc cię p. Hrabio, czy godzi się w ten sposób postępować?

Winien ci jestem wiele wdzięczności, nie przeczę wcale; dług jednak moralny, który zasiągnąłem, nie upoważnia cię wcale jeszcze do nadużywania w ten sposób twego w obec mnie stanowiska.

— Ależ mój drogi Edwardzie! jak możesz wierzyć bredniom służących. Pytałem wprawdzie o twe mieszkanie jednej z mych znajomych, kobiety w wieku, którą wspieram czasami ale . . . nie było to ani w myśli szkodzenia ci, ani w sposób w jaki ci moją z nią rozmowę powtórzono.

— Przypuśćmy że tak jest rzeczywiście, to jednak ty sam kapitanie, człowiek wieku i doświadczenia wiedzieć powinieneś, że podobne znajome dodają zwykle niezliczoną liczbę komentarzy do każdego zasłyszanego wyrazu.

Stąd plotki, niesnaski; a ja ci powiem wręcz iż tego nie lubię.

— Przyznaj jednak sam Edwardzie — odparł jezuicko, trochę jednak zażenowany kapitan — że choćbym i o Mary i słowa nie przemówił do ludzi, to i bez tego nietylko sąsiedztwu ale i miastu stosunek ten dziwnym się trochę wydaje. —

Zaczepiony w ten sposób podniósł dumnie głowę i rzekł chłodno:

— Nikomu, absolutnie nikomu, nawet tobie kapitanie, nie przyznaję prawa wglądania w moje interesa.

Zresztą, po co wznawiać nieprzyjemną rozmowę?

Cierpię wiele że w ten sposób odzywać się muszę; lecz kto chce bym mu serdecznie uścisnął rękę i był jego przyjacielem, musi pamiętać że Mary jest dla mnie świętą prawie i że nie ma poświęcenia któregobym dla niej nie uczynił, nie ma ofiary przed którą bym się zawachał dla otarcia jednej łzy z jej oczów.

— Bluźnisz mój synu — szepnął żegnając się kapitan. — Tylko o Bogu w ten sposób się mówi. —

Edward ruszył ramionami.

— Wszak ta dziewczyna jest wyznania anglikańskiego?

— Cóż z tego? —

Kapitan wstał zmienił głos i postawę tak, że młody wygnaniec znów miał przed sobą tę poważną głowę starca, i ten wzrok przejmujący łagodnością i słodyczą.

— Edwardzie mój! nie od dzisiaj widzę że zasady twoje są przesiąknięte na wskroś szkodliwemi pojęciami naszego wieku. Nie śmiałem ci tego zaraz powiedzieć lecz dziś . . . .

Ach słuchaj! pamiętam dobrze! twoja matka była religijną bardzo, zacną i bojącą się nad wszystko Boga. Czy podobna aby syn jej tak mało miał wiary? —

Wziął młodego człowieka za rękę, i pieszczonym dodał głosem:

— Jakże jesteś z Bogiem? powiedz otwarcie! —

Edward wypatrzył się na niego zdumiony.

Słodki kapitan powtórzył pytanie.

— Nie rozumiem o co Hrabiemu chodzi!

— Jaśniej mówiąc: kiedy byłeś raz ostatni u spowiedzi?

— Ach tak! — odrzekł z flegmą zapytany. Jeśli to kapitanowi przyjemność sprawi to powiem: ostatni raz w roku 1855. Miałem wtedy lat jedenaście.

— I od tego czasu . . . . . .

— Nie byłem i zapewne nie będę więcej. —

Przez wzgląd na czytelników pomijam godzinną rozprawę religijno filozoficzną, jaką szanowny hrabia rozpoczął z Edwardem.

Za szczupłe ramy powieści naszej, by w niej odgrzewane powtarzać frazesa, które byle student dziś na pamięć umie doskonale.

Kapitan walczył znaną powszechnie bronią: najpierw do-

gmatu, potem trwogi i fantastycznych opisów kar piekła i niebiańskich roskoszy, które wiernym kościoła są przeznaczone.

Cały jednak jezuicki arsenał starego nabożnisia rozbił się o zimno szyderczy ton mowy i logiczne, dotykalne prawie rozumowanie Edwarda.

— Niech kościół — mówił młody człowiek — przestanie za pomocą swej hierarchji okradać tłumy, podpierać możnych, gnębiących i wyzyskujących pracującą nędzę; niech kapłani jego nie ślubują czystości, który to ślub, moralnie go rozważając, jest bodziec najszkaradniejszej rozpusty; niech zbiór wiernych obiera sobie sam swych dusz pasterzy i głowę swego kościoła, nie zaś pewne grono oddające się najbogatszemu lub najgłupszemu łotrowi w chęci zysku lub panowania pod namalowanym pod tiarą piotrowym kluczem; niech spowiedź będzie powszechną, aby uniknąć zgorszenia choćby tylko kilku nędzników kupczących rozgrzeszeniem... wtedy, wtedy wszyscy podamy mu dłoń i ofiarujemy się na jej usługi.

Wszelkie stowarzyszenie osób jednej płci w zamknięciu i na rozmyślaniu pod jednym zgromadzonych duchem, sprzeciwia się moralności, bo w męczyznach zażega głownię potworowi rozpusty, w kobietach chęć działania wbrew prawom jej i wbrew jej posłannictwu na ziemi.

Precz zatem z zakonami. Chrześcijańskie cnoty niech o wielkim dniu i śród ludzi kwitną, abyśmy je podziwiać i naśladować mogli.

Chcemy istnienia kościoła chrystusowego i nikt z nas nań nie uderza, ale wolno nam wymagać, aby wrócił do pierwotnego swego stanu z pierwszych wieków chrześcijaństwa. Nie ma bowiem środka między dwoma.

Tamten prawdziwy bo wprost na barkach mistrza wyrosły.

Precz z ludzkiemi dodatkami i ludzkiem rozumowaniem.

Poczciwe życie i cześć dla wielkiego ducha nieśmiertelnego, hebrajskiego zakonodawcy.

Reszty — nie chcemy! Bo wy ludzie jak my, nie macie prawa stawiać się wyżej waszych braci i namaszczać się dowolnie na przedstawicieli Boga.

Z takiem jeszcze życiem jak wasze! —

A mówił to wszystko spokojnie i z powagą.

— Wtedy kapitan, widząc od razu że na tem polu samemu ojcu Józefowi było by trudno może zwyciężyć Edwarda, zaczął stawać w obronie zakonu, twierdząc iż jeśli w rzeczy samej są w hierarchji kościelnej pewne usterki, to właśnie czarni słudzy Lojoli wykorzenić je chcą na zawsze i piękną, czystą, na bezgranicznej miłości bliźniego głoszą doktrynę.

— Trudno z tobą dziś walczyć na tem polu — zakończył, patrząc na sufit, w braku nieba — bo masz upór i wiele uprzedzenia. Bóg jednak miłosierny i na ciebie wejrzy wcześniej czy później, swą najświętszą łaską oświeci, aż powrócisz do stóp jego nawrócony, w skrusze i pokorze.

Masz talent! więcej nawet . . . . . może genjusz prawdziwy z twą świetną wymową i dźwiękiem głosu, dosadnością przekonywującą prawie, wyrażeniami pełnemi zwięzłości i siły . . . ujmującą twarzą i wykształceniem . . . O ile jesteś niebespieczny walcząc przeciw Bogu, o tyle byłbyś jego szermierzem na ziemi.

Wyobrążam sobie młodego filozofji doktora, otwierającego w popołudniowych godzinach w naszej katedrze np. prelekcje, dowodzące bożego pochodzenia Chrystusa, rozbiór dogmatów i nareszcie gorące namiętne słowo, rzucone z kazalnicy na korzyść wiary, na korzyść podpierających ją tronów.

Młodość i męska uroda pociągnęły by do ciebie serca wszystkich kobiet . . . . . Wszak lubisz piękne kobiety? —

Edward słuchał w milczeniu.

— Nie te — ciagnął zapalając się stary jezuita — co jak twoja Mary oddają się bezwiednie, mdło i miękko, zsłużalczem poddaństwem, biernie i bez życia, bez ognia i zapału, ale te czarnookie szatany walczące o palmę roskoszy, te wielkie postacie obowiąsku i żelaznej małżeńskiej cnoty, arystokratyczne dziewice o hardem lodowatem spojrzeniu . . . wulkany przykryte śniegiem . . . skrępowane lodem pioruny uczucia spotęgowanego do szaleństwa.

Pamiętasz? . . . Byliśmy w zeszłą niedzielę na arystokratycznej mszy w katedrze. Pamiętasz jeszcze tę wysoką o kreolskiej twarzy damę?

Uroczo piękna . . . prawda? . . . O! nie przecz mi Edwardzie! widziałem twój wzrok pochłaniający ruchy jej giętkiej kibici, jak rozpieszczonego tygrysa, gdy się pod indyjskiem słońcem na trawach Bombay rozściela . . . . widziałem twój wzrok, gdy padając na jej książęcą stopę, przenikał przez jej czarną szatę. . .

Ta kobieta ma wiekowego męża i nie zna jeszcze co to pocałunek ... pieszczota kochanka. Jej spowiednikiem ojciec Józef.

Edwardzie! . . rozkazuj! . . . ona i dziesięć innych, najpyszniejsze cnotą, najdumniejsze rodem, najświetniejsze złotem, najwykwintniejsze wykształceniem i strojem będą dla ciebie. Rozkazuj . . . jest Roccambole zbrodni . . . ty będziesz Roccambolem kościoła. . . . . .

Przez ciebie i przez nie pociągniemy całe tłumy i chwała boża znów jak w średnich czasach nad światem zaświta. —

Edward odurzony prawie słuchał kapitana.

Szatański wpływ wymowy, działający na najsilniejsze nawet natury!

A genjusz złego, jakby duchem samego Lojoli natchnięty, snuł dalej uroczo rozpasaną zmysłowością obrazy:

— Widzę cię potem w ojczyźnie naszej Polsce!

Cierpienia poprzednie, niemieckie kajdany i proskrybcja otoczyły aureolą światła twe piękne czoło.

Wszystko cię czci i ubóstwia prawie.

Bo wzgarda tam tylko dla tych, co się nas wypierają, czyli . . . Boga.

Potęga nasza tam większa o wiele niż tutaj, bo tam małe dusze do koła, a błyski nie naszej wiedzy piorunuje obojętność i ślepe posłuszeństwo oddanej nam rzeczy.

Czarujące niewiasty.

W oczach dziewic roskoszne sny. Wybór wieku będzie dla ciebie, bo władamy konfesjonałem, a wierz mi, to straszna broń.

Ta której powiemy, kochaj Boga w Edwardzie, odda się bez wachania, bo tam jeszcze szacunek ogółu przemawia za nami i potęga wiary.

Zepsucie przy wykształceniu, to obosieczna broń; przy ciemnocie? sztylet Ravaillaków.

Nad tem wszystkiem kaskady złota.

Damy ci sto Mary za jedną prelekcję.

Bo ja cię stąd widzę podnoszącego głowę z uśmiechem arystokratycznego sarkazmu i w śmieszność obracającą ich postępową literaturę.

Tu jeszcze postawiono by ci przciwników, tam głów tak silnych nie ma, a serca zblakły w niemieckiem złocie.

Czy nigdy nie marzyłeś słowa «kocham» z ust polki o jasnem spojrzeniu? —

I znów po chwili milczenia:

— Posłuchaj! jeszcze byłem wtedy młody, w sile wieku.

Dziś siedm krzyżyków mam na czole i żałuję śmierci ofiarowanej mi kobiety. . .

Ale oto i roskoszne dzieje:

Jasnowłosa Lelja była wtedy w modzie w Paryżu. Klub złoty t. j. Paryż (tout Paris) nie mówił jak o niej tylko.

Przeszedłszy w stan zjawiska nadprzyrodzonego prawie, czarnooka syrena budziła wszędzie ciekawość pomięszaną z trwogą.

Wielu pragnęło rzucić dla mody swe bogactwa, ale . . . . . nikt nie śmiał poznać bliżej.

Zresztą znano jej tylko jednego kochanka: rosłego szlachcica bretońskiego, wyciosanego olbrzymio w jakiemś odwiecznem drzewie zamkowego parku z nad chmurnego oceanu.

Lelja kochała go szalenie!

Rzecz dziwna, bo zdaje się że to on był jej uwodzicielem.

W sześć miesięcy potem, markiza de Breänek, gdyż tak, jak sądzę, nazywała się matka młodego człowieka, uwoziła do Włoch syna, piersiowego w trzecim stopniu.

Doktorzy posyłali go już tylko umrzeć pod jasne niebo Neapolu.

W miesiąc później dowiedzieliśmy się iż skonał w Sorrento.

Są miłości które zabijają.

Ja wtedy nie wierzyłem w podobne wypadki.

Cudne, czarne oczy tygrysicy podobały mi się niezmiernie i . . . . z niemałem zdumieniem klubu, udało mi się pocieszyć Lelję po stracie pierwszego wielbiciela.

Pyszny diadem z diamentów najczystszej wody osuszył jej ostatnie łzy.

Nasza pierwsza schadzka miała miejsce w wilję mego wyjazdu do Rzymu.

Pierwsza i ostatnia.

Co za piękny przedmiot dla spostrzegacza!

Co za skarb dla badającego kobietę!

Szczęściem że nie jestem ani jednym, ani drugim.

Lelja przyjęła mnie w swym buduarze.

Alabastrowa lampa oświecała zaledwie swym mdławym blaskiem to zachwycające sanctum-sanctorum pięknej grzesznicy.

Znalazłem ją przechyloną na kozecie, niknącą prawie zupełnie w białej koronek fali. Rozplecione włosy, łono zaledwie ukryte w krnąkrnych fałdach batystu jej sukni — bose nóżki, różowe i w delikatne żyłki z błękitu uwięzione tylko w pantofelki z ciemno fjoletowego jedwabiu.

Atmosfera ciepła, dusząca prawie, powstała z przepełnienia budoaru mnóstwem, w pełni rozwoju zwrotnikowych kwiatów, ścisnęła mi pierś i uderzyła do głowy tak gwałtownie, iż wchodząc już czułem się słaby — odurzony!

Gdy zbliżałem się ku czarodziejce drżący i z widocznem wachaniem, Lelja przyciągnęła mnie do siebie i pochylając swą śliczną główkę nad moją twarzą, rzekła raptownie:

— Słuchaj Janie! jedno słowo przed wszystkiem.

Tylko On śmiał wchodzić tutaj.

Dziś . . . nie żyje!

Kochałam go bardzo . . . lecz ty . . . . ty. . .

— Skończ! szepnąłem — —

Purpurowe usta dziewczyny musnęły mnie po czole, jej oczy w połowie przysłonięte długiemi rzęsami czarnego jedwabiu, taką namiętnością, taką przepowiednią tchnęły, żem zadrżał jak w febrze pod tem spojrzeniem.

Skończ! — szepnąłem raz jeszcze.

— Kocham za nadto aby ci życzyć śmierci. . . . .

. . . Tak więc będę cię kochała tylko w połowie. . . .

. . . .

. . . .

. . . .

. . . .

Edward słuchał ciągle w milczeniu!

Z ócz mu tryskały płomienie.

— Nie skończyłem jeszcze — ciągnął kapitan uśmiechając się nieznacznie.

— Nazajutrz pośpieczny pociąg zwany Malle-poste de Marseillé, unosił mnie w jednym z swych rezerwowanych przedziałów w bujne łany południowej Francji.

W dłoniach gniotłem odpis biletu, który zostawiłem na stoliczku Lelji jasnowłosej w okropnym budoarze.

Oto jego treść mniej więcej:

„Opuszczam Paryż tego roku jeszcze. Kocham cię, cudna dziewczyno, ale . . . . chcę żyć.»

Powiedziawszy prawdę miałem febrę i ogarniała mnie nieopisana trwoga.

Kąpiel na dnie Wezuwjusza mniej by mi była może szkodliwą.

A teraz, Edwardzie mój, ostatnie słowo!

W niedzielę, wychodząc z kościoła, gdyśmy się pod perystylem rozdzielili, przystąpiła do mnie księżna de Narandole i biorąc za rękę, zapytała, kto był ten młody człowiek o orlem spojrzeniu. To jej wyrazy ci powtarzam.

Po mej odpowiedzi zniknęła w tłumie szepcząc:

Jaki on piękny!! . . .

I pobożny Hrabia rzucił na kolana Edwarda fotografję.

Młody człowiek przykuł swój wzrok do portretu. . . . .

— To ona! — zawołał, pochłaniając wzrokiem wysoką i smukłą postać kreolki. . . .

— Tak, ona! a wierz mi młody przyjacielu, że ma Lelji oczy i kibici zgięcia.

Tyś silny . . . nie umrzesz!

Bóg z Tobą! — dodał jeszcze, i wyszedł.

Przechodząc ogródek, w którym już o księżycu nocy znać było po kwaterach poprzednio zaniedbanych, pieszczone rączki Mary, zerwał pyszną stulistną różę i zatykając ją z fantazją za dziurkę kamizelki, mruknął do siebie:

— Ha! księżno . . . musisz być teraz rada nierada z nami! Edward ułowiony w połowie . . . a twoje to delikatne dłonie przeznaczone są na zawikłanie sieci. —

Potem jeszcze:

«Cóż zbrodnia, tu lub owdzie rzucona po ziemi, tej bryle błota i pyłu? . .

Na chwałę Bożą.

Bo On nad nami, a raj dla tych co rozpowszechniają jego chwałę! Świat postępuje . . . miljony tworów, robaczków powstają i giną. Jeden więcej sztylet, jeden gran trucizny, jedno więcej rozpękłe serce, zgubiona dusza . . . cóż to znaczy? . . . .

Wszak Inkwizytorowie dziś po prawicy ojca naszego, a my przecie nie palemy na stosach nikogo! —

«Amen! czcigodny mężu!» zawołała jakaś kobieta po polsku, klępiąc starca po ramieniu.

— Precz warjatko! — krzyknął kapitan w gniewie.

Potem jednak zmiarkował się, sięgnął ręką do kieszeni i rzucając dwufrankówkę obszarpanej starej kobiecie, dorzucił groźny gest ręką i laską.

Obie postacie zniknęły potem w cieniu.

Nad portretem zaś młodej księżnej de Narandole stał Edward pochylony.

Po czole mu krople potu gorącego spływały.

— Ach! ta kobieta! — szeptał, pochłaniając płomienistym wzrokiem obrazek — ona mnie rozumu pozbawi! —

I bezmyślnie, rzucając go zdala od siebie, rozsunął zasłonę sypialni.

W głębi pokoiku, o jasno zielonem obiciu na miękkiem francuskiem łożu spoczywała Mary z jedną rączką pod swą śliczną dziecięcą główką, z drugą na piersi.

Jedna z nóżek angielki wychyliła się z białej pościeli, odrzuciwszy sploty batystu i jedwabiu.

Edward cały pod wpływem roznamiętnionej opowiadaniem hrabiego wyobraźni przystąpił do łoża i nachylił się nad śpiącem dziewczęciem.

W tejże jednak chwili przyszedł mu na myśl przed kilku godzinami krzyk boleści kochanki, gdy ją przyciągnął do siebie . . . i rumiane lice i łzę radości i smutku razem w modrem jej oku.

Spojrzał na rączkę cisnącą marmurowe kształty.

Przesunął ręką po czole, odpędzając myśl księżnej.

«Za kilka dni ten aniół» szepnął, wskazując na uroczą córę Albjonu, będzie szczęśliwy, a dziecię moje dostanie ojca w obec prawa i Boga!»

Poszedł do biórka stojącego w głębi sypialni, wyjął zeń różne papiery, przejrzał, dołączył do nich metrykę Mary, zapieczętował w dużą urzędową kopertę i położył na niej napis:

«A Monsieur le Maire de la Ville d'Orléan.» — Nie chcę tutaj! — zakończył cicho — tam gdzie mnie pokochała! —

W tej chwili Màry przebudziła się . . . .

. . . .

VII.

W rozdziale tym radbym pcznać czytelnika z najprzewielebniejszym ojcem Józefem, przełożonym towarzystwa jezusowego X. . . .

Wiem dobrze iż zaszczyt to nie wielki i dla honoru mej ojczyzny mniemam, że już nie wielu pochlebi, jednak trudno, bo tok powieści wymaga wyprowadzenia na scenę przezacnego kapłana.

Ojciec Józef był dziecięciem Paryża.

Na bruku wielkiego miasta co dzień setki podobnych istot wyrastają z ziemi.

Bruk im twardą kołyską.

Łachmany wyrzucone na ulicę pieluchami.

Nianką najczęściej jaki chudy pies, ogryzający kość spadłą z możnych stołu.

To mi przypomina niemowlęta Nowej Zelandji.

Tylko że w Paryżu — ochydny dramat opuszczenia odbywa się u portyków trzydziestu świątyń Pana, między czarną, godującą rzeszą, której hasłem: miłość i braterstwo.

Mały Józef nie znał ni matki, ni ojca swego.

Właściwiej «ojców» rzecby należało.

My, wiemy czem byli.

Matka również powstała na makadamie bulwarów.

Potem dnie żebraniny i śpiewek Berangera. Wzięto ją w piętnastym roku i po siedmiu miesiącach później wyrzucono znów na ulicę.

Kochankiem jej był prałat świętobliwy.

Nie miał żony z ducha i krwi, poślubił więc zgorszenie i rozpustę.

Biedne dziecko, znalezione pewnej mroźnej grudniowej nocy przez patrol policyjny, oddanem zostało do szpitala, potem aż do czasu dojścia do pełnoletności do zakładu St. Lazare.

Gdy wyszło stamtąd, było kobietą upadłą w połowie.

Zbiegli galernicy Brestu i Tulonu, kieszonkowi złodzieje, pokątni szulerzy i uliczni oszuści podjęli się dokończyć wychowania uwiedzionej dziewczyny.

Oklepana historja moralnego poniżenia.

Dziwimy się i litujemy, gdy wielkie damy, lub jaśni panowie tarzają się w występku. . .

Patrząc na proletarjat, ruszamy ramionami mówiąc: on w swojej jest sferze.

To wszystko nie przeszkadza nam się modlić ustami.

W Polsce takich okropności mniej niż w Niemczech i w Francji; od lat kilkunastu jednakże sądzić by należało, iż żałujemy, że nas cudzoziemcy na tem polu wyprzedzili.

Warto by już po czczej warg modle trochę czynu!

Ale przepraszam za ten ustęp . . . . zdaje mi się że moralizuję. . . . .

Muszę być niezmiernie śmieszny, prawda? . . . .

Jak więc widzimy, ojciec Józef miał dobrą krew w żyłach.

W męskiej sferze występku, przeszedł za młodu te same koleje, co matka jego.

Gdy miał lat ośmnaście, ktoś ulitował się nad sierotą, nauczył czytać, wprawił rękę do pięknego pisma i umieścił potem w jakimś handlowym domu.

Patrząc co dzień na stosy złota, młody człowiek przypomniał sobie dziecinne lata nędzy.

I miewał czasami szkaradne o złocie sny.

W wolnych chwilach od pracy w biórze czytywał wiele.

Potem marzył i zasypiał znowu.

Raz, przebudził się . . . . okropnie.

Przed sądem przysięgłych departamentu Seine & Oise — oskarżony o podrobienie cudzego podpisu.

Po pięciu latach galer, dano mu żółty paszport, kilkadziesiąt franków, powstałych z więziennego zarobku, do ręki i powiedziano:

Idź się powiesić gdzie indziej! tylko wara do Paryża!

Gdyby! spotkał wtedy na drodze do Lyonu uczciwego człowieka, byłby ocalony.

Ale nie miał szczęścia.

Spotkał księdza, do tego Jezuitę.

I przypomniała mu się jakaś kobieta, która w haosie paryskich orgji nauczyła go pacierza; pamiętał jeszcze z niego: i nie wodź nas na pokuszenie.

Ale pokusa przedstawiała mu się w postaci cudnie próżniaczego życia.

Na mogące wybielić się z czasem dłonie galernika sto pięknych dam przykładało pobożno i namiętnie usta.

Miał być panem honoru tysiąca rodzin, posiadaczem najtajniejszych marzeń ludzi.

Do tego czarna, poważna szata i wzniośły tytuł:

Posłannik Boga na ziemi.

Resztki pacierza zatarły się w pamięci.

Dwadzieścia lat służył Missji jako ojciec korespondent, agent, krzewiciel wiary w kolonjach i innych mniej lub więcej dzikich krajach.

Długo przebywał potem w Paraguaju, aż ze śmiercią przełożonego zakonu w X . . . . objął tę ważną posadę.

W mieście X . . . . bowiem był środkowy punkt ultramontanizmu dla całej Francji. Tam płynęły westchnienia i biegły co dzień listy sławnego Mr. Dupanloup biskupa Orleanu. Tam poprzednio jeszcze, podczas pierwotnego oblężenia Paryża, w samym początku opisania tego miasta, kilka pruskich delegowanych Bismarka, w księżych sutannach i stonsurowaną głową układało się z wysłańcami Rzymu, na jakich by warunkach można poddać miasto niemcom.

Zajmujący przyczynek do dziejów ostatniej wojny.

Prusacy ofiarowali za wejście do Paryża i zrujnowanie Francji ostateczne, osadzenie na tronie Ks. Chambord, traktowanie z nim tylko.

Słowem, obalenie Rzeczypospolitej, a przywrócenie monarchji z bożej łaski.

Karol V. w Luwrze, to pięćkroć sto tysięcy francuzów wkraczających do Piemontu, potem do Rzymu.

Bismark obiecał nadto nakazać Europie milczenie, zwrócić zagrabioną broń, napełnić arsenały i pożyczyć nawet kilka baterji Krupa w potrzebie.

Paryża nigdy nie weźmiemy siłą! — rzekł przewodniczący pruskiej delegacji, nazywający się wtedy ojcem Karlem Van der Kloppen. — To każde dziecko zrozumie.

Nie mamy dwóch kroć sto tysięcy do koła, a linja obsaczenia kolosalnych rozmiarów.

W razie rospaczliwej wycieczki przeciw czterystu tysiącom francuzów i piorunującemu ogniowi fortów, nie zdołamy przeciwstawić więcej nad pięćdziesiąt tysięcy.

Przypuściwszy nawet że Paryż utraci połowę swych obrońców, linje nasze raz przełamane, to będziemy zgubieni.

Armja Loary potężnieje co dzień!

Na przeciw niej von der Tann z garstką bawarczyków.

Książe Fryderyk-Karol zajęty pod Metzem, Werder pod Belfortem.

Gdy d'Aurelle de Paladine zgniecie bawarskiego wodza, będziem mieli z jednej strony wycieczkę paryżan, z drugiej sto pięćdziecsiąt tysięcy z nad Loary i czterysta armat.

W dwóch ogniach, choć z nowo zaciężnym lecz tak licznym żołnierzem, trudna rada.

Trzeba nam więc, zacni ojcowie d'Aurelle'a i Trochu.

Niech sobie pierwszy pobije Bawarów, kanclerz nasz nie ma nic przeciw temu, tylko, niech poczeka aż książe Fryderyk-Karol ułatwi się z Bazainem.

Radzibyśmy także by drugi (gł. Trochu) pisywał ciągle paryżanom prusakożercze proklamacje, fałszował depesze i obiecywał odsiecz armji Loary.

Przyjdzie głód, demoralizacja za nim i . . . . wejdziemy do Paryża z Chambordem na czele.

Za tę usługę obiecujemy wam panowanie nad światem, prócz nad niemcami, naturalnie. —

Delegatom papieskim iskry się z bazyliszkowych ócz posypały.

Urocze marzenia opanowały myśl i serce.

Panowanie nad światem!

To znaczy:

Dla nas złoto, dla was praca w pocie czoła i w krwi.

Ale nam wiele, wiele złota potrzeba.

Więc ustawimy stosy i szubienice poświęcimy sztylety i truciznę, nazwiemy cnotą rozpustę i założymy wszystkim kagańce na głowy, obroże na szyje, a na nogi pęta.

Będziem znów jak dawniej jeść, pić, używać i wyprawiać orgje.

Na desert biesiady, stosy, szubienice i topienia.

A okradanym tłumom każemy się modlić, bić w piersi, i robić pokutę za grzechy ojców.

Trochu był Bretanem.

D'Aurelles de Paladine monarchistą.

Obaj kochali Francję, lecz nienawidzili rzeczpospolitę jak tygrys lwa, sęk orła, szakal psa, hyena dnia nienawidzi.

D'Aurelles rozbił bawarów pod Coulmiers lecz zgubił gdzieś, i to w stanowczej chwili generała Reau. Z generałem tym zagubiło się siedmdziesiąt pięć szwadronów kawalerji.

Nie mając czem gonić zmykających niemców, zostaliśmy na placu boju.

A paniczny strach tak dobrze opanował rycerskie von der Tanna kohorty, że gdy jeden z mych towarzyszów, polak sierżant wtedy, był z piętnastoma ludźmi na posterunku od strony nieprzyjaciela, jakiś poczciwina oberfajerwerker 7. baterji przyprowadził mu dwie armaty, trzydzieści koni i ośmnastu ludzi obsługi, prosząc aby to wszystko wziął do niewoli.

Usługę tę wyświadczono mu rzeczywiście.

Gdy drugiego dnia, na czele zwycięskiej armji pułk nasz wchodził do Orleanu, głodny, obryzgany błotem i krwią, w poszarpanej bagnetami odzieży, zdziesiątkowany, prowadząc luzem konie zabitych przy szturmie Bacon naczelni-

ków, ale z rozwianym łachmanem na drzewcu, z którego nie-zdjęty jeszcze cesarski orzeł widział dalekie stepy i chmurne uragany Sahary, bujne pola Krymu i dymiące w gruzach płaty meksykańskiej ziemi. . . . . .

Miasto uwolnione od wroga przyjęło nas w świątecznych szatach.

Jak niegdyś Napoleon po wzięciu Sommo-Sierry «cześć polakom» wołały z okiem damy, rzucając nam chustki i kwiaty.

Podniesiono do góry szmat podarty kulami i zawieszono na nim obok wielkiego krzyża legji, pamiątki ze szturmu Konstantyny wieniec z napisem: 19. Października. Zamki: Bacon i Coulmier, osada Girier. 9 Listopada 1870.

Ale wieniec laurowy nie wskrzesił tych co posnęli na wieki.

W dwóch płomiennych dniach strasznego roku Polska straciła dwa tysiące stu ośmnastu wiernych swych synów.

Trochu tym czasem słuchał co dzień trzech mszy świętych i stosownie do nakazu z Rzymu, bawił się w obronę Paryża.

W zakończeniu zdradę zdradą nagrodzono: pokątny traktat w X . . . . nie został dotrzymany.

Starzec Watykanu może dziś i żałuje emisarki pod opieką armat Krup'a.

Republika Gambetty, ręczę, byłaby szlachetniejszą, i podparła z pewnością kościół chrystusowy, byle się zrzekł zabijania dusz naszych dzieci.

Jak więc widzicie, ojciec Józef był nader ważną w zakonie osobistością.

W X . . . . wszechwładnym prawie.

On to układał tekst zeznań objawania z Lourdes i zjawiska na skale w Etretat.

Wysoki, chudy, o bladej cerze i bezbarwnem oku, trochę zgarbiony wiekiem, trochę rozpustą, o łysej jak stara kość słoniowa, żółto błyszczącej czaszce.

Głos miał drżący, lecz dość miłego jeszcze dźwięku mówienia: błędnemi okresami, nie dość jasny dla zrozumienia rzeczy, dostateczny dla obłąkania.

Gdy stąpał, w prawej nodze kapłana znać był lekkie drganie nerwowe; rodzaj zaledwo dojrzanego powłóczenia stopy.

Pytany, odpowiedział:

To dawny ciężki wrzód, źle zagojony.

My wiemy, że podobne są rzeczywiście ciężkie, bo ważą 25 funtów, a zarazić się niemi można w Breście lub w Tulonie.

Co dzień od godziny trzeciej do szóstej po południu zamykał się w oratorjum, przytykającem do salonika jego mieszkania i spowiadał wielkie damy.

Wyspowiadane i rozgrzeszone, komunikował zawsze dnia następnego w klasztornej kaplicy, sam, po odprawieniu mszy o 6. godzinie z rana.

Rano więc i po południu, zawsze widzieć można było długi szereg karet przed furtą klasztoru.

«Tenue d'ordonnance» urzędowym strojem, gdy wolną była niezmiennie czarna odzież.

Każdej kobiecie w niej do twarzy.

Brzydkie nawet mniej szkaradne się wtedy wydają.

A ojciec Józef nie lubił spowiadać brzydkich grzesznic z tego padołu płaczu.

Nie ze względu na siebie, bo już był bez pretensji na płeć słabą i bez zalotności, lecz . . . z przyzwyczajenia i ze względu na swych adeptów, dla których pracował niezmordowanie.

A ciekawem czasem było «sanctum sanctorum» Jezuity.

Klasztór, dawniej surowych Benedyktynów siedlisko, zachował, po objęciu go przez Jezuitów w posiadanie, w całości swą majestatyczną powagę średniowiecznej architektury.

Dla oka ludzi granit i cynk, różnobarwne szkło, żelazne krzyże i misternie wyrobione kraty.

Dla oka mnichów sztukaterje z stuletniego dębu, arcydzieła rzeźby na poczerniałem latami drzewie i pyszne, powyżej obić sięgających wysokości człowieka, freski przedstawiające sceny z pisma świętego.

Szeregi cel o mozajkowanej czarnym i białym marmurem posadzce.

W murach cały przyrząd tajemnic, nigdy zbyt wesołych, chmurnych bardzo czasami.

Skryte przechody, sprężynami podparte płyty, pułapki podobne do tych na myszy, ale że na ludzi więc większe.

Ciemne przechody o skombinowanych zwrotach i na oko nie mających wyjścia galerjach podziemia.

Zapomniaczki bez drzwi, z rodzajem tylko przesmyku w potwornie grubem granitowem sklepieniu.

W nich były przykute sztabami żelaza do ścian szkielety, grzeszników pewno.

Rzecz przerażająca . . . w ostatnim piętrze pod ziemią: grabarnia.

Stos kości . . . ale nader drobnych.

Naturalista by powiedział . . . to resztki nowo narodzodzonych niemowląt.

My temu wierzyć nie chcemy!

Pewnem jest jednakowoż, że pozostałości te niedorosłych istot pochodziły z czasów, gdy dominikańskie gmachy łączyły się pod ziemią z dwoma innymi klasztorami w mieście dziś już znikłymi bez śladu.

Tradycja błądzi coś o zakonach pp. Urszulanek i sióstr Niepokalanego Poczęcia.

W czasie jednak mojej powieści, t. j. w r. 1871 wszystkie te oznaki słabostek ludzkich znikły bez śladu.

Skromna powaga cel i prostota umeblowania pozostała w klasztorze.

Potężne zamki lochów zardzewiały i stały się nieodmykalne.

Mieszkanie tylko ojca przełożonego miało jeszcze jakieś tajemnice.

Sądzę jednak, że plotki powstały stąd, iż w mieszkaniu tem był jeden salon, do którego profani wstępu nie mieli.

Salon . . . oratorjum.

Umeblowany i pachnący jak budoar starej kokietki, o wspaniałem, szerokiem łożu w stylu Ludwika XIV. z ciężkiemi kotarami z ciemno-wiśniowego aksamitu, lamowanego haftem złotym i cudnemi deseniami jedwabiu.

Prócz olbrzymiego, ciemnego kobierca w dwie palmy zaścielającego posadzkę w całości i w jednym rogu małego przy ścianie siedzenia, żadnych innych mebli.

Do koła w podłużnych do góry kwaterach ścian wyłożonych białym marmurem, obrazy świętych lub podług tekstu

św. pisma, malowane ręką artysty, w uroczem rembrantowskiem świetle, padającem na nie po większej części z góry.

A światło było podwójne: sztuczne z samych obrazów i z wielkiej latarni zakończającej kopułę sali bez okien.

Przedmioty malowideł następujące:

Judyta powstająca z Holofernesowego łoża; pokutująca Magdalena podług Corregia; Madonna Rafaela; św. Sebastyan oczekujący przy drzewie na męczeństwo i Chrystus błogosławiący dzieci.

Dodajmy do tego kilka scen z życia wielkiego Salomona i oprawców rozbierających świętą Cecylję, a będziemy mieli wyobrażenie o tej szczególnej mięszaninie.

Wszystkie zresztą malowidła były, jak mówię, mistrzowskiego pendzla, tylko . . . ohydnie plastyczne . . . żywe prawie.

Na męskich kształtach obnażonego św. Sebastjana, zbudowanego zresztą jak Apollo, żadnej zasłony.

W oczach matek podających dzieciątko do błogosławienia, więcej światowego uwielbienia dla zmysłowej piękności mistrza, niż miłości macierzyńskiej.

Kilka niedokładności, zboczeń od oryginału w niewystarczających rzutach Magdaleny, odkrywały powaby, których zwykle domyślić się tylko należy.

Św. Cecylja była w stroju Zuzanny wychodzącej z kąpieli i sumiennie biorąc rzeczy, w oczach oprawców nie widać było nienawiści wcale.

Prędzej zachwycenie.

Nareszcie, w obrazie przedstawiającym Holofernesa, nierozważna żydówka, wstając pośpiesznie z łoża, pociągnęła z sobą kotary na ziemię i gdyby, jak się domyślamy, nie była mu zaraz później ucięła głowy, wódz assyryjski byłby był dostał niechybnie kataru.

W dwóch przeciwnych częściach w ośmiokąt zbudowanej sali, modlnik z Chrystusem na krzyżu i wielki, rzeźbiony w hebanie o miękkich klęcznikach konfesjonał dla dam.

Powiernik ojca Józefa wpuszczał do tego oratorjum pojedyńczego tylko, lub najwyżej po dwie naraz kobiety. W chwili, gdy korzystając z prawa przysługującego powie-

ściopisarzom, rzucamy wzrok ciekawy na wnętrze tego przybytku, były w nim dwie osoby.

Księżna Nanina de Narandole i młodsza siostra jej, piętnastoletnia Teresa Charton.

Dwa typy odmiennej urody.

Księżna, o cerze kreolki, z lasem kruczych matowych włosów nad wysokiem czołem, smukła, wyniosła, kształtami mogąca służyć snycerzowi za wzór do Phrynée, w obec sędziów liczyła najwyżej lat dwadzieścia.

Siostra jej Teresa, śliczne dziewczę, rozwijające się jak pączek róży, była szatynką o czarnych brwiach i dużych szafirowych oczach.

Z rozkazu ojca Józefa zostawiono damy zawsze dziesięć minut same w oratorjum, snać, aby miały czas zachwycić się malowidłami i dobrze zrozumieć myśl artysty.

Moralność jezuitów.

Rzecz znana.

Co jednak nie przeszkodzi, że książkę moją wszystkie pobożne natury nazwą bezecną i gorszącą.

I nie dziw, nic bowiem tak nie oburza ludzi, jak nieobwinięta w bawełnę prawda.

Wyznać jednak muszę, że pani de Narandole tak była myślami zajęta, iż nie zwracała uwagi na bezecne malowidła.

Raz nawet, gdy jej wzrok zatrzymał się mimowoli na św. Cecylji, odwróciła głowę ze wstrętem, mimo, iż aureola gwiazd i światła zawiązaną była nad pięknem czołem oburzonej zupełnie i w tył za ramiona pociąganej dziewicy.

Mała Teresa za to patrzyła za siebie i za siostrę razem na św. Sebastjana i uśpionego Holofernesa.

Dziewczątku wszystka krew spłynęła z żył na lica, szyję i ramiona, wszystkie płomienie w ciemno szafirowe oczy.

Lekcja była wyraźna, a uczennica pojętna i nawet za wiele może!

Zapatrzona w świętego męczennika wiary panna Charton, nie widziała nawet wchodzącego ojca Józefa, który z lekkim na ustach uśmiechem, wywołanym zapłonieniem dziewczęcia, podał do pocałowania rękę księżnej i natychmiast przystąpił z nią do konfesjonału.

Młodsza siostra, przyciskając rączkami kształcącą się pierś dopiero, przeglądała dalej święte malowidła.

Skrzypnęły drzwiczki konfesjonału i klęcząca księżna po przyjęciu błogosławieństwa, przyłożyła chustkę do twarzy, usta do kratki wewnętrznej i zaczęła mówić w ten sposób:

— Ojcze mój! od ostatniej spowiedzi, z zaprzeszłego tygodnia, nic się nie zmieniło. Ten sam niepokój w duszy, taż sama tęsknota. Ból w sercu, jakby wielkich smutków przeczucie. Nieraz pochylam głowę na dłonie i sama w mej sypialni, godzinami marzę o tych co są szczęśliwi, o tych co się śmieją, co są weseli! Jam sądziła, że już w samem szlachetnem poświęceniu leży nagroda doznanej goryczy! Lecz próżno przywołuję na pamięć Twe rady, próżno się modlę, prosząc Boga o wytrwanie ... jestem zawsze, coraz bardziej nieszczęśliwą! —

Jak widzimy, księżna wyrażała się nieźle i nawet trochę z uczuciem.

Spowiednik poprawił się niecierpliwie w siedzeniu.

— Tak! jestem coraz nieszczęśliwszą mój ojcze! Rodzic mój ocalony, posiada znów mające już odlecieć dostatki, lecz teraz dopiero czuję, że ofiara ta była nad moje siły. Bo przecie nawet przy stracie majątku żyć można było. Posiadam języki, wykształcenie, mogłam była udzielać lekcje. Siostra choć młoda, doskonałą jest pomocą, we dwie więc utrzymałybyśmy ojca, a dzisiaj! . . .

— Jakto księżno? dzisiaj! — przerwał ojciec Józef mówiącej. — Masz miljony na zawołanie, pałac i ekwipaże, ogromne stanowisko w świecie, imię, którego blask od siedmiu wieków istnieje . . . i gdyby trochę taktu tylko, przy pomocy Najwyższego, mogłabyś zostać najszczęśliwszą z kobiet.

— Ojcze! — szepnęła księżna — ja nienawidzę tego człowieka! Więcej . . . ja się nim brzydzę! Próżno zwracam oczy ku niebu, chcąc w niem zaczerpnąć odwagi i siły . . . próżno mówię sobie, to mój mąż w obec Boga i ludzi . . . daremnie walczę, chcąc przemódz wstręt ten i obawę, lecz ja sądzę, żebym pierwej umarła niż . . .

— Nie bluźnij! nie bluźnij córko! Módl się, módl ciągle; któż wie czy Bóg nie ulży temu smutkowi, choć po prawdzie nie widzę tu nic rzeczywistego. To imaginacja, rozdrażnione nerwy .... nic więcej. Wy wszystkie podobne do siebie jesteście. Kilka chwil modłów, i już ma nastąpić wysłuchanie. Modlitwa jest jak praca na kawałek chleba,

Na owoce pracy, jak również na modlitwy długo nieraz czekać trzeba. Ale właśnie w wytrwaniu i chrześcijańskiej rezygnacji cała zasługa leży. Przypomnij sobie słowa niepokalanej Marji: oto ja służebnica Twoja, niech mi się stanie według słowa Twego. Ty duszo moja żalisz się na nie istniejące dolegliwości, rozburzasz w sobie dobrowolnie walkę uczuć, lecz pomyśl chwilę i powiedz sama, co Marja cierpiała! Czy śmiesz się z nią porównać? . . .

— Ojcze mój! jam ci nie wszystko jeszcze powiedziała.

Póki serce moje spało, póki świat mi był obojętny, a w łonie tylko miłość dla rodziny z drobną łeską tylko w oku, zaledwie cieniem żalu za mym pokoikiem, przyjęłam bogactwo i rękę tego starca.

Pojmowałam dobrze cel i obowiązki małżeństwa dla tego też, czując nieprzełamany wstręt dla mego męża, poszłam do ołtarza pod warunkiem, że progu mej sypialni nie przekroczy, aż mu pozwolę. . . . . .

Dotrzymał przyrzeczenia, ale jego nagabywania, prośby i zaklęcia, przymilania się i odurzająco-kosztowne podarunki są mi nie do zniesienia dzisiaj, tem bardziej . . . że — —

Biednej kobiecie łzy cisnęły się do oczów.

— Skończyć proszę . . .

— Kocham innego! . . . —

A wyszeptała te wyrazy tak cicho, że Jezuita więcej domyślił się ich, niż pochwycił uchem. Nieopisany uśmiech radości błysnął na pargaminowej twarzy ex-galernika.

Co mu jednak nie przeszkodziło udać świętego oburzenia.

— Córko moja! . . . te wyrazy? . . .

— Są szczerą prawdą mój ojcze! Cóż jam winna nieszczęśliwa! Matki mojej nie znałam, ojciec uważa mnie za towar, którego się dziś naraz po wygórowanej pozbył cenie; choć kocham mojego ojca, bardzo, bardzo, Bóg widzi . . . lecz mnie nikt, nikt nie kocha. Prócz dziecinnego przywiązania małej siostry i jej pocałunków, nie znałam nigdy co to pieszczota.

Jego, jego ojcze spotkałam w kościele; raz się tylko oczy nasze spotkały . . . a dziwny ma wzrok . . . znalazłam w nim pieszczotę a tak roskoszną . . . że wszystka krew wzbiegła do serca. . . .

Już się nie odwróciłam więcej; lecz czułam na twarzy,

na łonie mem, na całem niemal ciele to palące spojrzenie . . . tak, że zapomniałam pochylić głowę podczas podniesienia . . . i zapomniałam wyrazów pacierza.

To już tydzień temu. I próżno odganiam myśl zdrożną odemnie; zawsze on! zawsze i ciągle, gdzie się obrócę, co myślę i mówię. Pocieram czasami dłonią lice, bo zawsze jeszcze czuję ciemne oko nieznajomego i tę niemą pieszczotę spojrzenia. —

Kilka chwil trwało milczenie.

Ojciec Józef gromadził arsenał rozumowań.

A wierzcie mi, przemądry to był Jezuita.

Wprawdzie kapitan mówił mu coś o pytaniu rzeczonem przez księżnę, ale à propos Edwarda nie miał jeszcze pewności w tym względzie.

Okólnikami więc zbył spowiadającą się, przygotowując zarazem w swem rozumowaniu małe drzwiczki do powrotu i skręcenia wszystkiego w mogącym mu być potrzebnym później kierunku.

— Drogi ludzkie, różnią się bardzo od dróg Bożych moja droga — zaczął z lekkiem napuszeniem.

— To co śmiertelni biorą za złe, Stwórca nieraz za dobre uważa; a najczęściej czyny, w pysze serca naszego, uważane za wysokiej wartości, w obec Niego są zupełnie niczem. Dla doświadczenia naszych dobrych chęci w celu służenia mu, zsyła rozliczne doświadczenia . . . wierz o tem dobrze. Tym zaś, których miłuje, których, bądź to czytając w głębi ich serca, bądź pragnąc mieć ich kiedyś po swej prawicy, pragnie podnieść bezpośrednio bez przejścia przez czyściec do siebie, doświadcza w sposób najdolegliwszy, t. j. zsyłając im pokusy uderzające w najsłabsze strony ich natury, w najdraźliwsze kwestje ich życia.

Walka trudna wtedy, zwycięstwo trudniejsze jeszcze, ale . . . w ślad za niem nagroda w wiecznej szczęśliwości w niebie.

Twoje niezwykłe położenie, w tej chwili, gdy jak mówisz kochasz innego, a jesteś jeszcze czystą, niepokalaną, w twoim wieku i przy ognistych namiętnościach przyniesionych z pod ojczystego nieba, utarczka na tem polu od razu do zbawienia wiecznego zbliżyć cię może. Bo takie, jak powiadam, zwycięstwo, wszystkie inne grzechy zmazać zdolne.

Być jednak może, że Stwórca w swych tajemniczych celach, chce cię użyć na narzędzie swej chwały ... prawdopodobnem jest również, że nie sam przypadek postawił na drodze tego człowieka, że zapomnienie oddania czci przynależnej podniesieniem ciała i krwi Pana naszego, że zapomnienie modlitwy Bożą wolą sprawione zostały.

Jeszcze raz powtarzam to duszo moja.

Niezbadane są drogi Pana!

Myśl jakaś, czy lub cały szereg czynności, powstałe według zdania i sądu ludzi są przestępstwem, zbrodnią okropną nieraz . . . ale . . . Bóg przedwieczny inaczej sądzi te sprawy.

Nie kazał że wymordować Filistynów? Czyż, aby oddać w posiadanie ludowi swemu krainy płynące mlekiem i miodem nie powiedział, użyjcie ognia i miecza?

Grzeszny jest twój opór przeciw władzy męża, grzeszna twa miłość i to tak nagła jeszcze dla kogo innego ... myślą już bowiem wprowadziłaś cudzołostwo w progi domu twojego pana ... Chrystus jednak jest przedewszystkiem Bogiem miłości i przebaczenia. . . .

Walcz, walcz córko moja i bądź dobrej myśli, często bowiem i grzeszna miłość zbawia. . . .

Czyż bowiem nie powiedziane jest, że tym, co wiele kochali, wiele będzie przebaczone?

Mimo woli, z dopuszczenia może Stwórcy, dziwna myśl mi przychodzi:

Któż wie, czy nie zmiłował się Jezus szczególnie i dla tego upadku twego pragnie, abyś się potem tem czyściejszą ku niemu podniosła?

Nie rozgrzeszyłże jawnogrzesznicy co czyniła pokutę?...

To są tylko przypuszczenia.

Będę się dzisiaj noc całą modlił do Pana; będę błagał, by mnie oświecił jasnym swej łaski promieniem, pozwolił poznać drogi, któremi cię prowadzić zamierza. . .

W każdym jednak razie, grzeszne masz myśli duszo moja i pragnę, byś na odpędzenie ich powtórzyła sobie parę kartek z mojego «podręcznika duszy.»

Znajdziesz tam na stronnicy 72, ustępy odnoszące się do zmysłowych popędów. Jak powstają i jak najskuteczniej działać można przeciw ich przewadze.

Bądź zresztą dobrej myśli . . . po jutrze czekam znowu, ale . . . musisz mi jeszcze dać jakiebądź objaśnienie co do tego, którego kochasz nieszczęśliwa. —

Piękna księżna podniosła wilgotne jeszcze łzami oblicze i szepnęła:

— Był razem z hr. Błażyńskim w kościele i jak sądzę Polak być musi.

— Dobrze — zakończył jezuita — a teraz zawieszam wyrok mój co do miłości dla tego młodziana. Grzech ten stawiam zupełnie na uboczy aż do czasu, gdy Pan dobrotlitwy powie mi co mam czynić.

Schyl głowę, wzbudź żal za przewinienia i bij się w piersi. —

Potem rozgrzeszenie, lekkie zapukanie w ściankę konfesjonału i księżna powstała z boku.

Mała Teresa, na szelest sukni siostry, zręcznie wpuściła do kieszonki otwarty z rąk pularesik.

W ślicznej prawej rączce dziewczęcia, pozostał ołówek zapomniany w pośpiechu.

Figlarka, podczas spowiedzi siostry, skopjowała na prędce i Holofernesa i św. Sebastjana.

Do tego na jednej i tej samej stronie pularesu . . . o tempora! o mores!

VIII.

Blądwłosa Mary, zbudziła się około dziesiątej rano, i jak zwykle pierwszą jej myślą był Edward, pierwszym ruchem: zarzucenie mu białych swych ramion na szyję.

Tym jednak razem, z nieopisanem podziwieniem spostrzegła, że w posłaniu nie było ulubionego.

Przy łożu, na taburecie, ogromny, misternie z białej wikliny wyrobiony kosz, różową zawiązany wstążeczką — na stoliczku nocnym kartka z podpisem: twój Edward.

Błyskawicą przebiegła ją oczami.

Oto co zawierała.

«Moja, święta Mary!

Nie wrócę do domu aż po obiedzie.

Byłem dziś rano u twej modniarki... biała suknia, której tak pragnęłaś, skończona... odsyłają ci ją, tylko przed kilkoma dniami kazałem w niej porobić lekie zmiany. Daruj, że się mięszam do spraw kobiecej toalety i kochaj mnie niezmiennie.»

Dziewczę zdziwione, drżąc całe jakby pod wpływem przeczucia, powstało z pościeli i niecierpliwe rączki rozerwały zawiąskę koszyka.

W mgnieniu oka wnętrze było wypróżnione.

Mary z zarumienioną twarzą, przyspieszonem tchnieniem i oczami pełnemi łez przeglądała podarunki.

Suknia była białą, ale krój jej poważny i nie jak żądała dziewica, zwykła muślinowa, do spaceru w gorące dni lata, lecz z ciężkiej lyońskiej materji jedwabnej.

Obok niej pyszny welon z angielskich koronek, którego jedna strona ujęta w misterne zgięcia, kończyła się zielonym wiankiem, w którego drobne listki powarznie czarny kwiat był zapleciony.

Welon ten okryłby dziewczę od głowy do stóp.

Prócz tego białe atłasowe buciki i odpowiednia reszta ubioru.

Na spodzie kosza mała szkatułka.

W niej obok garnituru z brylantów, w którego skład wchodziła śliczna gwiazda we włosy nad czołem, dwie grube obrączki złote.

Mary temi cackami jak dziecko bawić się zaczęła.

Rzucając okiem w głąb kosza, znalazła w nim jeszcze płaską, całe dno zajmującą paczkę.

Drżącą ręką wydobyła ją i rozwinęła.

Paczka ta pełna była cienkiej jak pajęczyna srebrnej bielizny, uszytej już, lecz skrajanej podług drobniuchnych rozmiarów.

W piersi dziewczęcia, przepełnionej radością, zgasł oddech na chwilę i musiała oprzeć się o krawędź łoża, aby nie upaść na posadzkę.

Zawrót głowy, spowodowany zawrotem ducha i nadmiarem wesela w sercu.

Gdy minęło odurzenie, uklękła na kobiercu i każda część mikroskopijnej bielizny została przejrzaną z kolei.

Na każdej gorący, namiętny spoczął pocałunek.

Dwa nawet — jeden dla niego — drugi dla Edwarda...
Potem ukryła głowę w pościeli i zaczęła marzyć. . . .

. . . .

«Czemu zapomniał o kołysce? . . .
Czemu? . . .
Ach nie! . . . jakaż ja niedomyślna! . . . mój Boże! na co kołyska? . . . sprzęt niepotrzebny . . . ja dziecię moje ukołyszę do snu i na dłoniach . . . lepiej jak w kołysce nawet. . .»
I uśmiechnęła się czarująco!
W tym uśmiechu były, równie jak w pocałunku, dwa:
Uśmiech dziewczyny i matki.

. . . .

No, pani emancypatorko i panie gimnastyku społeczno-ekonomiczno-religijno-pokojowy, pokażcie mi choć jedną z waszych przyszłych c. k. urzędników w spodnicy, któraby zdolną była mieć te pocałunki i ten uśmiech na licu!

Edward tymczasem śniadał spokojnie na jednej z ulic przedmieścia, w towarzystwie księdza.

W towarzystwie księdza? . . . zawołacie.

Tak.

August Zapalski, syn kmiotka z pod Łęczycy, były kaznodzieja Karmelitów na Lesznie w Warszawie, został sierotą w drugim roku duchownego kursu.

Udzielaniem prywatnie lekcji religji, utrzymywał u p. Arnradi o dziesięć lat młodszą siostrę. Sam zaś zabijał się umysłową pracą.

Wbrew przyjętemu zwyczajowi w seminarjach, nie wzdychał do jaknajprędszego ukończenia nauk i próżniaczego życia pasożyta potem, lecz przeciwnie, mając pewne wątpliwości co do swych duchownych wiadomości, ostatni rok podwoił sobie dobrowolnie.

Prócz tego badał nauki świeckie.

Gdy mu dano potem ostatnie święcenie i szczególnym zbiegiem okoliczności, zastępstwo proboszcza w jakiejś korzystnej gminie, spostrzegł zapóźno trochę, iż nie miał we wszystko wiary.

Cofać się jednak nie wypadało.

Postanowił więc spróbować pogodzenia dwóch obowiąsków człowieka i kapłana.

To mu zjednało miłość parafjan, lecz za to nieubłaganą nienawiść kolegów i kościelnej władzy. Szczególniej kazania niedzielne i odpustowe, obudzały powszechną zgrozę w konsystorzu biskupa.

Niebo, czyściec, piekło, anioły, djabły, smoła, widły, grabie, wieczny ogień, i t. p. przysmaki przejść mu przez usta nie mogły.

Ograniczał się prosto na wzywaniu słuchaczy do pracy i wspierania się wzajem, przedstawiał im, że tylko miłość bliźniego, rodziny i ojczystej ziemi, może zapewnić trwałe szczęście.

Posuwał nawet czasem ateizm i zgorszenie do tego stopnia, że powątpiewał z kazalnicy, iżby Bóg odpuszczał wszystkie grzechy przez kapłanów odpuszczone, że więc najlepiej żyć poczciwie i nie oglądać się na rozgrzeszenie.

Dopełnił miary szkarady, przecząc możności wzbudzenia doskonałego żalu.

«Nie widzieliśmy nigdy i nie widzimy dotąd Stworzyciela, »niepodobna kochać to, czego się nie zna. Winniśmy mu «cześć, a jeżeli i miłość, to ona uwybitniać się powinna «zmysłowo, w otoczeniu naszem, w dziełach jego ręki.

«Kochajmy więc braci naszych.

«Prawe życie jest miłością, a ci co je pojmują, będą «mogli śmiało nie oglądać się na kościół i nie potrzebować «doskonałego żalu. Żal bowiem nic nie pomoże, gdy nie «będzie poprawy. Spowiadamy się i grzeszymy na nowo «i znów się spowiadamy.

«Komedja.»

Gdy wypadkiem znalazł się w konfesjonale, nie chciał słuchać wywnętrzeń młodych kobiet.

«Kochaj męża i jego weź za powiernika. Tajemnicy przed mężem nie powinnaś mieć żadnej.»

Czasem jeszcze:

«Kościół jest rzeczą piękną, dobrą i pożyteczną, lecz dla «żony matką drugorzędną dopiero.

«Przybytek jej: rodzinna strzecha i dziatki; uśmiech za«dowolnienia małżonka i szacunek sąsiadów.»

Pokuty zaś nie wyznaczył żadnej prawie.

«Idźcie i poprawcie się! jeżeli zaś wrócić na drogę obowiązku nie macie zamiaru, to nie przychodźcie więcej» mawiał do swych klientów płci obu.

Wbrew przyjętej u duchownych zasadzie, nie narzucał dziwnemi pytaniami dziewczątek nieletnich i dziewic.

Gdy mu spowiadały swe straszne grzechy, w których przelotne nieposłuszeństwo mamie, sprzeczka z przyjaciołką, zapomnienie zmówienia rannego lub wieczornego pacierza główną grały rolę, uśmiechał się pobłażająco i życzył, by zawsze tylko podobne grzechy ciążyły na sumieniu.

Tych zaś, co niespokojne miewały sny, chwile rumieńca i tęsknoty, łez i uśmiechu, gwałtownego gniewu i spokojnego poddania się, pytał o nazwę rodziców.

Potem radził im, by użyli medycznych środków na uspokojenie krwi w żyłach, dawali do czytania poczciwe nasze książki, i t. d.

Z parafjalnego kościołka wyrzucił Adama i Ewę podpierających boczny ołtarz; na ścianach kazał, z wielkiem zgorszeniem wiernych, zamazać bezecne malowidła przedstawiające półnagie święte pańskie.

Wsadzono go za to wszystko do Liczkowa i tam go zastały zaburzenia z 1861 r.

Przewrót polityczny, skutkiem niego nastałe zmiany w arcybiskupstwie, otworzyły mu podwoje więzienia.

Uwolniony, wstąpił do karmelitów na Lesznie.

Lecz i tam sposób myślenia młodego kapłana był solą w oku przeorowi.

Podczas jakiejś żałobnej mszy kazał mu powiedzieć kazanie, wiedząc, że to najprostszy sposób pozbycia się nowatora.

Nazajutrz leciał już wichrem w dalekie stepy Syberji.

Siostrę wrzucono do cytadeli, oskarżając ją o zbrodnię braterstwa z rewolucjonistą.

Nieszczęśliwy, w Tobolsku dopiero dowiedział się o tem.

Miał trochę pieniędzy, wiele odwagi i miłości wiele. Wyłamał się z turmy i w cztery miesiące potem był już z siostrą za granicą, sztyletując po drodze komisarza policji, co ją aresztował i wystawił na hańbę rewizji w obec sprosnych czynowników cara.

Młoda Stefcia miała wtedy lat ośmnaście i była piękną

jak to córy naszej polskiej ziemi, którym nie zbrudzono jeszcze wyobraźni, nie wysadzono serca, nie wydarto sumienia i nie obłądzono ducha.

Spowiadała się przed bratem; podczas zaś jego niewoli nie spowiadała się wcale.

Gdy przybyli na obcą ziemię, w biednym hotelowym pokoiku uklękli oboje przed wizerunkiem Chrystusa wyniesionym z ojczyzny.

Po długiej, gorącej modlitwie za pomyślność oręża rodaków i szczęście rodzinnej ziemi, Stefcia opowiedziała bratu życie swe w więzieniu.

Rozgrzeszył ją pocałunkiem, zachęcał pracą.

I wzięli się do niej serdecznie.

Ona spożytkowała znajomość języka angielskiego i niemieckiego, oraz gry na fortepianie.

On udzielał lekcje historji i rysunków.

Czasem w cichym, skromnym kościołku, na jednem z przedmieść m. X. . . . odprawiał mszę.

Intencja zawsze jedna i ta sama:

Za tych co kochają i cierpią.

I dni za dniami, pogodne, wesołe płynęły by wygnańcom, gdyby . . . nie szydź ze mnie Galicjo austrjacko . . . gdyby nie myśl o ojczyźnie i tęsknota za nią.

Hr. Błażyński, z początku pobytu Zapalskich w X. . . . był u nich codziennym gościem prawie.

Wabiły go tam dwa czyny:

Zdolności brata, mogące przydać się zakonowi i śliczna twarzyczka Stefci.

Daremne zabiegi starca.

On wręcz odmówił wstąpić do Jezuitów.

Ona, oddać rękę sześćdziesięcioletniemu bigotowi.

Ale bratu nic o tem oświadczeniu nie powiedziała.

Raz Zapolski musiał opuścić miasto i Francję na trzy miesiące.

W połowie tego czasu przestał otrzymywać listy od siostry.

Są rzeczy, które się z niechęcią i wstrętem opowiada; czyny przejmujące zgrozą.

Podobne zboczenia natury u zwierząt nie trafiają się nigdy, u ludzi nader często.

Pocieszające odkrycie.

Gdy kapłan wygnaniec wrócił do domu, zastał drzwi zaparte, okiennice szczelnie zamknięte i ogródek opustoszały.

Zapytał o siostrę . . . sąsiedzi wskazali mu szpital.

Stefcia była obłąkaną.

Nie poznawała nikogo.

Nawet brata.

A policja tyle tylko wiedziała, że raz w nocy patrol podniósł ją zemdloną na ulicy.

Ksiądz rzucił się na kolana i modlił długo, gorąco, serdecznie.

Potem, przestał wierzyć w skuteczność modlitwy. Odprawiał jeszcze mszę czasami, lecz to było świętokradztwo.

Gdy bowiem na końcu ofiary doszedł w pacierzu do wyrazów: et dimitte nobis debita nostra etc. zatrzymał się, z ócz mu tryskały płomienie . . . potem łzy.

Chcecie wiedzieć dla czego? . . .

Stefcia w szpitalu powiła syna.

Biedny wygnaniec, on, nie dostał obłąkania, bo oparł się wiecznemu szałowi potęgą żelaznej woli.

«Muszę znaleść nędznika! . . . A wtedy. . . .»

Jedyną pociechą mu była wiara, że sprawiedliwość Boża nie objawia się inaczej, jak w sumieniu zbrodniarzy, które ich wcześniej czy później dręczy okropnie, obłędza umysły i . . . w ręce karzącej ludzkości wydaje.

Edward poznał się z Zapolskim przypadkiem.

Dziś objadowali razem, układając plany dotyczące jego ślubu z Mary.

— Pojedziemy do Orleanu księże Auguście i tam pobłogosławisz nas w katedrze.

Kapitan zapewne także będzie nam towarzyszył. —

Zapolski nigdy nie miał wielkiej sympatji do hrabiego.

Od czasu upadku Stefci, nienawidził go instynktowo.

I choć dziewczę, w obecności kapitana było jak zwykle bezprzytomne i zawsze uśmiechało się tym dziwnym bezbarwnym śmiechem obłąkanych, w głowie kapłana tkwiła

ponura myśl. Gdy więc Edward wspomniał o wspólnej z starcem podróży, ksiądz, który miał zwyczaj mówienia krótko, dobitnie i nieodwołalnie, zawołał:

— Pod żadnym pozorem z nim nie pojadę i tobie radzę, uwolnij się od Błażyńskiego. —

Potem dodał sucho:

— To człowiek zły. —

Młodemu oficerowi chodziło koniecznie o to, aby polski kapłan pobłogosławił związkowi; ustąpił więc oświadczając, iż innym polskim świadkiem zastąpi kapitana.

Gdy wrócił do domu, Mary nie rzuciła mu się dziecinnie w objęcia, jak to zwykle czynić była zwykła, lecz z powagą podała mu rączkę do pocałowania, mówiąc z łzą w oku:

— Spodziewałam się tego. —

Na jednym z białych paluszków podanej rączki, była obrączka z literami Edwarda.

Oto zaręczyny wygnańca.

IV.

Marja de Marevelles do Blanki de Langis

X. . . . dnia 7. czerwca 1874.

List twój otrzymałam, również fotograję Edwarda, p. Edwarda raczej i dziwną odpowiedź na prośbę moją, co myślisz o tym człowieku.

«Przystojny, ma inteligentny wyraz twarzy, ładne oczy,
«piękny wąs, arystokratycznie wycięte usta i ujmującą postawę.»

Można by sądzić, że to urzędnik bióra w prefekturze kreśli rysopis podróżnika.

Ja prosiłam, wiedząc, iż jesteś z urodzenia fizjonomistą i nawet studjowałaś począwszy od Lawatera, wszystkich fizjologów świata, a szczególniej opis, jeżeli podobna, natury Edwarda, o rzucenie mi pewnego światła na tego dziwnego człowieka . . . a ty mi piszesz, że przystojny etc.

Otóż, upór na upór kochana kuzyneczko; wręcz ci powiadam, że się mylisz, bo gdy już chciałaś coś chłodno szyderczego mi przesłać pod wonną kopertą, trzeba było powiedzieć: Prześliczny, ma uderzająco inteligentną twarz, cudowne, o smętnem spojrzeniu oczy, (wąs ładniejszy stokroć od tego, który nosi kuzynek Edmund. Nie myśl, że to złośliwość czasami, nie, proste porównanie.) Usta, o których się wieki marzy . . . i postawę człowieka, jakich coraz mniej widać w naszych wyradzających się salonach.

Bywa u nas od dni dziesięciu; od tygodnia zaś codziennym jest gościem . . . . u mamy . . . .

. . . .

Jestem zła i smutna; ale . . . posłuchaj mego opowiadania:

Nazajutrz po wysłaniu ci mego ostatniego listu, kapitan przyprowadził nam p. Edwarda.

Lepiej jeszcze wygląda niż na fotografji.

Mama była samą w salonie . . . ja, wyznaję prawdę, ukryta za zasłoną w błękitnym pokoju.

Gdy hrabia przedstawił go, i swym zwyczajem nie dodał, że to mama moja, pan Edward rzekł z ukłonem; «prawdopodobnie mam zaszczyt pannę de Marevelles widzieć przed sobą? . . .

Kolory wystąpiły na twarz mamy . . . i widać było jakie jej zadowolenie sprawiły te wyrazy.

Nie panie! odrzekła z uśmiechem, ale córka moja zaraz nadejdzie.

Rzeczywiście, w kilka chwil potem weszłam do salonu.

Mój Boże! musiałam mieć minę pensjonarki, musiałam mu się wydać śmieszną i brzydką może, co więcej niezgrabną . . . wstęp mój bowiem odbył się w towarzystwie łoskotu stłuczonego wazonu, który obaliłam, potrącając podtrzymującą go kolumnę. Widziałam w oczach młodego człowieka lekki uśmiech jakby szyderstwa.

Na domiar nieszczęścia usiadłam w kąciku przy oknie, ręczę ci jednak, iż z pod oka na niego nie spoglądałam wcale, przeciwnie bardzom była zajęta wyglądaniem na ulicę, na której, mówiąc między nami, nic nie było do widzenia.

Gdy potem kapitan rozpoczął z mamą na swój ulubiony

religijny temat, jakąś nader uczoną rozmowę, p. de Parski przystąpił do mnie i skłoniwszy się, przemówił w ten sposób:

— «Pozwoli pani, że jako cudzoziemiec, otrzymawszy «zaszczyt bywania w jej domu, będę musiał najpierw w kilku «słowach określić granice mego towarzyskiego pożycia; nie «chciałbym bowiem, aby we Francji złe o nas powzięto «wyobrażenie. Pochlebstw nigdy i nikomu nie mówię; «często gorzką prawdę i to niepytany, stąd mało sympatji «u dam, wiele nienawiści u męszczyzn.» —

Powiedział jeszcze kilka zdań, których sobie nie przypominam i nie czekając mej odpowiedzi, zmienił przedmiot rozmowy, z nieopisaną swobodą, zapytując co czytam obecnie, jakich przekładam autorów w prozie, w poezji, w muzyce . . . zgoła (kreślę ci to w skróceniu), dość zajmującą zaczęliśmy rozmowę.

Wierz Blanko, iż nie łatwo mnie pozbawić przytomności i że w otoczeniu, jakie posiadam, nabyłam pewnej wprawy mówienia o wszystkiem i o niczem. W obec p. Edwarda jednak inaczej się stało. Po kwadransowej wymianie zdań i pojedyńczych wyrażeń, poczułam, że ma gruntowne, wszechstronne wykształcenie; że w duszy śmiać się musi z mej niewiadomości. . . . To mnie zażenowało i gdy w rozmowie o literaturze powieściowej, pomięszałam Erckmana-Chatriana z Feuilletem, a Henryka Conscience z Wiktorem Hugo, spytałam go niebacznie i w dość impertynencki sposób: czy kobiety w jego kraju bardzo są wykształcone?

— Więcej jak we Francji — rzekł spokojnie.

To mnie oburzyło, odparłam więc z szyderstwem: sądzę zatem, iż będę musiała uczyć się jeszcze wiele?

— Tak pani! mówię to otwarcie! ale sądzę — dodał z uśmiechem, że pani więcej dobrego kierunku jak dobrych chęci brakuje. —

Byłam jak w ziemię zakopaną.

On zaś z flegmą i tym wiecznym sarkatycznym uśmiechem zwrócił na inny przedmiot rozmowę.

Gdy w kilka minut później mama wyszła z kapitanem ze sali, pokazać mu jakąś świeżo nabytą starożytność, powstał i patrząc mi prosto w oczy, rzekł łagodnym wpół cichym głosem:

— Ja mam pani wyrazić podziękowanie i wiele wdzięczności za gościnne przyjmowanie mojej Fatmy . . . a także . . . małą mam prośbę do pani. —

Wypatrzyłam się na niego.

— Prośbę, aby tajemnica listu w obróży została zupełnie, zupełnie przy pani. —

Czułam, że krew mi występuje na lica... miałam jednak odwagę wziąść go za rękę i zawołać porywczo:

— Przysięgam panu, że wypadkiem listy te dostały się w moje ręce ale . . . skąd pan wiesz. —

Uśmiechnął się dobrotliwie i nie puszczając mojej dłoni odpowiedział: skrytka w obróży na dwie zamyka się sprężyny. Narzeczona moja znalazła jednę złamaną, skutkiem szarpnięcia zapewno; że zaś kapitan mówił mi wczoraj o codziennych wizytach Fatmy w hotelu de Marevelles, domyśliłem się łatwo reszty! —

Tak więc, Blanko moja, dziwne zrządzenie Opatrzności, a może tylko wypadek losu, złamał od razu zaporę zimnej etykiety, jakaby może i długo między mną a p. Edwardem istniała.

Nie śmiałam wysunąć mej ręki z jego ciepłej dłoni, choć czułam, że drżała i że mi dziwny żar płynął w żyłach.

On patrzał wciąż na mnie, aż widząc, (o! wie pewno co co się ze mną działo) zakończył moją mękę:

— Wierzę pani wszystko; co mnie dotyczy, proszę więc raz jeszcze, zapomnij treści listu z Orleanu i chciej wierzyć, że ocalę Mary i że się nie sprzedam Jezuitom, ale ... do czasu maskę znosić muszę. — Mama wchodziła do salonu. Puścił więc dłoń moję i zakończył półgłosem:

— Wszak tylko nadziei złowienia mnie, który żywi hrabia i jego przełożony, zawdzięczam szczęście poznania pani. —

I piękne jego oczy znów spoczęły na mej twarzy.

Bezmyślnie, z ust mi się wydarło słowo: a Mary? . . . i wtedy dopiero zastanowiłam się nad doniosłością tego wyrazu, czując pomięszanie w całej swej istocie.

— Prawda . . . Mary! — jak echo oddźwiękł głos pana Parskiego.

. . . .

. . . .

Trzeciego dnia po jego u nas wizycie, kapitan po zro-

bieniu ogromnej awantury, najpierw z odźwiernym, potem z jednym z lokai, a nareszcie z panną służącą mamy, włamał się prawie do jej apartamentu raz o dziesiątej z rana.

Z mej sypialni, która jak wiesz, oddzieloną jest tylko korytarzem od maminej, słyszałam nader żywą rozmowę, na sprzeczkę zakrawającą prawie. Matka moja cały dzień była nie do zniesienia. Wieczorem posłała powóz mój po pana Parskiego.

Przybył natychmiast i po godzinnej rozmowie w salonie, zeszła z nim do jadalni, gdzie stół był na trzy osoby zastawiony.

— Marjo! rzekła z uśmiechem — zechcesz uważać p. Edwarda jako przyjaciela domu naszego; jeżeli zechce, będzie mógł bywać u nas codziennie. —

Nie pojmowałam co to znaczyć miało.

Gdy po rozejściu się gości, co do nas przybyli po obiedzie, pytałam mamę o objaśnienie zagadki, odpowiedziała mi także przez zapytanie:

— Jak ci się podoba p. de Parski Maniu? —

Szalona myśl błysnęła mi w głowie.

— Znajduję go zarozumiałym i wymuszonym; twarz ma dziś przyjemną, ale żadnego nią nie zrobił na mnie wrażenia — odparłam dość obojętnie.

— Jednak głos ogółu w naszym dziś salonie, tak damy jak i męczyzni, przyznali mu wielki takt, dużo dowcipu i zachowanie się zupełnie arystokratyczne.

— Być może! ja jednak, mama pozwoli, przy mojem zostanę zdaniu.

— Bardzo miły, ma głos prześliczny, gra biegle na fortepianie, z uczuciem i w życiu nie słyszałam nikogo, coby tak opowiadał zajmująco jak on.

— To jednak, mamo droga, nie objaśnia mnie jeszcze, dla czego wbrew wszelkim zwyczajom towarzyskim, został tak nagle przyjacielem domu — zarzuciłam, kładąc nacisk na ostatnie wyrazy.

— Kapitan, jeżeli nie jest warjatem, czemu zupełnie wierzyć zaczynam, musi być nędznikiem i potwarcą; przedstawiwszy nam bowiem p. Edwarda w sposób tak gorący i serdeczny, dziś rano ni stąd ni zowąd zaczął mi opowiadać

niestworzone rzeczy o nowym protegowanym i wręcz żądał, abym mu wstępu do pałacu wzbroniła.

Dla tego więc prosiłam p. Parskiego na obiad do nas i chwilkę rozmowy. Teraz sprawa się wyświeciła — i oto, dla czego upoważniłam go do uważania mego domu za swój własny. —

. . . .

Cóż powiesz na to kuzynko? . . .

Bywa codziennie. Mama nie zostawia nas samych ani na chwilę, choć chciała, by z nim pomówić koniecznie. Zabrała mi nawet Fatmę. Poczciwe zwierzę nie odwiedza mnie już jak dawniej, za to jak wyrwać się może, przybiega do pałacu i prosto na górę, do budoaru mamy. Egoistka.

On przychodzi zwykle po śniadaniu, około wpół do drugiej, a mama czeka zawsze na niego z kawą. Jeżeli nie zostaje na obiedzie, opuszcza nas (mamę wraz) dopiero około szóstej.

Za przykładem mamy, panie de Bretitzel, de Morval i de Lucy zaprosiły go do siebie.

Przed kilku dniami zauważyłam rzecz bardzo dziwną. Potrzebując jakiejś książki, wbiegłam do budoaru mamy.

Siedziała na leżawce obok Parskiego; on zaś opowiadał jej półgłosem.

Za mojem zjawieniem się po ustach mamy przeleciał lekki wyraz niecierpliwości; p. Edward wstał i skłonił mi się głęboko, mówiąc z szyderstwem: tak dawno już pani nie widziałem!

Poczułam dobrze pocisk, gdyż przed godziną przechodząc przez salon, na dole rozmawiał ze mną kilka minut.

Znasz mój charakter Blanko, przerobić go niepodobna! Wyszłam, nie szukając już książki i bez żadnej odpowiedzi.

Zapuszczając zasłony podwoi, usłyszałam, jak mamą, śmiejąc się głośno, rzekła o mnie: est-elle drôle cette petite fille.

Tu przerywam moją pisaninę, gdyż u nas dziś bal i koncert na dochód rannych . . . salony się napełniają, a ja jeszcze nie ubrana.

Przed chwilą widziałam mamę; ubrana biało, z szeroką czarną szarfą na balowej sukni i białą kamelją w czarnych włosach, wygląda prześlicznie. Przekonaną jestem, że gdy

staniemy w jednym kadrylu, nikt z obecnych nie przypuści, że to matka moja.

On także będzie.

Hotel de Marevelles de Penincourt (ostatnie miano całości rzadko hrabina przybierała) wznosił swe majestatyczne mury na jednem z zasianych ogrodami przedmieść miasta X. . . .

Zbudowany między dziedzińcem a obszernym parkiem, przeciętym odnogą rzeki, uważany był i słusznie za jedną z roskoszniejszych siedzib francuskiej arystokracji.

Żelazna, grubo złocona krata o dwóch wjazdowych bramach z ciosu, oddzielała podwórze od ulicy. Sam pałac był arcydziełem gotyckiego stylu.

Smukłe, narożne wierzyce jak jedwabnych koronek fale, wznoszące się ku niebu, spiczaste cynkowe dachy i misternie rzeźbione galerje, nad których głównym łukiem rozpierał się starożytny herb de Marevelles «trzy wilcze pyski w złotem polu» znaczyły szczególną powagą całą budowę, nadając jej cechę monarszego prawie siedliska.

Z pod kamiennego ganku, pod który, w czasie słoty, zajeżdżały powozy, wchodziło się do wielkiego prostokątnego przysionka, w którego, w przeciwnych wejściu, ściętych w elipsę trzech bokach, krążyły marmurowe wschody o szerokich, bardzo mało wzniesionych stopniach, a kończyła je bronzowa galerja, ozdobiona pysznemi posągami Torwaldsena, które hrabina z wielkim kosztem z Rzymu sprowadziła. Na prawo i na lewo szereg apartamentów pani de Marevelle, Marji i jej brata, gdy z pułku przybywał do domu. Środkowe podwoje prowadziły do salonu, za którego balkonowemi oknami o kolorowych górnych szybach, krążyła szeroka kamienna galerja, zamykana szkłem na zimę. W godzinach balu przeistaczano ją w cieplarnię, komunikującą bezpośrednio z wszystkiemi pokojami pierwszego piętra od ogrodu.

Na dole były salony, otwierane tylko dla cudzoziemców, zwiedzających pałac i w ważnych familijnych uroczystościach.

Wszystko co sztuka nagromadzić może kosztownego, zapełniało wnętrze tych wspaniałych apartamentów. Począwszy od wielkiego hebanowego Pleyel'a w sali, szacowanego na dziesięć tysięcy franków, aż do najdrobniejszej figurki lub

urny rzuconej na marmurową komodę . . . same arcydzieła epok i ludów sztuki wszystkich.

Były tam pokoje podług narodowości i stylu wieków urządzone.

Wielki salon uroczystych zebrań rodzinnych zmodelowano podług sali weneckich wzorów w XVI wieku. Krążąca z tyłu za nim galerja zawierała sto pięćdziesiąt portretów przodków i ośmdziesiąt posągów odzianych w zbroje rodziny: począwszy od długiego miecza i skośnego kołczana Gallów, aż do lekkiej medjolańskiej zbroi, zarzuconej z początkiem XVII stulecia.

Drugie piętro przeznaczone było dla zamieszkujących pałac gości, antresola dla służby i oficjalistów.

Po bokach pałacu, w głębi, za kępami odwiecznych kasztanów stajnie, remizy i magazyny.

Hrabina Klemencja de Marevelle rządziła trzystoma tysiącami franków renty, które jej dzieciom przyjść miały; prócz tego drugie tyle wynosiły jej własne dochody.

Miljony są jak zbrodnia.

Każą się nienawidzieć.

I nie dziw.

Wobec straszliwej nędzy na dole, straszliwe bogactwa u góry muszą być zazdroszczone.

Ochydne prawo ciążenia w żywej przyrodzie.

Tylko że cała gniotąca masa spoczywa na barkach maluczkich ciałem i duchem.

Stąd te potworne przedmioty społeczne, które nazywamy rewolucją.

Poszukanie równowagi w płomieniach i krwi.

Zła droga, jak c. k. a. galicyjski gościniec, który obryzgiwa błotem wszystko i wszystkich.

Komunizm . . . to głupstwo wyrodzone w rozumach półgłówków.

Czerwona mara trwożnych mnichów, starych bigotek i młodych komedjantów, bawiących się w moralność à tout wiersza, lub kwandrans odczytu.

Podział majątków, podobny może, lecz niepraktyczny.

Mierność musi istnieć śród ludzi, ale nędzy być nie powinno!

Każdy bowiem ma prawo pracy i w ślad za niem idące prawo zaspokojenia potrzeb swoich i rodziny tąż pracą.

Prócz tego praca powinna być tak zastosowaną, aby uszlachetniała serca, rozwijała władze umysłowe i hartowała ciało.

Praca nad siły . . . to złamanie ludzkiego ducha.

Praca nieodpowiednio wynagradzana, krzewienie w sercu nienawiści dla bogatych próżniaków.

Złamany duch i pełne nienawiści serce wyradzają rewolucje.

Czyjaż w nich wina? . . .

Myślę że tych, co gnębią ducha i brudzą serce.

Koń nigdy bowiem nie winien stratowaniu, tylko ten co nim kieruje.

Jeżeli biegun rozhukany, to także wina woźnicy, że go nie umiał ugłaskać łagodnością.

W mieście X. . . . jedna może pani de Marevelles pojęła, że jeżeli los daje ludziom w ręce miljony, to tylko w połowie dla nich, a w połowie dla drugich ludzi.

Rok rocznie przed radą rodzinną składała rachunki. W wydatkach było tam zawsze: biedni 50,000 fr... Członkowie rady sarkali trochę z początku, lecz przyzwyczaili się potem do rozrzutności pięknej hrabiny.

Co jednak nie przeszkadzało, iż szarpano pokątnie jej dobrą sławę.

Była młodą, piękną i litościwą.

Trzy okropne zbrodnie w obec drugich . . . kobiet:

Stare, zazdrościły jej wiosny życia.

Brzydkie, urody.

O zaschłem sercu nabożnisie, błogosławieństwa podźwigniętej z błota nędzy.

Piękne, młode i litościwe, miały jej swe własne przymioty do zarzucenia.

«Czemu ona nam równa?«

«Jedna więcej gwiazda na jej czole, to jedna mniej na «naszem.»

Prawdziwie kobiece rozumowanie.

W tem niewiasty są podobne do łakomców.

Różnica tylko słów: chcę i pragnę.

A kobieta zawsze górą.

Pani de Marevelles miała jedną słabą stronę: lubiła towarzystwo mężczyzn i otaczała się niem ochotnie.

Prawdopodobnie miała kochanka, dwóch może ... zmieniała jak wachlarz, chustkę, lub rękawiczki. . .

To przypuszczalne.

Ale miała przy tem cnotę oddania się.

Inne by się może sprzedawały.

Stąd obmowa.

Ludzki język czerwony z natury.

Gdy w ruchu, brudzi wszystko; kobiecy czerni. . . .

Więc czerniono ile sił starczyło.

Spisała listę swych kochanków pod napisem doit ... tysiączną część listy dobrodziejstw pod avoir i posłała ten szczególny bilans wszystkim swym przyjaciołkom.

Odtąd umilkło oszczerstwo, bo języki posiniały, a damy nie rade je wtedy okazywać.

Marja de Marevelles, wdała się charakterem w matkę.

Była uporną, lecz szlachetną z natury i prawa; męska wola poprowadzić by ją mogła z łatwością.

Dojrzała wiedzą, zachowała czystość nie z trwogi skutków lub głosu ogółu, ale prosto, że jeszcze nie kochała.

Czasami młodemu dziewczęciu były jeszcze pociągłe błyski uczucia. Jak w wieczornem niebie, gdy śni pogodę następnego dnia.

Wtedy wyrzucała oknem stosy złota, by oszczędzić jednej łzy, jednej skargi wdowie lub sierocie.

Płakała nad zwiędłą różą, stratowanym robaczkiem, uwięzioną ptaszyną.

Czasem znów, miewała tygrysie zachcianki dręczenia wszystkiego co ją otaczało.

Skutek to wychowania i społeczeństwa w którem żyła.

Słyszała i czytała wiele o szczęściu.

Wierzyła mocno, że prawie całe zawiera się w niewieście.

Chciała je dać drugim i upoić się roskoszą podziału.

Ale . . . nikt się nie pojawił.

Edward, przedstawiający się dziewicy w tak dziwnych okolicznościach, wywołał pierwszy drżenie jej pociągłej, arystokratycznej rączki i barwę róż na blade lice.

Ale Edward miał Mary . . . swą bląd-włosą angielkę, o kibici smukłej jak trzcina i alabastrowej cerze.

«Ach! gdyby nie ona . . . musiałby mnie kochać ten człowiek.

«Ale nie! nie będę o nim myślała!»

I myślała o nim tem więcej.

Rzeczywiste dziewice, te którym, dzięki klasztornym kochankom i rozkochanym studentom, nie zwiędło jeszcze serce i myśl się w sprosnych obrazach nie zbrukała, mają tę szczególną cechę, że kochają od razu, od pierwszego spojrzenia.

Marja, choć wychowana w klasztorze, równie jak Mary, jak ona także uniknęła z umysłu ślepych zakonnic, z umysłu pobłażliwych nauczycielek i z umysłu surowych w szkole, słodkich w konfesojnale katechetów.

Przekonała się jak kwiat stepowy w Afryce Bel-Fellah zwany.

Pod palącem słońcem wilgny i purpurowy.

Gięty co chwila, nigdy nie złamany.

Pokochała Edwarda od razu.

W dzień balu nie wiedziała jeszcze o tem.

Wieczorem była pewną, że oszaleje z miłości.

On kochał Mary i odpłacano mu to uczucie miłością bez granic.

Jedna przyczyna więcej.

Był kochanym, więc wart był tego.

Nie zawsze, jednak dziewczę nie zrozumiało.

Uczucie ma dziwną własność.

Nie rozwija się, tylko uwydatnia.

Czasem szczególnie!

Dla tego widzimy często łzę w oku zbrodniarzy.

Łza bujniejszą jest od najlepszego ziarna i gdyby jej nie osuszano kajdanami lub szubienicą, wyrodziła by się w poprawę.

W Marji de Marevelles miłość dla Edwarda w powstania chwili doszła już do swego szczytu.

Dziewczę bowiem, gdy młody wygnaniec szepnął: prawda . . . Mary . . . powiedziała sobie w myśli, jak ją kochać przestanie . . . znajdę go u nóg moich. . . .

I już bawiła się myślą jego ciemnymi włosami, składała mu pocałunek na czole, zaplatała ręce na szyję.

Samotność w miłości więcej znaczy, niż obecność ukochanego przedmiotu.

Wzrok duszy i myśli dalej sięga, niż wzrok ciała, a działa podwójnie.

Biegnie bowiem za celem i kiełkuje w sercu wspomnieniem.

Wspaniałe, murmurowe wschody hotelu de Marevelles przemienione były o wieczorze balu w prawdziwą kwiaciarnię.

Na stopniach, zasłanych kosztownym kobiercem, śród zwrotnikowych roślin i srebrnych kandelabrów, zapełnionych świecami, dwa szeregi lokajów w pełnych strojach z kokardą z czarnej krepy na ramieniu. . . .

Wszystkie damy i wszyscy mężczyzni mieli również tę oznakę żałoby.

Francja najechana, spalona, sprzedana i spodlona.

Ruina i krew.

Więc żałoba dla niezapomnienia.

Miano się bawić, to prawda, ale dla otarcia łez.

Bilet wstępu kosztował pięć lujdorów bez różnicy płci i wieku.

Przy kasie zebrano miasto stu sześćdziesięciu, dwieście tysięcy fraków.

Ofiarność może przesadzona i z pychy. Wszystko jedno, gdy biedni, ranni i ich wdowy zyskali na tem wiele.

Mimo, iż sześćdziesiąt pokojów, sal i galerji otwierano dla gości, w wielu miejscach pałacu przecisnąć się nie było podobna.

W sypialni p. de Marevelles urządzono przebieralnię dla dam, w dziewiczym przybytku Marji dla dziewcząt.

Gdy Edward wszedł do głównej sali, gdzie tańczono przy orkiestrze amatorów, której każdy kawałek był koncertowo wykonany, pierwsze dźwięki ślicznego walca «Indiana» wezwały amatorów na stanowisko.

Młody człowiek, spostrzegłszy nieopodal Marję de Marevelles, usiadł przy niej i wszczął potoczną rozmowę.

Po kilku chwilach błąkania się słowami śród bukietu gości:

— A propos — zagadnęła dziewica — nic mi pan nie wspomniałeś, że znasz księżnę de Narandole? —

Zapytany tak nagle, mimo wielkiej władzy nad sobą, drgnął i zarumienił się nieznacznie, co nie uszło uwagi jego towarzyszki.

— Nie znam — rzekł potem, starając się nadać głosowi lodową obojętność, jak gdy się o bagateli mówi. . . .

— Nawet z widzenia? — pytała dalej Marja, obrzucając go spojrzeniem.

— Z widzenia . . . może! ale sobie nie przypominam wcale.

— To dziwne!

— Dla czego?

— Bo właśnie księżna, która jest moją przyjaciołką, prosiła, abym jej pana przedstawić chciała. —

Edward już zupełnie zapanował nad sobą.

— Prawdopodobnie — rzekł z uśmiechem — jestem w modzie, i księżna wiedząc, że mama pani otworzyła mi wszystkie salony, chce mnie również zaszczycić swą znajomością.

— Cicho . . . otóż i ona! — szepnęło dziewczę z zachmurzoną lekko twarzą patrząc w głąb sali.

Rzeczywiście, majestatyczna kreolka zbliżyła się do kozety, na której młodzi ludzie siedzieli.

W ciemno wiśniowej, jewabnej sukni, z takąż, tylko trochę jaśniejszą kokardą i brylantową różą w czarnych włosach, była prawdziwie oślepiającej urody.

Dwudziestoletnia pierś księżnej, do połowy odsłonięta podług ówczesnej balowej mody, miała tę formę światła i cienia razem, której dotąd żaden malarz nie wynalazł jeszcze.

Róża stopiona w alluminjum, w złocie.

Kreolki mają w pół zastygłą lawę w żyłach, miasto krwi.

Uścisk ich nie pali od razu, lecz pochłania stopniowo słodyczą.

Coś z ognia dzikiej pantery i pieszczotliwości domowej kotki.

Na pozór czasem lód.

Nanina de Narandole przystąpiła chłodno i poważnie do siedzących.

— Nie tańczysz? — rzekła do Marji.

— Nie! — była chłodna odpowiedź.

Po przedstawieniu zwróciła się do Edwarda.

— Namiętnie lubię ten wirowy ruch walca, to mi trochę nasze ojczyste Bollero przypomina; właśnie obiedz chciałam salę kilka razy z panem de Pearl, ale tańczy tak licho. . . . A pan? —

Edward w miejsce odpowiedzi ujął jej wiotką kibić w ramiona.

Marji ścisnęło się serce.

«Jacy oni piękni oboje!» szepnęła, goniąc wzrokiem za ulatującą w świetle i woni parę.

Kreolka wsparła spokojnie Edwardowi lewą rękę na ramieniu, główkę na ręce i dała się prowadzić dźwiękami jak czółno po jasnej fali.

Walec, wykonywany dla skończonych, arystokratycznych tancerzy hotelu de Marevelles, grany był fantastycznie w myśl «tempo stacato»; to wolniej, to prędzej, czasem szalenie i znów w mistrzowskich miarkowaniach wracał do pierwotnego taktu.

W jednej z takich zmian pośpiechu, oczy Edwarda spłynęły na pierś księżnej.

Zgiętej w tył w ramieniach jego tancerce zsunął się prawy naramiennik, zwalniając suknię.

Odwrócił szybko głowę, lecz w złą stronę, ustami bowiem dotknął twarzy pani de Narandole.

Przestraszony, z bijącem sercem, spojrzał jej w oczy . . . może błagająco, może namiętnie.

Nie wiem, lecz oczy księżnej odpowiedziały: jeszcze...

On znów przechylił głowę. . . .

Dwoje szalonych.

Nie przemówili do siebie ani słowa, lecz gdy z ostatnim dźwiękiem orkiestry, młody człowiek odprowadził kreolkę do sofy, wracając ku stronie Marji pomyślał roskosznie:

Czyżby mnie kochała? . . .

Ona pomyślała to samo!

Edward szukał hrabianki na próżno.

Ukryta za kilkoma damami, śledziła chciwie tańczących, widziała ruch głowy Edwarda i płomieniste spojrzenie księżnej.

I biedne dziewczę pobiegło do ogrodu mówiąc z płaczem: Ona mi go zabierze!

X.

Dwa miesiące upłynęło!

Edward bywał codziennie w pałacu de Marevelles.

Z początku dziwiono się w mieście niezmiernie.

Najrozmaitsze przypuszczenia krążyły w towarzyskich kołach; przeważało jednak mniemanie, że wkrótce zapowiedzie małżeństwa z młodym Polakiem ogłoszone zostaną na drzwiach gminnego domu «magistratu» jak u nas mówią.

«Decydująco, pani de Marevelles musiała stracić głowę» szeptało grono pobożnych przyjaciołek hrabiny. «Powierzać córkę i taki olbrzymi majątek człowiekowi bez jutra, wychodźcy, co gorzej rewolucjoniście.»

Bo Edward nie taił się ze swemi postępowemi zasadami.

Jednak wątpiono jeszcze.

Aż pani de Lucy, jedna z dam najżarliwiej zajmujących się tem co zrobią drudzy, kazała raz zaprządz do powozu i w połowie śniadania, spadła jak granat w gotyckim zamku.

— Czy to prawda — zapytała od razu hrabiny — że pan Parski żeni się z Marją? . . .

— Nic jeszcze nie jest ułożono; byłabym jednak najszczęśliwszą, gdyby p. Edward zaszczycił mnie prośbą o jej rękę. —

Hrabianka, obecna tej rozmowie, wybiegła z jadalni ukryć swe pomięszanie.

— Bo w mieście rozpowiadają okropności o tym całym stosunku — ciągnęła dalej litościwie baronowa.

— Cóż mnie to obchodzi? — odparła dumnie hrabina.

— Ciebie, prawda, Klemencjo! ale córkę . . . . . . jeśli mam ci wręcz powiedzieć jak rzeczy stoją, to posłuchaj: po-

wiadają i to głośno jeszcze, że Edward kocha się w tobie i poślubia Marję li tylko dla tego, aby zyskać sposobność zupełnego zbliżenia się do waszego domu i pokryć tym sposobem wszystko w'obec ciekawego świata.

Prócz tego, ma kochankę tu z sobą! Jakąś angielkę, którą przywiózł z Orleanu.

Mówią coś o wykradzeniu z klasztoru, zamordowaniu rodziców, okradzeniu kasy ......

— I więcej nic? — przerwała pani de Marevelles.

— Alboż to nie dość? . . .

— Tak sądzę, bo kiedy p. Edwarda za takiego zbrodniarza uważacie, czemuż nie dodałaś jeszcze na własną odpowiedzialność podpalenia, gwałtu i jakiego dobrego fałszerstwa?

— Ależ wierz mi kochana, z dobrego serca ci to oznajmiam; bo prawdopodobnie, jak powiadają jeszcze, prokurator by się wmięszał w tę sprawę, gdyby nie to, że p. de Parski jest pod opieką pruskich bagnetów tutaj. —

Zimna krew pani de Marevilles była godną podziwu.

— Ach, tak mówią? — rzekła z uśmiechem — więc i zarzut zdrady go nie ominął przecie?

Cieszy mnie to niesłychanie. —

Więcej z niej wydobyć nie można było.

Edward zaś, jak mówiliśmy, bywał co dzień w pałacu de Marevelles.

Cztery godziny po południu spędzał w budoarze hrabiny na pogawędce, muzyce i opowiadaniu.

Marja, w miarę zwiększającej się zażyłości między matką a Edwardem, była coraz chłodniejszą dla tego ostatniego.

Często niegrzeczną i szyderczą, czasem nieubłaganą w gorzkim sarkazmie.

Widywali się rzadko . . . ze strony dziewczęcia prawie z musu.

Podczas jednego z takich przelotnych spotkań w salonie:

— Jakże zdrowie pańskiej narzeczonej? — zagadnęła go szyderczo.

— Mary jest ciągle bardzo cierpiącą, od kilkunastu dni nie opuszcza swego pokoju.

— Musi to być panu nader przykro tak godzinami całemi opuszczać ją dla dla przyjemności mamy.

— Panno de Marevelles! — podniósł głos zaczepiony.

— To pana boli, prawda? . . . Więc otwarcie powiem co myślę? Nie godzi się zaniedbywać w ten sposób biednej dziewczyny. —

Edward pochylił wtedy zwykle głowę ze smutkiem i nic nie odpowiadał.

Od kilkunastu dni nie spotykał Marji wcale.

Z hrabiną, choć na oko sam na sam tych dwojga osób mogło by dawać wiele do myślenia, nie rozmawiał wcale o miłości.

Była to przyjaźń, zawiązana w czas, to prawda, lecz silniejsza od dziesięcioletniej znajomości.

On jej opowiadał swe burzliwe przeszłe życie, prace na polu narodowem, marzenia o ojczyznie i powrocie do swoich, słowem marzenia przyszłości. Opisywał zwyczaje, obyczaje swego narodu, miasta, wsie, życie w pałacu i chatce.

Hrabina słuchała go z namaszczeniem prawie.

Gdy zaś wygnaniec umilkł i pod wpływem czarnych jakich myśli utonął w smutku zawiedzionych snów, pani de Marevelles (wiemy że była skończoną artystką) siadała do swego pianina i długi szereg fantastycznych akordów płynął w srebrne tony do ucha i serca tułacza.

On brał zatem często ołówek i bezwiednie kreślił nim po papierze.

Z ostatnim dźwiękiem improwizowanej pieśni, piękna bruneta wstawała cicho i pochylając się nad czołem Edwarda pytała co pisze.

On jej pokazywał kartkę w milczeniu.

Czasem pisał po polsku ... poezje.

Wtedy tłumaczył dosłownie w cudownie w jego ustach brzmiącej francuskiej prozie, utwory powstałe pod roskosznem tchnieniem harmonji.

Na długich jedwabistych rzęsach słuchającej kobiety świeciły często łzy.

Siadała wtedy przy nim, tuż przy nim . . . i biorąc jego rękę szeptała mu półgłosem:

— Pan masz talent, wielki talent; szkoda tylko iż ci na materjalnych środkach zbywa.

Piękne włoch niebo, artystyczne otoczenie i kochająca szalenie kobieta . . . oto czego panu potrzeba koniecznie.

Mary cię kocha panie Edwardzie, temu wierzę, ale... Mary ci szczęścia dać nie może . . . . . . ona potrzebuje ciebie: w twem położeniu to zabójstwo prawie. Nie ją, ale ciebie leczyć trzeba, a Angielka kochać tylko zdolna. —

On się oburzał, walczył, gniewał na prawdę czasami i całe dwa dni się nie pokazywał w pałacu.

Trzeciego zwykle wracał pod słodkie przyjaźni jarzmo; słuchał głosu i gry hrabiny; dążył upajać się (właściwy to wyraz) jej łzawem spojrzeniem.

— Kiedy ją tak kochasz jeszcze to posłuchaj:

Tu zostać ci niepodobna. Tracisz czas, wyczerpujesz bezczynnością siły i co gorsza, nad głową twoją już zawisł miecz Damoklesa, zemsta Błażyńskiego i Jezuitów. Ja mam willę pod Ischia, przyjm ją i jedź tam i zabierz twoją Mary.

Przyjm Edwardzie! przyjaźń zawsze z ofiarnością jest związana, a brat z siostrą szczęściem i niedolą dzielić się powinni. —

Edward wstrząsł głową, ściskał dłoń kobiety w swej dłoni lecz odpowiedział wręcz:

— Niepodobna. —

Ona, znając go, nie nalegała.

«Z tem wszystkiem jednak muszę go ocalić, wrócić ojczyznie i właściwemu powołaniu» szeptała potem w samotności!

. . . .

Tymczasem w byłym gmachu OO. Benedyktynów, w pokoju przylegającym do znanego nam oratorjum knuto czarną intrygę, marzono zbrodnię i ofiary.

Zastajemy razem ojca Józefa, kapitana i jeszcze jedno indywiduum zwane Bołowicz.

Indywiduum to należało do wyrzutków polskiego, potem wychodźczego społeczeństwa.

Bołowicz, kupczyk od Krupeckiego z Warszawy, uciekł niby do powstania w 1863 r., zabierając przez omyłkę tysiąc rubli swemu pryncypałowi.

Kupiec dla honoru walczącej wiary, nie wniósł skargi przed trybunał powstańczy w Warszawie.

W toku bitwy pod Grochowiskami, zacny ten patrjota, podówczas rycerz w siwych ułanach, których przedstawiano na rycinie z czterema rewolwerami z przodu, takąż ich liczbą z tyłu i napisem na plecach «nie złapiesz»! ulotnił się wraz z dyktatorem do Galicji.

Wiemy, iż przysięgający na wierność sprawie w Goszczy, miał swe cele polityczno-strategiczne, oddając się w dyktatorskim stroju austrjakom na tej stronie powiśla. Bołowicz jednak, choć tę samę obrał drogę, mniej zapewne głębokie i mniej skombinowane miał plany, gdyż drapnął przyzwoicie i znikł bez śladu.

Mówiąc między nami, uciec wtedy Niemcom sztuką żadną nie było.

Trudniejsze przedstawiało się zadanie tym, co się poddawali, żądając wyższego oficera do rozbrojenia; bowiem cień patrjotyzmu tkwił jeszcze pod czarno-żółtą różą i niechętnie brano powstańców do niewoli.

Potem rok 1861 znalazł Bołowicza w tłumie uciekinierów, których Niemcy radzi nie radzi zamknęli w Brnie, Igławie, Ołomuńcu i Koenigsgraetzu.

Wiedząc zaś, że Polacy biją się najgorzej za siebie, lecz także wybornie za drugich, ofiarowano im wolność w zamian za najechanie biednej meksykańskiej ziemi.

W liczbie zaciężnych był i szanowny Bołowicz.

Wiadome są każdemu ówczesne smutne dzieje meksykańskiego cesarstwa.

Bołowicz może jeden zyskał na rozstrzelaniu Maksymiljana.

Zdrajcy bowiem ofiarowano stopień oficerski w oddziale Mirty.

Brudne dzieje, skrócone o ile dozwolił ich opis.

Podczas francusko-pruskiej wojny, był na przemiany szpiegiem jednej i drugiej narodowości.

Podczas komuny, negocjował pokątnie z ramienia Thiersa o podddanie Paryża.

W dniach 24, 25 i 26 maja, nastawał trochę z musu, denuncjował potem z przyjemności; koniec końcem, spostrzegamy go teraz w X. . . na posłudze Jezuitów, z wstążeczką

w dziurce tużurka i kartą wizytową w kieszeni, na której było wylitografowane:

«Wladislas de Bołowicz
Major de l'armée mexicaine
Chevalier de l'ordre de la légion d'honneur!»

Trzej zacni przyjaciele, siedzieli za dużym stołem w pracowni ojca Józefa.

Posiedzenie rozpoczął przełożony Jezuitów temi słowy:

— Wiadomo wam bracia moi, ile zależy świętemu stowarzyszeniu na pozyskaniu Edwarda Parskiego. Człowiek to nader bystrego pojęcia i niezaprzeczalnych zdolności; kilka prac jego, przetłumaczonych po francusku, dowodnie mnie o tem przekonało.

W Polsce austrjackiej, Galicją zwanej, wiara nasza słabnie widocznie. Mówię otwarcie bo do swoich: młode pokolenie zaczyna nas podejrzywać o oszustwo, doktrynę nową, nazywa blagą i gorzej jeszcze prosto, bo łapką na głupców t. j. na kieszeń niedojrzałych umysłowo. Pojmujecie więc, że stan ten anormalny długo trwać nie może. Z żalem zaś wyznać muszę, iż ludzie nieposzlakowanej prawości charakteru, ojcowie rodzin i obywatele używający powszechnego szacunku współrodaków, przeciw nam jawnie słowem i piórem występować zaczynają. Na Francję rachować nam dziś niepodobna, ta bowiem długo jeszcze podług nakazu z Berlina działać będzie; wiemy zaś dobrze co nam Berlin gotuje w niedalekiej przyszłości. Próżno wołamy, że wstęp do prześladowania księży, jest wstępem do obalenia kościoła. Nikt dziś, zdrowo pojmujący rzeczy, nie uwierzy, aby kościół Boży mógł być narażony na upadek. Nam i naszym zwolennikom zagraża ruina tylko. Ale się nie damy; przynajmniej nie zwyciężą nas bez walki.

Włochy zapoznały nas, Hiszpanja chce strząsnąć rewolucją naszą przewagę; nie pozostaje nam, jak tylko zwrócić się ku Polsce. Tam jeszcze dla nas życie, tam materjalnie i moralnie ogromne zyski ciągnąć możemy.

Bądźcie pewni — ciągnął dalej z uśmiechem Jezuita — że znam lepiej może od was waszą ojczyznę.

Taka Galicja i Poznańskie; Królestwo bowiem stracone na zawsze.

Chłop bosy i odarty, w kurnej lub prosto rozwalającej

się chacie, w ręku Niemca lub żyda, rozpity wódką w Galicji, ogłupiały przez nas w Poznańskiem.

Pole do siewu uprawne znakomicie.

Szlachta w zaborze pruskim głupia i arystokratyczna, w zaborze austrjackim, z małymi wyjątkami, arystokratyczna i nikczemna.

Także doskonałe pole ... obfite będziemy mieć zbiory.

Kobiety w obu tych częściach Polski, zacne i poczciwe. ale mają krew w żyłach, francuskie romanse w głowie i skłonność do marzenia.

Fantastyczna religja, którą wyznają, konfesjonał, który im do reszty w głowie przewraca, oddają je skrępowane naszym celom. Te nawet, co przeciw nam są z zasady i przekonania, oddają wielkie usługi stowarzyszeniu. Jak każda z przyczyn służy za bodziec drugim, to służy także do oporu. Stąd walka, a przy nas z pewnością zostanie zwycięstwo.

Wznowimy czasy Zygmuntów, Batorych i Sobieskich, czasy Unji przeciw Moskwie, gdy tego wypadnie potrzeba.

Aby jednak szczęśliwie w przyszłość prowadzić nasze t. j. Boże dzieło, Edward mógłby nam być wielce pożyteczny.

Wymowa kapitana przekonać nie mogła, miljony Marji de Marevelles, jeśli je posiędzie, skutkiem prawdopodobnego stosunku miłosnego z hrabiną, nie dostaną się w nasze ręce i on stanie się tylko podwójnie potężnym nieprzyjacielem. Że zaś czasu tracić na próżno nie można, dwa jeszcze środki nam pozostają: najpierw objęcia księżnej de Narandole i usunięcie Mary ... a gdy słodki głos tej syreny nic nie pomoże, wmięszamy go w sprawy komuny: płacz, proskrypcja i nędza.

W ostatetecznym razie zemsta.

Nie chce być z nami, więc pogrzebiemy go moralnie. Sądzę jednak, że księżna go nam sprowadzi . . . oby tylko ją nie uprzedzono.

Co się zaś ciebie tyczy kapitanie, popełniłeś błąd niesłychany, wrowadzając go do hrabiny Klemencji . . . jak można było tak nierozważnie postępować. —

— Sądziłem że go pozyskam łagodnością i odciągnę od Mary prócz tego . . .

— Skończ. . .

— To moja tajemnica! ... dziś powiedzieć tylko mogę, że

dopiąłem prawie swego, matka i córka go kochają szalenie, a on, wszak już okazałem dowodami z jego przeszłości, że ma słabość do kobiet i że to jedyna część naruszalna w zbroi jego charakteru. Miljony de Marevelles, nim dwa miesiące upłyną, spoczną w nowej genewskiej kasie, przewielebny ojcze!

— Nie rozumiem jednak, jakim sposobem pozyskał sobie tak szybko sympaję tych pań i prawie zarząd wszystkiem w ich domu, bo hrabina widzi tylko oczami Edwarda — wsunął cichutko Bołowicz.

— Tu właśnie byłem mistrzem w całem słowa znaczeniu — odparł skromnie, lecz zacierając ręce kapitan. — Po dwumiesięcznem przedstawieniu go jako ideał religijnego człowieka, następnego dnia po bytności Parskiego w hotelu de Marevelles, opisałem go hrabinie w sposób przerażający, podałem dowody jego niemoralnego postępowania, głównie zaś stosunki z Mary, które udało mi się w nader czarny sposób przedstawić.

Mój planik udał się wyśmienicie i dziś obie są nim oczarowane. —

. . . .

I długo jeszcze w podobny sposób rozprawiała szanowna trójka czarnych.

Na poufnem posiedzeniu w otoczeniu z czterech głuchych murów, więc bez masek, w całej brzydocie serca, w całem spodleniu dumy.

Wchodzący braciszek, poufny ojca Józefa, obsługujący niegdyś jak Bacciochi Napoleona III. przerwał świętobliwą gawędę oznajmieniem, że w oratorjum księżna de Narandole oczekuje przełożonego.

— Dziś jej powiem otwarcie, czego się od niej spodziewamy — rzekł ojciec Józef powstając z siedzenia — wy zaś, podług wskazanej wam drogi postępowania urządźcie się z Mary. Ad majorem dei gloriam. —

I wyszedł.

Po wstępnej komedji błogosławieństwa i zebrania myśli, kilku uwagach co do dusz słaniających się po bezdroży, przyjętych z ślepą wiarą, udzielonych z zimną krwią i pewnością siebie godnemi lepszej sprawy, najprzewielebniejszy

przełożony zakonu Lojoli wyłuszczył wręcz księżnej, ile świętemu towarzystwu na pozyskaniu Edwarda zależy.

Zakończył mówiąc:

— Długo nie znajdziemy podobnego człowieka, i właśnie Bóg i kościół na ciebie rachuje duszo moja, abyś ocaliła młodzieńca i sprowadziła go na drogę obowiąsku. —

Księżna znać nie dobrze zrozumiała.

— Jakto ojcze, na mnie? — szeptała w zamyśleniu.

— Posłuchaj: od wielu dni już całe noce spędzam na tym oto modliniku pod krzyżem Zbawiciela — wskazał ręką ku przeciwnej stronie oratorjum — i błagam Pana, by mnie oświecił co czynić wypada. Na myśli błąkał mi się wciąż wiersz psalmisty:

«Niech powiększenie sławy mojej będzie ci zadaniem; idź i głoś wszędzie, żem ja jest Bóg przedwieczny i że mnie tylko czcić się należy.»

Im więcej pogrążałem się w modlitwie, tem więcej uwydatniały się te święte słowa ulubionego Pana. Stąd więc wnoszę, iż podług sumienia nie należy wachać się w wyborze środka, gdy ten oprócz zwiększeniu chwały Jego, może jeszcze uszczęśliwić dwoje istot na ziemi.

Kochasz Edwarda duszo moja? . . . nie dawno jeszcze wyznałaś mi to dziwne zbliżenie się dusz waszych w tańcu, na balu u hrabiny, to spojrzenie, rumieniec i pocałunek . . . wierz mi, w tem wszystkiem, widoczna jest ręka Stworzyciela. . . .

Kochasz Edwarda . . . . a gdyby — —

Tu Jezuita otworzył kratkę i spojrzał w twarz i w oczy zapłonionej kobiecie.

A gdyby . . . . i on kochał ciebie? —

— Ojcze mój! łaski! — jęknęła nieszczęśliwa.

— Gdyby zwalczony roskoszną namiętnością, która mu w piersi krew męską rozgrzewa, oczarowany widokiem twej cudownej urody, nie marząc jak tylko ciebie . . . i jeszcze i zawsze ciebie . . . upadł do nóg twoich i szepnął otaczając cię ramieniem . . . pieszcząc twe dziewicze usta, pocałunkiem roskoszy kochanka «bądź moją . . .» cóżbyś mu odpowiedziała? —

Księżnie de Narandole pot płynął z czoła kroplami, fe-

brycznie drżały usta, pierś pękała prawie pod jedwabnym stanikiem czarnej sukni . . . w oczach miała łzy. . . .

— Cóż byś mu odpowiedziała? — powtórzył ojciec Józef nalegająco. — Tak, z ręką na sercu . . . zapominając na chwilę o Bogu i jego przykazaniach. —

A ona podniosła głowę i jakby zbierając rozpierzchnione myśli spojrzała po oratorjum.

Dò koła lubieżno-święte malowidła, mówiły wdziękiem kształtów i pieszczoną zmysłów harmonją:... «u nas wesele bez granic.»

Przy twarzy jej twarz Bożego namiestnika rzucająca dziwne przyszłą roskoszą pytanie.

W oczach na wewnętrznej stronie kropel łez co na rzęsach drgały, widziała Edwarda u nóg swoich; patrzał na nią namiętnie i smutno, miał spieczone pragnieniem wargi, lecz na oku wilgne promieniowanie upajającej chwili.

Wargi te jak kwiat rosy żebrały odwilżenia i wyciągnął ręce ku niej, szukał jej różowego łona, odgarniał włosy z białej szyi. . . . .

Ochydna może scena, dość niezręczna nawet komedja Jezuity, wystarczająca jednak dla kobiet ślepej wiary, których dusza obłąkana, w sercu miłość zmysłowa, w żyłach lawa wulkanu.

— Cóż byś mu odpowiedziała? — po raz trzeci zawołał ten zacny kapłan Chrystusowy. . . .

— Jedno, że kocham i cierpię — szepnęła księżna zaledwie dosłyszanie.

— Nie, duszo moja! powinna byś mu odpowiedzieć: kocham i oddaję się . . . ale . . . pod warunkiem, że wrócisz do Boga i oddasz się na jego usługi. —

I wcisnął jej w dłoń ćwiartkę drobnym charakterem zapisanego papieru. . .

— Na tym papierze znajdziesz serdeczne myśli moje, jak ci postępować należy . . . . a pamiętaj, że cię wszechmocny obierze za narzędzie swej chwały na ziemi. . . . . . .

. . . .

XI.

Edward, nie dość że pod różnymi pozorami odwłóczył jak mógł swe połączenie z Mary, lecz jeszcze od pewnego czasu zaniedbywał ją widocznie.

Rano zajęty co dzień w biórze, gdy wracał na śniadanie, zaledwo że o drugiej sprzątnięto ze stołu, przebierał się i udawał natychmiast do pałacu de Marevelles.

W dni słoty przyjechał po niego powóz hrabiny.

Dziewczę wiedziało dobrze, gdzie spędza połowę dnia jej narzeczony, nigdy jednak i najlżejszem słowem nie zrobiło mu wyrzutu.

Czasem, w samotności, kilka westchnień i kilka łez. . .

To było wszystko.

Mary, choć życie światowe znała z opisu, instynktem kobiecym odgadła prędko, że w pożyciu jej z Parskim nadszedł perjod lekkiego oziębienia.

Z niego dwie tylko możebne drogi wyjścia: powrót do namiętnych uniesień i tem gwałtowniejszy, ile że osłabienie uczucia nagle powstało, lub . . . zupełne zerwanie, rozdział wieczny.

Ostatniego nie przypuszczała.

«Mniej mnie kocha dziś może niż dawniej, niż wczoraj, lecz powróci. . . .

«Widząc że kocham stale, więcej jak kiedykolwiek, przyjdzie pora zastanowienia, a z nią pogodne dnie naszej pierwszej miłości.

«Mam odwagę, więc będę dalej cierpieć w milczeniu.

«Mam wiarę w przyszłość . . . więc wolałam uniknąć zrażenia go niewczesnym wyrzutem.«

Zresztą, blada angielka posiadała pod ręką potężną broń.

Dziś, jutro może miała zostać matką.

Edward, od miesiąca obojętnie przyjmujący pieszczoty narzeczonej, będzież-że się mógł oprzeć uśmiechowi niemowlęcia i uściskowi matki?

Wszak to jego krew!

Dziecię nasze mi go powróci.

Roskoszne marzenie!

Pod jego wływem, dziewczęciu jaśniej się robiło w duszy.

Wstawała przeglądać drobną bieliznę, przeznaczoną dla przyszłego gościa; rzucała czasem okiem na białą suknię, przejrzysty welon i zielony na nim wianek.

Wtedy szeptała cicho: «będę jego żoną!»

I żałowała może w duszy, iż mu nic przynieść w podarku nie mogła.

Trochę miłości . . . rzecz zwykła i dawna już. . . .

«Miłość moja znudzi go może wkrótce!»

Mówiła prawdę!

W tym rodzaju uczucia wyższą jest natura męszczyzny.

Zmysłowa roskosz rzadko wykształconemu wystarczy. Trzeba przy pieszczocie takiej, wzniosłej także ducha pieszczoty.

Inaczej . . . przesycenie.

Kobiecie zaś dość, gdy zmysły zadowolone.

Nie każdej; większa ich jednak część poprzestaje na tem. Zazdroszczą posiadania, lecz im obojętną jest rzeczą, czy kochany przez nię człowiek moralnie im się sprzeniewierza.

Mary stanowiła wyjątek.

Edward był dla niej światem i po za granicami jego uścisku nie widziała nic prócz bezbożnej próżni. On . . . lecz żaden innny.

Wiedząc, iż tyle godzin codziennie spędza w otoczeniu pięknych kobiet, błyszczących wykształceniem, stanowiskiem w spółeczeństwie i złotem, ściskało jej się serce na myśl, że może ją z niemi porównywa.

«Bo właściwie, czemu ciągle w towarzystwie tych kobiet przebywa . . .» mówiła nieraz do siebie. Zaniedbuje mnie, opuszcza swe własne sprawy, nie pisze nic zgoła. . . . . .

. . . .

Gdybym umarła . . . płakałby może swej straty. . . .

Nieraz ksiądz Zapalski odwiedzał ciche schronienie dziewczyny.

Zastawał ją zawsze samą w jasno-zielonym pokoiku, schyloną nad książką lub robótką w ręku.

Gdy mu raz, ośmielona dziwnie słodkim wyrazem twarzy i łagodnością głosu i ruchów katolickiego kapłana, opowiedziała swe cierpienia kończąc:

— Wszak prawda ojcze, że powróci? . . . że znów mu będę wszystkim jak dawniej? — potakiwał głową dziewczęciu, lecz w duszy przeciwnie był przekonany.

— Bo my żyjemy zaledwie ośm miesięcy pospołu! — mówiła jeszcze Mary.

Naiwna, nie zepsuta natura.

Ośm miesięcy . . . tysiąc razy wieczność cała.

Prawdę mówiąc, Edward był przesycony dziewczyną.

Z chwilą przesytu, zastanowienie, ten grób miłości.

Czasem może nastąpić zmiana w przyjaźń, słodkie uczucie, ale ono kobiecie nie wystarcza.

Przypominał sobie często pocałunki Mary i ów księżnej . . . dany tylko przelotnie.

Rzecz dziwna, więcej znajdywał uroku w tem jednem dotknięciu twarzy kreolki, niż w słodkiej pieszczocie drżącej i rumieniącej się zawsze w jego objęciu Mary.

Kochać i szaleć, dwie wybitne pory uczucia. Znał pierwsze, chciał poznać i drugie; a w uszach mu ciągle brzmiał głos Błażyńskiego, opowiadający dziwną scenę w budoarze Lelji.

Kochał Mary i mówił w duszy: powrócę do niej potem.

Tymczasem obraz Naniny przerywał mu sen, plącząc w jego tkań okrągłe ramiona i ponętne kształty Meksykanki; czasem . . . i ciemne, pełne zazdrości spojrzenia Marji de Marevelles.

W obec dwóch nowych uroków i walki z gasnącem przywiązaniem do Mary, zapomniał resztę, świat i ludzi.

Wyraz Polska, nie wracał już tak często na usta wygnańca, a gdy myśl o siwej matce w ojczyźnie spoczęła mu nad czołem, był smutnym. Na listy z domu odpisywał krótko, czasem sucho, może dość obojętnie.

Modlitwa, skreślona ręką rodzicielki, posłana mu w czasie wojny, leżała w szufladzie biórka nie tknięta, nie przeczytana nawet.

Prace literackie, skurzone, w pyle, nie ukończone, błąkały się tu i owdzie.

Gdy mu Mary przypominała, że winien pisać czasami, odpowiadał: dobrze, masz słuszność, lecz takim głosem, jakby chciał powiedzieć: nudzisz mnie.

Chwilami, rzucając okiem na stan dziewczęcia, miał dobre, szlachetne porywy. . . . .

Okrywał twarz i głowę Mary namiętnemi prawie pocałunkami, pieścił jej śliczne lica i tulił do siebie zapłonioną. . . . .

«Jak się to wszystko skończy, będziesz moją na wieki aniołku, ale teraz nie; ludzie by kamieniem rzucáli na ciebie.»

Ona dobrze to pojmowała, modliła się więc Bogu, by jak najprędzej chciał jednym jeszcze węzłem przywiązać do niej kochanka.

Godziny upojenia nie długo trwały.

Edward bywał czasami w pałacu de Narandole, lecz tylko w obec męża lub gości widywał Naninę.

Mąż był zazdrosny szalenie o skarb którego nie posiadał, którego mu nawet dotknąć nie było wolno, goście, ciekawi, podejrzliwi i łaknący skandalu.

Widywał więc Naninę, lecz nie chciał nawet zbliżyć się do niej.

Kobietę to przyprowadzało do rozpaczy.

Częste insynuacje o nim podczas spowiedzi, zręcznie wsunięta jej fotografja Parskiego, opowiadanie kapitana, głównie zaś ustęp z pożycia z Mary, opanowały księżnę tak dalece, iż rzekła bez wachania: on musi być moim koniecznie.

Gdy kobieta dojdzie już do powiedzenia sobie coś podobnego, myśl z uczynkiem idzie zawsze w parze.

Po ostatniej konferencji z ojcem Józefem, biedna wierzyła, że tym sposobem przysłuży się Bogu.

Cóż chcecie, była głęboko religijną i wierzyła w tryumf sług kościoła.

Raz wypadek ich połączył na chwilkę.

O mroku dnia, w salonie księżnej były dwie czy trzy osoby.

Służba wnosiła kandelabry ze światłem.

Przy oknie Nanina, około niej Edward z jakąś książką w ręku.

— Pan nigdy nie kochałeś? — rzekła raptownie kreolka, rzucając mu długie namiętne spojrzenie.

On drgnął na całem ciele pod tym strumieniem galwanicznego światła, lecz odpowiedział z uśmiechem.

— Często nawet. . . . .

— Ale nigdy szczerze!

— Co pani rozumie przez ten wyraz! —

Ona zmięszała się trochę.

— No tak! — szepnęła — prawdziwie, z poświęceniem do szaleństwa, w obec i w brew wszystkiemu i wszystkim, bez względu na świat i ludzi, w łzach i boleści, w uśmiechu i roskoszy wesela, tylko . . . i zawsze. . . .

— Rozumiem panią, ale tak nie kochałem jeszcze.

— Czemu? . . .

— Bom nie spotkał kobiety, która by godną była takiej miłości bez granic.

— To nie prawda p. Edwardzie! — pierwszy raz wyrzekła jego imię — nie mówisz co myślisz.

— Gdy pani woli . . . nie spotkałem kobiety, która by mnie tak kochała. . . .

— A Mary? . . .

— Prawda . . . może ona — rzekł dziwnym tonem zapytany.

Było w nim wahanie i coś cierpkiego razem.

— Jej pocałunki byłyż bardzo namiętne? — szepnęła gorzko i raptownie księżna . . . tracąc przytomność pod utkwionem w nią okiem Edwarda. . . .

— Nie wiem nie rozumiem pani. —

Grube adamaszkowe zasłony, rozpuszczone zupełnie, ukrywały ich w połowie; w tej części sali mrok tem większy, ile że wniesione światło w drugim rogu olbrzymiej sali ustawione, podzieliło przestrzeń na dwie części:

Pół jasności i grubej nocy.

Nanina błyskawicą zarzuciła swe ręce na szyję Parskiego.

Elastyczna pierś księżnej spoczęła mu drżąco na męskiej piersi i poczuł dotknięcie jej gnących się ku ziemi kolan, aksamitny nacisk dziecinnej stopy.

Pocałunek był milczący, cichy zupełnie, lecz głęboki i upajający. . . .

A ona odchyliła trochę głowę i szepnęła: porównaj i osądź mój Edwardzie.

I znów brylantowy uścisk spłynął mu na lica.

. . . .

Edward jednak walczył jeszcze.

Przywiązanie do Mary i . . . sumienie.

Pięć dni go w pałacu de Narandole nie widziano.

Szóstego otrzymał bilet tej treści:

«Jeżeli dziś wieczorem nie będziesz u nas na herbacie... przyjdę sama, przysięgam ci na miłość moją dla ciebie.

Nanina de Narandole.»

List był wyraźny.

Wieczorem, Edward upajał się wzrokiem i słodkiemi słowy pięknej kreolki.

O jedenastej odprawiła służbę i poszła zamknąć apartamenta swej wiernej pokojówce.

Potem, zsuwając się z sofy na klęczki, oparła śliczną swą główkę na kolanach młodego człowieka szepcząc: jestem twoją. . . . .

Ojciec Józef tryumfował nareszcie.

Mary tymczasem, próżno oczekując narzeczonego, usnęła w krześle, śniąc po niepokoju na jawie, białą sukienkę i przyszłe szczęście.

Szczęście to śniła bez chmury.

Około trzeciej z rana, zbudziło ją gwałtowne dzwonienie u drzwi wchodowych.

Wchodząca zaraz potem służąca, oświadczyła zdumionemu dziewczęciu, że jakiś pan, Polak jak wnosi z mowy, chce się koniecznie z nią widzieć.

— O tej porze? . . .

— Mówi, że od naszego pana. —

Mary smutnem przeczuciem ścisnęło się serce.

— Wprowadź go tutaj — rzekła, zarzucając na prędce szal na obnażone ramiona.

Angielka nie znała Bołowicza.

Gdy wszedł, wpadł raczej, rzucił najpierw lisiem spojrzeniem do koła, potem przystępując do dziewczyny, zawołał gwałtownie, lecz z doskonałą prawdą w głosie.

— Pani nie masz ani chwili do stracenia, jeżeli chcesz wie-

dzieć co twój Edward porabia, to proszę ze mną, możesz zabrać i służącę.

— Ale cóż się stało na Boga! — rzekła tchnąc przerażeniem Mary. . .

— Nie mogę nic więcej powiedzieć . . . . . . nie wolno mi. . . .

— Czy ranny? . . . szepnęła jeszcze drżąca i słaniając się w trwodze.

Niegodziwiec zrobił ruch niecierpliwości.

— Powóz czeka na dole . . . służę pani . . . . wybieraj, bo go już więcej nie zobaczysz może. —

W pałacu de Narandole wszystkie okna pogrążone były w ciemności i w głuchem milczeniu nocy.

Na pierwszem tylko piętrze, po lewej stronie wjazdowej bramy, drobne światełko przedzierało się przez zapuszczone muślinowe zasłony.

Było to okno sypialni Naniny.

W bocznej uliczce, przy małej furtce prowadzącej do pałacowego ogrodu, zatrzymała się osłoniona kareta, bez herbów i Bołowicz wysiadł z niej, podając rękę na wpół żyjącej Mary.

Odważne dziewczę udało się bez służącej z nieznajomym, wsuwając w kieszeń zarzutki mały, lecz doskonały rewolwer Edwarda.

Że władanie podobną bronią obce jej nie było, wiemy to już z obrony Orleanu.

Przewodnik jej dobył klucze z kieszeni i po przepuszczeniu Mary do ogrodu, wszedł za nią, zostawiając furtkę otwartą pod strażą czarno ubranego lokaja.

— Gdzież idziemy? — szepnęło dziewczę instynktowo, przykładając rękę do rękojeści rewolweru.

— Zaraz się pani dowiesz! do p. Edwarda — odparł z lekkiem szyderstwem zapytany.

Kierując słaniającą się trochę w ciemności, wprowadził ją na pierwsze piętro pałacu.

Wtedy, w przysionku wiodącym do mieszkania księżnej, wziął Mary za rękę i wymówił cicho:

— Musisz mi pani przysiądz, że co bądź zobaczysz, nie wydasz okrzyku, głośniejszego tchnienia nawet . . . pod tym

warunkiem poprowadzę cię dalej . . . i zobaczysz kochanka; gdy chcesz wrócić się jeszcze możemy. —

A jej kręciło się w głowie i pytała sama siebie, czy to jeszcze sen? . . .

Straszliwa może komedja . . . ale w jakim celu, nie pojmowała wcale.

Na żądanie jednak swego poprzednika wyrzekła półgłosem: przysięgam.

Wtedy nędznik rozsunął draperje i zdumionym oczom Mary okazała się wspaniała sypialnia Naniny, oświecona alabastrową lampą, stojącą na stoliczku nocnym przy łożu.

Mdławe światło tej lampy w fantastyczny sposób gubiło się na żywych obiciach komnaty.

Na jednej z sof, kilka ubiorów hrabiny w nieładzie, przy nich męski kapelusz i laska Edwarda.

Laska ta była darem jednego z kolegów młodego oficera, który ją przywiózł z Bombay czy Kalkutty, cała z herbem, misternie rzeźbiona na sposób indyjski i nabijana słoniową kością, naśladującą oplatającego gałąskę węża.

Mary ją poznała i zarazem potworny cel sprowadzenia jej samej w te miejsca.

W każdej nadzwyczajnej okoliczności życia miała prawdziwie męską zimną krew.

Zapominając więc o swym przewodniku, który tym czasem wyprawiał najśmieszniejsze znaki przerażenia, postąpiła na palcach w głąb sypialni i z rzadką zręcznością ruchu i przytomnością umysłu rozsunęła zasłony machoniowego łoża.

W falach puchu ujętego w batyst i koronki, spowity w atłasy, spoczywał Edward, uśmiechnięty we śnie.

Głowa jego słaniała się w rozrzuconych czarnych włosach, jedna dłoń spoczywała pod jej cieniem, druga była zgiętą w połowie na poduszkach.

. . . .

Na ten widok, choć przygotowana, Mary poczuła w sercu okropny ból.

Potem płomienie wystąpiły na twarz jej bladą, ścięły się usta posiniałe, oczy nabiegły krwią.

— Nikczemnik! — szepnęła z tłumioną goryczą.

Bołowicz był w pół żywy z trwogi.

Ze drzwi bowiem komnaty spostrzegł w prawej ręce dziewczęcia rewolwer . . . i zdawało mu się słyszeć głuchy szelest poruszonego sprężyną cylindra morderczej broni.

Ale ona już spuściła rękę ku ziemi.

— Niech żyje i pamięta że mnie zabił . . . . . i ze mną może . . . —

Tu łzy jej trysnęły z oczu.

Łzy, to opamiętanie. . . .

Czasem przebaczenie nawet.

— Niech żyje i pamięta — powtórzyła raz jeszcze i wychodząc majestatycznie z sypialni, trąciła nogą skulonego w progu Bołowicza.

Była kobietą teraz w całem tego słowa znaczeniu.

Cierpienie bowiem dopiero czyni nas ludźmi.

Na dole, w ogrodzie, zwróciła się do sługusa Jezuitów i rzekła:

— Ile ci się należy? —

A gdy major wypatrzył się na nią zdziwiony, wyciągnęła z kieszeni sztukę złota i rzucając mu ją pod pod nogi:

— Więcej cię nie potrzebuję . . . znam drogę. —

Strwożona sługa czekała na Mary w progu mieszkania.

Dziewczę zbyło ją pierwszą lepszą odpowiedzią; dopiero gdy zamknąwszy drzwi swego pokoiku, znalazła się samą, tłumiona tak długo i z taką energją rozpacz i boleść wybuchły w sposób przerażający.

Gwałtowny atak nerwów, skończył się długim epileptycznym snem.

W zamian zaś za darowanie życia Edwardowi, Bóg czuwał nad mającem przyjść dziecięciem.

Edward wracając rano do domu, zamyślony ukłaniem jakiego zręcznego kłamstwa, które by go w oczach Mary z przepędzenia nocy za domem usprawiedliwiło, został w sieniach już powitany przez doktora, który mu oświadczył, iż jest ojcem zdrowego i pięknego syna.

Zacny Zapalski czuwał nad lekko uśpioną młodą matką.

XII.

Mimo próśb, łez i zaklęć Naniny, mimo jej listów pełnych raz błagania znów groźby, Edward przez ośm dni nie odstępował łoża narzeczonej.

Uprzedził hrabinę pisemnie, że święty obowiązek go zatrzyma czas pewien w domu — księżnej oświadczył zimno i z gniewem prawie, że matka jego dziecięcia, w taki sposób oszukana, ma przynajmniej prawo do względów i do nieopuszczenia jej w chorobie.

Stan dziewczyny był przez dni kilka bardzo niebespieczny i doktór nie robił nadziei, wieczorem bowiem pierwszego dnia po rozwiązaniu, z powrotem przytomności, powróciły i bolesne myśli.

Z niemi gorączka i okropne, powtarzające się godzinami bez przerwy spazmy.

W ogóle chwile macierzyństwa są najdolegliwsze w życiu kobiety.

Można by powiedzieć, że natura, dając im tak mało serca a tak wiele płomienia roskoszy i sobkostwa w uczuciu, chciała tym sposobem zrównoważyć niedokładności swego dzieła.

Biedna jednak Mary, cierpiała za wiele, bo podwójnie.

Raz podług prawa ciała, drugi raz podług miary uczucia.

Tkliwość i pełne czułości spojrzenia Edwarda, noce bezsennie spędzone, każde życzenie kochanki błyskawicą zadowolnione, były dla chorej nie do zniesienia.

Gdy po trzech dniach wróciła jej przytomność, a tylko ciężkie osłabienie pozostało: tego człowieka teraz dopiero poznaję, szeptała ze wstrętem, odwracając od Edwarda głowę.

Gra komedję! . . . i myśli że mnie oszuka!

A jednak nienawidzieć go nie mogę!

Pewnego razu jednak, Edward był już tak bliskim przebaczenia, że chwila tylko, mgnienie ócz, oddzielało go od szczęścia może.

Dziewczę po całodziennej bezsenności, spuściło głowę na poduszki i usnęło.

W kwadrans potem lekkie szeptanie w pokoju zbudziło ją raptownie.

Usłyszawszy jednak wymówione swe imię Mary, nie otworzyła óczy, lecz zdawała się być dalej pogrążoną we śnie.

Była wynędzniałą nad wyraz wszelki: lekko nabrzękłe powieki, szerokie błękitne obwódki pod oczami, usta opieczone gorączką, na zapadłych policzkach nienaturalne rumieńce, ślad jeszcze nie ze wszystkiem ustałej choroby.

Ale przy tem wszystkiem dziwny urok był w całej jej postaci, jakby blask, spływający na nią z wysokiego czoła dziewczęcia.

Obok, na bezgłowiu, drobniuchne ciałko małego aniołka, otoczone kształtnem ramieniem matki. Niemowlę usnęło, przyczepione jak motyl do róży na piersi swej matki.

Prześliczny obraz! . . .

Równo-uprawnienie chce nam go wydrzeć koniecznie.

Nie pozwolimy!

Edward i Zapalski stojąc nad łożem, spoglądali w milczeniu na uśpione w kołysce dziecię i na tulącą go do łona matkę.

— Czemu ją tak zaniedbywałeś Edwardzie? — szepnął ksiądz — ona cię kocha i cierpi — o wierz mi, zbrodnią jest wzbudzać to uczucie, wywoływać je u drugich i potem karać obojętnością ofiary i poświęcenia. Czemu ją zaniedbujesz? —

On patrzał na łoże i nie odpowiadał wcale.

— Myślisz-że mój młody przyjacielu, że nie odgadłem wszystkiego od razu? walki twej z tą nieszczęsną słabością, walki i upadku.

Inni ludzie mylić się mogą w zdrowiu, ja nie! bo sam przeszedłem i cierpiałem wiele. Mamy uczonych i fizjologów z nauki. Ja jestem uczonym i fizjologiem z cierpienia, z niezmiernej goryczy, której kielichy spełniam do dna co chwila.

Gdym cię ujrzał raz pierwszy, powiedziałem sobie: szkoda! Promienna gwiazda talentu świeci mu na czole, lecz obok niej, nieszczęsna namiętność dla kobiet.

Dwie siły prowadzące walkę nieubłaganą.

Masz szerokie myślące czoło, ale na taki bój sił ci nie stanie.

Po której bądź stronie zwycięstwo, tyś zgubiony. A jednakże masz pod ręką tyle szczęścia, ile go dać może ziemia i ci co po niej pełzają w dumie i upojeniu, z życiem bez jutra.

Praca umilana szczebiotem dzieciny, czarującym uśmiechem żony i matki.

Ciche wesele, lecz więcej warte, niż te szalone uniesienia umysłowych obłąkań.

Zaniedbujesz ojczyznę, zaniedbujesz matkę co cię tak kocha . . . na domiar złego . . . łamiesz życie, którego nie dałeś wcale . . . łamiesz nawet dwa! Bo pomnij Edwardzie, że boleść którą zaszczepiasz w łonie Mary, z mlekiem jej łona przejdzie w pierś i w krew dziecięcia.

Będzie smutne.

Smutne dzieci są młodemi marzycielami, w starości tańczą w szpitalu obłąkanych.

A Polsce naszej potrzeba ciał hartowanych jak stal, dusz potężnych genjuszem serca w rycerskich cnót pancerza.

Nie wydzieraj ojczyźnie przyszłego jej obrońcy! Nie zabijaj tego dziecka, co bezwiednio przyciągnięte blaskiem twego czoła, rzuciło ci się w ramiona mówiąc, ufam i wierzę.

Patrz jaka ona prześliczna! Stokroć piękniejsza jak twoja Nanina!

W kreolce pożar i zaślepienie wyrodzone pod palącem niebem Teksasu, doprowadzone do wybuchu zdradnemi słowy wyrodnego kapłana.

Mary, to przyszłość twoja. . . .

Przyszłość pociechy w smutku, podziału boleści w życiu, upojenia wspólnej nagrody.

Potem wspólna śmierć może.

Czytałem twój poemat napisany w objęciach Mary . . . . słuchaj, tu, z ręką na sercu, powiedz, napisałbyś podobny pod rospasanem namiętnością spojrzeniem Naniny. —

Edward słuchał wzruszony i ze łzą w oku.

Pochylił się nad dziecięciem i złożył mu na twarzy pocałunek.

Pochylił się potem nad młodziutką matką i dotknął ustami jęj czoła.

— Ja ich kocham księże — szepnął, ściskając dłoń mówiącego — lecz ta kobieta, zmysłów mnie swą miłością pozbawi.

A walka niepodobna.

Myślisz że nie wiem iż to zbrodnia, myślisz że nie czuję całego poniżenia oczekując dziecka i starca. . . .

Przeklęty Błażyński . . . bez niego byłbym zapomniał, że są żywe wulkany na świecie.

Ach! — zakończył — gdybym się mógł ze złotego wyzwolić jarzma? —

Ksiądz milczał w zamyśleniu; potem rzekł miasto odpowiedzi.

— Jedyne tu lekarstwo w przesycie.

Księżna wyjedzie na wieś za dni kilka, łatwo ci będzie skłonić ją do omylenia męża i udania się na miesiąc do Szwajcarji. Wynajmiesz tam jaką w cieniu skał i drzew ukrytą willę i oddaj się cały roskoszy posiadania. Po miesiącu, przysięgam ci, że będziesz uleczony. —

Edward spojrzał na mówiącego z niedowierzaniem.

— Przyrzecz mi to Edwardzie!! —

Mary nie rozumiała polskiej mowy, inaczej Edward byłby rozgrzeszony.

Dźwięczny głos narzeczonego poruszył ją do głębi, pocałunek na twarzy dziewczęcia rozbroił w połowie . . . lecz usłyszawszy w ustach lubego wyraz Nanina, zagłuszył dobre uczucie.

«Może bym ją zabić powinna! »myślała nieszczęśliwa.« Nie, raczej ustąpię. . . . .

Niech i ona żyje i pamięta!»

Poprzednio raz zauważyła, że Edward wpuszczał parę kropel ciemnego jakiegoś płynu do jej napoju.

— Co to za płyn Edwardzie — zapytała.

— Morphina! na sen, doktor przepisał ci kilka godzin spoczynku.

— Ile kropel mi wlałeś, spytała jeszcze ciekawie.

— Pięć. —

Następnego, po powyższej rozmowie wieczoru, gdy Edward

zabierał się do wypicia przy łożu chorej, swej ulubionej Mokki z kirschem, poprosiła go, by jej przyniósł z sąsiedniego pokoju ulubionego jej tam Byrona.

Po wyjściu narzeczonego, schwyciła flaszeczkę z usypiającą medycyną i wlała mu z niej do filiżanki sporą dozę.

Gdy wrócił z żądaną książką w ręku, uśmiechnęła się słodko do niego, szepcząc pół głosem:

— Pocałuj mnie ukochany. —

I zarzuciła chylącemu nad łożem, swe białe rączki na szyję. . . . .

. . . .

W godzinę potem, Edward spał w fotelu przy bezgłowiu dziewczyny.

Ona wtedy wstała i spróbowała sił na kobiercu sypialni. Prócz lekkiego zdrętwienia w nogach, nic ją nie dolegało.

— I zresztą . . . mam odwagę — szepnęła prostując się nagle.

Otworzyła potem biórko i z jednej szufladki wyjęła w złocie i papierach dwa tysiące trzysta kilkadziesiąt franków, swoją własność, niedawno przesłaną jej z Orleanu.

Resztki znalezione w gruzach na płycie wysadzonej granatem pruskim kasy jej nieboszczyka ojca.

Podzieliła złoto i papiery na dwie równe połowy; jedną zostawiając w szufladce, zawiązała drugą w papier i wsunęła do kieszonki skromnej czarnej sukni w garderobie.

Była to ta sama, w której oddała się Edwardowi . . . jej własność.

Potem wybrała resztę ubioru i odziana już zupełnie, przepowiła dziecię.

W kapeluszu na głowie, z twarzą zasłoniętą gęstym woalem, z czarnym szalem na ramionach, przystąpiła znów do kołyski i otulając w jego zgięcia niemowlę, spojrzała na uśpionego kochanka.

Co powie, jak się obudzi? . . . pomyślała, patrząc na nieład w komnacie.

I już . . . już brakowało jej odwagi. . . .

Chwila . . . a składała dziecię w pościeli . . . budziła młodego człowieka z miłością w łzawem oku, pocałunkiem i modłą przebudzenia na drżących ustach.

Ona, Mary, zdradzona i sponiewierana w tem, co ko-

bieta i matka ma najświętszego, ona, dziecko o starganem życiu, sierota ufająca honorowi człowieka, który jej winien był życie, a odpłacił je hańbą i boleścią . . . ona chciała prosić przebaczenia.

Za co? . . .

Za to, że kochała szalenie, więcej jak niegdyś . . . jak wtedy nawet może, gdy w Orleanie drżąca i zapłoniona z krzykiem spłoszonej ptaszyny na ustach, zasłaniając rączkami nieład ubioru, broniąc się, w walce, a z bezgraniczną chęcią pokoju, pochylała się w ramiona Edwarda żebrząc łaski purpurowemi usty, a wilgotnym wzrokiem nieznanej jego pieszczoty. . .

Biedna dziewczyna.

«Ach nie, ja mu przebaczę . . . niech tylko tę księżnę porzuci. . .»

Edward, jakby w odpowiedzi na wyrazy narzeczonej, poruszył się niespokojnie w fotelu i w pół otwarte usta szepnęły z wolna:

Nanine! madame Nanine! . . .

. . . .

. . . .

. . . .

. . . .

Gdy się obudził, ni matki, ni dziecięcia nie było już w pokoju.

Na kolanach znalazł list, ćwiartkę papieru zapisaną ręką Mary.

«Edwardzie!

Wiem wszystko . . . byłam nawet raz w hotelu de Narandole i widziałam cię uśpionego . . .

Na sofie wiśniowej, pokrytej aksamitem, na lewo przy ścianie, śród w nieładzie rozrzuconych ubrań, twój kapelusz i indyjska laska z herbem. Nanina ma poniżej lewej piersi czarne znamię w kształcie listka granatu . . .

Budząc się tego rana, musiałeś zauważyć, że kryształowy budzik, na stoliczku obok, był kwandrans na trzecią z rana zatrzymany.

To ja zastawiłam ruch wachadła, aby ci później, teraz, dać dowód, że tam byłam rzeczywiście.

Zapytasz może skąd ta śmiałość i ta odwaga? Bo cię

kocham, bo czułam wtedy prawo do ciebie, jako do przyszłego męża i do ojca mego dziecięcia.

Bo cię kocham? tak, na cóż używać obłudy. Dziś więcej jeszcze jak wczora, jak kiedykolwiek, kocham i cierpię, mimo twej zdrady i mimo mego opuszczenia.

Nie czynię ci wcale wyrzutów, ale widząc, że zawadzam twemu szczęściu, usuwam się dobrowolnie.

Daremne by więc były wszelkie poszukiwania z twej strony, daremne prośby i zaklęcia.

Więcej się nie zobaczymy.

Zabieram moje dziecię. Imię mu będzie Edward, jak tobie . . . i co dzień pomodlę Bogu, aby, gdy dorośnie, żadnej kobiecie nie struł w ten sposób życia. Kochać cię będę zawsze, bo zapomnieć to nad siły moje . . . ciebie równie jak i boleść moją. Nauczę się twej ojczystej mowy, abym mogła wpajać miłość do tej ziemi, której synem jest jego ojciec. Jeżeli umrę, nim Edward dojdzie do lat . . . odbierzesz go, lecz zaklinam, nie opuść jak matkę . . . to twoje dziecię mój drogi.

Nie zobaczymy się nigdy.

A wierzaj mi . . . przekładam życie łez i cichego smutku nad podział twego serca, wstyd i rozpacz, bo wiedząc o twem postępowaniu, musiała bym się rumienić za ciebie.

Tego nie chcę! więc . . . bądź zdrów.

Mary.»

Są boleści w życiu człowieka, których ni słowem, ni piórem poruszać się nie godzi.

Edward przewinił, ale . . . lekkomyślnością tylko, mniej nawet, brakiem odwagi pogodzenia z kochającą go kobietą.

Zasługa prawie ... w żadnym razie zbrodnia.

Cierpiał zaś okropnie.

Jak ów przestępca, który dopiero po spełnionym czynie spostrzega całą szkaradę swego występku, przeczuwa karę, on wspomniał sobie co przeszła uczuciem przez te kilka dni Mary, jaką mękę musiała ukrywać w piersi, okazując mu wesołe i uśmiechnięte lice.

Utracił jednocześnie cały urok życia.

Gdyż mimo zaniedbania narzeczonej, przyzwyczaił się wi-

dzieć ją w tym pokoiku, i całunek powitania i miękką dłoń i gorące słowo.

Przyzwyczaił się nie być sam i szeptać czasami to urocze słowo: wrócę do domu.

A mieć dom, to mieć rodzinę.

Mary była mu rodziną.

Roskosz, której tułaczom rzadko kosztować dozwolono.

Zresztą czyż umyślnie rozdarł serce narzeczonej?

Nie.

A ona go opuściła, zostawiając list, w którego każdym słowie znać było żal i gorzki wyrzut A słowa nie wynajdywane ... czuć było, że je rzuciła na papier bez namysłu, prosto z serca.

Nazajutrz, gdy przyszedł o zwykłej godzinie do pałacu de Marevelles, hrabina krzyknęła z trwogi, widząc jego blade oblicze i zapadłe oczy.

Z czułością siostry schwyciła go za obie dłonie, pociągnęła ku sofie i sadzając gwałtem prawie, jak się z upartem dzieckiem robi — co tobie? panie Edwardzie! — zawołała, obrzucając go tkliwem spojrzeniem.

Przed Zapalskim, równie jak i przed panią de Marevelles, nie miał żadnej tajemnicy, powiedział więc, schylając smutnie głowę:

— Mary mnie porzuciła na zawsze. —

Po twarzy hrabiny przebiegł niewidzialny prawie uśmiech ... jaśniejszy cień w kole cieni ... można by go przełożyć słowami:

Przecie! albo: to było do przewidzenia!

Edward zadumany nad losem błąkającej się sieroty, nie dostrzegł tego.

— Ależ z jakiego powodu? — pytała hrabina.

Nie wiedziała bowiem nic o stosunku z Nariną.

— Skutkiem bagateli, dziecinnej sprzeczki. . . . udała się do swej rodziny.

— Jednak powróci? — badała dalej pani de Marevelles.

— Nigdy! już wszystko między nami skończone. —

I widząc wzrok hrabinej i usta, jakby gotowe do nowego zapytania:

— O nie badaj mnie pani! przez litość! wszak widzisz że i tak cierpię okropnie. . . .

— Nie bądź dzieckiem panie Edwardzie! pojmuję, że cierpisz, że czujesz jej stratę . . . jeżeli jednak niegodną jest. . . .

— Pani! Klemencjo! — szepnął młody człowiek, chwytając ją za rękę. . . .

— Dobrze, nie mówmy o niej, lecz za to będziem mówić wiele o tobie. —

Parski uśmiechnął się smutno.

— Moja przyszłość już rostrzygnięta! rzekł stanowczo.

— Jakto?

— Wracam w tych dniach do kraju! —

Hrabina powstała z sofy blada i wzruszona.

— Żartujesz p. Edwardzie — szepnęła. . . .

— Cóż tutaj pocznę teraz, sam? Bo ja się lękam samotności. Samotność mnie zabija. —

Ona znów przystąpiła bliżej i siadając koło niego, rzekła z czarującym uśmiechem:

— Rozmawiamy jak dzieci; walczymy słowami, a to zdwaja smutek niepotrzebnie.

Posłuchaj!

Ja mam lekarstwo na twoje cierpienie, panie Edwardzie, ale przyrzecz mi, że usłuchasz mojej rady i przyjmiesz ofiarę.

Nie! — poprawiła się w mowie. — Przyrzecz tylko, że się namyślisz i podług sumienia mi odpowiesz potem.

Nie powtarzam, com już poprzednio mówiła o twym obowiązku zachowania się i pracowania dla pożytku Polski. Odrzuciłeś podaną ci dłoń siostry . . . bom ja siostrą twą prawie, więcej . . . starszą jestem od ciebie . . . teraz ci ją jeszcze podaję, lecz w sposób taki, że odmówić nie będzie podobna.

Mary moja cię kocha Edwardzie!

O ile znam córkę, nie sądzę, by ta miłość zbyt głęboką była, ciche jednak przywiązanie wystarczy. Pomów z nią dziś, jutro, kiedy zechcesz. Gdy powie: tak, za dwa tygodnie zostanie twoją żoną.

Wolny od kłopotów i trosk materjalnych, będziesz

mógł pracować spokojnie, a ja ci braki wykształcenia Marji zastąpię.

Będziemy razem, zawsze razem! chcesz Edwardzie, prawda? —

Parski, odurzony tą ofiarą, przedłożoną nagle i forsem, — w którym zdawało mu się dawniej już denuncjowane odkrywać w hrabinie uczucie, milczał, unikając palącego spojrzenia mówiącej.

A ona ciągnęła dalej:

— Ty jej nie kochasz i kochać nie będziesz w stanie! Najwyżej jak Mary . . . lecz tobie nie takiej kobiety na żonę potrzeba, jej jednak wystarczy pozór uczucia.

Mniemam, że mówiłeś prawdę, oświadczając mi tyle razy, iż najpiękniejsze godziny twego życia, są te, które w moim salonie i tu ze mną przepędzasz w budoarze. To może trwać jeszcze długo, wiecznie, gdy zechcesz Edwardzie. W sposób jednak jak teraz, trwać dłużej nie może. A rozdzielić się z tobą, mnie by zabrakło odwagi.

Opinja ludzi nic mnie nie obchodzi, tem więcej że czuję, iż kłamstwem i oszczerstwem tylko nas obrzucą . . . ale Marja? . . .

Za kilka miesięcy syn mój przybędzie, dziecko prawie, w jej wieku, lecz opisywałam ci gwałtowny, nieposkromiony niczem charakter Hektora.

Jedno słowo obelgi na siostrę, doszłe do uszu zapaleńca, zabije cię, lub ty go zabijesz Edwardzie.

A ja nie chcę utracić ni syna, ni przyjaciela. Sam dobrze pojmujesz, iż za daleko zaszła zażyłość twoja z nami, aby zerwanie nie naraziło jednej strony . . .

Edwardzie, zastanów się nad tem co mówię i pomów z Marją dziś jeszcze. —

On był przekonany w połowie.

— A jeżeli odrzuci mnie? — rzekł hrabinie.

— Kocha cię! . . . wiem o tem dobrze; gdyby zaś dziwna myśl jaka przeszła jej przez głowę . . . jestem matką i mam za sobą powagę. . . . .

— Ach! — zawołał Edward, nigdy z musu bym nie chciał mieć żony.

— Zresztą ja z nią sama pomówię . . . wybadam . . . i powiem ci jutro, czego się spodziewać należy. . .

A teraz jeszcze jedno słowo:

Wszak masz dla mnie trochę życzliwości Edwardzie? —

Młody człowiek ujął rękę hrabinej i spojrzał jej w oczy z rodzajem wyrzutu.

Jej twarz ubrała się w żywy kolor szkarłatu.

— O! nie patrz tak na mnie! — szepnęła, odwracając swą piękną główkę. — Trochę przyjaźni, wiele przyzwyczajenia . . . to moje marzenie . . . na dzisiaj — dodała, zaledwo dosłyszanie.

Otóż, mój przyjacielu, ja nie chcę, by świat, w którym żyjemy, zarzucił ci, że poślubiasz nie córkę moją, lecz miljony. —

I z pełnym uroku uśmiechem:

— Dawno już myślałam o tem i . . . o tobie. —

Poszła do biórka i wyjęła z niego zwój papierów, w pięknej safjanowej tece ułożonych.

— Nie przyjmiesz podarunku, o tem nie wątpię . . . ale nie odmówisz mi ocalenia pozorów. Oto dwadzieścia pięć tysięcy franków renty na okaziciela; przedstawiają kapitał półmiljonowy . . . Edwardzie mój, wręczysz to notarjuszowi, dla spisania kontraktu ślubnego z Marją . . . a ja dziś jeszcze puszczę pogłoskę, że jeden z twych wujów w Królestwie Polskiem zmarł nagle, legując ci swój majątek.

Tym sposobem, złych i zazdrosnych sprowadzimy do milczenia.

Po ślubie zwrócisz mi, gdy zechcesz, tę sumę. —

. . . .

. . . .

XII.

Dnia 17 Września 1871.

Edward Parski do Stanisława Malickiego.

Nie dziw się kochany Stasiu, że tak dawno, piętnaście dni prawie, nie otrzymałeś odemnie żadnej wiadomości. Co przeżyłem w tym czasie, trudno i wypowiedzieć nawet. Wielu

obcych, czytając listy moje do ciebie, listy, w których prosto i otwarcie wyjawiałem myśli i uczucia, zawołało by: to przesada, niepodobieństwo! Ty, znając mnie dobrze, co więcej, wiedząc w jak opacznem położeniu los postawił mnie w tem mieście, pojmiesz lepiej niż kto bądź inny, jakie koleje przejść można między czterema kobietami, z których się każdej zdaje, że kocha i że ma prawo zagarnąć dla siebie, wyłącznie dla ciebie tylko moje życie.

Przejrzyj poprzednie listy, aż do ostatniego, w którym ci doniosłem o żądaniu hrabiny, abym się oświadczył Marji, i powiedz otwarcie, czy można się znaleźć w przykrzejszem, czasami nawet (śmieszne to wyznać), w fałszywszem i głupszem położeniu?

Po burzach i niedoli z lat 1863, 4 i 5 zbrojna pielgrzymka w dalekich stepach Afryki, pod błękitno rozpalonem niebem południowej Algierji; potem straszliwy dramat 1870 r. . . . zadymione prochem i naftą, cuchnące krwią widma komuny paryskiej, a w nagrodę, za poświęcenie może, odpoczynek na łonie kobiet, z których jedna bez zasad, druga bez serca, a dwie inne . . . anioły uczucia i ofiary (o ile naturalnie kobieta nim być może).

Wszystkie jednak walczące o pierwszeństwo w wyrachowaniu i sobkostwie.

Wszak to uczucie w kobietach przeważa.

Ale trzeba je brać jakie są . . . po co marzyć niepodobne ideały, szukać pereł czystej wody, brylantów bez skazy.

Piękne to twory przyrody na świecie, nie przeczę, ale dla gołego oka wielbiciela.

Pismo twierdzi: szukajcie a znajdziecie . . . jabym powiedział: szukajcie a zdawać wam się będzie, żeście znaleźli.

Wierzyć, to znaczy: nie używać mikroskopu badacza.

Ja, na nieszczęście może, zawsze uzbrajam się w to zionące śmiercią narzędzie.

Jak sztylet, lub palna broń, zręcznie kierowane, zabija od razu.

Tamte ludzi, owo uczucie i wiarę.

Bez uczucia i bez wiary smutne życie, wieczna mgła! Błędne drogi; rodzaj labiryntu egipskiego. Różnica tylko

w tem, że w życiu błąkamy się śród nocy, lecz otoczeni światłem do koła. Tem większa męczarnia.

Wielu pół-mędrków, niedowarzonych filozofów nowego stulecia, psychologów stworzenia, jak się sami ochotnie nazywają, piszą i krzyczą na cztery strony świata: przy sile ducha wytrwanie! Czemuż nie odwrotnie?

Inni, ekonomowie społeczni, pasożyty wyzyskujący w ludziach miłość teorji, która wiecznie piękną, lecz martwą literą pozostanie, odpowiadają im: to fałsz, wszystkim praca! za nią spokój, za spokojem szczęście.

To mi przypomina owych nędzarzy umierających z głodu, którym ludzkość, w szlachetnym porywie ofiaruje zatrudnienie. Leczy ciało, mówiąc spokojnie: duch się sam uleczy.

Ale czy pewno? . . .

Nie przeczę, że walczyć trzeba . . . lecz gdy brak areny boju?

Jeżeli gladjatorowie Romy szli ochotnie w zapasy z dzikiemi zwierzętami, bez nadziei nawet ocalenia życia, mając smutną perspektywę przedłużyć je tylko na czas pewien t. j. zostać rozszarpanym po kilka krotnie wznawianej utarczce, to bodźcem im był cyrk obszerny i pięćdziesiąt tysięcy widzów.

Rodzaj marzenia o nieśmiertelności do jutra.

Pożytkiem była pociecha głupiego tłumu. Oni o tem wiedzieli i przypuściwszy nawet, że zgięci pod pękami liktorów, ofiarowali się na ołtarz próżniactwa i dzikiej rospusty, w ścisłem słowa znaczeniu, pracowali dla drugich.

Bezwiednie, ale pracowali zawsze.

Był więc cel i gorzkie uśmiechało się życie. Lecz gdy go nie ma . . . albo gdy tak nędzny, że nie zasługuje na to miano?

Gdybyśmy mogli zadowolnić się pierwotnem, o kilku zaledwo potrzebach życiem, z wieków okrytych mrokiem zapomnienia, gdyby człowiek mógł dziś mówiąc: «tu mi nie dobrze, pójdę gdzie indziej» ... wziąść kij pielgrzymi w dłonie i zmienić siedzibę, jak się zmienia cacko lub obówie ... ach! żelazne charaktery błysły by miljonami świateł w ludzkości. Nieszczęściem, choć wolni na pozór, jesteśmy przykuci. Częścią do jarzma namiętności, których nie znano dawniej,

a do których my pociąg już z mlekiem matek ssiemy, częścią do pobocznych towarzyskich względów, a tych łamać się nie godzi. Łamiący je wypadkiem, muszą druzgotać wszystko dalej i zwyciężyć .... inaczej pojedyńcze uszkodzenie przyjętych warunków bytu, nazywa się zbrodnią!

Mogłem był wyjechać do Genewy z Mary . . . w przybliżeniu: szczęście cichej pracy.

Szatan mi rzucił Błażyńskiego w drogę życia, potem obie de Marevelles i Naninę.

Sprzedasz się nam, zawołali Jezuici, lub przestaniesz być szkodliwy naszym celom. Poskromiemy cię za pomocą złota; a mamy go wiele . . . więcej niż ty odwagi.

Nie sprzedałem się, i . . . czekam walki.

Z drugiej strony roskoszne ponęty szatana o złoto-ciemnej cerze i stracona na zawsze Mary. . . .

Nad tem wszystkiem, punkt wyjścia, jak w Bałuckiego komedji:

Dużo hałasu, krzyku, spazmów, łez i . . . koniec końcem ... Numa poszła za Pompiljusza!

Przyszłość życia:

Sto tysięcy franków renty, i wszystko, co za tę sumę nabyć można . . . w dodatku piękna dziewczyna za żonę . . . pięćdziesiąt lat pożycia . . . złote wesele w gronie wąsatych wnuków, śmierć i pogrzeb może z sutą mową, opłaconą suto nie swojem złotem. Ojczyzna by mi nawet może i pomnika nie poskąpiła!

Komuż go dziś nie stawiają? . . .

Urocze życie!

Ja marzyłem inne, przyjacielu!

Poświęceń i pracy.

Wzgardzono pierwszemi, zakazano drugiej.

Wypiera się naszego Boga . . . wrzasnął tłum zakrztuszony dymem czczych kadzideł, ochrzypły bezowocną pieśnią. Próżno wołałem: to kłam! wypieram się nędzników. Odpowiedziano mi, że w zakonie pana napisanem tylko jest: nie patrz co czynią, ale słuchaj co mówią!

Podług tej świetnej zasady można by posłać młódź naszą do kryminału, bo i tam wielu jest ludzi, którzy pięknie mówią o cnocie, nawet o prawie własności wyrażają się dość przychylnie.

Nie jestem lepszym od drugich, z tem wszystkiem jednak nie moja wina, że mi właśnie lepszym być nie pozwolono.

Zawikłany dzisiaj w tę złotą sieć uczucia, radbym otrząsnąć się z krępujących mnie oczek i zerwać po części miłe, lecz za nadto cisnące więzy . . . nie widzę jednak wyjścia żadną miarą. Choćby walczyć i, jak mówiłem wyżej, łamać wszystko przed sobą to i tak . . . po co i dla kogo? Ojczysta ziemia?

Gdyby dać rzucić i obdarzyć władzą dzielenia tę martwą bryłę, po której pełzaliśmy za młodu, wyrzuciła by tych, co przed wiekami posnęli, by ciężarem żelaznych zbroi, co żelazne nakrywały serca, przygnietli swe prawnuki, płazy o rybiej krwi i miękkiem jak gąbka sumieniu.

Obcy jestem ojczystej ziemi, bo nie czczę jej cielców i nie hołduję ich genjuszom zrodzonym w brzęczącej złotem niewoli.

Obcy jestem ojczystej ziemi, bo nie ciążę ku środkowi, lecz ku krańcom: surowej cnoty lub zbrodni . . . wszystko jedno! byle nie pół-poczciwość i kulejąca szkarada!

Obcy jej jestem, ale . . . ona we mnie obojętności nie wzbudzi. Gdybym miał odwagę walki dalej i siłę może przyszłego zwycięstwa, stawiłbym czoło przesądom zagwożdżonym tam do koła, lecz po co te trudy i starania? Daremne zabiegi ... siejba na suchej, nieurodzajnej niwie. Drugie lat sto upłynie i nic się nie zmieni: kształt tylko może jarzma i grubość cisnącego łańcucha.

Były dni, prawda, w których czułem w sobie ogromny zasób woli do złamania trudności ... miłości dla nich i wiary w zbawienie.

Nie mówię o niebieskiem. Najpierw tutaj się urządzimy. To ważniejsze.

Były dnie takie.

Chcę mówić o miesiącach przepędzonych razem z moją Mary.

Po pierwszej chwili wyrzutu i żalu, zacząłem się zastanawiać.

Zawiniłem dając jej chwilową rywalkę, prawda! lecz czyż godziło się dla kilku pocałunków i kilka chwil roskoszy porzucać mnie na zawsze?

Nie Stanisławie, Mary nie była taką, jaką ja marzę kobietą.

Miłość jej miała wdzięk, nie przeczę, lecz nie było w niej siły. Miasto bowiem wstrzymać nad przepaścią, Mary pchnęła mnie w nią niepowrotnie prawie.

Przesłałem ci treść jej listu; gorzki i słuszny, lecz zaczyna się wybuchem obrażonego uczucia kobiety, a kończy egoizmem.

«Gdybyś chciał dalej podobnie postępować, musiałabym się rumienić za ciebie, więc bądź zdrów.»

Skądże prawo wyznaczania mi kierunku i drogi w życiu?

Przebudzony raz w Orleanie, znalazłem ją u nóg moich szepczącą: kocham i oddaję się.

Czyż miłość i oddanie się marzone może, lecz nie żądane wcale, może podobne sprowadzić następstwa?

Więc za obrazę kobiecego uczucia, wydarto mi własne moje dziecię? . . .

Za drogo opłaciłem chwile szczęścia w jej objęciu. A jednak ... nigdy tak nie pracowałem ochotnie, jak kiedy przy mnie siedziała, nigdy nie miałem jaśniejszych myśli, żywszych uczuć, gorętszych pomysłów, jak po jej czarownym uśmiechu, mój Stanisławie.

Dziś nowe życie samotności przedemną.

Nie kochałem nigdy Naniny . . . a od chwili, gdy ośmieliła się zakląć mnie, bym przez wzgląd na zbawienie mej duszy służył ojcu Józefowi i podwładnemu jego woli zastępowi czarnych, pożegnałem ją na zawsze,

Ha, ha, ha! dla zbawienia mej duszy? . . . więc i ona dla tego mi się oddała? . . . to teraz cały manewr Błażyńskiego pojmuję.

«Edwardzie! ty mnie porzucić nie możesz . . . ja nie chcę, ja na rozdział nie przystanę!»

Milczałem.

«Porzucę męża i za tobą wszędzie pójdę!»

Milczałem.

A świat uczuciowy, religijny od głowy do stóp i w moralność, jak arlekin w błyszczące suknie odziany, gdy wypadkiem księżna uskuteczni swe groźby, zawoła w świętobliwem oburzeniu:

«Ona mu wszystko poświęciła!»

«Przeniosła nad męża!»

Bah! kobiety zawsze kochanków nad mężów przenoszą, stara historja, od Ewy jeszcze oklepana gładko o zakazanym owocu.

«Co więcej! . . . poświęciła się dla miłości Boga, dla nawrócenia zbłąkanej duszy ku jego chwale.

Zaiste, trudne i szczególniej nieprzyjemne poświęcenie.

Gdyby jej powiedziano, oszpeć twe piękne lice, skrzyw, w myśl mistrzów sztuki, wyciosane ciało . . . wtedy chciałbym widzieć poświęcenie.

Sądzę, że poślubiając zgrzybiałego męża, potrzebowała tylko nie rozdzielać się od niego, aby mieć zasługę na cierpienia.

Pani de Marevelles, dobra i poczciwa ale . . . bez żadnych zasad.

«Widzę jej zabiegi i przeniknąłem zamiary.

Dadzą się zebrać w kilku zdaniach:

Weź córkę i zatruj jej życie, będziesz bliżej matki . . . bo ja wierzę, iż jeśli nie kochasz mnie jeszcze, to raz małżonkiem mojej Marji . . . przywiodę cię do stóp moich przez porównanie. Po przesycie wdziękami młodej żony, zapragniesz uroków duszy t. j. prawdziwego wykształcenia i w ślad za nim bieżącej komedji nazwanej delikatnością uczucia.

Marja moja jej nie posiada . . . ale ja . . .!»

Że dziewczę mnie kocha, wiem to doskonale; wypadkowym bowiem sposobem wpadł mi w ręce bruljon jej listu do przyjaciołki ... ja jednak nie mógłbym dziś jej odpłacić wzajemnością. Śliczną jest, to prawda, ale ma w charakterze coś matki i Naniny . . . nic a nic Mary.

Przerywam . . . gdyż właśnie hrabina wzywa mnie do siebie. . . .»

Po napisaniu listu, Parski udał się do pałacu de Marevelles.

Piękna Klemencja przyjęła go jak zwykle w budoarze, lecz pierwszem jej słowem było:

— Ach, voyons! powiedz że mi Edwardzie co zaszło między wami? . . . Marja płacze i powiada, że cię widzieć nie chce wcale. Musiałeś jej znów à propos jakiego dzieciństwa, po-

wiedzieć to, co nazywają słowem prawdy i na dobre zraziłeś dziewczynę.

— Nie, pani! od pięciu czy sześciu dni nie widziałem się z nią nawet.

— To dziwna! gdy jej wspomniałam, że prawdopodobnie w tych dniach oświadczysz się o nią, wybuchła głośnym płaczem i prócz słów «nie chcę go widzieć wcale . . . nie dręcz mnie mamo» nic z niej wydobyć nie można było.

— Sam z nią pomówię — rzekł Edward spokojnie, i nacisnął sprężynę stołowego dzwonka.

— Poproś tu Lucji — zawołał do wchodzącego lokaja.

W kilka chwil potem, ulubiona garderobiana hrabianki, stanęła w rozsuniętych zasłonach podwoi.

— Czy mogę się widzieć z twoją panią, Lucjo — zapytał Edward.

— Panna Marja jest w swoim pokoju . . . pisze. . .

— Zaprowadź mnie do niej. —

I całując rękę pani de Marevelles, wyszedł za pokojówką dziewczęcia.

Marja pisała list do Blanki, wpół rzucona na ottomanie.

W fjoletowej rospuszczanej sukni w kształcie bluzy, z włosami zaplecionemi w dwa jasne warkocze, z jedną rączką podpierającą zamyśloną główkę, drugą opartą wraz z piórem na niskim stoliku z chińskiej laki, kreśliła hyżo po papierze i tak była zajętą listem, iż nie słyszała kroków Edwarda.

Dopiero gdy młody człowiek dotknął lekko ręką białego ramienia dziewicy, pozdrawiając ją z uśmiechem, krzyknęła . . . potem zsuwając nóżki z ottomany:

— Pan tutaj — rzekła chłodnym tonem, który jednak w dziwnej zostawał sprzeczności z rumieńcem przesuwającym po jej twarzy.

— Nie widząc pani od tak dawna ni u mamy, ni w salonie, ośmieliłem się przyjść z zapytaniem o zdrowie. —

Wskazała mu obok stojący fotel.

— Pan wiesz, że u mamy — wyraz ten powiedziała z mocnym naciskiem — nie bywam nigdy w godzinach, w których pana tam zastać można.

Lękam się zostać posądzoną o natręctwo. . . .

— Nieraz mi to pani już mówiła — odparł Edward siada-

jąc, lecz prawdziwie nie pojmuję ani niechęci, którą mi okazujesz, ani niestosownych trochę aluzji czynionych z przyczyny okazywanej mi w domu życzliwości. —

Dziewczę poruszyło się niecierpliwie.

— Niestosownych? . . . więc chcesz pan bym otwartą była. . .

— Nic więcej od pani nie wymagam.

— Pan nazywasz niestosownemi uczynione ci czasem uwagi . . . a powiedz . . . czy godzi się narażać dom nasz. Bo ja nie jestem dzieckiem i dobrze wszystko pojmuję. Sądzisz pan, iż złośliwi dziwnych nie rozpowiadają rzeczy, skutkiem jego codziennych, dwa razy nawet na dzień wizyt u mamy? . .

Cała moja wina, żem sądziła, iż przed miesiącem jeszcze pojmiesz pan nasze położenie i jako człowiek honoru, wytkniesz sobie inną drogę postępowania.

— Panno Marjo!

— O, nie obrażaj się pan za ten wyraz! Tak ... powtarzam to: jako człowiek honoru. Bo my same, brat mój daleko i dziecko prawie, a do koła nieprzyjazne twarze badające kroki nasze — najdrobniejsze ruchy i słowa, by mścić się na nasz majątek i nasze urodzenie. Służba nazywa pana wprost Monsieur! Mama w obec gości w salonie nazwała cię onegdaj krótko Edwardzie! wiem o tem, i aby złagodzić zdumienie gości, rzekła do księżnej Naniny: po imieniu mówię p. Parskiemu, gdyż wkrótce będzie mym zięciem ... mężem Marji. Otóż, ja panu wręcz i otwarcie mówię, że nigdy, nigdy żoną twoją nie zostanę! —

Edward tym czasem, z przedziwną zimną krwią patrzył w lice młodej dziewczyny.

Z zaiskrzonem okiem, drżąca cała, wypowiadając z nieopisanem uniesieniem te słowa, piękną była do zachwycenia.

— Tak! — powtórzyła, odwracając jednak głowę z pod ócz młodego człowieka — żoną twoją p. Edwardzie, nigdy nie zostanę.

— A gdybym właśnie — odpowiedział młody człowiek usiłując ją wziąść za rękę — wyznał pani, że mama upoważniła mnie już od kilku dni do poproszenia o twoje zezwolenie? —

Marja zwróciła się ku niemu raptownie i już nie unikając palącego spojrzenia Edwarda, rzekła półgłosem:

— Zapytała bym pana najpierw, co masz w piersiach na miejscu serca.

— Wiele przyjaźni i życzliwości dla pani, potem może przy dobrej woli z jej strony . . . miłość bez granic. . .

— Dla mamy? — odparła z piorunującym szyderstwem dziewica.

— O nie myśl pan — zakończyła wyrywając dłoń z ręki Parskiego — że zazdrość przezemnie mówi! nie, tylko żal, żem się zawiodła na twoim charakterze.

Skłamała bym mówiąc, że nie wzbudziłeś we mnie sympatji! Uczucie to wyrodzić się mogło w głębsze i silniejsze z czasem; od chwili jednak, gdym cię dobrze poznała — —

Edward wstał i mimo woli wzrok jego spoczął na krawędzi ottomany w głębi.

Przy miejscu, gdzie podczas wejścia młodego człowieka do pokoju, spoczywała bląd-włosa główka Marji, dostrzegł portret . . . była to fotografja, zapomniana niegdyś przez Błażyńskiego w salonie hrabiny.

Lica panny de Marevelles okryły się ciemną purpurą, rączką z chustką przykryła kawałek kartonu, lecz Edward już wiedział wszystkie myśli dziewczyny.

— Marjo! czy to twoje ostatnie słowo? — rzekł, zbliżając się do dziewicy.

— O zaklinam! nie dręcz mnie pan daremnie — odparła, wybuchając głośnym płaczem.

— Nigdy! nigdy! i jeszcze raz nigdy! powtarzam.

— Marjo! —

W gwałtownych naturach gra uczuć podobną jest do błyskawic w chmurnem niebie.

U kobiet śmiech i płacz ustępują miejsca jedno drugiemu prędzej jeszcze.

Z wilgotną lecz pałającą twarzą, na której oburzenie z miłością walczyć się zdawały, powstała dziewica i wciskając Edwardowi w ręce list jakiś, wybiegła z pokoju mówiąc w uniesieniu:

— Oto moja odpowiedź! —

Parski, sam w pokoju, rozwinął złożony we czworo papier i pobiegł wzrokiem na podpis.

— To od Naniny! — szepnął półgłosem.

List był krótki, gwałtowny i charakteryzujący lepiej kreolkę, niż wszelkie opisy.

«Droga Marjo!

Dowiaduję się dziś dopiero że wieści, od dawna obiegające miasto nasze, nie są czczym wymysłem i że masz rzeczywiście zamiar oddać twą rękę p. Parskiemu. To niepodobna. Jest moim kochankiem i nie ustąpię ci go za żadną cenę.

Pokaż mu ten list i zapytaj, czy będzie miał odwagę porzucić cię potem dla innej, tak samo jak porzucił Mary dla mnie, a mnie dla ciebie dzisiaj.

Twoja Nanina.»

Po przeczytaniu tego grubijańskiego listu, Edward schował go do pularesu, potem przystąpił do ottomany, wziął w ręce swój portret i na drugiej stronie kartonu napisał piórem:

«Kocham cię Marjo, lecz i ty także, choć tak gorzkie czyniłaś mi wyrzuty, nie masz serca wcale. To szkoda. E. P.»

— Ach księżno? — mruknął przez zęby — chcesz walki koniecznie. —

W domu oczekiwał nań Zapalski.

— Mam w ręku ślad Mary! . . . rzekł, ściskając rękę towarzyszowi tułactwa.

— Doprawdy? — odparł żywo Edward.

— Mówisz to takim głosem, jakby ci los biednej dziewczyny obojętnym był zupełnie.

— Przyzwyczajam się do samotności i godzę z myślą, że tak się skończyć musiało.

— A dziecię?

— O nie mi tylko chodzi . . . radbym odebrać . . . do mnie należy. Czy wiesz miejsce pobytu tej dziewczyny?

— Edwardzie! — szepnął ksiądz z wyrzutem.

— Cóż chcesz, płakać nie mogę przecię. Dość cierpiałem i cierpię jeszcze. . . Fatalizm . . . może . . . ale ona ze mną tak surowo postąpić była nie powinna. —

Mówił to tonem bez wzruszenia, chłodnym, jakby chcąc odpędzić niemiłe myśli, przerwać natrętną rozmowę.

— Cóż wierz o niej.

— Mało, lecz do dalszych poszukiwań wystarczy. Wzięła bilet do Nancy z korespondencją do Avricourt, udała się więc do Strasburga najpewniej, tem bardziej, że o ile wiesz, była tam z ojcem kilka miesięcy. Zna język niemiecki i łatwo się tam urządzi.

— Skąd wiesz o bilecie do Nancy i Avricourt?

— Mówił mi kasjer kolejowy, poznał ją, bo widział często i z tobą. —

Na tem przerwano rozmowę o Mary.

Następnie Parski opowiedział przyjacielowi rozmowę z hrabiną i Marją, pokazał list księżnej Naniny.

— Marja będzie moją żoną! wcześniej czy później, to jedyny sposób wyjścia, prawda?

— Zgadzam się, odparł ksiądz bez namysłu, ale . . . czy zgodzi się na oddanie ci ręki?

— Kocha!

— Ale i cierpi . . . Zresztą, o ile sądzę, Błażyński odstąpił od zamiaru połączenia cię z domem de Marevelles. Jezuici doszli do przekonania, że nie jesteś z ludzi, którzy ulegają w uścisku kobiety, choćby ta kobieta była księżną de Narandole. Spodziewaj się więc oporu i przeszkód z tej strony.

— Będę walczył. . .

— A gdy ulegniesz? —

Młody człowiek podniósł i rzekł z jakąś dziką namiętnością w głosie:

— Pogrzebię ich ze sobą razem. —

Ksiądz wziął go za rękę.

— Edwardzie, posłuchaj! Dotąd walczono śmieszną trochę bronią oszczerstwa i objęć z fanatyzmu dozwalającej się zgubić kobiety, wierzono bowiem, że cię doprowadzą temi środkami do uchylenia czoła przed ich wolą.

Dziś może już rozpoczęto inny rodzaj prześladowania. Mam złe przeczucie.

— Ja w złe przeczucia, równie jak w dobre nie wierzę.

— Nie bluźnij! przeczucia zsyła Bóg! — rzekł kapłan z przekonaniem w głosie.

— Może! . . ja jednak nie ustąpię. Gdy się zastanawiam nad moim losem, wszystko przekonywa mnie, że tylko Mary lub Marja de Marevelles uszczęśliwić by mnie mogły.

Angielka stracona na zawsze ... pozostaje hrabianka....

Co zaś do Naniny to patrz — —

Przystąpił do biórka, wyjął zeń ćwiartkę papieru i zapisał na obie strony. Potem wrócił się ku Zapalskiemu i zaczął czytać głośno:

«Nanino!

Nie miałam nigdy zamiaru żenić się z Marją, bo kochałem ciebie, bo cię kocham jeszcze szalenie, namiętnie, jak w owej roskosznej chwili w pałacu de Narandole, jak wtedy gdy odmawiając przyłożenia ręki do dzieła Jezuitów, podwoiłem pieszczoty obłąkanej konfesjonałem lecz kochającej mnie kobiecie.

Dziś, prócz wspomnień niezatartych nigdy upojeń, domięszało się uczucie . . . wzgardy za twój niecny list pisany do panny de Marevelles.

Wbij sobie dobrze w pamięć me słowa Nanino: kocham twe śliczne ciało, lecz brzydzę się obłąkaną wczoraj, dziś już czarną twoją duszą.

Nadal pozostaniemy obcy dla siebie.

Gdybyś natrętnie pragnęła zbliżenia . . . musiałbym publicznie wezwać cię do zostawienia uczuć w spokoju.

Pamiętasz jeszcze ten pierwszy pocałunek, w twym salonie, w zasłonach okna dany? . .

Ile razy więc list ten ci wpadnie w oczy, pomyśl że na ustach moich nigdy podobny nie spocznie. W objęciach innych kobiet sprobuję zatrzeć wspomnienie twych miękkich ramion i stalowego uścisku.

W objęciach innych kobiet . . . pojmij to dobrze Nanino.

Edward Parski.»

Zapalski zerwał się blady i przerażony.

— Edwardzie mój! . . synu! . . nie poślesz tego listu, rzekł, patrząc ze smutkiem i zdumieniem w piękne oblicze wygnańca!

— Za godzinę go odbierze! — odparł wezwany z zimną krwią, składając w kopertę pismo.

— Ależ to . . . to . . . pozwól sobie powiedzieć prawdę . . . to nieszlachetność bez granic . . . Edwardzie! — rzekł kapłan składając ręce.

Księżna przewiniła namiętnością, lecz nie godzi się posłać kobiecie takiego listu. . .

Edwardzie! z goryczą mówię to i żalem . . . nie znałem cię jeszcze z tej strony . . . masz dobre i szlachetne serce, ale . . . posługujesz się uniesieniem pierwszej chwili . . . to źle . . . zastanów się . . . choćby tylko przez wspomnienie szczęścia, które ci dała . . . oszczędź jej poniżenia . . . co gorsza . . . rozpaczy i łez — —

Edward, z szatańskim uśmiechem zadowolonej nienawiści chciał właśnie zakleić kopertę . . .

Lecz drzwi z trzaskiem się otworzyły i w progu saloniku zdziwionym oczom obu ludzi, okazała się wyniosła postać pani de Narandole. . . .

— Ach! krzyknęła z iskrzącem radością okiem — nie przybyłam za późno . . . Edwardzie —!

On chłodnem spojrzeniem, przykuł ją do miejsca prawie.

— Nie pani! — rzekł tym łamiącym tonem tłumionej wściekłości, który stokroć okropniejszy jest nad wybuch gniewu — Nie pani! właśnie w porę, aby mi oszczędzić posyłki! — i wyrwał gwałtownie list z koperty i podał go księżnej mówiąc z szyderstwem:

— Pisałem do niej . . . przeczytaj! —

Zapalski stał w odurzeniu cały . . . tylko wzrok jego błąkał się od księżnej do Edwarda. . . .

Nanina błyskawicą przebiegła pismo . . . krew uderzyła jej do głowy . . . zachwiała się i wydając przeraźliwy krzyk . . . rozpaczy może . . . upadła bez życia na posadzkę. . . .

. . . .

XIV.

Dwa są rodzaje gromów na świecie.

Rzucane ręką natury i ludzi.

Ludzkie straszniejsze nieskończenie. Niby zemsta za maluczkość.

Lew druzgocze lecz i czasem przebacza. Syty wcale nie jest szkodliwy.

Hyena pastwi się nad trupem; poźre jednego, lecz wykopie i poszarpie dziesięciu.

Po gromach na niebie następuje tęcza pogody i jasny promień dziennej gwiazdy ozłaca ruiny.

Po piorunach ludzi, dogorujące pożary, oświecają zmęczonych tygrysów rzezi, ufarbowanych krwią ... potem zemsta zwycięsców.

Ktoś zawołał: nie ma szlachetniejszej natury jak człowiek.

Prawda . . . byle go nie głaskać, bo pokąsa z pewnością pieszczotliwą rękę.

Cóż dopiero gdy się go katuje.

Głęboki prawdą i razem straszliwy jest wiersz Raula Nerval:

> Le peuple . . . il râle sous vos porche
> Il grelotte en rongeant vos os. . . .
> Et, si vous avez vos chassepots,
> Il a sa colère et ses torches!

Prawda!

Gniew i wściekłość hyeny, gdy się mocniejszą czuje od ofiary, to pochodnie komuny.

Pobożni głosiciele wiary, miłości i przebaczenia, wiary braterstwa i wzajemnej pomocy, wołacie: w roku 1871 wybuchła w Paryżu komuna.

To fałsz.

Wywołano komunę.

Wy i wasi zwolennicy.

Nie dość jest wołać gore, krwią ugasić pożar i rozćwiertować podpalacza, trzeba jeszcze poszukać przyczyn podpalenia i ubespieczyć się od nich na przyszłość.

Nie stem książek głupszych jedne niż drugie, nie wołaniem: byli bez Boga i bez wiary! ... zatamujcie wpływ sumienia i poczucia godności człowieczej w ludzie.

Okradajcie go mniej, a opiekujcie się nim więcej.

Szczepić nie kule w piersiach przestępców chwili szału i rozpaczy, ale miłość i poświęcenie poczciwej sprawy.

Wielu z tych co jęczą w więzach, nie byliby dziś w lochu, gdyby im iść dano wczora.

Człowiek zna Boga i moralność . . . głód nic nie zna!

Rewolucja francuska z końca zeszłego stulecia była ostatniem światłem konającej idei, którą chciano odświeżyć krwią.

Komuna była błyskiem konającego czynu, lecz idea pozostanie.

Na złagodzenie jej, lekarstwa ani na placu Satory, ni w nowej Kaledonji nie ma.

Oliwa do ognia, gromadzenie palnych materjałów na przyszłość.

W potwornej pielgrzymce zbrojnego bandytyzmu po świecie, w której biedni zaślepieni Polacy wzięli udział z odwagą, godną lepszej sprawy lub mniejszej blagi nad obietnicę odbudowania ich ojczyzny, koszta działowej pohulanki płacił lud złotem i bronią swoją.

Nagroda: rok 1813 i najazd słowiańsko-teutoński.

Potem walka królestw z Bożej łaski.

Dalej drugi perjod Napoleonidów.

Rzeź drugiego grudnia, pogrzebowa komedja Krymu i Włoch, Chiny i płaski dramat Meksyku z półgłówkiem w cesarskiej koronie.

Potem cisza i Haussmann t. j. dwadzieścia tysięcy rodzin wyrzuconych na bruk, lub w dalekie przedmieścia Paryża, pod pozorem upiększenia miasta.

Zerwano flizy bulwarów, zastępując je makadamem.

To znaczyło: precz barykady . . . na naftę teraz kolej.

Aż smutny bohater Strasburga i Boulogne skończył w pułapce Sedanu.

Najśmieszniej, że dobrowolnie.

W rozdziale dawniejszym wypowiedziałem co o nim myślę.

Jedzono szczury i myszy, krokodyle, i hippopotamy, dalej cuchnącą chudą koninę, skórę ze słomą i z trocinami czarny chleb.

Potem nic nie jedzono wcale.

Trochu otworzył bramy prusakom.

Wszystkie te przysmaki były tylko wyłącznie dla ludu.

Będziem się bronić do ostatka, wyli: Thiers i Trochu, w dobrem tłumaczeniu to znaczy:

Zadamy wam szyku.

W wilję zaś śmierci z głodu wprowadzimy wroga, a postawimy do koła straże krzycząc: włosa z głowy mu zdjąć nie wolno... to nasz przyjaciel ... wara!

Podczas gdy dwadzieścia pięć tysięcy dzieci ludu, konało w konwulsjach na łonach matek, nędzą i trwogą pozbawio-

nych pokarmu; podczas gdy sto tysięcy ludzi bez herbów wiło się w męczarniach głodu i gorączce wynikłej z niezdrowego powietrza i strawy, bogatym na niczem nie zbywało.

Po nikczemnej pierwszej fazie kampanji, poniżająca godność narodu, żebranina Thiersa, grzeszna nieczynność i umyślne rozbicie armji Loary . . . poddanie Metzu, poddanie Paryża, nareszcie religijno-arystokratyczne zgromadzenie w Bordeaux i potem w Wersalu podpisujące rozćwiertowanie własnej ojczyzny. Przekupstwo, zdrada, niegodziwość, hańba, tchurzostwo. i rozpusta.

Lud wtedy zapytał kto na tem cierpi? . . .

I rany ciała, upodlenię duszy, świeże mogiłki jego dzieci, shańbione z nędzy córy, odpowiedziały: ty!

Oni opływają w dostatkach i złocie, układają się z wrogiem w twem imieniu, wołając z szyderstwem: bądź kontent, drogo cię sprzedajemy!

Wykształconych miłość kraju i poczucie obywatelskiego obowiąsku w obec najazdu, wstrzymały by od wybuchu.

Ludowi francuskiemu zaszczepiono w serce wszystkie zawiści i gorycze, jaskrawym przykładem niecnych kapłanów Boga, odebrano wiarę.

I gdy wysłańcy zagłodzonych zażądali autonomji gminnej w nagrodę za sto lat tyranji i kilka miesięcy głodu i wstydu, Wersal kazał odwrócić armaty wzgórz Montmartre paszczami ku wołającym braciom: My tak cierpieli!

Z pod ziemi wywiło się kilku aniołów złego, wyjąc tłumowi: mścij się!

18 marca, w obronie najsłuszniejszej sprawy popełnił mord podwójny a tem ohydniejszy, bo na niewinnych narzędziach obowiąsku.

Dwie heroiczne postacie, dwaj zacni mężowie Francji: Clement-Thomas i Lecomte, zostali rozstrzelani w ogrodzie ulicy des Rosiers.

Nazajutrz pięć kroć sto tysięcy karabinów i dwa tysiące dział było w ręku rozjątrzonego motłochu.

Ogłoszenie Paryża wolnem miastem tamowało krew i rozbrajało zbuntowaną dzielnicę. Podobne jednak ustępstwo na korzyść ubogich ciałem i ciemnych duchem nie było w planie księży i zasiadającej arystokracji. Prusacy nam pomogą zgnieść powstanie, aby mieć pewność ściągnięcia miljardów

kontrybucji; wydadzą nam część broni, wszystkich jeńców i wystąpią nawet zbrojno w potrzebie.

Zwycięscy, uprzątniemy wszystko.

Więc walka na śmierć.

Zbrodnicze dłonie przelały bratnią krew, choć trochą serca można było wstrzymać jej potoki. Gwardzistom Paryża przeciw - stawiono żołdaków byłego cesarza, pijanych wódką konewkami rozdawaną, oszalałych z wściekłości podłem obchodzeniem się, i nędzą w niemieckiej niewoli... Podpalaczkom opryszków przeciw-stawiono... i w końcu, gdy huk ostatniego działa zgasł na dymiących ruinach barykady smętarza Père-Lachaise, jak niegdyś wódz dzikich Gallów «biada zwyciężonym» ryknęli: Thiers i wersalskie zgromadzenie.

Po kartaczach plutony wykonawcze.

Wiemy resztę. . . .

Płatny agent Wersalu, opatrzony podwójną przepustką, daremnie starał się skłonić Dąbrowskiego do zdrady, ofiarując mu miljony. Wywiózł tylko z trzykrotnej swej bytności w Paryżu niezbędne objaśnienia i zapamiętane pozycje powstańców, siły obsadzenia barykad, rozkład magazynów i możliwe środki obrony . . . wydał potem podstępującym pod szańce generałom de Mac Mahon i de Cisey.

Pewiadają że to był Polak podobno.

Wątpię, tak nisko bowiem jeszcze nie upadli nasi bracia w niedoli.

Rzemiosło szpiega, nawet w dobrym celu wykonywane, krzywdzi okropnie.

Edward Parski, porucznik 2 pułku konnych strzelców afrykańskich, zdolny, szalonej odwagi w połączeniu z energją i rzadką zimną krwią w boju, obdarzony prócz tego bystremi poglądy, pożądany był ludziom komuny.

Podczas wybuchu, był na urlopie w Paryżu, w ślicznym jak cacko i umeblowanym wybornie mieszkanku przy placu królewskim, przepędzając swe miodowe miesiące z Mary.

Znał dobrze Jarosława Dąbrowskiego, Okołowicza, braci Matuszewicza i innych.

Jarosław był parę razy u niego.

Dwudziestego marca ofiarował mu dowództwo jednej legji.

Edward odrzucił bez ogródki.

— Gdyby komuna miała na czele ludzi honoru i sumienia, nie wachałbym się ani chwili, bo prawo słuszności i boże prawo braterstwa po jej są stronie, ale. . . .

Na czele ruchu stoją ludzie, których przeszłość o galery potrąca.

W ten sposób zabijecie najświętszą sprawę. —

Jarosław, choć nań błotem rzucono, choć nawet swoi bezczeszczą pamięć tego, co żadną nie shańbiony zbrodnią, gorącością krwi w żyłach i egzaltacją serca i głowy, sam zacny i poczciwy, naiwnie jeszcze, mimo wieku, zapatrywał się na świat i ludzi.

— Jak zwyciężymy, usunie się łotrów z łatwością; dziś nam potrzebni dla zagrzania tłumu.—

Edward ruszył ramionami i odpowiedział stanowczo:

— Nie. —

Nazajutrz wracając z rannej wycieczki do domu nie zastał Mary, tylko na stole kartkę z temi słowy:

«Edward Parski obejmie dowództwo legji, lub nie zobaczy więcej swej kochanki.»

Wtedy zaś, młody człowiek byłby spalił Paryż i wszystko co w nim żyło za jedną łzę dziewczyny.

Pierwszego kwietnia, zgromadzona na królewskim placu legja witała szalonem hurra młodego pułkownika.

On był zamyślony i smutny.

I tak co dzień więcej.

Do koła nadużycia i zdrada.

Raz zaproponował Jarosławowi zrobić zamach stanu, oswobodzić Paryż od bandytów w rządzie komuny, uderzyć na Wersal nocą, a potem wejść w układy z prusakami.

— Niemcom wszystko jedno kto zwycięży, byle mogli pochłonąć nasze miljardy. —

Ale Dąbrowskiemu brakło odwagi.

Gdy nadeszły okropne dni Maja, kazał wznieść barykadę od strony bulwaru św. Marcina i zgromadziwszy ludzi, oświadczył im, że każdą dezercję śmiercią ukarze.

W głowie młodego naczelnika było tyle pewności siebie i tyle woli, iż przysięgający, dotrzymali przysięgi i zbiegów wcale nie było.

Czwartego dnia szturmu dopiero, gdy zajęto tyły pow-

stańcom, nie było można utrzymać się dłużej na heroicznej barykadzie.

Dwudziestu pięciu jeńców zamkniętych w sąsiednim domu włamało się w nocy do małego składu broni, i uzbrojeni w karabiny, przywitali piorunującym pionowym ogniem garstkę obrońców, przygotowujących się do ostatniego oporu.

Wziąść przemocą łamiących słowo niewalczenia, postawić z nich pozostałych dwudziestu przy murze i zionąć na nich plutonowym ogniem, byłoby dziełem jednej chwili.

Edward jednak poprzestał na skrępowaniu winnych.

Stąd groźna postawa ludzi . . . lecz nie było na bunt czasu, na szczytach bowiem barykady błyszczały już bagnety wdzierających się Wersalczyków.

Gdy napastnicy zatknęli sztandar arystokratycznej republiki na pokrwawionych gruzach, czterystu ośmdziesięciu trupów i ciężko rannych zaległo ulicę i sąsiednie domy.

Edward z trzema tylko pozostałymi dostał się do niewoli.

Nazajutrz opatrzony angielskim paszportem, udawał się w towarzystwie Mary do prowincji zajętych przez prusaków, aż do czasu wypłaty kosztów wojny.

Dawny towarzysz broni wygnańca ułatwił mu ucieczkę.

Oto w kilku słowach przeszłość Parskiego z chmurnych dni domowej wojny.

Po zemdleniu księżnej, Edward zimny, niewzruszony, wyszedł z mieszkania na miasto, polecając służącej przyprowadzenie do zmysłów pięknej kreolki.

Wieczór spędził w pałacu de Marevelles.

Choć w salonach hrabiny dość liczne było zebranie, Marja się nie ukazała.

Za to sama gospodyni, była czulszą niż zwykle i gdy jej Edward oświadczył, że córka odmówiła mu swej ręki, odpowiedziała z uśmiechem:

— Bądź pan dobrej myśli, podejmuję się naprawić złe zupełnie.

O drugiej rano, wracając do domu, spostrzegł na jednej z bocznych ulic, którą wracał zwykle dla skrócenia sobie drogi, powóz podróżny i czterech przy nim ludzi.

NięPojęte jakieś uczucie trwogi ścisnęło mu serce, ścięło krew w żyłach.

«To śmieszne! rzekł sam do siebie. Cóż mnie obchodzą «cudze sprawy? . . .»

Głos jednak jakiś wewnętrzny szeptał mu upornie: wróć się.

Gdy doszedł do powozu i zrównał się z nieznajomymi, było już za późno.

Nim bowiem zdołał sięgnąć po broń do kieszeni, wydać krzyk, lub przedsięwziąść jakibądź środek obrony, został powalony gwałtownie na ziemi i silnie skrępowany.

Potem wrzucono go do powozu; i usłyszał złowieszczy rozkaz rzucony woźnicy:

« Do pierwszego posterunku francuskiego!»

Trzy godziny trwała podróż.

Drugiego dnia, znalazł się w Satory, w osławionym baraku nr. 5 i pod zarzutem zbrodni udziału w komunie.*)

XV.

Marja de Marevelles do Blanki de Langis.

«Paryż d. 28 Września 1874.

Wyobrażam sobie podziwienie, jakie ten list w tobie obudzi. Piszę z Paryża i jestem w nim prawie samą zupełnie. Mój Boże co tam za niepokój w domu być musi, bowiem ani mama, ani nikt z naszych nie domyślają się nawet co się ze mną stało. Ty kuzynko droga, wiem że nie zdradzisz miejsca mojego pobytu, piszę więc śmiało i podzielam z tobą szczęście, które mnie dziś rano spotkało.

Przed godziną jeszcze życie moje zależało od życia drugich; przed godziną przygotowywałam list pożegnalny do

*) Historyczne: jeden z Polaków został w ten niecny sposób porwany z zaboru pruskiego z Colmaru. Czterech agentów tajnej policji paryskiej uwiozło go po za demarkacyjną linję departamentów, nie opuszczonych jeszcze przez Niemców.

mamy i do Hektora, prosząc ich o przebaczenie . . . zapomnienie żem istniała. Ona byłaby się pocieszyła po stracie; wierz nigdy mnie zbyt nie kochała, ale brat. . . .

Modliłam się serdecznie . . . pierwszy raz może w życiu szczerze . . . gorąco . . . Bóg wysłuchał próśb i łez . . . i jutro będzie wolny.

Ach! jak ci nikczemnicy szybko prowadzą wojenne procesa . . . a gdybyś go była widziała w obec sędziów! . . .

Z swym wiecznym, szyderczym na ustach uśmiechem, jak w naszym salonie.

Pierwszy raz widziałam go w mundurze; a prześlicznie mu w błękitnej ze złotem tunice i purpurowem kepi z białem piórem. Odpowiadał na zapytania z dziwną pewnością i precyzją w głosie, a gdy mu straszliwy wyrok odczytano: «skazany na śmierć przez rozstrzelanie» i zapytano czy nie ma nic do nadmienienia, podniósł dumnie swą piękną głowę mówiąc: przy was siła więc i słuszność zapewne, róbcie co wam się podoba!

Polak, którego nam raz Błażyński przedstawił na ulicy, nazwiskiem Bołowicz (ach! zapamiętałam miano nędznika) stawał jako główny świadek przeciw Edwardowi, zeznając pod przysięgą, że go widział nakazującego rozstrzelaniu kapitana Lucel, w dniu 18 Kwietnia na znanym bulwarze w Paryżu.

Odrzucił zekurs . . . lecz prezydujący sądu i sprzysięgli wnieśli prośbę do prezydenta o ułaskawienie! Dożywotnia niewola w nowej Kaledonji! Ja tego nie chciałam i dziś donoszę ci że będzie wolny! . . .

Tu zatrzymuję się, spostrzegam bowiem, że nie wiele rozumiesz z mej bazgraniny. Więc poprawię się i jak to od razu powinnam była uczynić, zacznę od początku moje opowiadanie.

W moim liście z siedmnastego b. m. opisałam ci moje cierpienia i ochydny list Naniny, odrzucenie Edwarda, nagabywania Mamy, której tyle na naszem połączeniu zależy i nareszcie przygodę z jego fotografją i dziwny dopisek, który zrobił na drugiej jej stronie.

Że Edward może mnie lubić trochę, w to wierzę, ale ona by mi go zabrała, bo otwarcie mówiąc, czemże uprzyjemnić bym mu mogła życie. Tą miłością, której żadną

siłą z piersi wydrzeć nie mogę? . . . Wszak i Mary kochała go tak samo . . . może mniej . . . nie wiem . . . i Nanina, a on porzucił obie dla mnie; jutro zaś mnie porzuciłby dla innej jeszcze. W tem miała słuszność księżna de Narandole.

Dla czego więc chciał żebym została jego żoną? . . .

O wyrachowanie posądzić go niepodobna; mama bowiem ofiarowała mu dawno część swego majątku, wiem o tem, i odrzucił stanowczo, również jak zapis trzech kroć stu tysięcy franków, który podług żądania jej, w razie przyjścia małżeństwa do skutku, byłabym mu przyznała w kontrakcie.

Powiedział sobie prosto: Mary mnie porzuciła, Nanina mnie nudzi swą namiętnością . . . Marja kocha . . . wezmę Marję, może się z czasem przyzwyczaję do niej zupełnie.

Mawiał prawdę u mnie w pokoju . . . lecz czyż mogła bym całą przyszłość, spokój i szczęście życia opierać na jego przelotnej dla mnie sympatji.

Gdybym czuła, iż prócz uścisku i gorących uniesień bedę mu mogła ofiarować jeszcze wykształcenie, że go tem przykuję i utrzymam przy sobie . . . nie wahałabym się ani chwili, ale ona, mama? kocha go i zawsze skończyłby ocenieniem jej przymiotów.

Nazajutrz po mej odmowie był na wieczornem u nas zebraniu.

Blady i smutny.

Pytał wielokrotnie mamy o mnie, bowiem nie pokazałam się w salonie. Naniny nie było, on zaś opuścił salon ostatni.

Następnego dnia nie widziałam go wcale.

Dwudziestego pierwszego dopiero dowiedziałam się od Lucy, że mama cierpiąca i nikogo, nawet mnie nie przyjmuje, i że jakiś ksiądz czeka na dole, chce się koniecznie ze mną widzieć.

Wprowadzony, przedstawił mi się jako ziomek Edwarda.

Po wyjściu Lucy, nim zdołałam wymówić zapytanie, co go sprowadza, obejrzał się tajemniczo do koła i biorąc mnie za rękę powiedział cicho te słowa.

— Edward opuszczając wasz pałac o drugiej rano przed trzema dniami, został porwany przez agentów Thiersa i dziś stoi w Satory przed sądem wojennym, oskarżony o udział w komunie, a za tydzień najdalej będzie rozstrzelany. —

Na cóż opisywać ci droga Blanko, co się ze mną działo. Nie straciłam przytomności, ale zabrakło mi sił tak nagle, krew ścięła się w żyłach, że gdyby nie ksiądz Zapalski, który mnie schwycił w swe silne ramiona, byłabym upaść musiała.

— Biedne dziecię! —szepnął, obrzucając mnie tem jasnem łagodnem spojrzeniem współuczucia, którego u naszych kapłanów nie widziałam nigdy. — Biedne dziecię! . . . Pani go kochasz, prawda? —

Widziałam raz pierwszy tego człowieka, lecz suknia jego, głos i wzrok, zresztą straszne dzieje nieszczęśliwego, które mi raz Edward opisał w krótkości, pociągnęły mnie ku niemu. Łzy mi się zakręciły w oczach i schyliłam głowę w milczeniu. On poprowadził mnie do fotelu i siadając obok, opowiedział jakim sposobem dowiedział się o prawdzie. Edward był w komunie pod nazwiskiem Karola Gourcy i raz wspomniał o tem przyjacielowi.

— Wyobraź więc sobie pani przestrach mój i rozpacz, gdy wyczytałem wczoraj w dzienniku wojskowym, że Karól Gourcy, pułkownik komuny, staje przed sądem w Satory.

I — dodał półgłosem — kochasz go pani, więc ocalić go trzeba . . . bo . . . i on cię kocha . . . i więcej niż przypuszczasz może. A mówię ci to nie w chęci pobudzenia cię do podania mu ręki w niedoli; gdyby bowiem wiedział, może nie przyjąłby poświęcenia . . . ale . . . jako kapłan, którego usta, wierzaj mi pani, nigdy się kłamstwem nie skalały. Potem wyjaśnię ci wszystko, a teraz posłuchaj mego planu. —

Powstał i patrząc mi w oczy:

— Podczas komuny byliście z matką w Paryżu! otóż, gdyby ci powiedziano, że dla ocalenia Parskiego potrzeba, abyś stanęła w obec sądu wojennego i zeznała pod przysięgą, iż pułkownik cały dzień 18 kwietnia spędził ukryty w twym pokoju, że więc nie mógł podpisać wyroku śmierci na kapitana Lucel . . . jakbyś postąpiła? —

Czułam że rumieniec wystąpił mi na lica, rzekłam jednak bez namysłu:

— Jeżeli tej ofiary potrzeba, ojcze . . . jam gotowa. —

Nie dziw się Blanko, ja go kocham! w tem słowie wszystko się zawiera.

Gdy sama poznasz kiedyś to uczucie bolesne i roskoszne, razem pojmiesz, że mi inaczej postąpić nie było wolno.

O! jabym go nie porzuciła jak Mary . . . tylko klękła bym u nóg kochanka i rzekła z poddaniem: poczekam . . . bo wierzę że wrócisz do mnie jedyny.

I wrócił by niezawodnie.

Zacny kapłan wziął obie dłonie moje i rzekł z powagą.

— Takiego poświęcenia nie potrzeba dziecię moje! nic by nawet nie pomogło, bo wróg jego śmiertelny, świadomy już fałszywie i ma za sobą cały sąd . . . wierz, zdrajcom i nędznikom wersalscy władcy sprzyjają serdecznie. Ofiara jednak, której wymagam dla ocalenia Edwarda, moralnie te same gorzkie owoce przyniesie dla ciebie.

Masz pani złoto? . . . wiele. . . .

— Do dwudziestu tysięcy franków, ale mama otworzyła mi znaczny kredyt u naszego bankiera, gdyż sama opłacam moje potrzeby, ekwipaże, stroje i t. p. dziś zatem jeszcze mogę rozporządzać drugą taką sumą z łatwością.

— Dobrze więc! o dziesiątej wieczorem jedziemy razem do Paryża.

Dla zbawienia Edwarda potrzeba koniecznie kobiety; krzątanie się ich bowiem nie zwraca uwagi i kobieta ofiarować może każdemu złoto, za to ni skargi ni kary. Jam Polak i zdradziłbym się pierwszem słowem. Nienawidzą nas z przyczyny Dąbrowskiego w Wersalu, z powodu jednego agenta rządu, który jeździł ofiarować generałowi pieniądze i zdradę, strzegą się nas w kołach przyjaznych komunie. Ale pani dam wskazówki, i będę działać pod twą osłoną. —

Słuchałam z wytężoną uwagą.

— Nie taję ci jednak dziecię moje — zakończył powstając — że dobra sława twoja zgubioną będzie na wieki; nikt bowiem wiedzieć nie powinien, nawet matka, co się z tobą stało.

— Ojcze! jestem na twoje rozkazy . . . lecz czy mogę zabrać Lucy?

— Owszem, przyda nam się ta dziewczyna . . . jeżeli nie zdradzi. . . .

— Wychowana ze mną od dzieciństwa, mogę liczyć na pomoc i oddanie się zupełne.

. . . .

Tak więc od siedmiu dni przebywamy w Paryżu. Wszystko

ułożone na jutro na pierwszą godzinę po północy. Szczęściem że mówię po angielsku i że on tym językiem włada doskonale. W Satory więźniów już nadto, skąd tem większa czujność w obrębie olbrzymiego obozu, na zewsząd rzadkie placówki zmieniane co dwie godziny. Jedna z nich przekupiona . . . alarm dać musi . . . lecz w kwandrans po ucieczce dopiero. Wszystko ci potem dopiero opiszę moja droga Blanko, gdyż teraz jakoś się nie składa . . . ręka mi drży, w głowie się mięsza . . . ach Boże . . . gdyby się miały nie udać nasze zamiary? . . .

Modlę się i płaczę. . . .

Ale ksiądz Zapalski wesół i mówi mi ciągle: bądź pani dobrej myśli.

Ja jednak przeczuwam nieszczęście. . . .

Potem niepokoi mnie co się w X. . . . dzieje. Żeby przynajmniej mama zdobyła się na zasłonięcie mnie, oznajmiając żem n. p. do ciebie pojechała.

Wprawdzie w kilku słowach, które dla niej zostawiłam, obiecałam wytłumaczenie tajemnicy, ale . . . znasz ją przecie. . . .

Gdy list ten odbierzesz, on albo będzie ocalony, albo . . . zgubiony za zawsze i . . . ja z nim.

Twoja Marja.»

Edward w więzieniu nie łudził się wcale co do losu, jaki mu przygotowywano.

Wiedząc, że tak krzycząco nikczemne przyaresztowanie go na neutralnej ziemi, było intrygą Jezuitów, znał ich potęgę i powagę w rządzie starca z Elyseé-Bourbon.

W razie wyroku śmierci, droga łaski była tylko narażeniem się na śmieszności w przedskonania chwili.

Świeży przykład szlachetnego Rossela, jego matki wdowy i siostry włóczących się u nóg prezydenta, który miał sumienie obiecać łaskę i wysłać o siódmej godzinie rano do Satory z tą pomyślną wieścią dwie kobiety na to tylko, aby na własne uszy usłyszały grzmot strzałów wydzierających im syna i brata . . . przeszłość nareszcie naczelnika władzy wykonawczej, aż nadto dobrze oświecały go i upewniały o smutnym losie za dni kilka.

Człowiek, który był na przemiany bonapartystą za pierw-

szego cesarstwa, rojalistą z powrotem monarchji, republikaninem w 1848 r., czcicielem cezara, później znów republikaninem! . . . człowiek taki, powiadam, mógłże czuć i mieć serce?

Nie.

Kto posiadał odwagę wykartaczować zbiorowo dwadzieścia pięć tysięcy tłumu bez różnicy płci i wieku, wystrzelać potem za wyrokami wrzucone do lochu trzydzieści sześć tysięcy, przez sześć miesięcy resztę, wysłać dwa tysiące mil od ojczyzny tylu biedaków, pogrążając w nędzy ich rodziny, o! mówcie co chcecie czytelnicy, dla mnie człowiek taki jest gorszy od dzikiego zwierzęcia.

Jeżeli bowiem sprawiedliwość jest ozdobą siły, łaska . . . to najpiękniejszy brylant w koronie władców tego świata.

Zemsta stronnictwa na miano sprawiedliwości nie zasługuje.

I jeżeli naczelnicy komuny splamili się też użytecznem rozstrzelaniem księży, których mimo tego nie brakuje, rząd Thiersa w okrucieństwie i zbrodni przewyższył dzikich z puszcz indyjskich i za wiele honoru bym mu uczynił, porównywując z sektą dusicieli Bohwarys w Indjach wschodnich.

Nie potrzeba być postępowym, aby sądzić podobnie . . .

Odrobina poczucia godności człowieczej, trochę serca i sumienia . . . wystarczą.

To jednak cienia na Francję rzucić nie może. Cóż bowiem winien naród, że mu okoliczności i wróg nędzników narzuciły do władzy? . . .

Zgrzybiały uspokoiciel komuny zszedł z pola okryty szyderstwem i wzgardą, a sto tysięcy sierot, drobiazg bosy i obdarty, żebrzący z głodu na ulicach okartaczowanej stolicy, okiełznanych szablami: Tuluzy, Ljonu, Bordeaux i Marsylji, drobiazg ten, przyszłe pokolenie oszalałych niedolą mścicieli, uczy się pamiętać we łzach i goryczy, uczy się zapominać pacierza.

I głęboką nienawiść żywi dla krzyża, dla jego przedstawicieli, bo mu rospasane żalem matki mówią: to oni skazali was na zimno i głód, wydzierając ojców co pracowali na wasze utrzymanie.

I dziś świat woła jeszcze, że my na religję nastawamy?

Nie! tylko na tych co wywołali komunę, szczepiąc bydlęce porywy w ludzie. Co mu wydarli wiarę z niedoli wykształcenia.

Jaka siejba, takie potem zbiory.

Edward więc wiedział co go czeka.

Nie podajemy przebiegu procesu, dla prostej przyczyny, że sąd w Satory grał ohydną komedję, coś w rodzaju znanych powszechnie sądów austrjackich z 1854 i 1865 roku w Galicji.

Nie dowodzono winy, lecz udawadniać niewinność kazano.

Na żądanie ojca Józefa i Błażyńskiego, który poprzednio jeszcze odwiedził więźnia, oświadczając, iż choć nie z ich winy cierpi, lecz w rękach zakonu spoczywa jego uniewinnienie, przyspieszono proces tak dalece, że w pięciu dniach akt oskarżenia był gotowy i ostateczna rozprawa zapowiedzianą.

Parski, w obec śmierci pewnej, śmierci w tak młodym wieku, oświadczył stanowczo, iż woli umrzeć, niż działać po myśli tych, co pięć razy pogrzebali jego ojczyznę, co jej wydarli Galicję i Poznańskie, krzewiąc odszczepieństwo miłości kraju na rzecz kościoła.

Tajny telegram z X. . . . wezwał wtedy ministra wojny, jezuitę de Cisey do rozstrzygnięcia losu wężnia.

Gdy po przemówieniu prokuratora rzeczypospolitej, miasto adwokata, sam oskarżony powstał i zażądał głosu, głucha cisza nastała w olbrzymiej sali, i trzy tysiące twarzy zwróciło się ku młodemu człowiekowi.

On postąpił krok naprzód, z kepi w lewej ręce, blady, lecz spokojny zupełnie.

Na piersiach pułkownika komuny błyszczał krzyż legji honorowej, w oczach . . . jasny promień rezygnacji.

Widać go zwykle u tych, co mają odwagę żyć i umrzeć w potrzebie.

Marja de Marevelles i Zapalski, ukryci w tłumie drżeli z wzruszenia, trzymając się za ręce.

Na lice dziewicy wstąpiła wszystka krew. . . .

— Ojcze! — szepnęła, chyląc główkę na ramię polskiego kapłana — oni mi go zabiją! —

Edward nie wiedział nic o pracach przedsięwziętych w celu ocalenia go; dla udania się bowiem tego zamiaru, koniecznem było nie uprzedzać więźnia aż w ostatniej chwili.

W Satory nie przypuszczano nawet, że ktoś marzył wyswobodzenie pułkownika.

Polak, o niego nikt się nie troszczy . . . dozór więc był zwykły i straże nie podwojone.

On rzucił wzrokiem po tłumie, lecz nie dostrzegł ani przyjaciela.

— Panowie! — rzekł z powagą, donośnym, dźwięcznym swym głosem. — W waszym ręku leży moje życie to prawda; nie zabieram jednak głosu w myśli błagania o łaskę dla dwóch przyczyn: nie uznaję sądzącej mnie władzy, a wy z pewnością nie pozbawicie się tak łatwo przyjemności rozstrzelania mnie, znów może jak Rossela, w towarzystwie pospolitych zbrodniarzy.

Prokurator poruszył się w krześle, a na sali słychać było głosy: dobrze, bardzo dobrze!

— Wziąłem udział w komunie...nie jak to mylnie twierdził mój szanowny pan Adwokat, pod naciskiem uwięzienia mej narzeczonej, lecz z przekonania, że sprawa jej w gruncie dobrą była. Widząc zaś o ile postępowanie ruchu niezgodnem było z głoszoną wolności i braterstwa zasadą, nie przyjąłem żadnego urzędu, lecz żołnierz, z bronią w ręku walczyłem na barykadzie. Z tego się nie rumienię.

W obec sprowadzonego za pomocą fałszywego świadka i podrobionego podpisu faktu, iż ja kazałem rozstrzelać kapitana Lucel, oświadczam panowie, iż czynu tego nie popełniłem wcale. Waszego oficera podczas mej nieobecności rozstrzelano; zresztą . . . gdybym się był znajdował wtedy na bulwarze, to kapitan zostałby z mojego rozkazu rozstrzelany . . . dla przykładu.

Wszakże tak nisko nie upadliśmy, aby publicznie poniewierano dane w obec śmierci słowo.

Ukarany przyrzekł nie walczyć przeciw nam w ciągu oblężenia. —

— Wzywam pana — rzekł tutaj przewodniczący — abyś cofnął wyrażenie się poprzednie: fałszywy świadek i podpis podrobiony.

— Z ochotą, wpierw jednak chciejcie panowie zbadać przeszłość kapitana Bołowicza.

Na każdej kartce jego życia wypisanem jest czarnemi głoskami: nikczemnik i zdrajca! Począwszy od kradzieży popełnionej u kupca Krupeckiego w Warszawie, aż do agentury na żołdzie policyjnem waszego prezydenta. Wszak więcej takich mieliście, a wiem bardzo dobrze, jak się o nich sam Wersal wyrażał, dając im przepustki do Paryża, aby starali się namówić do zdrady naczelników komuny, a w razie niepowodzenia, przynajmniej zapamiętali rospołożenie wojsk naszych i magazynów amunicji.

Stawienie takich świadków dowodzi tylko, iż uczciwi ludzie nie chcą mieć naszej krwi na sumieniu. —

Przeciągły szmer uznania przeciegł po sali.

— Długoż pan jeszcze będziesz nadużywał naszej cierpliwości? — zapytał gwałtownie prezydujący pułkownik.

Edward spojrzał na niego spokojnie i mówił dalej:

— Porwany zostałem nocą i podstępem na neutralnej ziemi: to mi przypomina księcia d'Enghien panowie, nie radbym jednak, by mnie z nim porównano, gdy bowiem zamach Kondeusza knował na rzecz króla, ja walczyłem w obronie sponiewieranych praw ludu. Nie byłem sam.

Patrzcie! . . .

Tam, śród dymiących jeszcze zgliszcz przedmieścia Orleanu, w stratowanych winnicach bram ś. Jean i Bannier leży tysiąc kilkuset polskich trupów. To byli ludzie, którzy się za waszą wolność poświęcili. Jeden rodzinę, inny żonę lub kochankę, wielu stanowisko, a każdy swą ojczyznę, rzucili na wieść, że Francja najechaną jest przez Teutonów.

I wszyscy prawie polegli, zasłaniając piersiami odwrót armji Lamotte-Rouge.

Dziś z powodu walki Paryża, prasa wasza plunęła śliną pogardy na pamięć bohaterów, rząd rzucił błotem na świeże groby tych nowych Greków francuskich Termopil, choć stanęli w obronie obcych im krwią i mową narodu.

Miałem zaszczyt być w ich liczbie i trzeciego dnia wywieziono mnie rannego ze szpitala przed front szwadronów, aby ofiarować krzyż.

Widzicie go tu na piersiach moich. —

To mówiąc, postąpił naprzód, odpiął złotą odznakę i składając ją na stole prezydenta:

— Sąd zarzucił mi w rozprawie, iż shańbiłem mundur mojego pułku, przechodząc do szeregów komuny, nie mam więc powodu nosić tego krzyża, nie dla niego bowiem przelałem krew moją.

Jeżeli zaś, co jest niepodobieństwem, miasto dwunastu kul w piersi, oczekuje mnie łaska wykonawczej władzy, t. j. długie konanie w dalekiej ziemi naszego świata, pomnijcie że wychodzę stąd bez nienawiści w sercu, i w dniu, w którym odzyskam wolność, a Francja znów zapotrzebuje obrońców lub mścicieli . . . na głos działa trwogi (à la voix du canon d'alarme . . . początkowy wiersz hymnu żyrandystów) będę pierwszy na stanowisku! —

Mimo dzwonienia prezesa i powstania wszystkich sędziów, oraz groźnej postawy kompanji piechoty rozrzuconej posterunkami po sali, grzmot oklasków pożegnał wracającego na miejsce więźnia.

— Niech żyją Polacy! — zawołał ktoś w tłumie i powódź trzech tysięcy głosów powtórzyło ten okrzyk.

Sędziowie przeszli śród najokropniejszego zamięszania na ustęp.

Po kwadransie ogłoszono wyrok śmierci, lecz zarazem i treść prośby o ułaskawienie, podać się mającej do Prezydenta rzeczypospolitej.

Prośbę podpisali wszyscy członkowie wojennego sądu.

Trzeciego dnia rano, zawiadomiono Edwarda, że prośba sędziów została odrzuconą i że nazajutrz o świcie będzie rozstrzelany.

— Posłać panu księdza? — rzekł łagodnie kapitan raporter wojennego sądu.

— Nie! tylko papieru i pióra. —

I spokojnie, ku wielkiemu podziwieniu straży, pisał listy do wieczora.

O siódmej, klucznik wojskowy, przynosząc mu obiad, zamknął drzwi za sobą i wręczył mu maleńką karteczkę.

Potem dobył z pod płaszcza rewolwer i długi sznur węzłowaty z poczwórnym hakiem na końcu, mówiąc:

— Mój pułkowniku, jeżeli ci pomagam, to dla tego tylko,

że słyszałem twą mowę na sali sądu. Dwie placówki mające cię puścić tej nocy, wzięły po dziesięć tysięcy franków, ja robię co mogę z przekonania, że ocalam niewinnego. Twoja ręka pułkowniku . . . i życzę szczęścia. —

Uścisnął dłoń wygnańca i wyszedł ocierając łzy.

Więzień ukrył w posłaniu broń i sznur, następnie rozwinął kartkę.

Było to objaśnienie, pisane ręką Zapalskiego, jak użyć sznuru i broni.

«Zacna dusza!» szepnął niszcząc pismo starannie. «Ach! gdyby Polska miała tylko takich kapłanów!»

Spojrzał potem na przygotowane listy.

Jeden był do matki, drugi dla Mary, trzeci . . . dla Marji de Marevelles i hrabiny.

Ale czy zostanę ocalony? mruknął do siebie. Ha, będzie zawsze dość czasu napisać drugie.

I listy spłonęły na kominku.

O dziewiątej przyniesiono mu ubranie.

O w pół do pierwszej w nocy, zmieniony zgoleniem wąsów i brody nie do poznania, zgasił światło, i otworzywszy okno, wychylił się na zewnątrz. W improwizowanych turmach obozu Satory krat nie było wcale. Zastępywano ją placówkami. Piętro nie było wysokie, więc znalazł się na ziemi bez uszkodzenia.

Rzut jednak wywrócił go na trawę.

Podnosząc się, spostrzegł przystępującego doń żołnierza.

– Spiesz się przebyć mur pułkowniku, bo za chwilę będę zmieniony. —

Więzień nie dał sobie powtórzyć dwa razy tej uwagi.

W minucie sznur był zaczepiony na szczycie okolenia.

Krwawiąc sobie trochę ręce, dosiągł wierzchołka, lecz tu trudniejsza była sprawa.

Na osypanym kawałkami szkła gzymsie, nie mógł znaleść miejsca do utrzymania się.

Byłby zdjął suknię i położył ją na murze, lecz zmuszony trzymać się sznura, musiał zaniechać tego zamiaru.

«Przekleństwo!» szepnął «że też nad tem nie pomyślano.»

Raptem śród ciemnej nocy błysnęło światło od latarni od strony więzienia. To światło zbliżało się coraz bardziej.

Sierżant warty zmieniał placówki do koła.

Przechodząc koło maru spostrzegł wahający się w przestrzeni sznur z węzłami.

— Ognia! — krzyknął z rzadką przytomnością do pięciu idących z nim ludzi, wskazując Parskiego na szczycie okolenia.

Ale ten rzucił się w górę rozpaczliwie i cały w krwi, z poszarpanem odzieniem przebył zaporę i skoczył na drugą stronę.

Kule go nie dosięgły.

Ale upadek z takiej wysokości pozbawił zmysłów zupełnie.

Gdy przyszedł do siebie, z odurzeniem znalazł się w pędzącym wichrem powozie, w objęciach Zapalskiego.

Poczciwy ksiądz ocierał mu chustką skrawioną twarz i ręce.

— Winienem ci życie przyjacielu! — szepnął młodzieniec pocierając ręką czoło, jakby dla obudzenia się z zupełnego, z okropnego snu.

— Najpierw Bogu! — odparł ów prawdziwy kapłan Chrystusa. — Ale jeszcze nie ze wszystkiem; dopiero aż staniemy w Aremont.

— Gdzie to leży? — szeptał Edward.

— O dziesięć lieux stąd, pierwsza wioska w ręku prusaków jeszcze. —

Stanęli na przeprzągu i po zmianie koni, powóz znów potoczył się z szaloną gwałtownością.

I nie dziw, pocztyljoni byli naprzód zamówieni po cenie pięć set franków od konia i drugie tyle na miejscu.

Marja nie szczędziła złota dla ocalenia kochanka.

W dziesięć dni po wydarzeniach opisanych w poprzednim rozdziale, Edward, tym razem, pod zasłoną niemieckiego rządu, któremu, podczas niewoli w Orleanie, oddał wiele usług, organizując lazaret dla ich rannych żołnierzy, wstępował znów do salonu pani de Marevelles.

Był w mieście, jak powiadają Francuzi, bogiem dnia.

Podstępne pojmanie młodego człowieka, proces, mowa do sędziów, ocalenie i pewność nareszcie, iż nie należał do ban-

dytów i podpalaczy, zjednały mu sympatje tych nawet, co Polakom nieprzyjaźni byli z zasady.

Ojciec Józef, hr. Błażyński i godny Bołowicz (ten ostatni nie pokazywał się wiele w mieście) choć pełni wściekłości, że tak zręcznie wyrwano im ofiarę, na pewien czas musieli jednak zaniechać ostatnich, godziwych swych środków: sztyletu lub trucizny, bo głos ogółu oskarżał głośno zakon o sprowadzenie policji paryskiej do X. . . . i wydanie jej Parskiego.

Hrabina, zawiadamiając zręcznie swe towarzystwo o wyjeździe córki na tydzień do Normandji, ocaliła dobrą sławę dziewicy.

Gdy jednak Marja wróciła do pałacu, okropna scena wyrzutów i łez miała miejsce między matką a córką.

Pani de Marevelles dowiedziawszy się z gazet o przyczynie zniknięcia i procesie Parskiego, domyśliła się reszty tem bardziej, gdy ją zawiadomił odźwierny, że przed kilkoma dniami polski ksiądz był u hrabianki na górze.

Kobieta ta, kochająca Edwarda, nie mogła przebaczyć córce, że poważyła się ocalić go na jej miejscu.

— I zapewno nie omieszkałaś rzucić się w objęcia pana Parskiego odwiedzając go w więzieniu — rzekła z dotkliwem szyderstwem, mierząc córkę piorunującem spojrzeniem.

Dziewczę zniosłe spokojnie wzrok matki i odparła z godnością:

— Edward nie tylko nie wie żem się przyczyniła do jego ocalenia, ale nawet pobyt mój w Paryżu nie jest mu wiadomy. Zaklęłam księdza Zapalskiego, by nie zdradził mej tajemnicy.

— Dla tego zapewno, abyś ją sama powiedziała dziś lub jutro.

— Nigdy z ust moich się o tem nie dowie.

— Jednak go kochasz . . . no powiedz, prawda? —

Marja spuściła smutnie głowę i z ust jej mimowolnie wybiegły wyrazy:

— Ale on mnie nie kocha. . . .

— Dla czegoż jego żoną nie chciałaś zostać wtedy? powiedz? — rzuciła natarczywie matka.

— Właśnie, wiedząc że uczuć moich nie podziela.

— Gdybyś więc była pewną jego miłości? . . .

Hrabianka podniosła głowę i odparła z gniotącą wzgardą.

— Równie jak ty mamo, ofiarowała bym mu moją rękę. . . .

— Niegodziwa! — krzyknęła w uniesieniu pani de Marevelles . . .

Rzucamy na ten szkaradny obraz zasłonę.

Choć podobne rzeczy nie rzadkie są, i częstsze może w arystokratycznych kołach, niż w tak zwanem mieszczaństwie, czujemy odrazę do malowania ich dla prostego zapełnienia kilku stron powieści.

XVI.

Oto w kilkunastu kartach przebieg życia Edwarda w X... aż do sceny, opisanej w końcu rozdziału I. tego opowiadania, w której Marja de Marevelles, rumieńcem i milczeniem potwierdziła godzinę zejścia się z Edwardem.

Od chwili powrotu swego do domu, była z nim grzeczniejszą niż dawniej, chwilami nawet zapominała swych cierpień i szalonej zazdrości miotającej sercem; lecz im więcej hrabina zdawała się wywierać moralnego wpływu na młodego wygnańca, tem więcej zmieniało się usposobienie Marji.

Młodzi ludzie godzinami nieraz prowadzili te rozmowy urywkowe bez treści właściwie, w których usta zadają kłam sercu, wzrok duszy.

Sprzeczki o kwiatek lub strój.

Gniewy o zmienność powietrza, zawiedzioną nadzieję przechadzki.

Nie mówili otwarcie co myśleli, ścierając się słowami dla pokrycia zgodności myśli.

Edward co raz więcej zapominał Mary, tylko obraz dziecięcia błąkał się w jego duszy i słyszał czasem z oddalenia pełne czaru słowo: ojcze.

W jednej z takich pogawędek, Marja zapytała go, czy nie ma wiadomości od dawnej kochanki.

— Nie! ale chodzi mi bardzo o syna.

— Jeżeli go pan odnajdzie i zabierze . . . będzie bez matki — rzekła dziewica.

— Prawda. . . .

— To ożeń się pan, by dać matkę dziecięciu.

— Macochę! chcesz pani powiedzieć? . . .

— To zależy od stopnia miłości. . . .

— Trudno jednak znaleść dziewicę, co by miała odwagę przyjąć za swoje dziecko drugiej i jeszcze nieślubnej kobiety.

— Bywają take — odparła hrabianka.

Edward spojrzał jej w twarz przenikliwie.

Zarumieniona, z łzą gniewu w oku, widząc że za wiele powiedziała:

— Nudzisz mnie pan! —szepnęła i wyszła z sali.

Z natury nader żywa i porywcza była, czasami nie do zniesienia.

Wieczny sarkazm błąkał się po jej ślicznych ustach.

Z matką nie rozmawiała prawie wcale.

Widywały się zaledwie u stołu.

Bo ocalenie wygnańca, rozkopało ostatecznie przepaść między temi dwoma kobietami jednej krwi i jednego ciała.

Marja mówiła często ze łzami w swym pokoiku:

«Ona mi go zabierze.»

Hrabina znów z wybuchem dzikiego gniewu:

«On ją pokocha może!»

Nie mówcie mi o wzniosłości uczucia, szlachetnych porywach, wielkoduszności i dobroci serca.

To moneta konwencyjna, która w praktyce dawno już z kursu została wywołaną.

W książkach ślicznie brzmią te rzucone wyrazy, malując odcienia ludzkich popędów.

W życiu można je sprowadzić do codziennego wyrazu «posiadanie.»

Przyroda obdarzyła ludzi wyższą inteligencją od innych zwierząt, dała prężność ducha i wyobraźni.

Stąd głaszczące ucho, poetyczne wyrażenia.

W głębi jednak rzeczy, sucha, zimna proza.

Posiadanie:

W miłości . . . ciała.

W czci i poświęceniu dla ojczyzny, sławy lub przekonania, że nam lepiej będzie w materjalizmie z jej wolnością.

W litości, dla wyznawania jakiej bądź religji, nagrody.

W bezinteresowności nawet, posiadanie opinji bezinteresownego człowieka.

Sobkostwo.

A tego nie zmieni żadna teorja.

Bo tak jest.

Bawimy się jednak w uczucie, wypływające z stanu chorobliwego naszego organizmu, wadliwości ducha, lub pewnych zboczeń w systemie nazwanym.

Nie przeszkadzam.

Z tem wszystkiem jednak walka ta między matką a córką o posiadanie Edwarda była potworną.

Przyzwyczailiśmy się nakrywać szatą nasze ciało, pięknem słowem i jawnie wzniosłem postępowaniem nasze pokątne nadużycia.

Obie kobiety walczyły o wielkim dniu.

Stąd przestępstwo przeciw ogólnie przyjętej zasadzie moralności.

Hrabina, bez zasad, przesycona roskoszą, pragnęła gorąco zmiany, znając dotykalnie upojenia życia.

Kwiat pełen słodyczy i woni, lecz nie zerwany jeszcze.

Marja, widząc szczęście, czując jego potrzebę i po skutkach, domyślając się jego ponęty i uroku, pragnęła także posiąść Parskiego.

Każde dziewczę marzy roskosz bez podziału.

Z tej przyczyny jej trwoga i opór.

Bo może mnie porzuci . . . płynąc myślą w roskoszny budoar Naniny?

Dziwny jednak humor hrabianki, bladość jej, szybko po sobie następujące łzy i uśmiech, smutek i wesele . . . gniew pełen uniesień i słodycz bez granic, nie uszły uwagi znajomych.

Zaczęto znów szeptać do koła.

Potem już głośna pogawędka o matce i córce.

Aż raz, p. de Gontarin, poważył się publicznie w salonie pani de Bretitzel, zrobić aluzję co do położenia Parskiego w pałacu de Marevelles.

Marja w pierwszym wybuchu rozżalenia, zawiadomiła o tem młodego wygnańca.

Wiemy, jak miłą lekcję dał dumnemu magnatowi.

Razem jednak postanowił zakończyć z Marją i zmusić ją stanowczo do wyznania.

Lucy za dziesięć lujdorów i dwa razy tyle pocałunków (była ładną i zgrabną nad wyraz) wyznała mu, że były obie w Paryżu i że to Marji winien jest ocalenie.

— Ona pana kocha do szaleństwa prawie! — rzekła subretka. — A co dzień ta sama historja, łez i modlitwy, oglądania pańskiego portretu i uniesień i spazmów, gdy pan z panią hrabiną przebywa.

Chcesz pan dowodu? . . . oto urywek z jej pamiętnika który pisała w Paryżu — —

Ustępy te nikogo dziwić nie powinny, towarzystwa bowiem francuskie, za to ręczę, nie lepsze są od naszych.

O dziesiątej z wieczora Marja zamknęła się w swem pomieszkaniu.

Po rozebraniu się zupełnem odprawiła Lucy.

Wtedy zarzuciła na śliczne swe kształty biały peignoire z haftowanego batystu, w bujne pierścienie rozplecionych włosów błękitną aksamitną wstążkę i takimże paskiem ścisnęła swą giętką kibić.

Dziewczę gorsetu nie nosiło nigdy.

Po co krępujące pręciki wielorybich zębów lub ze stali.

Kobieta pięknie zbudowana nie potrzebuje w takich razach sztuki.

Gors dziewicy, zmodelowany przez przyrodę na wzór mistrzów, ma w pasie miękkie zaokrąglenia i sprężystość stali.

Lekko rzucone w tył okrągłe ramiona uwydatniały czarujące łono, dla którego podniesienia i nadania mu zarysów z pewnością nie potrzeba było sznurówek i misternie wyciętej sukni.

Zupełnie zdrowe, nieskalane rospustą ciało nie tak prędko utraca wdzięk swych kształtów.

Zresztą nie było w niem miękkości, więc by i pod żadną opaską nie nagięło się w myśl sztuki.

Słowem, w białych falach szaty zachodzących zupełnie pod szyję, z dziecięcą nóżką obutą w pantofelki z czarnego aksamitu, hrabianka była zachwycającą.

Przejrzała się w olbrzymiem psyché, szepcząc: znajdzież on mnie piękniejszą od nich?

Natura kobiety.

Zalotności wykorzenić niepodobna. Również jak i łez.

Dwie bronie, któremi walczą zwykle.

Usiadła na sofie i przyćmiewając trochę za silny płomień lampy, oparła główkę na ręku i zaczęła marzyć:

Dalekie kraje, nie znane jej zupełnie, ziemię bohaterów, ziemię modlitwy i krwi.

Olbrzymie postacie obowiąsku i miłości.

Obowiązek wyradza żelazną wolę, miłość i poświęcenie.

«O! śliczną być musi jego ojczyzna!»

(Zaiste z oddalenia wszystko piękne . . . nawet Galicja!)

«Cudowna ziemia, zachwycające kobiety!»

Z dumą rzuciła znów w stronę zwierciadła.

«A on im wszystkim powie: przeniosłem Marję nad was . . . dla mnie nie ma jak ona!»

Tu znów cień otoczył jasne myśli dziewczyny.

«Musiał mówić to samo o Mary! . . .»

«Matka jego dziecięcia nie tak prędko pozbędzie się wpływu na ojca i kochanka!»

I znów:

«Po co smutek? . . . ja także je kochać będę, gdy tamta «się pojawi, powiem spokojnie: ono do mnie należy!

«Na co? . . . pomięszam je . . z . . . mojemi . . . niech «odgadnie!

«Mój Boże!»

Ciemna purpura na tę roskoszną myśl wpłynęła na jej lice, oczy oblekła mgła.

Z uderzeniem jedenastej Edward wszedł do pokoju.

Znał wszystkie zakątki pałacu i miał klucz od ogrodowej bramy.

Ubrany jeszcze jak w salonie hrabiny, we fraku i w białej kamizelce, postąpił parę kroków naprzód i biorąc rękę, którą mu dziewica drżąc podała:

— Jakaś ty piękna Marjo! — rzekł, cofając się o krok by lepiej zobaczyć hrabiankę.

Ona schyliła głowę i odparła bezwiednie:

— Piękniejsza jak mama? —

Poprowadził ją do sofy i posadził przy sobie, tuląc obie jej dłonie w swoich.

Marja dała się powodować jak dziecię.

— Wczoraj, chciałaś koniecznie ze mną mówić . . . dziś, pozwól że ja przemówię pierwszy . . . niech już raz pęknie krępujące nas jarzmo! Po co cierpieć tak okropnie, błąkać się w kole niepodobnych marzeń, dziecinnych, nieuzasadnionych zawiści. Szczęście obok nas Marjo moja . . . bez wyciągnięcia nawet ręki mieć go możemy. —

Chciała coś odpowiedzieć.

On wstrząsnął zlekka dłoń dziewicy.

— Nie przerywaj mi! Nie od godziny wiem że mnie kochasz i cierpisz, że obraz pani de Marevelles przegradza nas od siebie. Przypuszczenia twoje mylne są jednakże.

Zarzuciłaś mi nie raz że udaję, że posiadam w wysokim stopniu talent zginania głosu i wzroku, wyrazu twarzy i ruchów nawet do okoliczności i stosownie do potrzeby.

Podnieś główkę i spojrz na mnie Marjo . . . będziesz że miała odwagę powtórzyć mi te słowa? . . .

Wychowany na rękach matki, która świat cały widziała we mnie, dla której byłem ideałem, wszystkiem na ziemi, smutkiem i weselem, łzą i uśmiechem, pocałunkiem i nieznośną boleścią, nauczyłem się z lat najdawniejszych mieć własną wolę i zadowalniać najszaleńsze nieraz zachcianki.

Pieszczota skrzywiła moje wychowanie; potem, przewroty polityczne w mej ojczyznie i długie dnie więzienia, wyrobiły we mnie dziwny charakter: na połowę ku niebu i na połowę ku ziemi. Wszystko złe i wszystko dobre pomięszane było w mej piersi, stąd zburzenie krwi i obłędzenie ducha. W pewnych chwilach życia byłem lepszy od aniołów; czasem gorszy od szatana zbrodni. W walce tej zaniedbałem przyrodzonych zdolności, talentu może, wyszarpałem się za młodu i gdy wybuchła kampanja z 1871 r. miałem w sercu popioły i do koła okropną, bezgraniczną próżnię.

Wyrazy: ojczyzna, rodzina, chata, zakazane nam tułaczom, ludziom bez jutra i bez celu w życiu, budziły we mnie wściekłość niezmierną.

Czem zasłużyłem na ten upadek? . . . czem zasłużyłem na wykluczenie z grona ludzi? . . . mówiłem nieraz w tęsknocie i zwątpieniu.

Do koła mnie mówili ludzie: człowiek jest panem swego szczęścia i niedoli.

To kłam, bezsens szkaradny i śmieszny.

Człowiek sam nic nie zdziała i wiecznie pozostanie wyrzutkiem w spółeczeństwie.

Sucha praca bez uśmiechu i bez łez. Bo uśmiech nie podzielony, to samolubstwo; łza na wewnątrz ściekła... pierwsza kropla jadu wyradzająca się w nienawiść.

Tylko wspólnie, razem . . . można coś zrobić dla drugich i dla siebie.

W takim usposobieniu umysłu, rzuciłem okiem za siebie. . . .

Ulotne miłostki, roskosz chwili ... w przyszłości dostrzegłem z trwogą pogrzebową noc piękna duszy.

I rzuciłem na papier słowa: kobiety są bez czucia, a przyjaźń ludzka towar, ofiarą własnej krwi i szczęścia nabybywany. Byłem na błędnej drodze . . . ni uczucia bowiem ni przyjaźni nie brakowało, tylko... ja szukać nie umiałem.

Po straszliwych dniach Orleanu, blądwłose dziecię Albjonu rzuciło się w moje objęcia. . . . .

. . . .

Marja słuchała młodego człowieka z sercem całem.

Rączki jej spoczywały w rękach Edwarda. . .

Zwrócony twarzą ku dziewicy, gdy mówił, czuła oddech ust jego, brała mu z nich każdy wyraz, prawie jeszcze nim wybiegł dźwiękiem z męskiej piersi młodziana.

— Mów dalej — rzekła, schylając głowę.

— Mary kochała mnie bardzo . . . może pod wpływem jej uśmiechu i ja kochałem trochę, ale pewnego dnia . . . poczułem w piersiach pożar prawdziwy, w sercu, które sądziłem umarłem, całe skarby nie spożytkowanego uczucia. Mam wielką siłę woli, więc nie dałem po sobie poznać tego nikomu.

Wybuch ten jednak ocuconej iskry . . . nie był dla Mary.

— Ach! — szepnęła hrabianka.

Budząca go we mnie, była dzieckiem prawie, spostrzegłem ją raz pierwszy, niezgrabną, drżącą i zarumienioną na mój widok.

Kochała mnie nie znając jeszcze. . .

I w myśli, zarzuciłem jej raz ramiona na szyję, i tuląc do siebie zapytałem pocałunkiem duszy, miałaż byś ty odwagę pójść za mną . . . podzielić los twój świetny z moim wygnańca losem, więcej . . . cierpieć, ale tak oczarować mnie uśmiechem, tak w danej chwili stanąć nawet wyżej nademnie, abym, błąkający się, powrócił znów do ciebie.

Byłażbyś zdolną mieć w ustach płynące z serca przebaczenia słowo, odwagę ofiary i siłę wytrwania? —

Dziewica słuchała go nieruchomo.

Mary, dla chwilowego obłędu, godziny zmysłowych upojeń w objęciach Naniny, porzuciła mnie. . .

Kochając mię, ni Angielka, ni księżna nie ważyły wiele. Pierwsza była sierotą nieznaną światu . . . drugiej, mąż był zasłoną w obec ludzi.

Tamta zaś, prócz narażenia się na obmowę i zniewagi, prócz cierpienia, przypuszczając rywalkę w własnej matce... gdy mnie spostrzegła myślą w obec plutonu wersalczyków, poświęciła mi honor swój i złoto bez względu na to co świat powie. . . A uczyniła to bezinteresownie, nie chcąc nawet, by z błogosławieństwem dla zbawcy, plątało się w sercu mem jej słodkie imię.

A oddech Marji zamarł w piersiach i siedziała tak pochylona, patrząc bezwiednie przed siebie.

— Marjo moja! — zakończył Edward, puszczając ręce dziewicy — od ciebie zależy moje szczęście . . . wierzaj mi! matka twoja nas już rozdzielić nie zdolna. . .

Marjo! jedno słowo z twych ślicznych ustek! mamże popozostać, lub oddalić się z tych miejsc na zawsze? —

Nie otrzymał żadnej odpowiedzi, tylko główka dziewczyny skłoniła się na jego ramię.

— Marjo —! Dopiero pochylając się zupełnie nad jej twarzą, spostrzegł że była bez przytomności.

Błyskawicą więc rospiął błękitny pasek peignoiru, chcąc zwolnić gorset kochanki.

Gorsetu nie było wcale . . .

I anioł stróż dziewicy, zasłaniając twarz swojemi szaty, wspiął się w górę smutny i ze łzą w oku. . . . .

. . . .

Brzask dzienny, walcząc z za ciemnych, zapuszczonych kotar okien, z bladawym połyskiem gasnącej lampy, zastał jeszcze Marję z Edwardem.

Uwolnione z opaski bujne włosy hrabianki, owinęły ich oboje błyszczącemi pierścieniami jasnego jedwabiu.

Aż odrzuciła w tył głowę i opierając dłonie na ramieniach ukochanego, podała się w tył cała.

I patrząc mu w oczy roskosznie i smutno razem:

— Czuję — rzekła cichutko — że to nasze szczęście nie potrwa długo. . .

— Dla czego? . . .

— Może mnie już tak nie kochasz jak przed chwilą . . . niestały! —

Wzrok jego pochylił się ku postaci ulubionej. . .

— A ty? — odpowiedział pytaniem Edward.

— Ja? —

Zsunęła mu się przechylając na sofę, i cisnąc kochanka drżącemi rączkami w roznamiętnieniu z uśmiechem na ustach i dwiema łzami w ciemnem oku, zaczęła mu szeptać do ucha jakieś wyrazy niezrozumiałe, dźwięki ciche, pełne nieopisanej melodji, powstałe w gorącem tchnieniu a umierające w długim pocałunku modlonej słodyczy.

Skutkiem nagłego ruchu dziewicy, drobna, rozzuta jej nóżka zabłąkała się wypadkowo na dłoń Edwarda.

Marja, dotknięciem tem i długiem pocałowaniem do reszty złamana, odchodząc od zmysłów prawie, wyprężyła się bezwładnie . . .

W poruszeniu, złota amaljowana spinka elastycznej opaski, zadrasnęła do krwi rękę obejmującą pieszczotliwie nóżkę dziewczyny!

Edward krzyknął mimo woli. . .

I w tejże samej chwili odpowiedział mu krzyk drugi. . .

. . .

Gdyśmy raz w lasach Biskaji unieśli młode lwięta na drugi brzek szerokiej, nieprzebytej przepaści, oszalała wściekłością matka wydała krzyk podobny, rzucając się naprzód zapamiętale.

Runęła naturalnie w przepaść.

Hrabina, z rozognioną twarzą, wzrokiem miotającym pioruny stanęła w podwojach budoaru.

Marja (rzecz szczególna, iż nie straciła przytomności) wypuściła z rąk Edwarda i poprawiając nieład stroju, zawołała z doskonale udanem zdziwieniem.

— Ty mamo? . . o tej godzinie? —

Parski powstał także za przykładem dziewicy.

Pani de Marevelles oprzytomniała już zupełnie.

— Kiedy ten pan się u ciebie znajduje . . . cóż tak dziwnego, że i ja tu przychodzę — rzekła zimno szyderczym tonem, postępując ku córce. — On obcy! . .

— Nie mamo! mocno się mylisz . . . pan Edward jest moim narzeczonym.

— Kochankiem! chciałaś powiedzieć. . .

— Jest moim narzeczonym — powtórzyło z mocą dziewczę — i za dwa tygodnie, będzie miał zupełne prawo tu przebywać! —

Pan Parski, nie mając co lepszego do roboty, skłonił się hrabinie głęboko.

Nie można było sobie postąpić niezręczniej.

Ukłon ten, wzięty za rodzaj naigrawania, do szaleństwa doprowadził kobietę.

Nadludzką jednak mocą, zwyciężając się w wybuchu, przysiąpiła do jednego z foteli i siadając na nim z uśmiechem, który szczególnie sprzecznym był z jej pomięszaną twarzą:

— Ach! Ach! — rzekła chmurno wesołym głosem — radabym posłuchać opowiadania!

Więc ten pan, jak utrzymujesz, jest twoim narzeczonym? . . . za dwa tygodnie ślub i prawo przebywania tytaj? . . . .

Powiedz-że mi Marjo, czy przepędził tu noc, dla ułożenia zaraz przedwstępnych punktów kontraktu, czy też prosto, dla zbadania miejscowości, aby się czasem nie omylił o piętro po ślubie? —

Zimnej krwi zabrakło dziewicy na tę piorunującą obelgę. . .

Nim Parski zdołał odpowiedzieć hrabinie, gdyż gniotący sarkazm do niego się odnosił właściwie, odpowiedziała gwałtownie, lecz z pewnym rodzajem wyzwania w głosie:

— O! ręczę ci mamo, że się nigdy nie omyli, ani tu, ani gdzie indziej! kocha mnie, kochał od dawna, kochał tylko

mnie od pierwszej poznania chwili — dodała z naciskiem na te wyrazy — więc mu ufam i odpłacam wzajemnością. —

Hrabina była pognębioną.

— Czy to prawda Edwardzie? — szepnęła.

On skinął głową w milczeniu, biorąc w swoje ręce rękę dziewicy.

— A więc słowa twoje, wynurzania się, dnie przepędzone przy mnie, zapewnienia przyjaźni i poświęcenia, były kłamstwem, bezecną komedją.

Odegrałeś ją pan dobrze, doskonale — poprawiła się, szarpiąc nerwowo połanki rannego negliżu — ale w jakim celu? . . .

— Nie grałem żadnej komedji pani hrabino. Zapewnienie życzliwości i przyjaźni, dziś jeszcze powtórzę z głębi serca. . .

Zresztą . . . sama żądałaś, bym poślubił pannę de Marevelles. —

Pięknej hrabinie brakowało tchu z uniesienia.

— Tak! — rzekła urywanie — tak . . . sama tego chciałam, dziś zaś . . . odmawiam mego pozwolenia. . .

— Oszczędź nam pani tej gorszącej sceny, która się tu odbywa! — rzekł z niesmakiem Edward, biorąc kapelusz w ręce — przynajmniej przez wzgląd na córkę. . .

— Dobrze! więc macie oboje moje ostatnie słowo:

Marjo! nigdy nie będziesz należeć do niego. Rozumiesz, nigdy!

— Już należę! — rzekła dziewica, przysuwając się do kochanka z zachwycającym ruchem główki, jakby chciała dodać — i ufam mu bez granic.

— To fałsz, fałsz, nieszczęśliwa . . . oszukujesz mnie! — bełkotała hrabina, spoglądając kolejno na dwoje młodych ludzi.

— Już należę do niego! — powtórzyła z mocą Marja — i jeżeli odmówisz pozwolenia, opuszczę pałac jutro, o wielkim dniu, mówiąc wszystkim po drodze, że idę do mego narzeczonego.

Ach mamo! i ty mnie nie znasz, gdy sądzisz, że w piersi mojej nie ma serca i uczucia.

Ja kocham i będę miała siłę kochać nawet w sprzeniewierzeniu, nawet gdyby mnie opuścił zupełnie. . .

Pani de Marevelles przyszła zupełnie do siebie. W oczach jej przebiegła nagle myśl jakaś, straszna i roskoszna razem, gdyż w błyskawicy gniewu zionącej jeszcze z spojrzenia przebijał uśmiech nasycić się mającej zemsty.

Ku bezgranicznemu podziwieniu młodych ludzi, schyliła głowę ku ziemi i rzekła cicho prawie.

— W takim razie, nic mi uczynić nie wypada, jak zezwolić na wasze połączenie.

Pan Parski jutro znajdzie je u mego notarjusza wraz z kontraktem, który będzie nieodwołalny. Ale nie będę na ślubie i widzieć was nie chcę więcej — —

Po wyjściu hrabiny, Marja przystąpiła do narzeczonego i obejmując go rączkami:

— Mój Boże! — szepnęła — ona coś niedobrego myśli, mój Edwardzie —

Wsparła mu główkę na piersiach . . . i dodała ze łzami:

— Ja się boję! —

On sam, nie pojmował nagłego pokojowego zwrotu pani de Marevelles, z tem wszystkiem jednak pomyślał sobie: no! może odmówić majątku? nie wielka szkoda! pojadę do Galicji, wyrobię sobie stanowisko . . . a miłość Marji mi do szczęścia wystarczy.

Pocałunkiem ukoił trochę rozpłakane dziewczę i opuścił pałac wesoły prawie.

W mieszkaniu, choć zaledwie ósma godzina wybiła w mieście, znalazł czekającego na siebie człowieka dość podejrzanej miny.

Gdy młody wygnaniec wszedł do przedpokoju, nieznajomy powstał i w milczeniu oddał mu jakiś list.

Parski rozwinął go i zaczął przeglądać. Z początku spokojnie, potem z coraz żywszem zajęciem, gdy jednak odwrócił pierwszą stronę, przerwał czytanie, i miętosząc list w lewej ręce, schwycił prawą oddawcę za szyję.

Na twarzy miał bladość trupa, drżące usta i wywrócone oczy.

— Nie wyjdziesz stąd żywy nędzniku, póki mi nie wyznasz prawdy! . . .

Nieznajomy, choć nie przygotowany na podobny wybuch gniewu, ani drgnął w żelaznym pierścieniu dłoni Edwarda.

— Gdzie hrabia, gdzie mój syn łotrze . . . mów!

— Powoli, powoli panie! zwolnij rękę trochę — chrapnął zapytany— zadusiwszy mnie, nic się nie dowiesz i pójdziesz jeszcze na galery . . . a tak grzecznie . . . za złoto — —

Młody człowiek puścił więźnia i widząc z kim ma do czynienia, poprowadził go do swego gabinetu.

XVII.

Idąc z Belfortu bitym gościńcem w stronę Besançonu, o nie całą milę za Montbeliard wznosi się, na lesistej pochychyłości, po drugiej stronie rzeki Doubs, maleńka ferma, zwana Sauresse, postawiona na gruzach dawnego myśliwskiego wypoczynku hrabiów władających niegdyś okolicą.

W domu mieszkalnym, zbombardowanym przez prusaków w 1870 r. pozostały w lewem skrzydle, dwa tylko pokoje na górze, jako tako jeszcze zachowane.

Dzierżawca, zamordowany podczas napadu nieprzyjaciela, ojcowie Jezuici z X. . . . których Sauresse własnością była, nie mając ochoty do odbudowania przed otrzymaniem obiecanej indemnizacji, pozostawili ją pod strażą jednego z swych ludzi.

Człowiek ten alzatczyk, Paweł Winkle, wcale dobrej nie używał opinji. Mawiano nawet iż mały mająteczek zebrany na posługach zacnych ojców, częściej pchnięciem noża, niż uczciwą pracą był zebrany.

Czegoż to ludzie nie wymyślają, by zaszkodzić religji?

Otóż, nazajutrz rano po rozmowie Edwarda z nieznajomym, zastajemy w jednym z owych ocalonych w napadzie górnych pokojów fermy, hrabiego Błażyńskiego i czcigodnego Bołowicza.

Kapitan, z krótką fajeczką w zębach, siedział na starej, w połowie obdartej z pokrycia sofie, przesuwając w ręku różaniec; meksykański zaś cabalero chodził szybkiemi krokami po pokoju.

Raptem zatrzymał się przed starcem i patrząc z szyderstwem na poruszające się usta nabożnisia i przesuwane zwolna paciorki:

— Et, rzuciłbyś w kąt do djabła ten fatałaszek, mnie blagować nie potrzebujesz stary! lepiej byśmy o sprawie pomówili.

— Znów bluźnisz Michale? — odparł kapitan, przerywając modlitwę.

— Nie! tylko mnie nudzisz tem . . . potwornie. Jeśli trafiasz na głupców, co wierzą, to chciej przynajmniej być tyle względny i wyklucz mnie z ich grona.

— Nieznośny jesteś dzisiaj . . . jakaż cię mucha ukąsiła? — zawołał hrabia wstając z siedzenia.

— Nie żadna mucha, ale mnie twój Paweł wcale nie cieszy, co więcej, powiem ci otwarcie, że nieobecność jego niepokoić mnie zaczyna.

— Sądzę, że lada chwila nadejdzie.

— Miał tu już być wczoraj wieczorem.

— Jeżeli jednak nie zastał Edwarda?

— Głupstwo! boję się, żeby nie zdradził.

— Nie miałby żadnej w tem przyczyny.

— Tak myślisz kapitanie? — odparł Bołowicz, kręcąc sobie cygaretkę. — Od dawna już mówił mi, że zamierza porzucić Francję . . . co, mówiąc między nami, jest nie złą myślą, bo wcześniej czy później gilotyna by go nie minęła . . . jeżeli więc łotr ma chęć rzucić się w inne kraje, nie zdziwiło by mnie, żeby chciwy jak stu razem żydów, sprzedał wszystko za parę rulonów złota Parskiemu . . . a wtedy? . . .

— Wtedy! — rzekł z drżeniem prawie mówiący — nie chciałbym być ani w twojej ani w mojej skórze. —

Nie wiele by miały wartości w rękach pułkownika.

— Przywidzenie mój Michale! — zakończył niedbale kapitan. — Nie takich on wywodził ze mną w pole. Co zaś do Parskiego, to ręczę ci, że tym razem jest zupełnie w naszej sieci.

— A savoir! — zagrzmiał we drzwiach głos jakiś i Edward blady lecz spokojny, ukazał się z rewolwerem w dłoni.

Przerażenie nędzników było tak wielkie, iż ani myśl obrony, ani ucieczki nawet im się nie nasunęła.

Kapitan upadł na sofę, chwytając za swój różaniec i ciągnąc z zanadrza jakąś skuteczną, przecim złym duchom relikwię.

Bołowicz o dwa kroki od wygnańca, szczękając zębami padł na kolana w modlącej postawie.

Edward powiódł po obydwóch wzrokiem pogardy i mruknął, zwracając się do majora:

— Najpierw z tobą mały rachuneczek rozbójniku! —

Podniósł rewolwer i zmierzył w głowę klęczącego opryszka.

— Łaski, łaski! — wybełkotał tenże, podnosząc ręce do góry, — powiem wszystko, lecz daruj mi życie! —

Na twarz mu wystąpiły ciemne plamy. Drżał jak w febrze z przerażenia.

— Schowaj na później tę komedję, panie majorze, nie chcę twego życia . . . ono należy się szubienicy . . . lecz żeby ci zostawić pamiątkę — —

Nędzasz usłyszał tylko pierwsze wyrazy: nie chcę twego życia. . .

Nie dojrzany prawie błysk przebiegł mu w swem oku.

W podobnych położeniach trwoga ustępuje spokojnie w jednej chwili.

— Lecz żeby ci zostawić pamiątkę tego dnia — ciągnął dalej Edward — oto mój upominek — —

Padł strzał i Bołowicz z jękiem wywrócił się na ziemię.

Nieszczęśliwy miał potrzaskaną czaszkę i na wskroś przestrzeloną dolną szczękę.

Parski pochylił się nad rannym i dodał półgłosem:

— Jeżeli się ruszysz, jak psa cię zastrzelę . . . wiesz że żywej duszy tu nie ma w pobliżu, a las do koła!

A teraz, panie hrabio na Błażynie Błażyński, nie odrodny synu zdrajcy, Jezuito, potrójny morderco, denuncjancie, złodzieju, godzina twoja wybiła przecie. —

I postąpił krok ku sofie.

Kapitan zasłonił sobie twarz rękami.

A najpierw, precz z tą odznaką honoru, trzydzieści lat na podłej błyszczała piersi . . . precz! —

I zerwał krzyż virtuti-militari z czamarki hrabiego.

Jak powiedzieliśmy, w nędzniku, ze wszystkich uczuć pogrzebionych w oratorjum ojca Józefa, ocalało tylko wspo-

mnienie pułku, może wiążące się z czystej młodości wspomnieniem.

Blady jak ściana, zerwał się z siedzenia i rzucił ku Edwardowi.

On zręcznym w bok skokiem uniknął napaści i celując do rozpierzonego starca.

— Jeden krok, jedno słowo, a zabiję. —

Kapitan widząc dymiącą jeszcze lufę broni, skierowaną ku swej piersi, ryknął z wściekłością, lecz pozostał na miejscu.

— Ach! hrabio! rozbudziłem ci krew w żyłach? . . więc jeszcze resztki uczucia w tobie nie wygasły? . . . więc czujesz że to okropna zniewaga zerwać komuś z ubrania krzyż i powiedzieć, że na podłej wisiał piersi? . . . Przypomniały ci się młode lata, prawda? . . .

O! nie lękaj się, nie jestem mordercą! i nie przyszedłem zabić cię bezbronnego. —

Zwykła wymowa zawiodła kapitana, stał ciągle nieruchomy i milczący.

A Edward ciągnął dalej.

— Mógłbym cię jednak zabić ze spokojnem sumieniem! Czyż nie ty zatrzymałeś mnie w X. . . rzuciłeś mi w objęcia szaloną Naninę, wydarłeś Mary, posyłając ją w onej nocy do pałacu de Narandole? Czyż nie ty wydałeś mnie skrępowanego jak bandytę . . . w ręce rospasanego zemstą Wersalu? Czyż nareszcie nie ty wydarłeś teraz dziecię biednej dziewczynie i kazałeś zawiadomić że je utracą, jeśli nie ugnę się przed waszą władzą, t. j. nie zostanę apostatą, trucicielem i . . . czemuż nie powiedzieć prawdy, podwójnym nikczemnym, złodziejem honoru i mienia braci?

Mógłbym cię zabić ziomku, spłodzony przez zdrajcę na nową hańbę ukrzyżowanej ojczyzny . . .

Tak . . . i zabiję z pewnością . . . ale . . . równą bronią walczyć będziemy . . . co więcej, bronią szlachetnych ludzi . . . i będziesz mógł powiedzieć w skonaniu chwili: po brudno podłem życiu pod maską religji popełnionych zbrodni . . . choć śmierć mnie uczciwa spotyka!

Pamiętasz! gdy cię jeszcze nie poznałem dobrze, jak często biliśmy się na szpady dla rozrywki, jak nieraz podziwiałem u siedmdziesięcio-kilkoletniego starca, młodzieńczą sprężystość dłoni i szaloną pewność uderzenia.

Bijesz się na szpady nawet lepiej odemnie. —

Wydobył lewą ręką z pod kauczukowego płaszcza, którym był okryty i cisnął na podłogę dwie krótkie bojowe szpady trójgraniaste i o stalowych pełnych zasłonkach przy nasadzie.

— Prędzej! . . . czego patrzysz tak na mnie skłonno i bezmyślnie . . . wybieraj . . . i do pozycji . . . może Bóg da, że zobaczę przecie jakiego to koloru krew w żyłach starego Jezuity.

Kapitan złożył dłonie na piersiach i cofając się w głąb pokoju.

— Nie będę się bił z tobą Eowardzie! — rzekł cicho lecz stanowczo.

Młody człowiek położył rewolwer na stole i podnosząc szpady, jedną uzbroił swoją prawą rękę, drugą zaś biorąc w połowie lewą, postąpił do kapitana.

— Czy mam ci plunąć na siwe włosy starcze? — rzekł z tłumioną wściekłością w głosie.

— Nie będę się i tak bił z tobą Edwardzie — powtórzył kapitan, patrząc upornie w twarz wyzywającemu.

On zawachał się chwilę, potem wypuścił szpadę i rzucając okiem na broń za sobą na stole . . .

— Chciałeś sam ... giń więc psie jak wyłeś i niech krew twoja — —

Nie dokończył.

We drzwiach, przy tonącym we krwi zemdlonym Bołowiczu, ukazała się wyniosła postać Zapalskiego.

— Ach! — krzyknął radośnie — nie przybyłem za późno! . . .

Edward spojrzał z niemem zdumieniem na przyjaciela.

— Ty tutaj? . . .

— Tak —

Twarz kapłana była do niepoznania.

Chwilowo, zmarszczki wyryte ośmioletniem cierpieniem, ustąpiły mu z niej, jakby różczką czarodziejską zwiane. Zgasłe i zwykle bez blasku oczy, świeciły jasno i wprost przed siebie patrzyły. Na czole bez chmury niewysłowiona pogoda.

— Edwardzie! — rzekł, biorąc za rękę młodego wygnańca — ustąp mi tego człowieka, on do mnie należy. —

Parski nie pojmował ani nagłego zjawienia się, ani mowy księdza.

— Wróć do X. . . spokojnie i zostaw nas samych — powtórzył łagodnie, lecz zarazem nakazująco Zapalski. — Mówię ci, że on do mnie należy.

— Ależ nie pojmuję — zdobył się na odpowiedź młodzieniec.

— Pojmiesz potem Edwardzie. —

I chyląc się ku twarzy przyjaciela.

— Ty mścisz kochankę, mój drogi — dodał, ściskając mu dłoń w żelazie — a ja . . . ja . . . mszczę hańbę mej siostry. —

Przedstawienia były zbyteczne, Edward dobrze to pojmował, w milczeniu więc wyszedł z pokoju.

W sieni usłyszał głos księdza:

«Na kolana hrabio i módl się jeżeli możesz, bo za dwie «minuty staniesz przed sądem Boga.»

Usłyszał także głuchy szelest zwodzonej broni.

Na dworze, od strony lasu, w pobliżu swego wierzchowca, spostrzegł ulubioną arabską klaczkę Marji de Marevelles w krwi i pianie tarzającą się po ziemi.

Biedne zwierzę, zagonione szalonym galopem, oddawało już ducha rżąc żałośnie.

Wtedy zrozumiał, jakim sposobem ksiądz mógł tak szybko przebyć siedmio-milową przestrzeń dzielącą Sauresse od X. . .

Odwrócił swego konia, wskoczył na siodło i zaczął nasłuchiwać ze drżeniem.

Głęboka cisza panowała do koła.

Raptem, padł strzał . . . jakby w oddaleniu, lub murami przytłumiony i jednocześnie przerażający krzyk konania i śmierci. . . .

Potem znów głucho, jak przed chwilą.

Zwrócił konia na drogę i popędził w stronę X. . . .

XVIII.

Po napisaniu ostatnich wierszy poprzedniego rozdziału, sięgnąłem po paczkę papierów noszącą, ręką Edwarda skreślony napis: zakończenie.

Rozerwałem opieczętowanie. Na pierwszej kartce dużemi literami słowa:

«Do druku, ale aż po mojej śmierci.»

Poniżej zaś: Obraski z życia mego na własnej ziemi.

Szkice te mogące zupełnie odrębną stanowić powieść, ogłosimy publiczności w dalszych serjach prac naszych. Na dziś ograniczymy się na powiedzeniu, że tym co wiele cierpieli, wiele przebaczyć trzeba i że są chwile w życiu, w których człowiek utraca poczucie wszelkich towarzyskich względów, a zgnębiony niedolą, za jednostronnie może zapatruje się na świat i ludzi. Wtedy pióro musi zionąć jadem koniecznie. Jeśli jednak sarkazm i gorycz poglądów naganne są w piśmiennictwie, o ileż więcej potępiać trzeba tych, co wywołują podobny sposób pojmowania i przedstawiania rzeczy.

Zgadzam się zupełnie na to, że niechęć, którą w Galicji sama nazwa «wygnaniec» obudza, usprawieliwoną jest w części, nie zawsze oględnem postępowaniem wielu z wywołanej politycznemi wypadkami drużyny; czyż jednak godzi się za wykroczenia jednostek, ogół pociągać do odpowiedzialności i właśnie uderzać w najdraźliwszą stronę ludzi, którzy wszystko utracili?

Macie ojczyznę, rodzinę i przyszłość złożenia spokojnie pod własną strzechą głowy; trzy skarby, które nam znane są tylko z nazwiska. Czyż Polska ogranicza się na ziemię, której granice traktatem wiedeńskim zakreślono?

Wychowani pod jarzmem, o którem mówicie prawda co chwila, lecz ni jego ciężaru, ni doniosłości w skutkach pojąć nie jesteście zdolni, gorącej może czujemy i więcej działamy niżby wypadało na dzisiejsze czasy, jednak ni zbytek uczucia ni nierozwaga w czynie, nie powinny być za zbrodnię uważane.

Władacie dwoma piorunami, może i nie wiedząc o tem: szczęścia i bezgranicznej boleści.

Rzuciliście nam na głowy ten drugi!

Wracającym wygnańcom z łzą wesela w oku odpowiedziano donosem i proskrybcją.

Z nami, lub ... precz! zawołano do koła.

I kiedy można było odrobiną dobroci i pobłażania sprowadzić wychodźtwo z drogi mrzonek o gromowem jutrze na pole pracy dalszej może, lecz tem pewniejszej przyszłości, stanęliście groźno, otaczając murem wasze chaty, lodem serca, w których przecie krew polska płynie.

Bez potrzeby bym mówił dalej:

Galicja, w osobach swych przedstawicieli w sejmie i w radzie państwa, stojąc w obec rządu jak jeden mąż i wyjawiając swe żądanie nie z czapką w ręku w przedpokoju ministrów i złamana we troje potwornym ukłonem serwilizmu, ale dumnie i spokojnie, jak przystało na naród, co nie zapomniał Metternicha i Szeli, Galicja wtedy, powiadam, otrzymała by posłuchanie.

Już bowiem w naturze ludzkiej spoczywa, że uchyla się przed szlachetną dumą, a gardzi poddaństwem i czołobitnością, choćby one z pod mitr książęcych i pięciowiekowych herbów urosły.

«My, Polacy, w zamian za dziewięćdziesięcioletnią mękę «i poniewierkę, w zamian za wyssanie z wielu naszych czer«wonej krwi, z żył, a napuszczenie natomiast czarno żółtej «posoki, za całą niedolę i poniżenie jakieśmy znieśli i jakie «jeszcze znosić będziemy zmuszeni, żądamy, aby proskrybo«wani przez Moskwę bracia, mogli spokojnie dobijać się u nas o chleb powszedni.»

Polska wie dobrze skąd na nas lecą pociski. Czasy bowiem terroryzmu minęły już w Austrji i nie ma siły, która by nam ojczyznę wydrzeć mogła, gdybyście wy na to nie pozwolili. . .

Jeszcze jedna bolesna uwaga do zapisania:

Obca, niemiecka, więc po części wroga Polakom ziemia, znów przygarnia tułaczy, a jeśli ponowne rozbitki wstępują do krajów, gdzie idzie «siła przed prawem» dostają pracę, bezgraniczną wolność pobytu i nadzieję ustalenia sobie przyszłości.

Gdy jednak w jakiem niemieckiem towarzystwie zabłąka się Polak, wygnaniec, i zapytają go czemu opuścił Galicję . . . nieszczęśliwemu rumieniec wstydu krwawi lice, natrętna łza drży za powieką i . . milczy uporne.

Miałże by powiedzieć prawdę? . . .

Jak więc powiadam, przeglądając rękopis Edwarda «Na własnej ziemi», choć sam nie zbyt przychylne wywiozłem tamtąd mniemanie, odłożyłem go ze smutkiem i . . . trochę niesmaku może.

Czy to podobne do wiary? . . . szepnąłem, rzucając okiem na rozwieszoną na ścianie kartę geograficzną Lelewela i kraj wasz ujęty w niej chlubnym napisem: Polska ziemia.

I siedm trupów stanęło mi przed oczami:

Widma.

Każde z nich miało coś w dłoni:

Jeden nóż, drugi truciznę, trzeci rewolwer, inny jeszcze coś nakształt stryczka. . . .

To samobójcy!

A na każdem czole wypisanym był tytuł Edwarda, w każdem licu wyrazy: tęsknota i nędza!

Zamyśliłem się głęboko.

Smutne dumanie przerwał służący, przynosząc mi z Włoch telegram od Blanki.

«Castellamare villa Concini. — Przybywaj pan natychmiast, «koniecznie, koniecznie, Edwarda dni policzone» żądała w nim dziewica.

W pięć dni Popolo, steamer neapolitański, wysadził mnie na brzeg w Castellamare.

Dla lepszego zrozumienia sceny, której byłem świadkiem nazajutrz po mojem przybyciu do willi, zamieszkiwanej przez Edwarda i Blankę, udajmy się najpierw za młodymi ludźmi, gdy opuścili Drezno z polecenia zacnego lekarza, a jak się później dowiedziałem i skutkiem materjalnej pomocy udzielonej im przez tego ostatniego.

Towarzyszka wygnańca telegrafem wynajęła willę, zamówiła doktora i tak wszystko szczęśliwie i spiesznie urządziła, iż zniesiony we śnie z lekkiej, wysłanej materacami gondoli,

zbudził się dopiero na terasie mieszkania w upajającej woni kwiatów błękitnej Italji.

W siedm dni niespełna niebezpieczeństwo minęło zupełnie i chory mógł się już przechadzać trochę, wsparty na ramieniu dziewicy.

Mamże opisywać czułe starania siostry i pieszczoty kochanki, któremi go obdzielała?

Nie ma głębszych i gorszych ran w życiu, jak zadane przez kobietę, ale też tylko kobieta zagoić je potrafi.

Jednego dnia, na miękkiem kobiercu rzuconym w trawę, w cieniu kilku drzew cytrynowych, spoczywał wygnaniec.

Blanka obok niego czytała głośno powieść Dumasa syna «Antonine.»

On słuchał z żywem zajęciem opisu poświęcenia córki doktora, gdy jednak dziewczę w najciekawszem miejscu zatrzymało się raptownie, podniósł zwolna głowę i spojrzał na nią zdziwiony.

Zarumieniona, upuściła książkę na kolana i chyląc się ku Edwardowi, szepnęła zaledwie dosłyszanym głosem:

— Chcesz bym cię ocaliła jedyny? —

W słowach tych było naiwne wyznanie miłości dziewczęcia, miłości co tak długo płonęła w jej sercu.

Edward dawno wiedział dobrze, że żywsze od zwykłej przyjaźni uczucie obudził w dziewczynie. Sam także miał wiele życzliwości dla tej, co mu po raz drugi chciała ocalić życie . . . czyż to jednak wystarcza? . .

— Dobrze Blanko moja! — odparł, obejmując jej kibić rękami — za dużo ci winien jestem wdzięczności i cenię cię za wiele, aby uwodzić dzisiaj, lub wskazywać weselszą przyszłość.

Dość smutków miałem w życiu, dość mi dzisiaj pozostaje wyrzutów sumienia, po co więc dorzucać jeszcze jedną łzę do przelanych, jedną kroplę trucizny do przepełniającej się już czary?

W mojem sercu ruina i popioły; po nich błąkają się dwa cienie Mary i Marji de Marevelles. Okropna scena z Sauresse, niepojęte zniknięcie twej krewnej i samobójstwo Mary, leżą mi na piersiach ciężarem, którego twoje pocałunki i najżywsze pieszczoty zrzucić by nie mogły. —

Ona płakała w milczeniu, oparłszy głowę na ramieniu mówiącego.

— Jestem otwartym, rozdzieram ci tem twe serce, biedna Blanko moja . . . czyż jednak wolałabyś nieszczerość z mej strony? . .

Gdybym dziś mógł zatrzeć w sercu i pamięci ponure wczorajsze widma, właściwie gdybym nie przechodził wcale tak bolesnych kolei w życiu, posiadając jak dawniej wolne serce, myśl swobodną, wiarę w ludzi i zasób odwagi na ciężkie próby losu, złożyłbym je u stóp Blanki de Langis i powiedział jej:

Kocham! bądź moją na wieki!

Dziś, przywykłem czytać w twem uroczem licu, co jasno myśli dusza; roskosznie mi oprzeć głowę na twej piersi, słuchać jego uderzeń i dłonią objąć twą wiotką postać i patrzeć w błękitne oczy. . .

Rozdział z tobą Blanko kosztował by mnie dziś życie.

Nie wiele, prawda? — ciągnął ze smutnym uśmiechem — bo czyż dni moje nie są policzone? . . . Byłoby jednak zbrodnią z mej strony, przywięzywać kwiat do trupa . . . ciebie szkoda aniele mój na życie niedoli!

Oto już sześć miesięcy więdniejesz w poświęceniu. . .

Za długo żyję! . . . i — —

Namiętny pocałunek zdjął mu błądzące na ustach fatalne słowo. . .

Nie bronił się . . . bo złamany życiem i straszliwą chorobą, nie miał już ni odwagi ni siły. . .

A ona go tak kochała!! . . . .

. . . .

Tym czasem w zakładach budowy okrętów w Tulonie pracował po dwanaście godzin dziennie jeden Polak, niegdyś kapłan w swej ojczyźnie, przekonany o morderstwo.

I jeszcze morderstwo hrabi!

Sroższa nierównie kara!

Sąd sprzysięgłych w X. skazał go na dożywotnie więzienie, kościół wyklął z swego łona, ogół odsądził od czci i wiary.

Szlachetny morderca, choć jednem słowem mógł był pociągnąć przed kratki ojca Józefa, wprowadzić władze na trop

bandytów, których choćby potem i puszczono bezkarnie, zawsze jednak nieszczęśliwy miałby cześć ocaloną, nie wyrzekł tego słowa.

Miałże schańbić swe imię, i opowiadać niedolę obłąkanej siostry?

Gdy go zapytano: — Zabiłeś?

— Zabiłem! — odpowiedział.

— Dla czego?

— Bo hrabia zasłużył na śmierć i to z niczyjej jak z mojej tylko ręki. —

Więcej wydobyć zaś nie można było.

Więzień przepędził półtrzecia roku przykuty do łańcucha i dwudziestopięcio-funtowej kuli, śniąc wolność, marząc o sposobie wydobycia się z turmy.

— Nie dla mnie, Bóg widzi! — mawiał czasami do towarzysza, który musiał być koniecznie wtajemniczony w te marzenia, bowiem nieszczęśliwych kują po dwóch razem w celu utrudnienia im ucieczki, ale dla mego przyjaciela; to ja jeden tylko wiem, że dziecię jego żyje, ja jeden wiem gdzie się znajduje. —

W pewną noc ciemną, przy dobrze opłaconych towarzyszach niedoli wyłamali się z pontonu i rzucili się w morze.

Świst wichru nie dozwolił placówce usłyszenia plusku ciał spadających w wodę.

Bóg czuwał nad niemi na oszalałej bezdni.

Nareszcie włoska feluka przyjęła uciekających.

Zapalski miał przyjaciela w Turynie.

Jednego z tych dusz oddanych zupełnie drugim, których coraz rzadziej na ziemi.

Gdy cały Tulon był w poruszeniu i co dzień po salwie jutrzni dwa przeciągłe grzmoty działa miejskiej terasy zawiadamiały, że zbiegów jeszcze nie schwytano; gdy olbrzymie Malosy, z krwią nabiegłem okiem i zapienioną paszczą wietrząc czerwoną kochankę, przebiegały okoliczne lasy, ksiądz przejeżdżał Szwajcarję, zmierzając w okolice X. . . gdzie synek Edwarda był u mamki zostawiony.

Ważył tam życie w razie poznania*) lecz dla przyjaciela!...

*) Skazanych dożywotnie a wyłamujących się i znów schwytanych zbrodniarzy, najczęściej gilotynują potem w więzieniu. Przyp. autora.

Zapłacił co się należało i zabrał nie spełna trzy lata mające chłopię do siebie . . . nie potrzeba piastunki . . . i to umiem.

Chodziło teraz o znalezienie Edwarda, bowiem od czasu jego wyjazdu do Galicji, wymiana listów ustała zupełnie.

Jak jednak powiedzieliśmy wyżej: Bóg czuwał nad swym godnym kapłanem, i w Strasburgu wpadł Zapalskiemu jakiś dawny numer dziennika polskiego, zapomniany w szafie pokoju hotelu, w którym stanął w przejeździe przez to miasto.

Z nudów, wieczorem jął przewracać łamy pisma i z radością wyczytał w kronice następujące doniesienie:

«Jeszcze jedna ofiara na naszej ziemi! P. Edward Parski,
«literat, wywołany został z państwa austrjackiego. Wygna-
«niec obrał Drezno za miejsce pobytu.

«Czyż długo jeszcze ci, od których zależy przerwanie po-
«dobnych znęcań nad naszą bracią, będą spoczywać w śnie
«na swych kurulskich krzesłach?»

Napisał list do królewskiej policji w Sasów stolicy i odpowiedziano mu, że poszukiwana osoba udała się w towarzystwie damy do Neapolu.

Raz w Neapolu, łatwo odszukał schronienie Parskiego w Castellamare.

Pewnego cichego wieczoru, bohater i Blanka siedzieli przy otwartem oknie saloniku willi, gdy w otwartych drzwiach ukazał się Zapalski z małym Edwardem na ręku.

Blanka, nie znając księdza osobiście, domyśliła się jednak wszystkiego i z czarującą przytomnością, zanim jeszcze wygnaniec przemówić mógł słowo, biorąc z ręki kapłana uśmiechające się dziecię, przystąpiła do młodego człowieka, mówiąc z pełnem miłości spojrzeniem:

— Syn twój ma teraz matkę! mój jedyny! —

. . . .

Edward rzucił się w objęcia przyjaciela.

Potem długie opowiadań godziny.

Młody człowiek opisał księdzu gorzkie zawody, potrójną proskrybcję w Galicji, wypuszczenie nań hyeny austrjackiej policji, z których najzajadliwszy komisarz Ben w Krakowie niegodziwość do tego posunął stopnia, iż zniszczył paszport

przez Namiestnictwo mu wydany, i wbrew nakazowi swojej wyższej władzy, pieniądze przeznaczone dla proskrybowanego, cynicznie do własnej zagarnął kieszeni . . . nareszcie poświęcenie Blanki i jej cierpienia.

— Dziś — zakończył, anioł jest moją żoną i . . .

— Dokończ — rzekł ksiądz łagodnie.

— I sądzę, że . . że ją kocham nad życie.

— Lecz Marja? — szepnął słuchający. — Co się z nią stało? Bo wiesz przecie, iż nazajutrz po zabiciu Błażyńskiego zostałem aresztowany. —

Edward zachmurzył lice i rzekł zmienionym głosem:

— Marja, w trzy dni po twojem uwięzieniu zniknęła bez śladu. —

Zapalski spojrzał nań uważnie . . . badawczo prawie; zamilkł jednak, widząc, że dalszemi pytaniami sprawił by przykrość, może i boleść przyjacielowi.

— Po mojej śmierci dopiero dowiesz się okropnej prawdy — dodał jeszcze wygnaniec, zauważywszy niepewny wzrok i surową twarz kapłana. — Teraz ani słowa. —

Tak miesiąc cały upłynął bez chmury.

Parski, coraz więcej wracając do sił, pisał dnie całe.

Wieczory i część nocy spędzali we troje na terasie lub w salonie, słuchając ślicznych włoskich pieśni, których pełna była zatoka i wybrzeże.

Czasem Blanka grała na fortepianie.

Raz Edward wrócił z samotnej wycieczki w dziką, skalistą okolicę, uskarżał się na niezmierny ból głowy i poszedł wcześnie do spoczynku.

Nazajutrz trzeba było wezwać lekarza.

Blance dziwne przeczucie ścisnęło serce, a choć wezwany oświadczył, że to przelotna febra tylko, młoda małżonka tułacza spędziła dzień i noc całą następną przy jego łożu.

Febra nie ustępowała.

Lekarz tracił głowę tem bardziej, iż chory był zupełnie przytomny, a tylko żalił się na niezmierny ból głowy i drgania nerwowe we wszystkich członkach.

Przywołano dwóch jeszcze, lecz nic stanowczego orzec nie mogli.

Szóstego dnia dopiero, z wielką oględnością szepnęli Za-

palskiemu, że przypuszczają otrucie chyba, ale im nie podobna zbadać rodzaju trucizny, stąd więc i antydotum niewiadome.

Zręcznie badany przez przyjaciela, Edward przypomniał sobie tylko, iż gdy wracał z owej wycieczki do domu, zastąpiła mu drogę mała dziewczynka ofiarując prześliczny ananas w liściu jeszcze.

— Strudzony drogą, upadając prawie z pragnienia — ciągnął dalej chory — zjadłem owoc, uważając jednakże, iż nie musiał być z dobrego rodzaju, gdyż w ustach mi po nim niezmierna cierpkość pozostała. Ale . . . czyżby mniemano, żem otruty? — zakończył, patrząc na kapłana.

— Nie! lecz doktorów dziwią niezwykłe objawy twej choroby. —

Edward kiwnął z niedowierzaniem:

— Nie bardzo są uczeni tutejsi lekarze! oto i cała tajemnica ich zakłopotania; bo trudno przypuścić, aby jeszcze dzisiaj ojcu Józefowi zależało co na mojej śmierci.

— Nie znasz dobrze Jezuitów . . . gdyby przy tobie twego syna, Blankę, a nawet i jej całą rodzinę i wszystkich co ci są życzliwi wygubili, to by mnie wcale nie dziwiło. Jeśli jeszcze mówiłeś komuś o pracy twej: Na własnej ziemi i o tem, że godziwości galicyjskich łamów tego towarzystwa chcesz odkryć przed światem, możesz być pewny że cię nie zostawią w pokoju.

— Godzę się z losem — odrzekł spojnie chory. — Kiedyś przyszłe pokolenie, odnajdzie może prace moje, spożytkuje w nich sobie i prawo . . . o więcej mi nie chodzi wcale. —

Drugiego dnia rano, nieszczęśliwy zerwał się z krzykiem z pościeli.

Miał gorączkowe rumieńce na twarzy, wzrok błyszczący i zimne jak lód ciało.

Nie majaczył wcale, lecz chłodno, spokojnie wypowiadał rzeczy na pozór nader zrozumiałe, przy których słuchaniu żonie i Zapalskiemu włosy powstawały na głowie.

Przemocą sprowadzony do łóżka, usiadł na posłaniu w objęciach Blanki i dalej snuł swe okropne przywidzenia.

— Czy widzisz księże! — wołał, wskazując dłonią ku wschodowi — ten lud potrójnie sprzedany!

Panom jego, obcy tyrani wydarli batog z dłoni, mrucząc

z tygrysiem spojrzeniem: niewolnicy biją się tak dobrze jak i wolni, motłoch rospasany namiętnością, nigdy!

Więc krzyknęli: wódki dla ludu:

I wnet tysiączne powstały gorzelnie i pan, mszcząc się za utracone prawo pierwszej nocy, pańszczyznę i roskosz zakatowania na śmierć nie obejmującego mu kolan chama, osadził we wsi żyda i powiedział mu poufnie: ja gorzałką handlować nie mogę, zastąp mnie, dawaj na kredyt, trać nawet ... ja ci to wynagrodzę, a zyskiem się podzielimy...

A tam znowu trzask policzków i szelest śliny spadającej na czoło. . . .

O zgrozo! . . . to nasz sejm narodowy . . . delegacja do rady państwa. . .

Serwilizm z jednej strony; z drugiej, wzgarda.

Zrywam dachy domów i patrzę do wnętrzy:

Rospusta!

Rostwieram piersi i patrzę w serca:

Robactwo!

Rzucam wzrok w świątynie Pana:

Sponiewierane jezuicką komedją.

Wszędzie polityka zabobonu i głupoty.

Nad tem wszystkiem gruby kij z czarno żółtą chorągiewką i napisem: konstytucja.

Nie służy już do bicia, tylko do obiecywania.

Postęp czasu!

I wszystko uchyla swoje czoła przed cielcem z podejrzanego kruszcu struganym. . .

Księże! widzę iluminacje do koła i słyszę . . . czy ucho mnie myli . . . słyszę olbrzymie «hoch!» wybiegające z ust narodu.

Okrzyk bez odpowiedzi. . .

Tylko gdzieś daleko, w wysokich, ciemnych murach nad Dunaju wody, obce twarze, szatańskim wykrzywione uśmiechem.

A śmiech podwójny:

Nienawiści i . . . wzgardy! —

Upadł bez sił na łożu i po chwili znów dalej potworne opowiadał dzieje. . . . .

. . . .

A ksiądz, morderca skazany przez prawo, w imię przeba-

czającego nędzarzom Chrystusa wykluczony z Kościoła, odarty z czci przez ludzi, klęczał przy chorym rodaku ... i łzawem okiem rzucając na błękitne mórz przestworza i na błękitne nad morzami niebo, modlił się za tych co za wiele cierpieli na świecie.

I za tych, których wszystkiego pozbawiono. . .

I za tych jeszcze, którym ojczysta ziemia odmówiła grobu nawet. . .

Choć mogiła, to rzecz nie kosztowna wcale. . .

Choć mogiły się nie odmawia!

XIX.

Gdym przybył, Blanka mnie przyjęła we drzwiach willi.

Kobieta, którą kilka miesięcy przedtem znałem pełną wdzięku dziewicą, na której białem, aksamitnem licu, wschodządze słońce młodości, w pełni rozlewało swą purpurę, była teraz bladą i wynędzniałą. Oczom marzycieli lubiących tęskniące za pogodą kwiaty, wydała by się może piękniejszą jeszcze, lecz ja dawno już nie marzę i ścisnęło się me serce, gdym spojrzał na tę istotę bezgranicznem złamaną cierpieniem.

Uścisnęła mi serdecznie rękę i tłumiąc łzy, rzekła półgłosem:

— Chodź pan, chodź! umiera nieszczęśliwy. —

W pełnym zieloności pokoju, o trzech rozwartych szeroko parapetowych oknach, na niskiem, włoskiem łożu, spoczywał Edward w głębokiem śnie pogrążony.

Przy nim, w fotelu, ksiądz Zapalski, trzymając w ręku książkę do modlitwy; u stóp [illegible] dosuniętym taburecie, wierna Fatma z opartą [illegible]iczną swą podłóżną głową, topiła w twarzy pana swe czarne, szeroko rozwarte źrenice.

Biednę zwierzę, od trzech dni żadnego nie chciało przyjąć pożywienia; od trzech, kryształowo martwe oczy miało zwrócone na chorego.

W XIX. stuleciu zwierzęta mają już tyle uczucia co ludzie.

Lękam się spojrzeć w przyszłość. . .

Ksiądz powstał na moje przybycie, podał mi rękę i poprowadził do łoża Edwarda.

— Widok jednego jeszcze przyjaciela, może mu choć na dzień jeden życie przedłuży — rzekł smutno, rzucając wzrokiem na zapadłe lica umierającego. — Będziemy teraz czuwać nad nim w czworo! —

I pogładził dłonią lśkniącą sierć olbrzymiej harcicy.

— Ale cóż było przyczyną tak nagłego pogorszenia? — szepnąłem. — Ja nic nie wiem, Blanka telegrafem mnie tylko wezwała i . . . nie pojmuję. —

Zapalski wskazał mi krzesło obok siebie.

— Uśpiony z polecenia lekarza, Edward się zaraz jeszcze nie obudzi — odparł chmurno trochę — więc opowiem to panu dokładnie. —

I cichym, czasami łzawym, czasem szatańską, choć tłumioną wściekłością tchnącym głosem, oznajmił mi to, co już w poprzednim czytaliśmy rozdziale.

Nigdy nie miałem wiele sympatji do ludzi, dla jakich bądź przyczyn, chcących wyróżniać się od kroci. W ogóle nawet, widok księdza, od dzieciństwa niemiłe na mnie sprawiał wrażenie i nie mogłem nigdy znosić czarnej szaty, tajemniczo ku ziemi pochylonego spojrzenia, wybladłych wybuchami namiętności twarzy, ukradkowego chodu i bezdźwięcznego głosu, tych po większéj części pasożytów ludzkiego społeczeństwa.

Mimo jednak wrodzonego dla nich wstrętu, nie mogłem przypuścić, aby mord na osobie Edwarda popełniony, był dziełem bałwochwalczych sług Rzymu.

— Prędzej księżna — rzekłem w zamyśleniu.

— Nie panie! znam panią de Narandole dobrze i gdyby chodziło o Marję, Blankę lub Mary, nie byłbym dalekim od uwierzenia w możliwość zbrodni, tem bardziej, że jak pan wiesz z manuskryptu Edwarda, który ci będzie wolno ogłosić dopiero po śmierci przyjaciela, ciężkie na nią spada podejrzenie. Księżna jednak za nadto go kochała i za nadto była kobietą, mimo wad wychowania i jezuickiego wpływu, aby mu zadać truciznę.

Sam jestem kapłanem i choć dziś błotem i pogardą okryty, czuję i myślę, zastanawiam się i . . . przewiduję.

Posłuchaj:

Jak pijawka, wpięta w łono najczystszej religji, religji miłości, braterstwa i przebaczenia, istnieje na świecie stowarzyszenie ludzi, mających stopy we krwi, ręce po ramiona w zbrodni i rospuście, czoła w niebie. . .

Ludzi tych, szatan złego, t. j. rospasane namiętności wichrzące światem od czasu jego istnienia, namaszczają już w kołysce na katów ludzkości, kładąc im na czoło miedź, aby ślina spływała zeń bez śladu, w żyły krew białą, aby się wstydem nie purpurzyło lice, w łono serce hyeny, aby się mogli bez wzdrygnięcia znęcać nad trupami nawet.

Ludzie ci, marzą tylko pożogę i zniszczenie . . . celem ich złoto.

Ile razy rodziny ludzkości podniosły bratobójcze miecze na siebie; ile razy nad cichemi chatami pracowitego kmiotka zawisła niedola w postaci mordu, grabieży i płomieni; ile razy smutne matki płakały nad mogiłami swych dzieci, shańbione dziewice nad uleciałą cnotą, młódź nad utraconą dziecinną wiarą, starce nad spodlonem młodem pokoleniem, wygnańce patrząc na ruiny rodzinnej ziemi, potrzaskane sztandary i pojmaną zdradą rycerską drużynę . . . ludzie ci wyrastali jak z ziemi.

Stado kruków, lecące na pohulankę zgliszcz i śmierci, korzystać o wielkim dniu z przygotowanego śród czarnej nocy dzieła.

Mówicie: we wszystkiem, co złe lub dobre na świecie, szukać trzeba kobiety? . . .

To prawda: lecz ja się ośmielę dorzucić jeszcze; iż we wszystkiem co płaskie myślą, brudne sercem, roskiełznane chucią, chciwe złota i władzy, szukajcie jezuity. —

Ochłonął z uniesienia i smutno ciągnął dalej:

— Nie sądź pan, że nienawiść mówi przez moje usta! zresztą . . . choćby i tak było? Czyż synowi, któremu matkę żywcem pogrzebano, wolno jest kochać oprawców i dusicieli pomagających męczeństwa rodzicielki?

Choć dziś czci pozbawiony, odsunięty od ołtarza i wiecznem naznaczony przekleństwem, jam jest jednak wiernym i prawym kapłanem Chrystusa religji i podnoszę czoło do

góry i śmiało patrzę na niebo, mówiąc: panie! według twej sprawiedliwości osądź mnie za to, żem pomścił hańbę siostry, niedolę przyjaciela i spodlenie tysiąca braci moich! osądź mnie, żem nie umiał wyrzec: stań się wola Twoja . . . bo ja nie wierzę, aby zbrodnie i rospusta, podłość i chciwość mord i pożoga, za wolą twoją błądziły wśród ludzi! —

Tu powstał, i z przerażającą pewności powagą:

— Edward umiera otruty — zawołał, skazując dłonią na łoże.

— Patrz! . . . o kilka set mil od ojczyzny, jedno z jej wiernych dzieci oddaje ducha w tęsknocie i boleści; serce, co biło dla ukrzyżowanej matki, zastyga w łagodnym szmerze wód obcych, co myją stopy gościnnej obcej ziemi.

Przy konającym: jutrzejsza wdowa, sierota, i wierny poczciwy pies.

Na śmierć nędzarza patrzą jeszcze dwaj ludzie, których podobna przyszłość czeka może!

. . . .

. . . .

Tu chłodne dotknięcie dłoni chorego, wstrzęsło mnie i zwróciło twarzą ku łożu.

Edward przebudzony witał przyjaciela bladym uśmiechem konania.

— Nie chciałem umrzeć przed obaczeniem cię Feliksie! Przybywasz przecie. Dzięki więc za tę ofiarę! —

Dalej nię mógł mówić nieszczęśliwy . . . przybyłem za późno.

Blanka wprowadziła do pokoju dziecię wygnańca.

Drobna istota nie pojmowała swej niedoli.

Zerwała kwiatek w przechodzie przez pełną wazonów sąsiednią salę i z uśmiechem przystąpiła do ojca.

Zapalski powstał i czystym poważnym głosem zaczął modlitwę za konających.

Klęcząc do koła Edwarda, słuchaliśmy jej w milczeniu.

On z dłońmi złożonemi na wyschłej piersi, zamkniętemi oczami, dosłyszanym zaledwie oddechem, leżał bezwładnie w pościeli.

Lekarz opuścił go rano, prosząc, aby go wezwać, gdy się chory obudzi.

Posłano po lekarza.

Raptem, podwoje rozwarły się z trzaskiem, który ożywił oczy umierającego i do pokoju rzuciła się, daremnie przytrzymywana przez sługę kobieta, wyniosłej postaci, w czarnym stroju żałoby.

Odrzuciła welon z twarzy i z jękiem i łkaniem rzuciła się do Edwarda.

On, nadludzkim wysileniem podniósł głowę, spojrzał w śliczne boleścią i łzami lice nieznajomej.

— Ty tutaj? . . . Nanino! — szepnął powoli.

A księżna chwyciła obie jego ręce w swe dłonie.

— Łaski! przebaczenia! — modliła, tuląc go w ramionach.

Nie było odpowiedzi.

— Przebaczenia Edwardzie! . . . ja cię tak kocham . . . przebaczenia. . . .

— Marja — wymówił cicho chory.

— Za nią . . .

— Mary . . .

— I za nią Edwardzie! —

Blanka z śmiertelnie bladą twarzą i okiem, w którem przez łzy tryskały strumienie ognia nienawiści i pogardy.

— Wyjdź pani! — rzekła cicho, dotykając ramienia pani de Narandole.

Klęcząca nic nie widziała prócz umierającego kochanka. Nie odwracając się, szeptała dalej łzawym głosem swą prośbę.

Parski silił się wyrwać dłonie z jej objęcia.

Wtedy ksiądz, milczący świadek okropnej sceny, przystąpił do przyjaciela i rzekł z powagą:

— Synu! Chrystus przebaczył pokutującej Magdalenie. —

Wygnaniec drgnął na dźwięk głosu kapłana, otworzył oczy . . . i z anielskim uśmiechem w twarzy, zwrócił ku nam piękną swą głowę.

Jakby nadludzką ożywiony siłą, uniósł się trochę i usiadł na łożu boleści.

A śmiertelna komnata napełnioną była czarującą wonią zwrotnikowych kwiatów i czarująca w niej jasność pełnego dnia, walczyła z pół-cieniem nie zupełnie rozsuniętych zasłon okien balkonu.

Dziwna mięszanina boleści i wesela, smutku i roskoszy, pogody i chmurnych mroków niedoli, życia i śmierci.

Oblicze umierającego rozjaśnił promień nieziemskiego zachwytu, uśmiech, szczęście prawie, osiadł na spalonych gorączką ustach.

— Przecież i mnie przebaczono ojcze? — szepnął, biorąc dłoń kapłana.

I unosząc z poduszek głowę, zatonął wzrokiem w błękitne powietrza fale, jakby chciał w drżącej fosforycznej przestrzeni poszukać pocieszającej odpowiedzi.

Purpura potokiem spłynęła na wybladłe lice tułacza i z dłońmi złożonemi jak do modlitwy, zatonął w cichem dumaniu.

Zatrzymując tchnienie na ustach, staliśmy do koła w milczeniu:

Blanka i księżna, obie u piersi chorego, ja z Zapalskim trochę dalej łoża, nie chcąc zakłócać uroczystej chwili prawdziwej modlitwy.

Taka bowiem nie krzywdzi, takiej się przerywać nie godzi.

— Ach matko! — zawołał nagle chory — ty tutaj i znów przy mojem łożu? . . . matko! więc nie opuściłaś twego dziecięcia, więc to prawda było com widział i słyszał przed laty!

Feliksie, pamiętasz że ty moje niegdyś opowiadanie? ... duch niewiasty z pod mogiły bez krzyża, z najbiedniejszego zakątka cichego smętarza w ojczyźnie, przeniósł się za mną aż w daleką obcą ziemię niedoli.

Jak od owej pamiętnej chwili, modlitwa rodzicielki spoczywała na mem sercu i często błądziła namiętnym szeptem po ustach, tak i duch tej co mi życie dała, snadź spoczywał nad mojem czołem, snadź błądził cieniem skrzydeł anioła do koła nieszczęśliwego dziecięcia.

Z życiem na ziemi, wszystko się nie kończy jeszcze! Duch ludzki żyje dalej i dalej bez końca, unosząc się ku celowi: doskonałości swego stwórcy. Upadną światy i nastaną nowe; z niemi ziemie i ludy . . . i znów runą w przepaść bezgranicznej nicości, lecz duchy nasze przetrwają światy i ziemie i ludzi, przetrwają twórczość i zniszczenie, aby po długiej, to jasnej, to znów chmurnej po ciałach pielgrzymce, powrócić

do przedwiecznego źródła i znów w doskonałą zlać się całość bezbrzeżnej potęgi. —

Uśmiechnął się roskosznie.

— Ach! przychodzisz po mnie, matko jedyna? przychodzisz poprowadzić na miejsce przeznaczenia?

Idę, idę bez trwogi! na twem licu uśmiech wesela, w oczach łza miłości dla jedynego dziecięcia . . . rozwarte do uścisku dłonie, roskoszny szept pociechy na ustach, z których tak często we śnie lube ssałem pocałunki. . .

Ten uśmiech, łzy, gotowość objęcia, to przebaczenie?

Tylko . . . tylko to światło nad srebrnym włosem twego czoła razi mnie i trwoży. . .

Matko — —

Głos chorego przycichł trochę i przymknął strudzone powieki.

Potem znów, rzucając groźny wzrok w przestrzenie;

«Teraz, precz wy czarni posłańcy szkarady, wyrzutki społeczeństwa bez ojczyzny i bez rodziny nawet, nie znane wam samym głoszący uczucia. . .

Piekło . . . męki bez końca, zemsta i przekleństwo na waszych i waszego wodzą skrzywionych namiętnością ustach.

To fałsz, niedoli i zatracenia prorocy o czarnej szacie, by na niej krew mniej znać było, to fałsz . . . bo i ja także przewiniłem w życiu i na mojej piersi . . . łamami granitu . . . ciężą łzy i występki może . . . ja jednak. . .

Duch matki mojej się uśmiecha, a cień bladej polskiej wdowy z promieniem na czole, pewno nie w przepaść zatracenia przyszedł powieść nędzarza.

Nad wami i nad nami jest ktoś, co nie ludzką miarą mierzy ludzką niedolę i cierpienia, co się dopomni krwi i łez, pożarów i hańby mordów i bezecnej grabieży. On natchnie w piersi młodego pokolenia ducha rycerskości i prawdy, pomści dnie jej upadku, dnie zgrozy i sromoty.

Matko moja! dzięki ci że cię znów widzę! . . . znów dajesz świadectwo prawdzie . . . przychodzisz utwierdzić mnie w wierze . . . w wierze czystej i prawdziwej . . . w wierze o nieśmiertelności ducha ludzkiego . . ! Ach! pod twojem skrzydłem . . . twym łagodnym wzrokiem wiedziony, zacznę śmiało wieczności życie ... bo czuję że tam miłość, oczyszczenie i . . . przebaczenie . . .!»

Przeraźliwy krzyk trwogi, zwrócił nasze oczy ku Blance.

Młoda kobieta tuliła w ramionach małego Edwarda, który drżący i obłąkany prawie z przestrachem wskazywał dłonią ku wezgłowiu łoża:

«La, la ... je voix une femme pâle ... et jai peur ...» szeptało dziecię, wpatrując się w niedojrzany przez nas przedmiot upornie.

Opisać taj sceny niepodobna.

Staliśmy do koła wpół żywi prawie.

Edward miał oczy szeroko rozwarte i coś nie ziemskiego w ich blasku.

Uroczysta chwila. . . .

Zdało się, jakby ruch atmosfery komnaty przy grobowej ciszy do koła, złożył się do niewysłowionej urokiem harmonji ducha. . .

Znów zamroczyło się lice Edwarda, łzą boleści zalśniło oko . . . z niewypowiedzianym dźwiękiem, co się odbił w drganiu serc naszych, szepnął żałącym i słabym głosem:

«Ojczysta ziemio moja, jakże mi ciężko umierać zdala ciebie!»

I z głośnym serdecznym płaczem niezmiernej boleści upadł znów bez sił na łoże.

Zwróciłem twarz ku oknu, nie mogąc znieść tego widoku.

A Edward szeptał coś cicho przez łzy w utulonych ramionach dwóch niewiast, rywalek, w których ta okropna chwila stłumiła wybuchy wzajemnej nienawiści.

Księżna pierwsza oprzytomniała trochę i chyląc piękną swą głowę nad twarzą swego przyjaciela:

— Tobie cienie matki zwiastował świat inny, lepszy, zwiastował przebaczenie . . . Edwardzie mój! i ja wierzę i czuję jak ty teraz, bo mnie ta chwila nawróciła, ale . . . o! jedyny mój, znajdź słowo pociechy, wszak jam cię tak kochała . . . tak kochała szalenie — —!

Roskoszne brzmienie głosu pani de Narandole zdaje się, jakby zatrzymało działanie obejmującej go w ramiona śmierci.

— Blanko moja, Feliksie! — rzekł głośno prawie i jakby nowe weń wstąpiły siły — zastąpcie rodzinę mojemu dziecięciu . . . nauczcie go prawdziwej wiary . . . opowiedzcie mu oba widzenia moje . . . w nich przyszłości nadzieja . . . gwiazda wesela i . . . prawda. . . . Patrzcie! . . . znów

matka moja zbliża się uśmiechnięta. . . .! Idę . . . bądźcie zdrowi. . . .! Ach polsko moja . . . druga święta rodzicielko wygnańca — — —!

Księżna wydała krzyk rozpaczy.

Więc zwrócił się do pięknej grzesznicy, ofiary fanatycznego wychowania i fatalnego mnichów wpływu i podając jej z wysileniem dłoń wyschłą i drżącą:

— I ty żyj w pokoju Nanino! zapominam sprawione mi boleści. — —

Zacny kapłan-wygnaniec podniósł dłonie do góry:

— Cierpienie na ziemi, zagładza ziemskie przewiny w całości! — zawołał uroczyście. — Jesteście rozgrzeszeni! —

. . . .

Konający spojrzał raz jeszcze w pogodne niebo uśmiechniętej kwiatami Italji, usta poruszyły się lecz bezdźwięcznie już tylko, i upadł na poduszki bez życia.

Tak skończył jeszcze jeden nieszczęśliwy, z owej rozstrzelanej pò świecie pogardzonych drużyny, a łzy w naszych oczach, jęk dwóch kobiet w żałobie, wypatrzone podziwem oczy drobnej dzieciny i głuchę, żałosne wycie wiernego psa, były mu pieśnią pogrzebu na obcej ziemi.

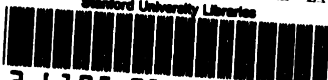
KONIEC.

Drukiem F. A. Brockhausa w Lipsku.

60,—

455022/9570




Stanford University Libraries
3 6105 010 630 890